

Mason Susan Anne

Irlandzkie łąki



Dla pana Guistini, mojego nauczyciela w klasie szóstej, pierwszej osoby, która zachęcała mnie do napisania książki. Dziękuję za zasianie tego ziarna, które zakorzeniło się we mnie.
Po prawie czterdziestu latach - udało mi się!

1.

MAJ 1911 LONG ISLAND, NOWY JORK

Chylące się ku zachodowi słońce rzucało długie cienie na podjazd, którym Gilbert Whelan kierował się w stronę posesji państwa O'Leary. Obrazy w jego wyobraźni popychały go i dodawały odwagi, by iść naprzód, jednak zwolnił kroku, gdy dotarł do wybrukowanej ścieżki prowadzącej do domu. Fala tęsknoty ścisnęła mu serce, a walizka w jego ręku wydała się jeszcze cięższa.

Czy rzeczywiście była to ta wyczekiwana od trzech lat chwila? Gil zdusił gorzkie poczucie winy, które go nękało, i skierował się w stronę wielkich frontowych schodów. Postawił swoją wysłużoną torbę na ziemi i objął wzrokiem znajomy widok - szeroką werandę i dwuskrzydłowe drzwi wejściowe. Gdy był dzieckiem, po śmierci ojca przyjechał tu z matką, która najęła się jako pomoc domowa państwa O'Leary. Należał do rodziny... a jednak był poza nią. Gil przesunął dłoń wzdłuż szerokiej białej kolumny po lewej stronie, jakby niepewnie, nieomalże z czcią. Czerwone cegły domu w Irlandzkich Łąkach niewiele zmieniły się od czasu, kiedy wyjechał. Gdyby tylko to samo można było powiedzieć o jego mieszkańcach.

Z westchnieniem pozwolił, by jego ręka opadła. Jeśli mógłby wybierać, nie wracałby tutaj w ogóle - z wielorakich i skomplikowanych powodów. Ale zawdzięczał państwu O'Leary zbyt wiele, aby dłużej ich unikać. Zostanie więc tyle czasu, ile będzie trzeba, żeby spłacić dług wobec swoich opiekunów, a potem rozpocznie własne życie.

Panie, proszę, prowadź mnie. Daj mi siłę, abym wykonał to, co musi być zrobione, i nie skrzywdził przy tym nikogo.

Gil wiedział, że za bogato zdobionymi drzwiami czeka cała rodzina, by przyjąć go tak, jak wita się utraconego syna powracającego do domu. Nie miał jeszcze ochoty na te wylewne powitania, dlatego porzucił brukowaną ścieżkę i skierował się w stronę miejsca, gdzie czuł się jak u siebie - ku stadninie państwa OTeary. Kiedy obszedł dom i dostrzegł ogromną stajnię, poczuł dreszcz ekscytacji. Jakież miał szczęście, że mógł pracować na jednej z najlepszych farm, hodując i szkoląc najlepsze konie wyścigowe na wschodnim wybrzeżu. Przy boku Jamesa O'Leary'ego, Gil nauczył się wszystkiego, co było mu potrzebne, aby któregoś dnia otworzyć swój własny interes.

Gdy tylko wszedł do środka, poczuł dobrze mu znany zapach siana, koni i obornika. Tęsknił za pracą ze zwierzętami prawie tak bardzo jak za rodziną OTeary. Manhattan był porywającym miejscem, ale Gil dużo bardziej cenił sobie świeże powietrze, szerokie niebo i rozległe łąki na Long Island. Szczególnie wiosną, gdy cała przyroda rozkwitała na nowo.

Przebiegł spojrzeniem po nieskazitelnych mahoniowych boksach z mosiężnymi, grawerowanymi tabliczkami dla każdego rasowego konia. Czujne ucho wychwyciło ciche rzenie, odgłos dużo piękniejszy niż cała symfonia. Gdy tylko jego wzrok przyzwyczał się do przyciemnionego pomieszczenia, Gil ruszył w stronę przegrody, którą potrafiłby znaleźć nawet z zamkniętymi oczami. Kiedy podniósł zasuwę, Monarcha Ciemności zarżał głośno na powitanie. Gil natychmiast objął ramionami piękną czarną szyję i szeptał czułe słowa do ucha swojego przyjaciela. Koń zarzucił głowę i nosem strącił kapelusz Gila, który zatoczył łuk i spadł na kupę słomy leżącą obok.

Gil roześmiał się głośno.

- Też za tobą tęskniłem, chłopcze. Ale już wróciłem do domu.

Przynajmniej na jakiś czas. Poglądził Monarchę po lśniąącym boku.

- Wygląda na to, że dobrze o ciebie dbali, gdy mnie nie było. Twoja sierść lśni jak nigdy.

- Codziennie go dla ciebie wyczesawałam.

Dłoń Gila znieruchomiła na grzbiecie Monarchy, a jego kręgosłup zeszywniał.

Brianna. Ta, o której starał się nie myśleć, nie wyobrazić sobie ponownego spotkania po trzech latach. Z trudem przełknął ślinę i odwrócił się w stronę osoby stojącej w wejściu do boksu. Oddech zamarł mu w piersi, a jego serce biło nierówno.

Ta figlarna dziewczyna, którą była, kiedy wyjeżdżał, zmieniła się w piękną młodą kobietę. Ubrana w jasnozieloną suknię podkreślającą jej talię, stała w milczeniu z rękami splecionymi na po-dołku. Jej złocistorude loki upięte były wokół głowy i tylko pojedyncze kosmyki opadały na smukłą szyję. Duże zielone oczy patrzyły na niego, jakby chciały przejrzeć jego myśli.

- Brianna, dobrze cię widzieć. Wyglądasz... wspaniale.

Otarł dłonie o wełniane spodnie i podszedł, aby ucałować ją w policzek. Poczł jej delikatny zapach - połączenie aromatu zielonych jabłek i róż.

Uśmiech rozjaśnił jej twarz.

- Dziękuję. Ty również dobrze wyglądasz.

Zerknął na swoją brązową, tweedową kamizelkę i lnianą koszulę.

- Chyba muszę się obmyć z kurzu po podróży pociągiem i drodze ze stacji.

Jej lekko zmarszczone brwi połączyły się w jedną linię.

- Powinieneś być zadzwonić. Tata na pewno wysłałby po ciebie Sama.

Nieco zmieszany wzruszył ramionami.

- Chciałem się przejść. Dobrze jest pooddychać świeżym powietrzem po brudach miasta.

Weszła do boksu.

- Cieszę się, że wróciłeś, Gil. Bardzo tęskniłam... tęskniliśmy za tobą. Ta, i tak ciasna przestrzeń, w której się znajdowali, wydawała się teraz jeszcze bardziej kurczyć. Gil zdobył się na krótki uśmiech.

- Ja także za wami tęskniłem. *Bardziej, niżby ci się wydawało.*

- Ale... jak ty wyrosłaś, kiedy mnie nie było.

Miał nadzieję, że jego głos zabrzmiał beztrąsko, choć daleko mu było do swobody. Ta młoda dama sprawiała, że czuł się bardzo nieswojo. Gdzie się podziała ta chłopczyca, z którą tak dobrze się rozumiał?

- Powiedz, kto jest tym szczęśliwcem zalecającym się do ciebie?

- Któż powiedział, że ktokolwiek się do mnie zaleca? Wetknął ręce do kieszeni.

- Już niedługo będziesz miała osiemnaście lat. Prawie skończyłaś szkołę. Myślałem, że...

- W takim razie źle myślałeś.

Ściągnięte linie wokół jej ust mówiły mu, że ten temat nie podlega dalszej dyskusji. Odwróciła się, by podnieść źdźbło siana, i zaczęła je skubać szczupłymi palcami.

- A zatem, jakie to uczucie ukończyć college? - zapytała pogodnie.

Przyglądał się jej przez chwilę i zdecydował pozwolić na tę zmianę tematu. Już niedługo i tak dowie się wszystkich rodzinnych nowinek.

- Czuję, że nareszcie zaczynam własne życie. Będę robił coś, co się liczy. - Schylił się, aby podnieść swój kapelusz z podłogi i strzepnął brud z ronda.

Przechyliła głowę.

- A to, że otrzymałeś tytuł, w ogóle się nie liczy?

- To tylko środek wiodący do celu.

- Pójście do college'u byłoby najbardziej fascynującym doświadczeniem. Życie w mieście, pośród tych wszystkich ludzi i emocji. - Jej oczy rozbliły jaśniej niż gwiazdy, o których Gil śnił, odkąd opuścił Irlandzkie Łąki.

Potrząsnął głową, śmiejąc się.

- Bree... Zawsze taka sama. Wiecznie marzysz o przygodzie. Dobrze wiedzieć, że nie wszystko się zmienia.

Lekki rumieniec oblał jej policzki. Bardzo piękne policzki na bardzo pięknej twarzy.

Odwrócił się i pogładził dłonią zad Monarchy.

- Widzę, że Sam go regularnie trenował.

Sam Turnbull, masztalierz, nauczył Gila wszystkiego, co wiedział na temat szkolenia koni.

- Oczywiście. Sam zawsze dotrzymuje słowa.

Podeszła bliżej, zachodząc Gilowi drogę tak, że stał zaklinowany pomiędzy Monarchą a ścianą, po czym położyła ciepłą dłoń na jego ręce. Gil całkowicie znieruchomiał. Jeśli przesunąłby głowę, jego nos otarłby się o kosmyki jej włosów, poczuł, że gardło wyschło mu jak kurz pokrywający podłogę. Taka bliskość to było dla niego zbyt dużo. Wysunął się zza dziewczyny i otworzył szerzej drzwi boksu.

- Powinniśmy iść. Jestem pewien, że twoja matka już czeka.

- Dobrze. - W jej głosie dało się wyczuć rozczarowanie, a z oczu zniknął blask.

Gil liczył, że jej dziecięce zadurzenie w nim ulotni się do czasu jego powrotu. To był główny powód, który kazał mu trzymać się z daleka - dać jej czas dojrzeć i znaleźć odpowiedniejszego mężczyznę, który by się nią zainteresował. I przysięgał sobie, że po powrocie do Irlandzkich Łąk nie zrobi nic, co mogłoby dać jej jakąkolwiek nadzieję. Zresztą, byli prawie rodziną.

Po raz ostatni pogładził Monarchę po pysku i zamknął za sobą zasuwę. Przeszli razem parę kroków, kiedy nagle do ich uszu dotarł

odbity od otwartych drzwi stajni dźwięk silnika samochodu zatrzymującego się przed domem. Brianna zamarła w bezruchu na końcu korytarza. Odwróciła się gwałtownie z szeroko otwartymi oczami.

- To tata, muszę już iść.

Lecz zamiast do drzwi głównych, skierowała się szybko na tyły stajni. Jej suknia zaszeleściła, wzbijając tumany kurzu.

- Poczekaj. - Gil zrobił krok za nią. Dopiero teraz zauważył, że jej ubiór bynajmniej nie nadawał się do stajni. - Co ty tutaj właściwie robisz?

Przystanąła, nieznacznie podniosła bezbronne oczy, a ich spojrzenia spotkały się.

- Wiedziałam, że przyjdiesz najpierw tutaj. I chciałam być pierwszą osobą, która przywita cię w domu. - Drzwi samochodu trzasnęły i Brianna podskoczyła. - Proszę, nie mów tacie, że tu byłam.

Brianna O'Leary wśliznęła się do rodzinnego domu drzwiami od zaplecza i zeszła małym korytarzem do kuchni. Tylko w ten sposób mogła się dostać do tylnych schodów i nie ryzykować natknięcia się na któregokolwiek z rodziców. Oparła się o futrynę, by zorientować się w sytuacji, zamknęła oczy i uspokoiła oddech.

Od tygodni marzyła o dniu powrotu Gila - wyobrażała sobie tę radość, gdy znów będzie mogła go ujrzeć, mieć blisko siebie swojego najlepszego przyjaciela. Jednak rzeczywistość daleka była od jej oczekiwań. Ich związek - niegdyś tak silny i nierozzerwalny - teraz wydawał się ulotny niczym popołudniowe słońce prześwitujące przez deski stajni. Gil zachowywał się tak powściągliwie, jakby był skrupowany, a jej bliskość była dla niego kłopotliwa.

W jaki sposób mieli powrócić do dawnej relacji, skoro on wznosił wokół siebie niewidzialny mur?

Brianna wyprostowała się w geście mocnego postanowienia. Potrzebowała innego podejścia, aby odzyskać zaufanie Gila i tym samym zapewnić sobie jego pomoc w przekonaniu taty, co do jej przyszłości.

Ale najpierw musi dostać się bezpiecznie do pokoju. Tacie nie spodobałoby się, gdyby dowiedział się, że nagabywała Gila w stajni. Ojciec jasno dał jej do zrozumienia, że nie życzy sobie, by kręciła się wokół stajni, i teraz mogła jeździć na swojej ukochanej Sophie tylko wtedy, kiedy nie mógł jej strofować.

Brianna zerknęła za róg, w głąb kuchni. Pani Harrison wykrzykiwała rozkazy pomywaczkom, które z pośpiechem wykonywały jej polecenia. Z ogromnych garnków stojących na kuchni ze świstem ulatywała para. Kuszący zapach świeżo pieczonego chleba sprawił, że Briannie zaczęło burczeć w brzuchu. Przygotowania do kolacji szły pełną parą, więc liczyła, że uda jej się przemknąć obok kucharki niezauważenie.

Kiedy pani Harrison odwróciła się, aby zamieszać w garnku stojącym na kuchni, Brianna podniosła poły sukni i na palcach ruszyła przez wykafelkowaną podłogę.

- Czy mogę w czymś pomóc, panno Brianno? - Kobieta rzuciła rozbawione spojrzenie sponad swojego ramienia.

Brianna zastygła bez ruchu na środku pomieszczenia, a następnie przybrała niewinny wyraz twarzy.

- Mama zastanawiała się, jak długo jeszcze do kolacji. Pulchna kucharka starła krople potu z czoła przysłoniętego białym czepkiem i oparła pięści na biodrach.

- Ani na chwilę nie uda się panience mnie oszukać. Była panienka w stajni zobaczyć się z panem Gilbertem i teraz próbuje się przemknąć z powrotem.

- Skąd pani...

- Znam panienkę od dziecka. Nigdy nie umiała panienka nic przede mną ukryć.

Brianna czuła, że jej policzki płoną.

- Musiałam zobaczyć się z Gilem - *zanim Colleen dorwie go w swoje szpony* - zanim wszyscy zaczną się wokół niego kręcić.

Pani Harrison zachichotała.

- Stęskniłam się za tym chłopakiem prawie tak samo jak ty. - Mrugnęła do niej. - Idź i odśwież się trochę. Kolacja będzie gotowa za dwadzieścia minut.

- Dziękuję. - Brianna odetchnęła z ulgą i wybiegła z kuchni w stronę tylnych schodów.

Kiedy tylko znalazła się bezpiecznie w pokoju, zamknęła drzwi i opadła na przykryte kołdrą łóżko. Żelazna rama skrzypnęła pod jej ciężarem. Sięgnęła pod materac i wyciągnęła swój pamiętnik, aby odczytać słowa, które zapisała tego samego dnia rano.

Cel na lato: Namówić Gila, by pomógł mi przekonać tatę, żeby pozwolił mi jesienią pójść do college u.

Westchnęła i zatrzasnęła pamiętnik. Niezbyt obiecujący start. Spodziewała się, że jej relacja z Gilem nie będzie już taka sama jak kiedyś. W zasadzie nawet nie chciała, by tak było. Jej głupie, szkolne zadurzenie dawno odeszło w niepamięć, stało się tylko chwilowym kaprysem niedojrzałej piętnastolatki. Teraz w centrum jej uwagi było zdobycie wykształcenia i zwiedzenie kawałka świata poza Irlandzkimi Łakami. W jej życiu, w najbliższej przyszłości nie było miejsca na romans.

Jedyne, czego chciała od Gila, to pomoc w przekonaniu ojca. Właśnie dlatego jej priorytetem było odnowienie ich przyjaźni.

Przejrzawszy się w lustrze, Brianna skierowała się głównymi schodami do holu. Gdy schodziła, jej ręka przesuwiała się lekko po wypolerowanej, mahoniowej poręczy, a ucho wyłapywało dźwięki dobiegające z dołu. Zatrzymała się na chwilę przed wejściem do salonu, rozkoszując się odgłosami chichotu młodszego

rodzeństwa i strzępami rozmów docierającymi aż do holu. Oczami wyobraźni widziała ojca zasiadającego, jak zawsze, w swoim fotelu, z nosem w gazecie, matkę przycupniętą na krawędzi kanapy obitej brokatem. Adam stał przy drzwiach balkonowych, zapatrzony w głąb ogrodu, a Colleen siedziała koło mamy, starając się nie reagować na wygłupy dwójki młodszych O'Learych - Connora i Deirdre.

Brianna wzięła głęboki wdech i weszła do eleganckiego salonu. Jej oczy odruchowo przebiegły pomieszczenie w poszukiwaniu Gila. Ignorując zawód serca, kiedy go nie dostrzegła, przybrała swój najlepszy uśmiech i ruszyła do przodu.

Matka zerknęła na nią znad książki.

- Tutaj jesteś, Bree. Myśleliśmy, że zasnąłś u siebie w pokoju.

- Gil jeszcze nie przyjechał? - zapytała i skierowała się w stronę marmurowego kominka, starając się zachować jak najbardziej swobodny ton.

- Pani Johnston powiedziała, że przyjechał wcześniej, ale oczywiście poszedł najpierw zobaczyć konie. - Mama zaśmiała się i potrząsnęła głową. - Przysięgam, że ten chłopak kocha bardziej zwierzęta niż swoją rodzinę. >-

- On *nie* jest naszą rodziną. - W głosie Adama kipiała gorycz. Brianna zadrżała w duchu. Miała nadzieję, że jej starszy brat do tego czasu przemoże swoją niechęć do Gila, ale najwidoczniej nadal ją w sobie pielęgnował. Tata złożył gazetę.

- Gilbert dorastał w naszym domu jako jeden z nas. Nie będę tolerował jakiegokolwiek niechęci wobec niego.

- Oczywiście, że nie będziesz. - Adam z gniewną miną odwrócił się do okna.

Parę sekund później odgłos kroków przełamał posępną ciszę. Gil pojawił się w drzwiach salonu, wygładzając rękawy marynarki, którą przywdział najwidoczniej w pośpiechu, zbiegając ze schodów.

Uśmiechnął się szeroko.

- Witajcie, wszyscy.

Brianna stała z boku, kiedy cała rodzina O'Leary przymilała się do niego, radując się z jego powrotu do domu. Mama przytuliła i ucałowała go, by potem wycierać oczy chusteczką. Tata uściśnął mu dłoń i poklepał mocno po plecach, cały rozpromieniony. W tym czasie Deirdre i Connor także głośno domagali się uwagi Gila.

Brianna wciąż stała z tyłu, zadowolona, że może sycić się jego widokiem. Czarne włosy Gila jak dawniej falowały nad czołem, tworząc niesforne loki wbrew wszelkim staraniom doprowadzenia ich do porządku. Oczy, osadzone pod ciemnym łukiem brwi, były nadal tak samo intensywnie niebieskie jak niegdyś, kiedy przeszywały jej serce niczym uderzenie prądem. Jediną różnicą była szerokość ramion i klatki piersiowej, co dało się wyraźnie zauważyć spod tweedowej marynarki. Podczas swojej nieobecności zmężniał i bardziej przypominał dojrzałego mężczyznę niż chłopca.

Poczuła przyspieszające tętno. Czy on także zauważył podobne zmiany w jej wyglądzie? Czy dostrzegł, że nie jest już chłopczycą, która codziennie biegła za nim dookoła stajni i na wybieg dla koni? Zmarszczyła czoło i odepchnęła od siebie niepotrzebną myśl. Jakież to teraz miało znaczenie, skoro zależało jej tylko na jego przyjaźni?

Gil podszedł do niej. Brianna zamarła. Czy zdradzi fakt, że była w stadninie?

- Bree, dobrze cię znowu widzieć. - Pochylił się, by ucałować jej policzek, tak jakby wcześniej się nie witali.

Mrugnął lekko rozbawiony, co uspokoiło ją i dało pewność, że nie wyjawii jej tajemnicy. Uśmiechnęła się i podjęła grę.

- Ciebie też.

Gil skierował wzrok na prawo i uśmiech zamarł na jego ustach.

- Witaj, Adamie.

Adam z wyraźną niechęcią podszedł, aby podać Gilowi rękę na powitanie, a następnie szybko się wycofał.

Brianna zeszywniała, kiedy pośród szelestu jedwabnych sukni Colleen zbliżyła się rozkołysanym krokiem, przyciągając uwagę wszystkich. Cudownie kasztanowe włosy podkreślały nieskazitelną skórę jej starszej siostry oraz jej żywe niebiesko-fioletowe oczy. Przy niej, piegowata twarz Brianny, nijakie złotorude włosy i chuda sylwetka zawsze czyniły ją niezauważalną.

Colleen powitała Gila długim uściskiem.

- Witaj w domu, Gilbercie - powiedziała miękkiem głosem, przyciskając swój policzek do jego twarzy.

Gwałtowne uderzenie zazdrości wdarło się do serca Brianny. Colleen ubrana była w wydekoltowaną suknię, która podkreślała jej walory. Czyż nie wystarczyło jej, że połowa kawalerów z hrabstwa zabiegała o jej względy? Czy musiała kokietować także Gila?

Kiedy cała rodzina przechodziła przez hol do jadalni, Brianna zacisnęła mocno pięści, zdecydowana poskromić swoje emocje. Jednak mimo wszystko dławił ją niewypowiedziany strach. Martwiła się, że kiedy Gil powróci, zakocha się w Colleen i całkowicie zapomni o jej istnieniu. Gil *był jej* przyjacielem. *Łączyła*, ich więź, która wykluczała wszystkich innych, nawet jej rodzoną siostrę. W skrytości serca Brianna cieszyła się świadomością, że Gil nigdy nie wykazywał żadnego zainteresowania Colleen. Czy jednak nie zmieni się to teraz, gdy rozkwitła jako tak zmysłowa kobieta?

Moja zazdrość - tłumaczyła sobie Brianna - nie ma nic wspólnego z zawłaszczeniem Gila. Chciała tylko jego dobra. Fakt, że Colleen może owinać sobie wokół palca każdego mężczyznę, szybciej niż pajak łapie muchę, sprawiał, że Brianna czuła się coraz bardziej niespokojna. Będzie musiała zrobić coś, zanim Gil stanie się kolejną, Bogu ducha winną ofiarą niecnego planu jej siostry.

- Gilbercie, mój chłopcze, dobrze, że jesteś znów w domu. - Ojciec pomógł zająć mamie miejsce, a następnie gestem ręki wskazał Gilowi krzesło obok swojego, u szczytu stołu.

Gil uśmiechnął się.

- Dobrze być z powrotem, sir. Nie mogę się doczekać chwili, kiedy będę mógł zacząć pracę z końmi.

Ojciec zmarszczył brwi.

- Miałem nadzieję, że zaczniesz najpierw od ksiąg rachunkowych. Chętnie zobaczę, jak w praktyce sprawdza się twój dyplom z przedsiębiorczości.

Linie wokół ust Gila lekko się ściągnęły. Mama cmoknęła.

- Jamesie, pozwól chłopcu na parę dni odpoczynku, zanim zasypiesz go pracą w papierach. - Jej delikatne upomnienie sprawiło, że twarz taty oblała się rumieńcem. - Z pewnością Gil marzy o tym, by solidnie potrenować z Monarchą. Poza tym zasługuje na trochę wolnego czasu. Pracował każdego lata i nigdy nie miał żadnych wakacji. - Mama szybkim ruchem nadgarstka rozwinęła serwetkę i rozłożyła ją na kolanach.

Gil rzucił jej pełne wdzięczności spojrzenie.

- Przyda mi się parę dni wytchnienia.

Jego spojrzenie przesunęło się przez całą długość stołu i spotkało się ze wzrokiem Brianny. Te żywe niebieskie oczy, za którymi od dawna tęskniła, wydawały się ją przenikać. Dawniej Gil mógł przekazać jej każdą myśl, każde uczucie, nie wypowiadając nawet najdrobniejszego słowa.

Drzwi od pomieszczenia służby otworzyły się, przerywając ich szczególne połączenie, i podkuchenne wniosły przykryte półmiski, umieszczając je z rozmachem na kredensie.

- Dziś twoje ulubione danie, Gil - głośno wyszeptała Deirdre ponad stołem. - Mama powiedziała, że jutro będzie moje ulubione. - Policzki siedmiolatki pałały niewinnością oraz zdrowiem od zabaw na świeżym powietrzu.

- Dziękuję ci, Dee-Dee. Muszę przyznać, że od tygodni marzyłem o pieczonej wieprzowinie pani Harrison. Ślinka mi ciekła na samą myśl o tym daniu. - Gil puścił dziewczynce oko, co sprawiło, że zachichotała.

- A na deser będzie ciasto czekoladowe.

- O ile zjesz całą porcję kolacji, młoda damo. - Mama próbowała zachować surowość, która jednak bardzo szybko zmieniła się w lekki uśmiech. - To dotyczy także ciebie, Connorze O'Leary. Żadnych resztek groszku zachowanego w kieszeniach na później.

Jedenastoletni Connor posłał matce szelmowski uśmiech.

- Dla ciasta czekoladowego mogę zjeść nawet dodatkową porcję groszku.

Pogaduszki trwały w najlepsze, podczas gdy rodzina zajadała się przepyszny posiłkiem przygotowanym przez panią Harrison specjalnie dla Gila. Kiedy ciasto czekoladowe zostało już pokrojone i podane razem z mlekiem, herbatą i kawą, Brianna poczuła odprężenie.

Jak dotąd sprawy szły dawnym, dobrze znanym torem - tak, jakby Gil nigdy nie wyjeżdżał.

- Zanim zapomnę, mam dla was nowinę. - Matka mieszała herbatę, dzwoniąc srebrną łyżeczką o delikatną porcelanową filiżankę. - Otrzymałam dziś list od mojej kuzynki Beatrice z Irlandii. Pamiętasz ją, Jamesie. To ta, której syn jest w seminarium.

Ojciec wycierał wąsy, delikatnie przykładając lnianą serwetkę do ust.

- Oczywiście. Czy to nie ten, który studiuje w Bostonie?

- Tak. Wkrótce przyjeżdża, na Long Island w ramach praktyki. Będzie pracował przy kościele Świętej Rity.

- Popatrz, popatrz. Jaki ten świat mały. Musimy go zaprosić na obiad. Mama odłożyła łyżeczkę i odkaslnęła.

- W zasadzie, to właśnie dlatego Beatrice do mnie napisała. Zastanawiała się, czy nie moglibyśmy go przyjąć na jakiś czas. Na plebanii jest remont i nie ma dla niego miejsca.

Tata ściągnął brwi.

- Sam nie wiem, Kathleen. Nie jestem pewien, czy będę się dobrze czuł z księdzem pod jednym dachem. Szczególnie w niedzielne poranki.

Brianna spięła się, wyczuwając niezadowolony ton ojca.

- On jeszcze nie jest księdzem. Moglibyśmy umieścić go na drugim piętrze, tak żeby Gil nie czuł się osamotniony.

Zapanowała cisza przerywana stukaniem widelczyków o talerze, gdy Connor i Deirdre pałaszowali ostatnie okruchy ciasta.

- Jamesie, on należy do naszej rodziny. A poza tym, mamy mnóstwo miejsca. - W głosie mamy coraz wyraźniej dawało się wyczuć prośbę.

Brianna ukryła uśmiech pod serwetką, wiedząc, że ojciec nigdy nie potrafi odmówić matce, kiedy prosi go o coś tym tonem.

- Jednak to bardzo daleka rodzina. Czy Beatrice nie jest twoją kuzynką trzeciego stopnia... albo jakoś tak?

- Rodzina to rodzina.

Posłał jej spojrzenie, które zmroziłoby krew w żyłach większości jego współpracowników, ale mama tylko uśmiechnęła się łagodnie i czekała. W końcu tata potrząsnął głową w geście kapitulacji.

- Dobrze... o ile nie będzie wymagał ode mnie chodzenia w niedzielę do kościoła.

Matka splotła dłonie i rozpromieniła się.

- Doskonale, w takim razie jutro wyślę telegram, żeby ich powiadomić.

Brianna zauważyła, jak teraz z kolei Colleen przewróciła oczami. Jej siostra nie tolerowała niczego związanego z religią. Tylko gniew matki sprawiał, że stosowała się do cotygodniowego

chodzenia do kościoła.

Mama oparła się wygodnie na krześle z pluszowym obiciem i raz po raz popijała herbatę, rozkoszując się swoim małym zwycięstwem.

- A więc, Gilbercie, powiedz nam coś o twojej młodej damie. Jak się rozwija wielka miłość?

Brianna wstrzymała oddech. Wiedziała, że Gil spotykał się z jakąś dziewczyną podczas swojego pobytu na Manhattanie, ale spodziewała się, że skoro już dawno nic o niej nie słyszała, to pewnie się rozstali.

Gil odchrząknął.

- Obawiam się, że mój... związek z panną Haskell dobiegł końca. Filiżanka mamy brzęknęła o spodek.

- Och, Gil. Tak mi przykro. Miałam nadzieję, że w najbliższym czasie będziemy mogli spodziewać się informacji o ślubie. - Gil skupił całą uwagę na talerzu i tylko po jego szyi widać było, że się zaczerwienił. - Jej ojciec to ten profesor, u którego pracowałeś na Uniwersytecie Columbia? Ten, z którym spędzałeś każde wakacje?

Brianna przerwała mieszanie herbaty, słysząc poczucie krzywdy wybrzmiewające w głosie matki. Ileż razy mama pomstowała na człowieka, który zatrudniał Gila jako asystenta i sprawiał, iż ten był zbyt zajęty, żeby wrócić do domu nawet na wakacje? Brianna zgadzała się z nią całym sercem. Poza pierwszymi świętami Bożego Narodzenia po jego wyjeździe nie odwiedził Irlandzkich Łąk ani razu.

Gil ściągnął usta.

- Tak, właśnie ten. Obawiam się, że profesor Haskell żywi do mnie urazę po tym, jak zakończył się mój związek z Laurą. On także miał nadzieję na zaręczyny.

Musiała upłynąć minuta ciszy, zanim wszyscy przetrawili ostatnią wiadomość. Potem ojciec poklepał Gila po ramieniu. Na jego twarzy malowała się ulga.

- Nie martw się, chłopcze. Jest mnóstwo wolnych kobiet w okolicy. W zasadzie, mam nawet na oku jedną dla ciebie.

Napięcie w ramionach Brianny wzmogło się, uwierając nerwy u podstawy jej szyi.

- Ależ, tato, jestem pewna, że Gil nie potrzebuje twojej pomocy w szukaniu żony. - Słowa wyrwały się z jej ust, zanim cała myśl zdążyła uformować się w głowie. Fala gorąca wypłynęła na jej szyję i policzki.

Ojciec spojrzał na nią gniewnie.

- To nie twoje zmartwienie, moja panno. - Odwrócił się do Gila.- Przenieśmy się do gabinetu - powiedział, odsuwając krzesło. - Mamy parę ważnych spraw do omówienia.

Delikatne, porozumiewawcze spojrzenie Gila, które posłał, mijając Briannę, wcale nie złagodziło ukłucia, jakie spowodowały słowa ojca. Tata zawsze ją lekceważył i tak samo teraz - po raz kolejny swoją decyzją zepchnął ją na margines wydarzeń.

2.

Gil zapadł się w jeden z foteli w gabinecie pana O'Learyego. Zapach skóry i tytoniu objął go niczym stary przyjaciel. Poza stadniną, najbardziej tęsknił właśnie za tym pokojem, przesyconym nutą męskości, którą tworzyły: kamienne palenisko, olbrzymie mahoniowe biurko pod oknem i niekończące się rzędy książek. Gil spędził tu wiele czasu na długich rozmowach z panem O'Learym, omawiając wszystko - począwszy od świata wyścigów konnych, a na cenach siana kończąc. Nie mógł się już doczekać, kiedy ponownie zagłębi się w interesy.

Pan O'Leary skończył dokładać do ognia i zajął miejsce w wysokim fotelu naprzeciw Gila. Zgarbił się nieco, gdy oparł się na poduszkach, a jego zwykły hart ducha wydawał się przygasać.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę, że wróciłeś do domu, synu. Te nowe przepisy antyhazardowe bardzo mnie martwią. Tory wyścigowe są zamykane, tracimy dżokejów. Stadniny koni będą cienko przędły, jeśli nie uda nam się odwrócić tego rozporządzenia. - Podniósł swoją fajkę ze stolika przy fotelu i postu -kał nią o dłoń. - Mam tylko nadzieję, że nie utoniemy, zanim to wszystko się uspokoi.

Gil zmarszczył brwi.

- Czy Irlandzkie Łąki mają problemy?

- Jeszcze nie. Ale kiedy całkowicie zakażą wyścigów, nie trzeba będzie długo czekać, a pójdziemy z torbami. Zwłaszcza jeśli klienci zaczną wycofywać swoje konie z naszej stadniny.

- Z pewnością nie posuną się aż tak daleko...

- Niektórzy już to zrobili. Zdołałem przekonać większość z nich, żeby jeszcze chwilę poczekali. - Na twarzy starszego mężczyzny wyraźnie odbijał się ciężar paru ostatnich miesięcy. Wokół jego oczu widać było zmarszczki, a blask ognia mienił się w srebrnych pasmach przetykających czarne włosy na jego skroniach. - Jutro pokażę ci nowe konie i będziesz miał dzień dla siebie w stadninie, potem zajmiesz się papierami. Mam nadzieję, że znajdziesz jakieś sposoby, żeby zwiększyć naszą płynność finansową.

Gil stłumił westchnienie. Wiedząc, jak wiele pan O'Leary zapłacił za jego wykształcenie, czuł się zobowiązany odpłacić mu pomocą w księgowości i finansach. Miał tylko nadzieję, że James O'Leary nie oczekiwał, że Gil pozostanie w Irlandzkich Łąkach na zawsze. Bardzo pragnął wyjść do świata, uczynić nazwisko Whelan liczącym się wśród innych. Przynajmniej tyle chciał zrobić dla swojego ojca. Powoli odetchnął. Prędzej czy później, będzie musiał powiedzieć państwu O'Leary, że planuje wyjechać. Jednak to może jeszcze poczekać...

Pan O'Leary zapalił fajkę, zaciągnął się głęboko i wydmuchał aromatyczny kłęb dymu.

- Gilbercie, masz już dwadzieścia jeden lat. Jesteś dorosły i nie potrzebujesz opiekuna. Tak naprawdę nie mam prawa niczego od ciebie żądać, ale potrzebuję twojej przysługi.

Gil poczuł ucisk w żołądku na widok ponurego wyrazu twarzy pana O'Leary'ego.

- Jakiej przysługi?

- Poznałeś kiedyś Arthura Hastingsa, nieprawdaż? Pojawiał się u nas wielokrotnie z różnych okazji.

- Bankier?

- Zgadza się.

- Co z nim?

Pan O'Leary przyglądał się przez chwilę Gilowi.

- Chciałbym, żebyś zaczął spotykać się z jego córką, Aurorą.

Twoja bliższa relacja z rodziną Hastingsów mogłaby przechylić szalę na naszą korzyść, kiedy będziemy ubiegać się o pożyczkę.

Gil zacisnął palce wokół podłokietników skórzanego fotela tak, że aż poczuł ból knykci. Po ostatnich przejściach z Laurą Haskell nie miał ochoty zalecać się do jakiejkolwiek kobiety.

Płonące w kominku polana osunęły się z łoskotem.

- Aurora ma prawie tyle samo lat, co ty, i jest nawet całkiem niebrzydka. - Pan O'Leary zaśmiał się krótko. - Z tego, co mi się wydaje, to nawet miała na ciebie oko, zanim wyjechałeś do college'u.

Gil wyteżył pamięć, próbując przypomnieć sobie cokolwiek na temat rodziny Hastingsów.

- Nie przypominam sobie, żebym ją kiedykolwiek spotkał.

- Widzisz, a ona ciebie pamięta. Poprosiła ojca, żeby porozmawiał ze mną, czy nie byłoby jakiejś okazji, abyście się mogli znowu spotkać.

Gil poluzował krawat, próbując zaczerpnąć powietrza.

- Z całym szacunkiem, proszę pana, ale dopiero co zerwałem bliższą znajomość. Nie jestem gotów, żeby od nowa do kogoś się zalecać.

- Czy nie sądzisz, że już najwyższy czas, żebyśmy przeszli na „ty”, synu? Rozumiem twoją niechęć do wejścia w kolejny związek. Ale możesz przynajmniej spotkać się z tą dziewczyną i zobaczyć, co o tym myśleć. Zaprosimy jej rodzinę na twoją powitalną kolację, którą planujemy na przyszły tydzień.

- Panie O... Jamesie... wiesz dobrze, że zrobiłbym wszystko, co w mojej mocy, żeby pomóc, ale...

- Wiem, synu. Dlatego właśnie liczę na twoją pomoc w ocaleniu Irlandzkich Łąk przed ruiną.

Następnego dnia Brianna wstała z samego rana, szczęśliwa, że czeka ją dzień wolny od obowiązków szkolnych. W perspektywie zaledwie paru tygodni, dzielących ją od ukończenia szkoły, odbierała naukę jako coraz większe wyzwanie. Chciała uzyskać jak najlepsze oceny, aby zwiększyć swoje szanse na dostanie się do college'u. Tak bardzo zazdrościła Gilowi, że mógł kontynuować edukację, doświadczyć życia w wielkim mieście. Gdyby tylko zdołał przekonać ojca, żeby mogła pójść w jego ślady najbliższej jesieni...

Firanka lekko falowała, poruszana porannym powiewem wpadającym przez otwarte okno, kiedy Brianna, rozczesując splątane włosy, przypominała sobie, jak swobodnie przez lata rozkwitała jej przyjaźń z Gilem. Jako dzieci oboje spędzali każdą wolną chwilę w stajniach, pośród koni. To on w tajemnicy nauczył ją jeździć na oklep, bo sama się bała. Zawsze traktował ją jak równą sobie, nie jak dziewczynkę.

Odłożyła szczotkę do włosów i stanęła przed szafą, muskając lekko palcami wyszukany strój jeździecki, który kazał jej nosić ojciec. Piękny, z pewnością, ale okropnie niewygodny. Zamiast tego, założyła swoje robocze ubranie, uśmiechając się na widok brązowej wełnianej spódnicy, którą jej matka przerobiła w damską wersję spodni jeździeckich. W przeciwieństwie do taty, mama nie widziała nic złego w tym, że Brianna kochała konie, więc do-szyła nogawki do jednej z jej starych spódnic.

Zbyt przejęta, żeby zjeść śniadanie, Brianna pognała na zewnątrz. Jej serce biło szybciej niż tętent koni wyścigowych na torze treningowym. Kopyta uderzały o miękką ziemię, gdy pojedynczy jeźdźcy zmuszali swoje wierzchowce do zwiększenia tempa na ostatniej prostej. Brianna popędziła w kierunku białego ogrodzenia i wskoczyła na pierwszy szczebel, podekscytowana potęgą przemykających obok niej wspaniałych zwierząt. Uśmiechnęła się, kiedy ujrzała Gila pochylającego się nad szyją Monarchy.

Jaki piękny widok stanowili razem - białe rękawy koszuli powiewające na wietrze, czapka wciśnięta głęboko na głowę i te zarysowane mięśnie Monarchy w idealnym ruchu. Harmonijne połączenie siły i umiejętności.

Kiedy Monarcha przekroczył metę, wyprzedzając o całą długość pozostałe konie, Gil wzniósł głośny okrzyk. Stojąc w strzemionach, zdjął czapkę i machał nią w powietrzu.

- Świetny czas, Gil - wykrzyknął tubalnym głosem Sam, podnosząc stoper.

Brianna przeskoczyła przez ogrodzenie i pobiegła w kierunku miejsca, w którym Gil z Monarchą schodził z toru. Dogoniła go, kiedy był już blisko wejścia do stajni.

- Dzień dobry. - Miała nadzieję, że w jej głosie nie słyhać za-dyszki. Uśmiech zadowolenia rozjaśnił jego twarz.

- Dzień dobry. Nie spodziewałem się, że wstaniesz tak wcześnie.

- Nie mogłam się doczekać, kiedy wezmę Sophie na spacer. Minęły wieki, odkąd ostatni raz jeździłam konno.

Jednym ruchem otworzył drzwi i wskazał jej, by szła przed nim.

- Już nie jeździsz codziennie? Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Nie zawsze mogę ze względu na szkołę i... zobowiązania towarzyskie. - *I ciąglą dezaprobatę taty.*

Gil skrzywił się, w głąb głównego korytarza.

- Jakiego rodzaju zobowiązania towarzyskie?

- Och, znasz tatę. - Udało jej się zachować zwykły ton głosu, jednocześnie gładząc lśniąca sierść Monarchy. - Zawsze są jakieś przyjęcia albo kolacja biznesowa, w której wszyscy musimy brać udział.

Gil zmarszczył brwi, otwierając boks Monarchy.

- Dlaczego miałyby to dotyczyć także ciebie? Brianna zagryzła wargę i wzruszyła ramionami.

- Wydaje się, że tata koniecznie chce *znaleźć* mi odpowiedniego męża. - Zachmurzyła się na samą myśl o przyszłości, której nie chciała. Dlaczego tata nie mógł zrozumieć, że nie dla każdej kobiety małżeństwo jest jedynym pragnieniem? Nie była jeszcze gotowa, by rozmawiać o tym z Gilem. Nie, zanim nie upewni się, że poprze on jej decyzję dotyczącą dalszej edukacji.

Schyliła się pod łbem Monarchy i prześliznęła w głąb korytarza, w kierunku boksu Sophie. Izabelowata klacz zarżała na powitanie, a jej biała grzywa zafalowała, gdy zarzuciła łbem.

- Jak się miewa moja piękna dziewczynka? - zagadnęła Brianna, całując ją w chrapy. - Gotowa na przejażdżkę?

Klacz prychnęła z entuzjazmem. Brianna zaśmiała się i przeszła do siodłami zabrać swój sprzęt jeździecki. Przebiegła wzrokiem po pomieszczeniu, ale jej starego skózanego siodła nie było tam, gdzie zwykle. Zamiast tego, znalazła je zawieszane na haku, wysoko na ścianie. Zmarszczyła czoło. Nowy stajenny najprawdopodobniej nie zdawał sobie sprawy, że potrzebuje mieć siodło niżej. Burknęła pod nosem, przysunęła drewniany taboret i wspięła się, stając na palcach, aby dosięgnąć do swojego ekwipunku.

- Dlaczego twojemu ojcu tak bardzo zależy, żeby wydać cię za mąż?

Brianna gwałtownie odwróciła głowę. Gil wyłonił się u wejścia do małego pomieszczenia, a na jego twarzy malował się grymas niezadowolenia. Zachwiała się, o mały włos nie upuszczając siodła. Gil szybko podszedł, by ją asekurować, łapiąc za ramię. Bez słowa wziął od niej ciężar i położył na ziemi, a następnie podał jej dłoń. Zeskoczyła ze stołka, lądując bardzo blisko niego. Jego męski zapach - mieszanka potu, konia i mydła sandałowego - sprawił, że jej zmysły zawirowały. Wpatrywała się w guziki jego koszuli, nie ważąc się podnieść wzroku. Gdyby ich oczy się spotkały - zatonełaby w tej krystalicznie czystej, niebieskiej głębi, a jej niestosowne uczucie mogłoby zapłonąć na nowo.

- Twój ojciec szuka męża także dla Colleen czy tylko dla ciebie? Udała, że strąca źdźbło słomy z ubrania, licząc, że uspokoi nieregularne bicie serca.

- Wokół Colleen zawsze kręci się mnóstwo mężczyzn. Nie potrzebuje pomocy taty. - Mimowolnie okazała gorycz, której nie potrafiła w sobie zwyciężyć.

Gil palcem podniósł jej podbródek.

- Coś mi się wydaje, że powinnaś wprowadzić mnie we wszystko, co się tutaj dzieje.

Jej spojrzenie błędziło pomiędzy drobnym zarostem pokrywającym jego brodę a dołeczkiem w policzku. Kiedy wreszcie ich oczy się spotkały, niebieska głębia, skupiona wyłącznie na jej twarzy, wymazała z jej głowy wszelkie racjonalne myśli.

- Już po pierwszym dniu widzę, że nic się nie zmieniło między tobą a siostrą. I nadal istnieje ogromne spięcie pomiędzy Adamem i twoim ojcem.

Chciała coś powiedzieć, cokolwiek, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Wszystko, na co było ją stać, to wpatrywanie się w jego urodziwą twarz i kuszące usta, tak blisko jej.

Wzrok Gila zatrzymał się na jej wargach. Z trudem przełknęła ślinę. Serce dudniło jej w piersi. Nagle, jego oczy rozszerzyły się i opuścił ręce. Cofnął się gwałtownie, przewracając przy tym stojące obok wiadro. Zwielokrotniony echem brzęk wypełnił siodlarnię.

- Lepiej pójde zjrzeć do Monarchy. - Wyglądał jak wystraszony koń.

Podwójna fala, rozczarowania i ulgi przetoczyła się przez wnętrze Brianny, kiedy Gil wybiegł z pomieszczenia. Schyliła się po siodło i chwyciła je niepewnie.

Wyglądało na to, że ich dobre relacje okazały się dużo bardziej skomplikowane, niż mogła to przewidzieć.

Powrót był wielką pomyłką.

Gil szcztokował zad Monarchy trochę mocniej, niż było potrzeba. Liczył, że kiedy wróci, Brianna będzie zaręczona, z perspektywą ślubu w najbliższej przyszłości, bezpiecznie powierzona komuś innemu, tak że wszelkie nieodpowiednie uczucia, które do niej żywił, zostaną całkowicie pogrzebane.

Tymczasem, one znowu doszły do głosu i okazały się jeszcze silniejsze niż kiedyś.

Nic dziwnego, że Laura zerwała ich związek. Chociaż Gil starał się, żeby wszystko było dobrze między nimi, ona uważała, że jego serce należy do innej kobiety. W głębi duszy wiedział, że w jej oskarżeniach tkwiło ziarno prawdy.

Gil odwiesił szcztokę na hak, otarł pot z czoła i wyszedł, pozostawiając Monarchę spokojnie przeżuującego siano. Pchany niewidzialną siłą, skierował się w stronę ogrodzenia otaczającego tor wyścigowy. Nieliczni trenerzy nadal pracowali z końmi, ale jego uwagę przyciągnął jeden rudo-brązowy rozmazany kształt. Brianna galopowała na Sophie wokół błotnistej toru, a grudki ziemi pryskały spod końskich kopyt. Długi warkocz Bree powiewał w górę i w dół, w rytm ruchu konia, a jej spódnica trzepotała, objając się o wysokie trzewiki. Zacięty wyraz twarzy dziewczyny wywołał uśmiech na twarzy Gila. Choć często była nieśmiała w stosunku do rodziny, jej niezależna natura stawała się doskonale widoczna podczas jazdy konnej. Gdyby tylko umiała wyrazić tę śmiałość w relacji z ojcem...

Myśli Gila skierowały się ku prośbie Jamesa dotyczącej Aurory Hastings i skrzywił się na samo wspomnienie. Być może powinien skorzystać z dobrej rady, którą chętnie podsunąłby Briannie, i postawić się mężczyźnie, który oczekiwał, że jego żądania będą bezdyskusyjnie wypełniane.

Ale jak miałby odmówić swojemu mentorowi tej jednej przysługi, kiedy zawdzięczał państwu O'Leary tak wiele? Przyjęli go

do rodziny, dali miłość, schronienie, szkołę, a nawet wysłali go do college'u. Czyż nie powinien ofiarować im wszystkiego, co tylko mógł?

Z pewnością dłużny był im więcej niż niestosowne uczucia wobec ich córki. Musiał usunąć Briannę O'Leary ze swoich myśli i ze swojego serca, raz na zawsze.

Gil oddalił się od toru i poszedł porozmawiać z Samem. Był ciekaw nowinek na temat koni - chciał usłyszeć, które z nich były najlepiej notowane podczas tego sezonu w stanach, w których wyścigi nie zostały zakazane, oraz zobaczyć, które z klaczy miały się oźrebić w najbliższych tygodniach.

Dwie godziny później Gil czuł się tak, jakby nigdy nie opuszczał Long Island. Prawdziwa radość płynąca z przebywania pośród zwierząt i ze wspólnej pracy z Samem Turnbullem pod czystym wiosennym niebem, dały mu poczucie wolności, której tak rzadko doświadczał. Zatrzymał się na chwilę, żeby popatrzeć na zielone pastwiska i na nowo wypełniło go przekonanie o celu. Pewnego dnia sprawi, że nazwisko Whelan stanie się znane w tym wielkim hrabstwie i spełni marzenia zmarłego ojca. Prześladujące go poczucie winy mocno ścisnęło mu żołądek. To przez niego John Whelan zmarł, nim ziściło się jego marzenie. Nawet gdyby ceną było ostatnie tchnienie i ostatni cent, Gil osiągnie to właśnie dla niego.

- Gotowy, by coś przegryźć?

Głos Bree sprowadził go na ziemię. Stała obok niego, uśmiechnięta, z wielkim koszem piknikowym przewieszonym przez ramię. Na samo wspomnienie o jedzeniu zaburczało mu w brzuchu.

- Mógłbym coś zjeść. Co masz na myśli?

- Piknik. Będziemy mogli nadrobić zaległości, tak jak wcześniej wspominałaś. - Lekkie drżenie w jej głosie zdradziło niepewność. - Pomyślałam, że moglibyśmy usiąść pod wierzbą nad jeziorem. Teraz już powinien być tam cień.

Jakiś wewnętrzny głos podpowiadał mu, że nie powinien z nią przebywać sam na sam, ale spotkawszy się z jej niewinnym spojrzeniem, nie potrafił odmówić.

- Daj mi chwilę, żebym się umył i spotkamy się na miejscu.

Zanim pozbył się kurzu z dłoni oraz twarzy i dotarł przez pastwisko do małego jeziora, w którym uwielbiali pływać jako dzieci, Brianna zdążyła rozłożyć pod drzewem czerwony kraciasty koc i poukładać na nim zawartość koszyka.

- Toż to prawdziwa uczta! Jak przekupiłaś panią Harrison, żeby to wszystko przygotowała?

- Nie musiałam. - Zachichotała. - Dla ciebie najchętniej sama by przyszła i podała wszystko osobiście.

Usiadł na drugim końcu koca, starając się zachować jak największą odległość od dziewczyny. Lekki wiatr znad wody poruszył kosmyki jej włosów upiętych na głowie. Zdjęła ściereczkę, w którą owinięte były kanapki, i podała mu jedną.

- Jak to jest być znów w domu? - zapytała.

Ugryzł duży kęs kanapki z pieczoną wołowiną oraz serem i starannie przeżuwał.

- Jednocześnie znajomo i dziwnie.

- Wiem, co masz na myśli. To tak, jakby czas zatrzymał się wokół nas, ale my wyrosliśmy.

- Dokładnie.

Sięgnął po słoik i odkręcił wieczko. Intensywny, cytrusowy zapach lemoniady sprawił, że jego oczy zaszczyły łzami. Brianna podała mu dwa kubki, a on wypełnił oba jasnym płynem. Jej ręce lekko drżały, gdy odbierała od niego naczynie. Czy sytuacja ponownego przebywania razem, była dla niej tak obca, że aż ją peszyła? Czy w jej głowie działo się coś jeszcze?

- A tak naprawdę, to co u ciebie, Bree? Zamrugnęła oczami, jakby to pytanie ją zaskoczyło.

- Dobrze.

To ciekawe, nie wyglądała jakby czuła się dobrze. Ta jego zawsze odprężona Bree wydawała się bardzo spięta, niczym klacz osaczona przez ogiera.

- Co porabiasz, kiedy odpoczywasz od nauki?

Odłożyła na serwetkę na wpół zjedzoną kanapkę i wzruszyła ramionami.

- Podczas weekendu spędzam czas wśród koni, o ile nie zajmujemy się przedsiębiorstwem.

Zmarszczył brwi.

- A co z przyjaciółmi? - zawahał się na chwilę, zanim przez gardło przeszły mu kolejne słowa: - lub adoratorami?

Uciekła spojrzeniem.

- Nie ma żadnych adoratorów, choć jestem przekonana, że tata już ma na to lekarstwo... Często widuję się z Rebeccą Nolan... Także kościół zajmuje mi trochę czasu...

W jej głosie wybrzmiewała tęsknota, która współgrała ze smutkiem czającym się w jej wielkich oczach.

- Dlaczego zatem wydajesz się nieszczęśliwa? To przez ojca? Nie odpowiedziała, jedynie bawiła się frędzlami koca.

- Bree, kiedyś mi się zwierzałaś i nadal możesz to czynić, wiesz o tym.

Kiedy wreszcie popatrzyła na niego, burzliwe uczucia sprawiły, że jej zielone oczy były niespokojne jak trawa falująca łagodnie wokół nich.

- Tata dba wyłącznie o pieniądze. Oczekuje, że gdy skończę szkołę, wyjdę dobrze za mąż i będzie mógł być ze mnie dumny. Ale ja nie chcę wychodzić za mąż. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

Gil powstrzymał ochotę, by wygładzić jej zmarszczone brwi. Zamiast tego zerwał źdźbło trawy i zaczął je skubać.

- A co chciałabyś robić?

Jej twarz natychmiast rozjaśniła się entuzjazmem.

- Chciałabym wyjechać do Nowego Jorku i studiować, tak jak ty. Dowiadywałam się na temat Barnard Hall, college'u dla kobiet przy Uniwersytecie Columbia. Wygląda to wspaniale.

Gil uśmiechnął się, choć na ustach miał cierpki smak lemoniady. Brianna chciała wyjechać właśnie wtedy, kiedy on wrócił. Choć, może to byłoby najlepsze rozwiązanie. Gdyby opuściła Irlandzkie Łąki, nie musiałby każdego dnia walczyć z pokusą przebywania blisko niej. Mógłby wypełnić swoje zadanie, a gdy nadejdzie czas, wyjechać bez żalu.

Westchnęła.

- Niestety, tata uważa, że edukacja kobiety to strata czasu i pieniędzy. Według niego jedyne, czego potrzebuje kobieta, to wyjść za męża i założyć rodzinę.

Gil oparł się na łokciu.

- Powinnaś słuchać głosu swojego serca, Bree. Nie poślubiaj kogoś tylko po to, aby przypodobać się ojcu. Niezależnie, jak bardzo chciałabyś otrzymać jego akceptację.

Opuściła głowę.

- Chciałabym móc nie dbać o to, co on myśli.

Gil nieomal roześmiał się na głos. Zabieganie o dobrą opinię Jamesa O'Learyego wydawało się wspólnym losem wszystkich mieszkańców Irlandzkich Łąk - łącznie z nim samym.

Przez chwilę przyglądała mu się uważniej, jakby chciała powiedzieć coś ważnego. Jednak, zamiast tego odwróciła wzrok i strzepnęła okruszki ze spódnicy.

- Dość już moich problemów. A jakie są twoje plany, skoro wróciłeś tutaj?

Przez jakiś czas zastanawiał się, czy zwierzyć się jej z problemu z Aurorą Hastings, ale stwierdził, że musi to jeszcze przemyśleć. Powinien podjąć tę decyzję samodzielnie.

- Zapewne przejmę kwestie księgowości w firmie twojego ojca. Przynajmniej na jakiś czas. Wciąż mam nadzieję, że będę mógł

pracować z końmi, tak jak przed wyjazdem.

- Na pewno będziesz mógł. Przecież byłbyś bardzo nieszczęśliwy, gdybyś całymi dniami siedział przykuty do biurka.

Zaskoczyła go jej pewność, tak samo jak to, że od razu odgadła jego niechęć do pracy biurowej. Zgodził się studiować przedsiębiorczość tylko po to, by otrzymać solidny fundament pod przyszłą własną działalność w zakresie hodowli koni. To tutaj nauczył się, że aby biznes rozkwitał nie wystarczy wrodzona umiejętność radzenia sobie ze zwierzętami.

- Chyba nie planujesz zostać tu na zawsze, nieprawdaż? - Bree rzuciła mu długie spojrzenie spod swoich złotych rzęs. Nie do końca potrafił określić, co w nim dostrzegł. Nadzieję, strach, tęsknotę?

Potrząsnął głową.

- Nie. Nadal chciałbym mieć swoją posiadłość i stworzyć własną farmę. Może gdzieś na północy. Na tyle daleko, żeby nie stanowić konkurencji dla twojego ojca.

Milczała przez jakiś czas, błędząc wzrokiem ponad jeziorem. Nie licząc delikatnych zmarszczek na wodzie, panował tam całkowity bezruch. Wreszcie zwróciła się w stronę Gila i patrząc smutnymi oczyma, wyszeptwała:

- Mama nie będzie zadowolona, jeśli wyjedziesz tak daleko. Jego serce głucho waliło w piersi.

- A ty, Bree, co o tym myślisz?

Spuściła wzrok na koc, a jej policzki spowił rumieniec. Nie odpowiadała. Pomiędzy nimi zapadła pełna napięcia cisza.

W końcu podniosła głowę, by ponownie zawiesić wzrok na wodzie. Jej usta drżały.

- Pamiętasz to lato, kiedy nadepnąłeś na gniazdo os? Nigdy nie widziałam, aby ktoś biegł równie szybko. Wskoczyłeś do wody tak, jakby goniło cię stado wilków. - Jej delikatny śmiech unosił się w powietrzu.

Roześmiał się.

- Trzeba było dobrych paru dni, aby zesza opuchlizna po tych wszystkich uzadleniach. Mialem szczescie, ze byla przy mnie sliczna pielęgniarka dogladajaca moich ran.

Lekko zmarszczyła nos.

- Me byla sliczna. Raczej nieatrakcyjna i niezgrabna.

Z irytacja wyciagnal sie na kocu. Polozyl swoja dlon na jej dloni.

- Nigdy nie byla sliczna, Bree. Nie dla mnie. A teraz wyroslas na piekna kobiete.

Oczy Brianny zrobily sie jeszcze wieksze, a usta rozchylily sie. Swiatlo sloneczne tanczylo w jej wlosach, rozswietlajac je zlolistymi odbiaskami. Zolte plamki na jej teczowkach uwodzily go, a pragnienie, by ja pocalowac, palilo jak slonce grzejace jego glowe.

To byla jednak granica, ktorej nie chial przekraczac. Nigdy. Poniewaz wiedzial, ze kiedy to zrobi, nie bedzie juz powrotu.

Wykrzesal z siebie resztkę silnej woli, odsunal sie od dziewczyny i wstal szybko.

- Chodźmy, Bree. Powinniśmy wracać. Konie czekają.

3.

Brianna wyszła z kościoła Świętej Rity po zakończonym nabożeństwie, wdzięczna za lekki wiatr szeleszczący jej spódnicą. Zatrzymała się na chwilę na najwyższym stopniu i objęła wzrokiem ludzi oczekujących, by przywitać się z wielebny Filmorem. Niczym magnes, jej wzrok przyciągnął Gil stojący w cieniu wysokiego klonu, otoczony stadkiem roześmianych i zabiegających o jego uwagę dziewcząt. Bree mocniej ścisnęła modlitewnik. Oczywiście, Gil Whelan jako przystojny, świeżo upieczony absolwent college'u był teraz najlepszą partią w miasteczku, albo przynajmniej powiewem nowości na jakiś czas.

Z wystudiowaną swobodą Brianna zeszła po drewnianych schodach. Dobre wychowanie kazało jej uścisnąć dłoń księdza Filmorea i podziękować mu za natchnione słowa, a później dołączyć do rodziców na cmentarzu. Co roku, w rocznicę śmierci jej młodszego brata, cała rodzina odwiedzała jego grób, by wspólnie się pomodlić i wspominać ukochanego Dannyego.

- Mam nadzieję, że dobrze przeżyłaś nabożeństwo, moja droga. - Ksiądz Filmore mrugnął do niej. - Pewnie też jesteś zadowolona, że Gilbert wrócił do domu.

Rumieniec oblał jej policzki.

- Wszyscy jesteśmy. Zwłaszcza tata.

Wielebny Filmore kiwnął głową w kierunku Gila i roześmiał się serdecznie.

- Wygląda na to, że także te młode damy bardzo cieszą się z jego powrotu.

Brianna z wytrenowanym spokojem zwróciła ku niemu twarz, starając się, by nie pokazać po sobie niezadowolenia.

- Najwidoczniej tak. Przepraszam bardzo, muszę teraz odnaleźć rodziców.

- Miłego dnia, panno O'Leary. Do zobaczenia w następną sobotę na przyjęciu powitalnym Gila.

Skłoniła głowę, żywiąc nadzieję, że nie było po niej widać zaskoczenia.

- Do zobaczenia w sobotę.

Brianna myślała, że jej matka planowała skromną kolację wśród najbliższych przyjaciół i sąsiadów. Ta zapowiedź brzmiała raczej jak większe wydarzenie, co oznaczało obecność tych wszystkich głupiutkich pań uwieszonych wokół Gila. Brianna odepchnęła od siebie nieżyczliwe myśli i wśród grupy parafian stojących na trawniku odszukała wzrokiem matkę.

- Witaj, Brianno.

Obróciła się na dźwięk męskiego głosu tuż za nią, mimowolnie przykładając rękę do klatki piersiowej.

- Och, Henry, to ty. Nie widziałam cię.

Henry Sullivan, nienagannie ubrany w brązowy garnitur i melonik, ujął jej rękę w rękawiczce i uniósł do ust. Brianna skinęła kurtuazyjnie, ciesząc się w duchu, że rękawiczka ocaliła ją przed spotkaniem jej dłoni z łaskoczącymi wąsami Henry ego.

- Wyglądasz dziś nad wyraz pięknie - powiedział.

Wyjęła dłoń z jego uścisku tak szybko, na ile pozwalały dobre maniery.

- Dziękuję. Jak się miewa twoja rodzina?

Rodzina Sullivanów należała do ich najbliższych sąsiadów, odkąd tata osiedlił się w Irlandzkich Łąkach.

- Wszyscy mają się dobrze. Musisz być bardzo zadowolona. Słyszałem, że wrócił stary dobry Gil.

Brianna wyczuła napięcie w jego głosie.

- Wrócił. Rozumiem, że twoja rodzina także jest zaproszona na przyjęcie powitalne w sobotę.

- Wydaje mi się, że słyszałem, jak rodzice mówili coś o tym wydarzeniu. - Jego szare oczy zabłyśły. - Kto jak kto, ale ja się cieszę, że będę mógł cię odwiedzić. Może nawet zatańczymy razem.

Brianna zawahała się. Henry był na swój sposób dość atrakcyjny. Miał krótkie blond włosy i elegancko przycięte wąsy oraz baki. Choć nie rzucało się to w oczy, był uroczy. Brianna jednak czuła się przy nim skrępowana. Być może wynikało to z jego nasilonego zainteresowania jej osobą, co działało dziewczynie na nerwy. Niezależnie od prawdziwych pobudek, żadna odpowiedź nie mogła jej teraz przejść przez gardło.

Szelest za plecami ostrzegł ją, że ktoś się zbliża.

- Witaj, Henry - powiedział Gil. - Dawno się nie widzieliśmy. Gdyby nie znała go tak dobrze, pewnie nie zauważyłaby chłodu w jego głosie.

- Gil - Henry wyciągnął rękę - wyglądasz... nieźle.

- To pewnie powietrze na Long Island - rzucił Gil z wymuszonym uśmiechem, ściskając dłoń Henry ego.

Następnie uścisnął łokieć Brianny tak, aż przeszły ją ciarki.

- Brianno, jeśli jesteś gotowa, pozwól. Twoi rodzice idą już na cmentarz.

- Oczywiście. Miłego dnia, Henry.

- Będę czekał na nasz taniec - zawołał za nią.

Świadoma, że Gil przygląda się jej, Brianna starała się powstrzymać rumieniec wypływający na policzki. Gdy już odważyła się zerknąć na niego, zauważyła, że z rozbawieniem uniósł jedną brew.

- Myślałem, że nie masz adoratorów.

- Henry nie jest adoratorem - prychnęła i uwolniła ramię z jego uścisku.

- To ty czarujesz dziewczęta z całego hrabstwa. Widziałam, jak kręcą się wokół ciebie. - W chwili, gdy wypowiedziała te słowa, od

razu ich pożałowała. Śmiech Gila sprawił, że jej policzki oblały się rumieńcem, podczas szybkiego marszu w kierunku cmentarza.

Dlaczego miałyby przejmować się tym, że Gil flirtuje ze wszystkimi niezamężnymi dziewczętami w mieście? Łączyła ich przyjaźń, nic więcej. Zacisnęła zęby, starając się zapamiętać ten fakt do najbliższej soboty.

Stojąc na tyłach grupki stłoczonej wokół grobu jej brata, Colleen OTeary założyła ręce i nerwowo stuknęła stopą o trawnik, starając się powstrzymać zniecierpliwione westchnienia.

Na litość boską. Czy musimy odprawiać cały ten ckliwy rytuał co roku? Mama i Bree jak zawsze będą płakać, a tata ze wszystkich sił będzie starał się je pocieszyć. Connor i Deirdre, oboje zbyt młodzi, by pamiętać swojego brata, będą się wiercić, podczas gdy mama będzie odmawiać oklepane modlitwy.

To nie tak, że Colleen się nie smuciła, ale Danny odszedł sześć lat temu i nie potrafiła już nawet przypomnieć sobie jego twarzy.

Odwróciła głowę i zobaczyła, że Adam z niezadowoloną miną opiera się o wysoki nagrobek. On także nie był miłośnikiem tej dorocznej pielgrzymki na cmentarz. Nie mogła zrozumieć, po co znów okazywali cały ten żal.

Wśród monotonii modlitw Colleen spod rzęs przyglądała się Gilowi. Jego proporcjonalny profil stanowił miłą rozrywkę w oczekiwaniu na upragniony koniec nudy. Poczowała lekkie ukłucie zazdrości, gdy spostrzegła, jak blisko Brianny stanął. Jakby chciał ją chronić. Colleen zacisnęła usta. Dlaczego ta myszowata dziewczyna interesuje Gila, skoro mógłby korzystać z uroków jej sympatii? Zamiast zwykłej przyjaźni, Colleen mogła mu zaoferować upajanie się pocałunkami, którym jak dotąd nie mógł się oprzeć żaden mężczyzna.

Żaden oprócz Gilberta Whelana.

W zamyśleniu dotknęła palcem policzka, a w jej głowie zaczęła się rodzić nikczemna intryga. Jej obecny amant, Jared Nolan, nudził ją coraz bardziej i stawał się zbyt przewidywalny. Potrzebowała nowego wyzwania - ryzyka, żeby jej życie nie zmieniło się w nieznośną gnuśność. Może, gdy uda jej się uwieść Gila, osiągnie upragnioną odmianę. Fakt, że zirytuje to jej młodszą siostrę, był tylko dodatkową przyjemnością.

Modlitwy dobiegły końca i jeden po drugim, wszyscy członkowie rodziny O'Leary udali się przed wejście do kościoła, gdzie czekał na nich w powozie jeden ze stajennych. Colleen zdecydowanie bardziej wolała nowego Forda T jej ojca - „powóz bez koni”, ale samochód nie pomieściłby całej rodziny.

Usłyszała za sobą szuranie nogami na kościelnym chodniku.

- Miłego dnia, panno O'Leary. Mam nadzieję, że cię nie pominąłem.

Colleen jęknęła w duchu, ale opanowała grymas, uśmiechając się szeroko, kiedy odwróciła się, aby powitać Jareda.

- O, pan Nolan. Cóż za miłe spotkanie.

Kiedy Jared pochylił głowę nad jej wyciągniętą dłonią, Colleen nie mogła powstrzymać się, by nie porównać go z Gilem. Chociaż był całkiem przystojny, brązowe włosy Jareda i jego jasna karnacja były jakiegoś wyblakłe przy czarnej czuprynie Gila oraz jego olśniewająco niebieskim spojrzeniu.

Jared uśmiechnął się.

- Rozumiem, że jesteśmy zaproszeni do was w najbliższą sobotę.

- Ależ, oczywiście - odrzekła radośnie. - Będzie przyjęcie powitalne Gila.

Jared puścił do niej oko.

- Jak dla mnie, każdy powód, żeby się z tobą zobaczyć jest dobry. - Zniżył głos. - Może nawet uda nam się wykraść na chwilę razem.

Tętno Colleen skoczyło na widok jego tajemniczego spojrzenia. Może Jared nie był wcale tak nudny, jak jej się wydawało? Położyła rękę na jego ramieniu i roześmiała się dźwięcznie na swój ulubiony sposób, który zawsze przyciągał uwagę mężczyzn.

- Myślę, że uda się to zrobić. - Żonglowanie pomiędzy Jaredem i Gilem na jednym przyjęciu... Zapowiadał się wspaniały wieczór!

- Widzę, że nie może się pan obejść bez mojej córki, panie Nolan. - Głos taty zagrzmiał zza jej pleców.

Jared drgnął.

- Pan O'Leary.

Tata roześmiał się i klepnął go po ramieniu.

- Nie ma się czym denerwować, chłopcze. Miło was widzieć razem. Może już najwyższy czas, żebyśmy porozmawiali na osobności. - Mrugnął do Jareda, który od razu poczerwieniał.

- Oczywiście, sir.

- Dobrze. Zobaczymy się zatem w sobotę. Chodźmy, Colleen.

- Idę, tato. - Colleen starała się nie skrzywić, gdy zegnała się z Jaredem. Zastanawiała się, co miał na myśli ojciec, rzucając takie tajemnicze komentarze. Jeśli miałoby to mieć jakikolwiek związek z ogłoszeniem zaręczyn, będzie musiała zrobić co w jej mocy, żeby udaremnić tę rozmowę.

Z pewnością nie była jeszcze gotowa, aby związać się z jednym mężczyzną.

4.

Nigdy wcześniej Brianna tak chętnie nie wracała ze szkoły do domu, jak w poniedziałkowe popołudnie. Chciała odnaleźć Gila i namówić go na wspólną przejażdżkę. Od dawna nie brała Sophie na dalekie wędrowki, w stronę najbardziej odległych łąk, a taka wyprawa, zwłaszcza w towarzystwie Gila, wydawała się być najlepszym pomysłem na spędzenie popołudnia.

Kiedy przebrała się w spódnicę przerobioną na spodnie, skierowała swoje kroki do gabinetu ojca, gdzie spodziewała się zastać Gila przy pracy. Planowała nakłonić go, by opowiedział się po jej stronie w dyskusji z tatą. Biorąc pod uwagę jego studenckie doświadczenia, miała nadzieję, że uda mu się przekonać ojca, iż obecnie wiele inteligentnych kobiet decyduje się podjąć dalsze, wyższe kształcenie.

Jako że w gabinecie nikogo nie było, Brianna ruszyła na zewnątrz w stronę padoków. Dziecięcy pisk zachwytu zwrócił jej uwagę na odległą zagrodę. Dostrzegła, że Gil wozi Deirdre na grzbiecie Pirueta, jednego z kuców szetlandzkich, które ojciec kupił dla młodszych dzieci. Zauważywszy, jak Gil opiekuńczym gestem asekuje Dee-Dee od tyłu, Brianna podeszła bliżej ogrodzenia, żeby im się przyjrzeć. *Pewnego dnia będzie wspaniałym ojcem.* Ta myśl ścisnęła jej serce dziwną tęsknotą. Jakby to było, gdyby on mógł być ojcem jej dzieci?

Odsunęła te wyobrażenia w najdalszą część umysłu. Od ślubu i dzieci dzieliło ją jeszcze wiele lat. Któż wie, gdzie wtedy będzie Gil?

Po drugiej stronie Joe, jeden z trenerów, zajmował się Connorem dosiadającym Sadie, najłagodniejszą z klaczy. Chłopiec uśmiechał się szeroko, podskakując z radością.

- Bree! Popatrz, jeżdżę na Sadie. Roześmiała się.

- W sam raz dla ciebie, kochanie.

Deirdre odwróciła się w siodle, żeby pomachać do Bree i o mały włos nie spadła z grzbietu Pirueta. Gil natychmiast ją przytrzymał.

- Zasada numer jeden, młoda damo - powiedział z udawaną surowością. - Nigdy nie odrywaj uwagi od konia.

- Przepraszam.

Gil odwrócił się i uśmiechnął do Brianny.

- Możesz nam pomóc? Wydaje mi się, że ta kowbojka jest gotowa do jazdy kłusem.

- Oczywiście. - Brianna szybko prześliznęła się pomiędzy deskami ogrodzenia i dołączyła do nich, wcale nie przejmując się tym, że jej wycieczka z Sophie musi poczekać. Przebywanie w towarzystwie Gila było cenniejsze.

Gil podał jej lonżę.

- Ty prowadzisz Pirueta, ja Dee-Dee. Uśmiechnęła się.

- Mam nadzieję, że nadążysz.

Brianna ruszyła szybko i kucyk podjął krok, przebierając żwawo swoimi krępyimi nogami. Do czasu drugiego okrążenia poruszali się truchtem. Gil sprawiał wrażenie, jakby nie przeszkadzało mu szybkie tempo. Mocno podtrzymywał ramieniem nieustraszoną dziewczynkę, która raz po raz wydawała okrzyki zachwytu. W końcu, wśród zadyszki i śmiechu, Brianna zwolniła, zmuszając kuczka do marszu.

- Dobra robota, Dee-Dee - pochwaliła siostrę. - Jesteś prawdziwą kowbojką.

Część włosów Brianny wysunęło się z upięcia i teraz opadały

swobodnie wokół jej twarzy. Odgarnęła je wierzchem dłoni.

- Chcę jeszcze. - Deirdre niecierpliwie skręcała się w siodle.

- Myślę, że na dzisiaj wystarczy. - Gil uśmiechnął się, zdejmując ją z konia. - Czas umyć się przed kolacją.

- Będę czekać na Connora przy płocie.

- Dobrze. A ja zajmę się Piruetem.

Gil sięgnął po lonżę, którą trzymała Brianna. Jego palce musnęły jej dłoń i poczuła w skroniach przyspieszający puls.

- Miło z twojej strony, że to dla niej robisz - powiedziała. -Dee-Dee i Connor czują się wyróżnieni, gdy spędzasz z nimi czas.

Uśmiechnął się.

- To dla mnie żaden trud. Lubię ich towarzystwo.

Brianna pomyślała, że chciałaby, aby jej ojciec myślał tak samo. Connor szczególnie zważał na najdrobniejsze słowo taty, tęsknił za każdym skrawkiem jego uwagi. Dokładnie rozumiała, co czuł.

Gil uniósł jej podbródek.

- Hej, skąd ten smutek? Potrząsnęła głową.

- Cieszę się, że dzieci mają ciebie. Rzucił jej długie spojrzenie.

- Ty też zawsze będziesz mnie miała, Bree.

Nieznaczna chryпка w jego głosie przyprawiała ją o gęsią skórę. Odgarnął pasemko włosów z jej policzka, palcami muskając jej skórę. Brianna poczuła, jakby serce stawało jej w piersi pod wpływem intensywności jego spojrzenia. Nie śmiała nawet wziąć oddechu, aby nie zepsuć uroku tej chwili.

- Będziecie się całować? - Deirdre nagle zachichotała znad pastwiska.

Bree odskoczyła jak oparzona, czując, jak przetacza się przez nią wielka burza uczuć. Gil gwałtownie odwrócił głowę i schylił się, aby rozplątać wodze. Pomimo tego, że jego twarz zasłoniło rondo kapełusza, Brianna wyczuła, że przeżywa to samo poruszenie co ona.

Starając się jakoś wybrnąć z tej sytuacji, ruszyła dziarsko w kierunku młodszego rodzeństwa stojącego przy płocie.

- Jak tylko was złapię, koczkodany, to będę was łaskotać, aż padniecie!

Jak na komendę, oboje pisnęli i zeskoczyli z żerdzi.

Kiedy Brianna przeszła przez bramę, zerknęła przez ramię na Gila. Patrzył za nią tak, że aż zaparło jej dech w piersiach.

Czy gdyby dzieciaki im nie przeszkodziły, Gil zrezygnowałby z wewnętrznej kontroli i odważył się na pocałunek? Przeszedł ją dreszcz. Świadomość, że pewnie nigdy się tego nie dowie napełniała ją jednocześnie ulgą i rozczarowaniem.

Siedząc w jadalni, Colleen popijała drugą filiżankę kawy, delektując się ciszą środowego poranka. To był jej ulubiony czas w ciągu dnia, kiedy młodsze rodzeństwo poszło już do szkoły, ojciec wyjechał do miasta albo do stadniny, a ona wraz z matką planowały resztę dnia. Postukiwała paznokciem w porcelanową filiżankę, zastanawiając się, co też na dzisiaj przewidziała dla niej matka. Miała tylko nadzieję, że nie będą to ani robótki na drutach, ani szycie.

Może udałoby się przekonać mamę na wyjazd do miasta na jakieś zasłużone zakupy. Przecież obie mogłyby sobie sprawić nowe suknie na sobotnie przyjęcie dla Gila. Odczuła przyjemny dreszczyk emocji na myśl, że miałyby sama z matką spędzić cały dzień, co przecież zdarzało się tak rzadko. Przymierzałyby eleganckie suknie, oglądały piękne tkaniny, a może nawet zjadłyby lunch w jednej z restauracji na Piątej Alei.

Jak gdyby przywołana tymi rozważaniami, mama weszła do pokoju, w rękę trzymając jakąś kartkę.

- Dzień dobry, Colleen. Cieszę się, że udało mi się ciebie zastać. Potrzebuję twojej pomocy.

Colleen o mało nie jęknęła, kiedy jej nadzieje na udany dzień rozpierzchły się w jednej chwili.

- Pomocy? W czym?

Mama odsunęła krzesło od stołu i wygładziła suknię, zanim usiadła.

- Otrzymałam telegram od syna Beatrice, Rylana. Przyjeżdża dziś południowym pociągiem, a ja niestety nie będę mogła się z nim spotkać. Zobowiązałam się przewodniczyć na spotkaniu oddziałów pomocniczych kobiet.

Colleen odstawiła filiżankę z brzękiem.

- Z pewnością tata albo Adam będą mogli pojechać.

- Twój ojciec jest dzisiaj w mieście na spotkaniu z klientem, a Adam pojechał razem z nim, żeby poszukać pracy.

- A może Sam albo któryś ze stajennych? - Mimo usilnych starań by zachować spokój, głos Colleen stawał się coraz bardziej piskliwy. Co miałyby robić z księdzem przez całą drogę ze stacji do domu?

Mama sięgnęła po imbryk z kawą.

- Pytałam już, ale wszyscy są zajęci. Poza tym wolałabym, żeby to ktoś z rodziny O'Leary przywitał kuzyna Rylana jak należy. - Nalała kawy do filiżanki przed sobą.

- Ale mam! Przecież wiesz, że nienawidzę prowadzenia powozu. Konie mnie nie lubią. - Jej nadasana mina, która zawsze działała w przypadku taty, nic nie wskórała w starciu z mamą.

- Całkowicie ci ufam, moja droga. Sam właśnie zaprzęga dla ciebie konie, więc będą już czekały, gdy tylko będziesz gotowa jechać.

Colleen westchnęła.

- Jak mam poznać tego Rylana?

- Będzie miał koloratkę, oczywiście.

Godzinę później, ubrana w praktyczną, niebieską, bawełnianą sukienkę i słomkowy kapelusz, Colleen wyjeżdżała główną drogą w stronę miasteczka. Ze wzgardą spoglądała na ciągnące się wzdłuż

drogi rzędy drzew. Nigdy nie rozumiała, dlaczego tata wybrał ten wiejski zakątek na ich dom. Nawet rodzina Hastingsów miała na wyspie tylko letnią rezydencję, a swoją główną posiadłość w centrum Manhattanu. To było miejsce, w którym z przyjemnością by mieszkała. Emocje i tempo życia tego miasta przyciągały ją niczym syreni śpiew nawołujący marynarzy.

Już dawno postanowiła, że jej przyszły mąż będzie bogaty i wpływowy oraz że będzie kochał miasto tak samo jak ona. Uśmiechnęła się na myśl o wspaniałej służbie, którą będą zatrudniać. Marzyła zwłaszcza o kierowcy - żeby nie musiała już nigdy prowadzić żadnych pojazdów. Choć przejażdżka samochodem taty mogłaby być emocjonująca...

Jak gdyby obrażony jej przemyśleniami, powóz zatoczył się na bok i stanął. Jej nieuwaga spowodowała, że zjechała z drogi i ugrzęzła w miękkim poboczu. Mocniej zacięła konie lejcami. Zwierzęta spięły się w uprzęży, ale powóz tylko bardziej się przechylił, tak że Colleen zjechała z ławki. Wychyliła się, by zobaczyć, jak to wygląda z zewnątrz i dostrzegła, że jedno z tylnych kół zapadło się w ziemię rozmokłą po nocnym deszczu.

- O, święty Patryku! Teraz na pewno spóźnię się na pociąg!

Naburmuszona, uniosła suknię i zeskoczyła z powozu. Po dokładnym przyjrzeniu się sytuacji, jeszcze bardziej upadła na duchu. Nie wyglądało na to, że uda jej się samodzielnie wyciągnąć koło, które głęboko zapadło w błoto - nawet jeśli nakłoniłaby konie do współpracy. Musiała poczekać, aż ktoś będzie tędy przejeżdżał.

Podnosząc już i tak ubłocony rąbek sukni, weszła na drogę. Na pewno jakiś miły dżentelmen będzie tędy jechał i zaproponuje pomoc pięknej, młodej damie w potrzebie. Może na ratunek przyjdzie jej przyszły mąż i zakochają się w sobie do szaleństwa. Uśmiechnęła się na to wyobrażenie, całkowicie oddając się fantazjom o romantycznym spotkaniu.

Ale czas mijał i nikt się nie zjawiał. Stopy zaczęły ją boleć od

długiego stania. Jęknęła na myśl o tym, że miałyby przemierzyć daleką drogę do miasteczka na piechotę. Czy Bóg wysłuchałby jej modlitwy, gdyby poprosiła Go teraz o pomoc, mimo że do tej pory Go ignorowała? W tym momencie, gotowa była wypróbować każdą możliwość.

Panie, jeśli to nie jest za duży problem, proszę, ześlij najszybciej jak możesz kogoś, kto mi pomoże w tym trudnym położeniu.

Nieomal rozpląkała się na myśl, jak bardzo rozczarowana będzie jej matka. Liczyła, że Colleen zrobi dla niej przynajmniej tę jedną rzecz, a ona zawiodła. Po raz kolejny.

Gdy ból stóp sprawił, że nie była już w stanie wytrzymać na stojąco ani minuty dłużej, Colleen wyciągnęła wełniany koc z tylnej części pochylonego powozu i rozłożyła go na ziemi. Zdjęła kapelusz i położyła się na chwilę, aby odpocząć. Może jakiś przechodzień zobaczy powóz i pospieszy jej z pomocą. Zsunęła z nóg buty, zamknęła oczy i westchnęła, odczuwając ulgę w obolałych stopach. Południowe słońce mocno grzało jej głowę, ale chłodził ją jednocześnie delikatny wietrzyk. Wyobrażała sobie, że jest właśnie na miłosnej schadzce.

- Przepraszam, panienko. Czy jest pani ranna? - Męski głos z wyraźnym irlandzkim akcentem wybudził Colleen z drzemki.

Zerwała się i natychmiast usiadła, jednocześnie zdumiona i skrępowana widokiem przystojnego mężczyzny. Na jego twarzy wyraźnie malował się niepokój. Jego czekoladowo-brązowe oczy wpatrywały się w nią uważnie.

Palcami wygładziła upięty nisko na karku kok, upewniając się, że jej elegancki wygląd pozostał nienaruszony.

- Nie, nie jestem ranna. Jednakże mój powóz utknął. Nieznajomy wyciągnął rękę, aby pomóc jej wstać.

- Zechciałaby pani, żebym się temu przyjrzał? Rozpromieniła się swoim najbardziej czarującym uśmiechem.

- Będę panu niezmiernie wdzięczna. Dziękuję.

Gdy on okrążył powóz, aby ocenić sytuację, Colleen zerknęła na drogę, żeby sprawdzić, jakim środkiem transportu się tutaj dostał. Nie zauważyła jednak niczego, nawet konia, jedynie walizkę i marynarkę rzucone obok drogi.

- Obawiam się, że nie będę miał dla pani dobrych wiadomości.

- Wyszedł zza powozu, wycierając ręce. Ubrany był w białą lnianą koszulę i tweedową kamizelkę oraz czarne wełniane spodnie. Zaczął podwijać rękawy, a kąciki jego ust uniosły się w uśmiechu.

- Ale jeśli zechce mi pani pomóc, możemy spróbować. Zamrugła zdziwiona.

- Co dokładnie ma pan na myśli? Przesunął się parę kroków w jej stronę.

- Oczywiście, nie chcielibyśmy, aby tak urocza dama się ubrudziła, zatem ja przejmę tę mniej czystą część pracy. Jeśli pokieruje pani końmi, popchnę powóz od tyłu. - Zamilkł, czekając na jej odpowiedź, a wiatr rozwiewał ciemne loki wystające spod jego kapelusza.

Colleen poczuła przyspieszone bicie serca.

- Ale może się pan wybrudzić.

Roześmiał się całym sobą, ukazując przy tym równe, białe zęby.

- Trochę błota jeszcze nikogo nie zabiło.

- A zatem dobrze. Myślę, że możemy spróbować.

Poszedł za nią na przód powozu i podał rękę, by pomóc jej wejść. Wtedy dopiero przypomniała sobie, że jest w samych pończochach.

- Jeszcze chwileczkę, muszę założyć buty. - Skryła twarz, aby nie było widać, że jej policzki pokrył rumieniec.

Co się z nią działo? Przecież nigdy się nie rumieniła.

Potykając się z pośpiechu, usiadła ciężko na kocu i pochwyciła swoje buty. Wepchnęła jedną nogę, a następnie drugą, nie przejmując się sznurowaniem.

- Pani pozwoli. - Uklęknąwszy na kocu, mężczyzna pochylił

się, by zasznurować jej but.

Zupełnie zaskoczona, Colleen szybko sama zawiązała drugi. Ponownie podał jej rękę i pomógł wejść do powozu, tym razem jednak przytrzymując jej dłoń nieco dłużej, niż to było konieczne.

- A dokąd to pani zmierzała w ten piękny dzień? Zapatrzona w brązową głębię jego oczu, Colleen na śmierć zapomniała, dokąd tak naprawdę jechała.

- Do miasteczka - wydusiła z siebie.

- Zobaczmy więc, co da się zrobić, aby mogła pani kontynuować swoją podróż. - Podniósł koc i wrzucił go do powozu, a następnie pomógł jej usadowić się na pochylonym siedzisku. - Kiedy powiem „gotów”, proszę mocno zaciąć lejcami konie i krzyknąć „wio”!

Chwilę później zawołał:

- Gotów!

Smagneła konie lejcami i krzyknęła. Szarpnęły do przodu, powóz zakołysał się, ale z powrotem opadł w to samo miejsce. Mężczyzna zjawił się tuż obok niej.

- Pani pozwoli, ale chciałbym porozmawiać z końmi, zanim podejmiemy kolejną próbę.

Otworzyła usta ze zdziwienia.

- Porozmawiać z końmi?

- A tak. Gdy grzecznie je poproszę, z pewnością następnym razem postarają się bardziej. - Puścił do niej oko, zanim podszedł do zwierząt.

Colleen z zafascynowaniem patrzyła, jak rozmawiał z nimi w jakimś obcym języku, głaskając każdego po pysku. Następnie, odwrócił się, dotknął róna kapelusza, jakby chciał się pożegnać i oddalił się w kierunku powozu.

- Gotowe.

Jeszcze raz wykonała swoje zadanie, uderzając lejcami i wołając głośno na konie. Wóz zakołysał się, skrzypnął, a potem nagle

szarpnął do przodu i w górę, na drogę. Rozluźniła się i poczuła ulgę w spiętych do tej pory ramionach. Ściągnęła lejce, aby zatrzymać konie i odwróciła się, chcąc podziękować nieznanemu za pomoc.

Nie mogła go dostrzec, dlatego zeskoczyła z ławki i zaszła od tyłu powozu. Na widok brudnego mężczyzny, który klęczał podparty na rękach, ogarnęło ją przerażenie. Koła powozu obrzuciły go błotem.

- O, Boże! Bardzo mi przykro. - Nie zastanawiając się, skoczyła na pomoc. Podała mu rękę i pociągnęła. Zbyt późno jednak zorientowała się, że jej buty grzęzły w błocie i coraz głębiej zapadały się w brązowym mule, kiedy próbowała złapać równowagę. Zanim zdążyła cokolwiek zrobić, mężczyzna zachwiał się i ześliznął po pochyłości pobocza, pociągając ją ze sobą w miękkie błoto.

Colleen wrzasnęła, gdy poczuła, że wilgoć przenika jej bieliznę.

To by było na tyle, jeśli chodzi o rycerskość.

Rylan starał się nie roześmiać na widok tego, co się stało. Uderzająco piękna, rudowłosa kobieta siedziała w błocie, a strużki brudu spływały po jej wścieklej twarzy. Westchnął z żalem nad swoim przemoczonym ubraniem. Nie takie wrażenie chciał wywrzeć podczas spotkania z dalekimi krewnymi, którzy byli na tyle mili, że zgodzili się go przyjąć pod swój dach. Tak naprawdę, cały ten dzień nie układał się, jak trzeba.

Mimo obietnicy, nikt nie przyjechał po niego na stację kolejową i musiał iść na piechotę. Okazało się, że była to spora odległość. Potem natknął się na tę młodą damę śpiącą z boku drogi obok dziwnie przechylonego powozu i nie mógł jej zostawić bez pomocy.

Wstał z ziemi, krzywiąc się na widok swojego brudnego ubioru. *Bóg ma dziwne poczucie humoru.* Kiedy tylko złapał równowagę,

podał rękę damie.

- Nie, dziękuję. Poradzę sobie sama. - Spiorunowała go spojrzeniem, starając się samodzielnie podnieść, co zakończyło się kolejnym ześlizgnięciem w grzęzawisko.

- Proszę pozwolić, czuję się okropnie. - Przygryzł wargę, by powstrzymać śmiech na widok jej komicznych prób podniesienia się.

- Rzeczywiście *powinien* pan czuć się okropnie. To wszystko pańska wina. - Bezradnie wymachiwała rękami, ciskając błotem na wszystkie strony.

Gdy doczołgał się bliżej niej, nie umiał już powstrzymać śmiechu.

W jej oczach zapłonęły niebieskie błyskawice.

- Radzę panu, sir, nie śmiać się ze mnie.

- Śmieję się z całej tej niedorzecznej sytuacji. - Pomimo jej sprzeciwu, podtrzymał ją za łokcie i podniósł z błota. - Nigdy nie spodziewałem się, że spędzę popołudnie, taplając się w błocie z piękną damą.

Rzuciła mu gniewne spojrzenie i wyszarpnęła się z jego uścisku, po czym znów straciła równowagę. Rylan zdążył ją złapać, zanim się powtórnie przewróciła. Wylądowała na nim i poczuła jak jej serce w szaleńczym rytmie trzepocze o jego pierś. Jego rozbawienie przygasło, gdy jego wzrok natrafił na jej oczy w kolorze wiosennego bzu. Jej delikatna skóra i pełne usta tak zaskoczyły Rylana, że poczuł, jakby przez żyły przepływał mu prąd. Nie pamiętał, kiedy po raz ostatni trzymał w ramionach kobietę. A na pewno nigdy nie trzymał kobiety tak olśniewająco pięknej, żeby aż zapierała mu dech w piersiach.

Dziewczyna zdawała się przez moment tak samo oszołomiona, jak on. Wykorzystując jej wahanie, podniósł ją szybko i przeniósł w suche miejsce, skąd zdołał wejść po pochyłości na drogę. Kiedy już znajdowali się obok powozu, delikatnie postawił ją na nogach.

- Tworzymy niezłą parę. - Wyjął chusteczkę z kieszeni spodni i starał się zetrzeć błoto z jej policzków.

- Proszę mi to dać. - Wyszarpnęła materiał z jego ręki i poczęła przecierać policzki, jeszcze bardziej rozcierając brud.

- Nie sądzę, by chciała pani jechać do miasteczka bez uprzedniej kąpieli. - Starął się obrócić wszystko w żart, rozchmurzyć jej zmartwioną twarz, ale ku jego przerażeniu, z niezwykle, błękitnych oczu trysnęły łzy.

- Miałam odebrać kogoś ze stacji. Moja mama zapewne się na mnie wścieknie.

Rylan przestał wycierać brud ze spodni.

- Czy pani nie jest przypadkiem z rodziny O'Leary?

Jej palce nagle zastygły w bezruchu, a oczy otworzyły się jeszcze szerzej.

- Tak. Jestem Colleen O'Leary. Skąd pan wiedział? Potrząsnął głową i powstrzymał szeroki uśmiech. Bóg musiał mieć dzisiaj z niego niezły ubaw.

- Jestem Rylan Montgomery. Miło panią poznać, Colleen. Cofnęła się o krok, jej dłoń zacisnęła się na kołnierzu sukni, kiedy przyglądała mu się od stóp do głów.

- Pan... pan nie może być Rylanem Montgomery. Pan nie jest księdzem.

Roześmiał się po raz kolejny.

- Jeszcze nie, ale pewnego dnia będę, o ile Bóg da.

- Och! - Chusteczka pofrunęła ponad drogą. Przejęło go przygnębienie malujące się na jej twarzy.

- Już dobrze. Nic się nie stało. Przecież znalazła mnie pani i poza tym, że jesteśmy ciut ubłoceni, nic nam się nie stało.

Westchnęła w poczuciu porażki, a on nagle zapragnął, żeby znów odżyło jej waleczne usposobienie, którego doświadczył wcześniej.

- Zawróćmy konie. Z pewnością uda nam się doprowadzić do ładu, zanim pani matka dowie się, co się wydarzyło.

Błysk nadziei w oczach zgrał się z cieniem uśmiechu na jej wargach.

- Może rzeczywiście. Mama jest na spotkaniu dziś po południu.

- Doskonale. Nie będzie o niczym wiedziała.

Colleen pochyliła się, żeby podnieść mały słomkowy kapelusz z trawy, a następnie ceremonialnie nałożyła go na ubłocone włosy. Z trudem skrywając rozbawienie, podprowadził ją na ławkę powozu, a następnie sam wskoczył na miejsce.

Siedziała z gracją niczym błotna królowa na swoim tronie.

- Czy wyświadczy mi pan przysługę, panie Montgomery?

- A nie lepiej byłoby, gdyby mówiła mi pani po prostu Rylan? Po tym wszystkim, co przeszliśmy, „panie Montgomery” brzmi zbyt oficjalnie.

Uniosła podbródek.

- Dobrze, Rylanie. Czy zechciałbyś poprowadzić powóz z powrotem? Mam już dość koni jak na jeden dzień.

5.

Gil usiadł wygodnie przy stole w jadalni i obserwował nowego gościa w domu O'Learych. Rylan Montgomery był najmniej przypominającą księdza osobą, jaką kiedykolwiek widział. Mężczyzna wydawał się być aż nadto swobodny i wyjątkowo czarujący. Jego smagła uroda i charakterystyczny irlandzki akcent przyciągały uwagę każdego z biesiadników.

- A zatem, Rylanie, czym dokładnie będziesz się trudnił przy kościele Świętej Rity? - Pani O'Leary posłała mu uśmiech ponad stołem.

- Przede wszystkim będę się uczył życia na parafii. A także pomagał w sierocińcu przez kilka dni w tygodniu. Więcej szczegółów dowiem się jutro, podczas spotkania z księdzem Filmorem. - Odsunął na bok talerz i poklepał się po brzuchu.

- A dlaczego nie mogłeś zatrzymać się na plebanii? - Colleen wydawała się wściekła, choć Gil nie potrafił pojąć dlaczego.

Rylan jedynie zaśmiał się krótko z niegrzecznego i pełnego gniewu spojrzenia, jakie mu posłała.

- Na plebanii trwa właśnie remont. Wielebny ksiądz Filmore mieszka u swojej siostry do czasu zakończenia prac. - Zwrócił się do pani O'Leary: - Dlatego też z radością przyjąłem wiadomość, że moja matka ma daleką kuzynkę tutaj, na Long Island.

- Bardzo się cieszymy, że możemy cię gościć. - Pani O'Leary podała talerz z ciasteczkami na drugą stronę stołu. - Nie wspominałeś jednak nic o tym, jak Colleen udało się ciebie odnaleźć na dworcu dziś po południu. Mam nadzieję, że wszystko poszło gładko.

- Gładko jak po błocie, pani O'Leary.

Colleen zakrztusiła się herbatą, a następnie szybko przytknęła serwetkę do ust. Gil z zainteresowaniem dostrzegł rumieniec na jej policzkach. Coś wytrąciło ją z równowagi, a to nie zdarzało się często.

- Przepraszam, że to powiem - wtrącił Gil - ale nie wyglądasz na Irlandczyka.

Rylan uśmiechnął się dziarsko.

- To przez włoskie korzenie. Moja babcia od strony taty była Włoszką. Stąd brązowe oczy i ciemna karnacja. Dołeczki w policzkach są jednak całkowicie irlandzkie.

Deirdre i Brianna roześmiały się na widok teatralnego wyrazu jego twarzy, podczas gdy z drugiej strony stołu Colleen wyraźnie się skrzywiła.

Być może wizyta Rylana Montgomery ego wcale nie była takim złym pomysłem. Szczególnie, jeśli ten przyszły ksiądz zajmie najstarszą siostrę O'Leary na najbliższy czas...

Colleen nerwowo stuknęła nogą w kwiecisty dywan w salonie. Jeśli usłyszy kolejną historię Rylana Montgomery ego na temat dorastania w Irlandii, zacznie krzyczeć. Był najbardziej irytującym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkała. A największym jego przestępstwem był fakt, że chodził normalnie ubrany i ujmował wszystkich swoim marzycielskim spojrzeniem i dołeczka-mi w policzkach. Powinien był chodzić w stroju duchownego, tak żeby żadna niczego niepodejrzewająca dziewczyna nie mogła nic sobie pomyśleć...

Wyprostowała się na wyściełanym krześle. Biało-złocisty zegar stojący na kominku wybił dziewiątą. Skoczyła na równe nogi, wygładziła jedwabną, liliową suknię i udała, że ziewa.

- Jeśli nie macie nic przeciwko, udam się na odpoczynek wcześniej. Jestem dziś wyjątkowo zmęczona. - Podeszła, by ucałować matkę, starając się ignorować patrzącego na nią Rylana.

Mama poklepała ją po ramieniu.

- Jazda powozem do miasteczka musiała cię zmęczyć. Po całym pokoju rozległ się śmiech Rylana.

- Bardziej, niżby sobie to pani mogła wyobrazić, pani O'Leary. Colleen potknęła się, gdy jej stopa zaczepiła o rąbek sukni. Cudem udało jej się odzyskać równowagę.

Ojciec spojrzał na niego z marsową miną.

- Co miał pan na myśli, młody człowieku? - Wbił w Colleen miażdżące spojrzenie. - Mam nadzieję, że nic się nie stało z powozem.

Colleen zacisnęła zęby i ucałowała ojca w policzek.

- Nic takiego, tato - zełgała bez mrugnięcia okiem. - Po prostu konie były nieco niespokojne. Kuzyn Rylan prowadził w drodze powrotnej i wszystko było dobrze.

Odwróciła wzrok od tej części pokoju, w której siedział Rylan, pewna, że drwi z niej z tym swoim charakterystycznym uśmiechem.

Matka wstała z krzesła.

- Chciałabym, abyś jutro pomogła mi zebrać rzeczy, które przekazemy do sierocińca za pośrednictwem Rylana. Może mogłabyś też odprowadzić go do kościoła, jeśli zdążymy ze wszystkim na czas.

Starając się ze wszystkich sił zachować samokontrolę, Colleen uśmiechnęła się słodko do matki.

- Oczywiście, mamó.

Życzyła zebranych dobrej nocy i udała się na górę, w skrytości serca postanawiając zaraz po przebudzeniu zapaść na swoją słynną migrenę.

Następnego dnia rano Rylan, pogwizdując, schodził głównymi schodami. Kuzynka Kathleen, jak sama kazała się nazywać, całkiem nieźle się urządziła. Omiótł wzrokiem marmurowe wykończenie wejścia i kryształowy żyrandol zawieszony ponad bogato zdobionymi balustradami. Jego rodzinna, kryta strzechą chatka w hrabstwie Cork w niczym nie przypominała tej rezydencji.

Na dole schodów Rylan zatrzymał się, by zerknąć w lustro w złotej oprawie i upewnić się, że jego koloratka nie była przekrzywiona. Był przekonany, że jako stażysta wielebnego Filmorea, powinien ją założyć ze względu na pierwszy dzień praktyk. Szczerze mówiąc, ciągle miał trudności z przyzwyczajeniem się do niej, a także ponurej czarnej koszuli i spodni, które składały się na jego oficjalny ubiór. Miał nadzieję, że jednak w końcu kiedyś przywyknie. Najważniejsze były łyzy dumy jego najdroższej matki, które ujrzał, gdy po raz pierwszy zobaczyła go w sutannie. Jej radość sprawiała, że łatwiej było znieść niewygodę kapłańskiego stroju.

- Dzień dobry, Rylanie. - Kathleen pojawiła się od strony jadalni. - Mam nadzieję, że zjesz śniadanie, zanim wyjdiesz.

Uśmiechnął się do tej pięknej kobiety wyglądającej tak świeżo w białej bluzce i różanej spódnicy, z kasztanowymi włosami zebranymi wokół głowy.

- Oczywiście. Jestem zagorzałym zwolennikiem teorii, że aby dobrze zacząć dzień, należy zjeść porządne śniadanie.

Kathleen roześmiała się.

- Doskonale. Wejdz, proszę, i korzystaj. Ja właśnie idę pozbierać rzeczy, które obiecałam dać ci do sierocińca. - Spojrzała na mały zegarek przypięty do bluzki.

- Zatem zgłoszę się do ciebie, zanim wyjdę. - Zawahał się przez chwilę. - Czy ktoś dotrzyma mi towarzystwa przy śniadaniu?

- Obawiam się, że nie. Brianna i dzieci poszli już do szkoły. James i Adam wyjechali w interesach, a Gil pracuje już w gabinecie. - Jej oczy zwęziły się, kiedy popatrzyła w górę schodów.

- Tylko Colleen jeszcze się nie pokazała, ale to się niezwłocznie zmieni.

Jego usta drgnęły.

- Czy zawsze śpi tak długo?

- Tylko wtedy, kiedy stara się uniknąć pracy. Ale proszę się nie martwić, będzie gotowa na czas.

Nie starał się nawet ukryć rozbawienia.

- Ależ, kuzynko Kathleen, naprawdę sam trafię do kościoła.

- A dlaczego sam? Ta dziewczyna potrzebuje czegoś, co wypełni jej czas i powstrzyma ją przed knuciem spisków przeciw niczego nieświadomym reprezentantom płci męskiej. Dzięki Bogu, z tobą jest bezpieczna.

Kiedy Kathleen kroczyła w górę schodów, Rylan zastanawiał się, czy *on* jest bezpieczny z Colleen.

Pół godziny później, po sycącym śniadaniu, Rylan wziął pierwsze z pudeł pełnych ubrań, które Kathleen zostawiła w holu i wyszedł w stronę powozu. Gdy przeniósł ostatnie pudło i otrzepał dłonie z kurzu, zobaczył, że Kathleen idzie przez trawnik, zaciskając dłoń na ramieniu Colleen.

- Och, jak to dobrze, że jeszcze jesteś. Tu jest Colleen.

Dziewczyna wyrwała się z uścisku i założyła ręce, stając naprzeciw matki. Jej intensywnie rude włosy były związane z tyłu wstążką dobraną pod kolor sukni.

- Zostaję tylko tyle, ile potrzeba na przekazanie tych pudeł księdzu Filmorebwi. - Posłała Rylanowi piorunujące spojrzenie.

- Będziesz musiał sam odnaleźć drogę powrotną. - Minęła go z podniesioną brodą, ignorując jego chęć pomocy przy wejściu do powozu.

Kathleen przybrała gniewny wyraz twarzy i zagrzmiała:

- Colleen Elizabeth O'Leary, będziesz okazywać naszemu kuzynowi Rylanowi należny mu szacunek! Nie wychowywałam moich dzieci na nieuprzejmych gburów! Za karę pojedziesz drugi

raz, żeby odebrać Rylana przed kolacją!

Matka i córka zmierzyły się wzrokiem, ale miażdżące spojrzenie Kathleen wygrało. Colleen spuściła oczy.

- Dobrze, mammo.

Rylan przygryzał wewnątrz policzków, żeby się nie roześmiać. Chciał powiedzieć, że może wracać na piechotę, ale nie śmiał wtrącać się w starcie tych dwóch sił. Zamiast tego, życzył kuzynce dobrego dnia, wskoczył na siedzisko i skierował konie w dół drogi. Przez jakiś czas ani on, ani Colleen nie odzywali się do siebie. Tylko kiedy zaszła taka potrzeba, Rylan pytał o wskazówki. W końcu, świadomy gniewu tłącego się w dziewczynie, doszedł do wniosku, że lepiej załagodzić sytuację, skoro mają żyć pod jednym dachem.

- Nie wiem, czym zasłużyłem na taką nienawiść, ale proszę przyjąć moje najszczerze przeprosiny za wszelkie zniewagi, które mogłem poczynić. - Spojrzał z ukosa, aby ocenić jej reakcję.

Siedząc wyprostowana sztywno jak deska, wytrwale wpatrywała się przed siebie.

- Cóż takiego zrobiłem, że nie możesz mi tego wybaczyć? - zapytał miękkim głosem.

Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Po prostu nadepnąłeś mi na odcisk.

- Rozumiem.

Gwałtownie zwróciła się ku niemu z morderczym spojrzeniem.

- Najpierw wciągnąłeś mnie w błoto i zniszczyłeś moją suknię. Potem naśmiewałeś się ze mnie z tego powodu. A teraz muszę tracić swój czas, towarzysząc ci - na dodatek - akurat do kościoła.

Rylan kontrolował się, by jego wargi nie drgnęły. Starał się utrzymać spojrzenie na wodzy, uporczywie wpatrując się w drogę i pozwalając, by jej złość po nim spłynęła.

- Przynajmniej trzy razy przepraszałem za błoto. Jeśli dokładnie sobie przypomnisz, starałem się tylko być dżentelmenem i pomóc ci z powozem.

Colleen przesunęła się na siedzisku, całą uwagę koncentrując na układaniu sukni wokół kolan.

- Tak, ale trochę za bardzo spodobała ci się ta sytuacja. Wybuchnął śmiechem, którego nie mógł już dłużej powstrzymać.

- Obawiam się, że zwykle najbardziej dostrzegam właśnie te humorystyczne aspekty różnych wydarzeń. To taka wada, która stoi w sprzeczności z moim powołaniem kapłańskim, ponieważ księża zwykle są bardzo poważni.

Zerknął na nią, wciąż chichocząc.

- Musisz przyznać, że na pewno wyglądaliśmy wyjątkowo głupio, taplając się w błocie w ten sposób.

Jej usta drgnęły, zanim zdążyła je poskromić i zacisnąć w wąską linię.

- Domyślam się, że pewnie tak było.

- Jeśli chodzi o twoją matkę, porozmawiam z nią dziś wieczorem i powiem, że dam sobie radę bez twojej osobistej eskorty.

- Byłabym... wdzięczna. Dziękuję.

- Czy zatem możemy zostać przyjaciółmi?

Mocniej chwyciła się boku powozu, kiedy podskoczyli na wyboju drogi.

- Myślę, że tak - ustąpiła nieznacznie, ale Rylanowi to wystarczyło.- Dobrze. Czy w takim razie może zechciałabyś mi opowiedzieć coś więcej o swojej rodzinie? Kim tak naprawdę jest Gilbert Whelan?

Colleen potrzebowała chwili, żeby poskromić emocje i zdecydować, jak powinna się zachowywać wobec Rylana. Nie umiała nadal się na niego złościć, jednak wydawało się jej, że lepiej będzie zachować emocjonalny dystans. Czowała, że gdyby mógł, wydobyłby z niej wszystkie tajemnice. Rozmowa o rodzinie wydawała się jednak bezpiecznym tematem.

- Po śmierci ojca Gila jego matka pracowała dla nas jako gospodyni. Kiedy zachorowała, poprosiła mamę, żeby zaopiekowała się jej synem, jeśli ona nie przeżyje. Nie mieli tu krewnych i nie chciała, żeby musiał sam wracać do Irlandii.

Rylan gwizdnął nisko, przeprowadzając konie przez obniżenie w drodze, i powiedział:

- Biedny, a więc jest sierotą.

- Tak naprawdę to nie. Teraz my jesteśmy jego rodziną. Jedna z jego ciemnych brwi uniosła się.

- Więc jest dla ciebie jak brat?

Colleen posłała mu zuchwały uśmiech, który sprawiał, że większość mężczyzn miękła.

- Och, nie, jest na to zbyt przystojny.

Rylan otworzył usta, aby ripostować, ale powstrzymał się. Po paru sekundach zmienił temat:

- A czym zajmuje się Adam?

- Niedawno podjął nową pracę w mieście.

Zawiał silny wiatr i Colleen pochwyciła swój kapelusz, żeby go nie zgubić.

- Więc nie pracuje dla twojego ojca?

- Nie. On i tata nie zgadzają się ze sobą w większości kwestii.

- A Brianna? Wydaje się taka cicha... chyba zadawała ją przyglądanie się temu, co dzieje się wokół niej.

Colleen uniosła brew.

- Jesteś dobrym obserwatorem. Uśmiechnął się.

- To zaleta mojego zawodu. - Uderzył lejcami, aby utrzymać tempo. - Zauważyłem znaczną różnicę wieku pomiędzy Brianną a waszym młodszym rodzeństwem.

Cierpienie ścisnęło serce Colleen, zanim znów podniosła głowę.

- Mieliśmy jeszcze braciszka, Dannyego, ale utonął parę lat temu.

- Tak mi przykro. To musiało być bardzo trudne dla waszej rodziny.
- Zwłaszcza dla mamy. Od tamtego czasu już nigdy nie była sobą.
- Zatem Gil pracuje dla twojego ojca, Brianna prawie ukończyła szkołę... Co będzie dalej robić?

Colleen odczuła w karku ukłucie rozdrażnienia.

- Zadajesz za dużo pytań.
- To najlepszy sposób, aby poznać odpowiedzi.
- Teraz chyba moja kolej.

Obdarzył ją szerokim uśmiechem, aż na jego policzkach pojawiły się dołeczki. Musiała się bardzo skupić, żeby nie pokazać po sobie, jak bardzo ją poruszyły.

- Pytaj śmiało - odrzekł. - Moje życie jest otwartą księgą.
- Pochodzisz z dużej rodziny?
- Dość dużej, choć w Irlandii to jedna ze średnich. Mam trzech braci i młodszą siostrę. Mój ojciec zmarł w wypadku w kopalni wiele lat temu, więc bracia opiekują się matką i Maggie.

- Przykro mi. To musi być straszne stracić jednego z rodziców.

- Oj, tak. Mój ojciec był surowy, ale bardzo kochał mamę...

- Podobnie jak mój.

Popatrzyła z ukosa, podziwiając jego profil - pełne usta i mocno zarysowaną szczękę. Pomimo wszelkich jej wysiłków, aby zachować dystans, Rylan wzbudzał w niej ogromne zainteresowanie. *Dlaczego taki ujmujący, przystojny mężczyzna rzucił wszystko i pragnął skryć się w kościele?*

- Co sprawiło, że chciałeś zostać księdzem? - zapytała, zanim zdążyła się powstrzymać.

Jego twarz złagodniała.

- Moja kochana mama. Zawsze miała nadzieję, że któryś z jej synów pójdzie tą drogą. Padło na mnie.

- I nie chcesz się ożenić i mieć rodziny?

- Nie taki plan miał dla mnie Bóg - odpowiedział cicho. Jego oczy zatrzymały się przez chwilę na jej spojrzeniu.

Przełknęła ślinę i odwróciła głowę, skupiając się ponownie na drodze przed nimi.

- Reszta twoich pytań musi poczekać. Dojechaliśmy do kościoła. Parę sekund później Rylan zatrzymał konie przed wejściem do budynku i zwinnie zeskoczył na pylistą drogę.

Zanim Colleen zdążyła się poruszyć, obszedł powóz i wyciągnął rękę, aby jej pomóc. Silne dłonie uchwyciły ją w talii i z łatwością postawiły na ziemi. Gdy popatrzyła na niego, na moment zapomniała, jak się oddycha.

- Powiedz mi jeszcze coś o wielebnym księdzu Filmore. Jaki jest? Mrugnęła, aby otrząsnąć się z zamyślenia.

- Jest całkiem w porządku, jak na księdza. Obdarzył ją czujnym spojrzeniem.

- Zabrzmiało tak, jakbyś niezbyt ceniła stan duchowny. Czy to stąd twoja awersja do mnie?

Choć gładko przeszło mu to przez gardło, jego twarz przeszły wyraz bólu.

- Nie żywię wobec ciebie awersji... - Przeszła obok niego. -...ale niezbyt cenię religię.

- Przykro mi to słyszeć, panno O'Leary. - Ksiądz Filmore wyszedł z kościoła.

Colleen powstrzymała nieprzystojące kobiecie słowa, które cisnęły jej się na usta i przybrała wymuszony uśmiech.

- Księżę Filmore, przyprowadziłam nowego pomocnika - kleryka Montomeryego. Matka Rylana jest naszą daleką kuzynką.

- Naprawdę? To wspaniale się składa, czyż nie? Witam, księżę kleryku. - Brzuchaty mężczyzna zszedł po schodach, aby podać rękę na powitanie.

- Cieszę się, że mogę księdza poznać. To dla mnie zaszczyt odbywać praktykę pod księdza okiem - odparł Rylan z uśmiechem,

po czym wskazał na powóz. - Pani O'Leary przysłała trochę używanych ubrań i innych rzeczy dla sierocińca. Gdzie powinienem ułożyć pudła?

- Mamy przechowalnię w piwnicy. Proszę pozwolić sobie pomóc.

Kiedy Rylan podniósł jeden z kartonów z powozu, mięśnie jego szerokich ramion napięły się pod ciemną koszulą. Colleen przygryzła wargę i zmusiła się, aby odwrócić wzrok. *Dlaczego nie mógł wyglądać bardziej jak ksiądz Filmore? Starszy, z przerzedzonymi włosami i brzuchem wylewającym się ze spodni.*

Podczas gdy mężczyźni przenosili pozostałe pudła na trawę, Colleen wspięła się na siedzisko, gotowa, aby odjechać, gdy tylko tył będzie pusty.

- Spodziewam się, że mama wyśle mnie później, aby cię odebrać - powiedziała Rylanowi, kiedy skończyli.

Przerwał, aby otrzeć chusteczką pot z czoła, po czym spojrzał na dziewczynę.

- Powiedz mamie, że mogę wrócić do domu na piechotę - odparł. - Trochę ćwiczeń dobrze mi zrobi, a tobie oszczędzi jazdy.

Pokiwała głową, wysoko podnosząc podbródek.

- Jesteś bardzo... wyrozumiały. Miłego dnia, panowie.

Lekko uderzyła lejcami, cmokając na konie i ruszyła, starając się zwalczyć pokusę, aby się obejrzeć i sprawdzić, czy Rylan na nią patrzy.

6.

Było sobotnie popołudnie. Brianna siedziała przy toalecie i nucąc pod nosem, przygotowywała się na przyjęcie powitalne Gila. Czowała, jak w jej brzuchu nerwy tańczą irlandzkiego stępa na samą myśl o tym, jaka będzie jego reakcja, gdy ujrzy ją tak wystrojoną. Zielona jedwabna suknia odsłaniała jej ramiona i szyję, loki ułożone miała w wymyślnym upięciu i tylko pojedyncze kosmyki były luźno puszczane wokół twarzy.

Czy zrobi na nim wrażenie? Czy on w ogóle ją zauważy? Przyłożyła dłoń do brzucha, aby poskromić roztańczone motyle. Od tamtego popołudnia w zagrodzie, coś zmieniło się w jej relacji z Gilem. Pewna świadomość pojawiła się po obu stronach i Brianna nie miała pojęcia, co z tym robić.

Gdyby była na tyle mądra, starałaby się ze wszystkich sił powstrzymać ten pociąg, gdyż nie mógł on prowadzić do niczego dobrego. Nawet jeśli Gil czuł to samo do niej, czy miała prawo do jego serca, by potem opuścić go w pogoni za wykształceniem? Czy w porządku byłoby spodziewać się, że na nią poczeka? Poza tym, miał dwadzieścia jeden lat i był gotowy rozpocząć własne życie. Wkrótce opuści Irlandzkie Łąki i pójdzie „na swoje”. Czy porzuciłaby marzenia, aby iść za nim?

Westchnąwszy głęboko, udzieliła samej sobie surowej reprimendy. Zakochanie się w Gilu mogło prowadzić tylko do cierpienia. Dziś będzie się cieszyć towarzystwem Gila, być może jednym albo dwoma tańcami, a jeśli nadarzy się okazja, porozmawia z nim i poprosi, żeby jej sprawę wziął w obronę przed ojcem.

Drgnęła, gdy Colleen przemknęła przez drzwi łączące ich sypialnie. Starsza siostra zatrzymała się i pochwyciła w lustrze odbicie Brianny.

- Ojej! Henry będzie zachwycony dziś wieczorem.

Brianna zamrugła oczami. Nie poświęciła Henryemu nawet najmniejszej myśli. Lepiej jednak, aby jej siostra myślała, że wyszykowała się tak dla niego, a nie dla Gila.

Colleen stroiła się przed lustrem, poprawiając gorset swojej cytrynowej, szyfonowej sukni, odsłaniającej znacznie więcej, niż akceptowałby ojciec. Jej kasztanowe loki opadały w idealnym ułożeniu na lewym ramieniu. Włosy zostały zebrane znad czoła, aby jej niezwykle fiołkowe oczy nabrały jeszcze silniejszego wyrazu.

- Ja czekam tego wieczora tylko na jedno - powiedziała, rzucając przebiegłe spojrzenie Briannie. - Zamierzam sprawić, by Gilbert zakochał się we mnie do szaleństwa.

Brianna znieruchomiała na swoim pluszowym taborecie, obracała tylko w palcach rączkę szczotki do włosów. Pomimo że jej serce biło gwałtownie, udało jej się zachować obojętny wyraz twarzy.

- Zapomniałaś już o Jaredzie? Nie sądzę, żeby ucieszył się z tego. Grymas niezadowolenia wykrzywił idealną twarz Colleen.

- Szczerze mówiąc, nie wydaje mi się, żebyśmy z Jaredem tworzyli dobraną parę. - Rzuciła Briannie radosne spojrzenie. - Jestem przekonana, że Gilbert lepiej by do mnie pasował.

Brianna zwalczyła chęć pozbawienia siostry tego uśmiechu. Spokojnie odłożyła szczotkę na zdobiony stolik przed sobą. Niezależnie, czy Colleen była tego świadoma, czy nie, właśnie wypowiedziała jej wojnę.

Przez większość swojego osiemnastoletniego życia, Brianna grała drugie skrzypce wobec piękna i pewności siebie siostry. Ale dość tego! Dziś wieczorem odrzuci nieśmiałą naturę i postawi na swoim - nim Colleen zniszczy Gilowi życie.

Gilbert poprawił spinki przy mankietach i zatrzymał się w głównym holu, aby dokonać ostatnich przygotowań. Sprawdził krawat w złożonym lustrze i przyklepał niesforny loczek, który wysuwał się nad jego czołem. Prezentował się wyśmienicie - jeśli chciałby tak nieskromnie siebie ocenić.

Z jadalni dobiegał przerywany śmiechem szmer rozmów jego rodziny i przyjaciół. Wiedząc, że czekali już tylko na honorowego gościa, wziął głęboki wdech. Nie znosił bycia w centrum zainteresowania, ale aby zadowolić OTearycfe, zgodził się na ten wieczór towarzyskiej nieskromności. Zwłaszcza jeśli to oznaczało, że będzie mógł później porwać Briannę do walca.

Zamaszyście wkroczył do jadalni, a wszystkie głowy zwróciły się w jego kierunku i rozległy się pogwizdywania i ciche brawa.

James podniósł się ze swojego miejsca u szczytu stołu.

- Gilbercie, mój chłopcze. Chcieliśmy już wysłać za tobą ekipę poszukiwawczą.

Goście wybuchnęli gromkim śmiechem.

- Chodź i siadaj, żebyśmy mogli zacząć jeść. - James klepnął ręką oparcie krzesła po swojej prawej stronie.

Z dalszej części stołu gniewnie patrzył na niego Adam. Gil powstrzymał westchnienie. Nie mógł zarzucić Adamowi, że jego zazdrość była niesłuszna. James nigdy nie starał się ukrywać, że go faworyzuje. Miał nadzieję, że wkrótce nadarzy się okazja, aby rozwiać obawy Adama, co do utraty należnego mu miejsca w rodzinie.

Przechodząc na drugi koniec pokoju, powitał państwa Nolanów i Sullivanów, dawnych przyjaciół rodziny. Poczul odprężenie w ramionach. Większość gości należała do jego znajomych. Nie było ani śladu bankiera i jego córki. To było jak wyrok ulaskawienia, przynajmniej na jakiś czas. Dzięki Bogu.

Zatrzymał się za wysuniętym dla niego krzesłem i uważnie przyglądając się każdej osobie, powiedział:

- Dziękuję wszystkim za przybycie. Brakowało mi was podczas mojej nieobecności i cieszę się, że mogę znów się z wami spotkać. - Kiedy jego wzrok spoczął na Briannie, o mało co nie opadła mu szczęka. Ubrana była w suknię z ciemnozielonego jedwabiu, a jej oczy lśniły niczym dwa szmaragdy. Włosy miała upięte do góry, poza dwoma długimi kosmykami delikatnie łaskoczącymi nagie ramiona. Jej skóra jaśniała jak kość słoniowa, podkreślając długą, smukłą szyję. Odkaslnął i odwrócił wzrok. - Dziś wieczorem świętujemy nie tylko mój powrót, ale także witamy naszego nowego gościa, kuzyna Rylana. Cieszymy się zatem tą wspaniałą ucztą przygotowaną przez panią Harrison.

Służące odkryły srebrne półmiski i kuszące zapachy pieczonej wołowiny, świeżego chleba oraz wyśmienitego sosu wypełniły powietrze. Gil usiadł na krześle z pluszowym obiciem i rozłożył na kolanach serwetkę. Siedząca po jego lewej stronie, młodsza siostra Jareda, Rebecca Nolan, uśmiechnęła się do niego.

- Witaj, panno Nolan. Jak się pani bawi tego wieczora? - Zalotnie puścił do niej oko.

Zachichotała i oblała się rumieńcem.

- Gilbercie Whelanie, niewiele się zmieniłeś.

Gil uśmiechnął się. Jako najlepsza przyjaciółka Brianny, Rebecca spędzała dużo czasu w Irlandzkich Łąkach, więc czuł się przy niej swobodnie. Spojrzał badawczo na przeciwległą stronę stołu, kiedy służące podawały zupę. Jasna głowa Henry'ego Sullivana pochyliła się nisko w stronę Brianny, tak, iż ich włosy prawie się zetknęły. Gil bezwiednie zacisnął palce na łyżce. Czy Brianna nie dostrzegała jawnego zainteresowania, jakie Henry wykazywał wobec niej? Będzie musiał mieć oko na tę sytuację w trakcie przyjęcia.

Po kolacji mężczyźni udali się do gabinetu na cygaro i brandy, podczas gdy panie wyszły, aby się odświeżyć. Gil znosił pozerstwo mężczyzn ze źle skrywaną ignorancją. Przechwałki Adama o tajemniczych układach finansowych brzmiały niezbyt legalnie,

a próby Henry'ego by zaimponować panu O'Learyemu skręcały wnętrzości Gila prawie tak mocno, jak dym cygar palił jego oczy.

Z ulgą przyjął propozycję dołączenia do pań w salonie. Środek pokoju został przygotowany na tańce. Krzesła poustawiane były pod ścianami i pozajmowane przez damy przysiadające na nich w różnobarwnych strojach niczym pięknie upierzone ptaki.

Pani O'Leary klasnęła, kiedy panowie zajęli swoje miejsca.

- Mam nadzieję, że nie możecie się już doczekać tańców. Wybrałam parę utworów i ufam, że będzie się wam podobało.

Mówiąc to, zajęła miejsce przy pianinie i zaczęła grać melodyjnego walca. Gil od razu zaczął się rozglądać za Brianną i jego wnętrzości ścisnęły się na widok Henry'ego prowadzącego ją na parkiet. Od jak dawna interesował się nią Sullivan? Czy Brianna zgadzała się na te zaloty, czy, tak jak mówiła, była raczej nieświadoma jego zamiarów? Zmarszczył brwi. Być może będzie musiał porozmawiać z Henrym i dowiedzieć się, jak się mają sprawy.

- O co chodzi Whelan? Zazdrosny? - Ostry głos Adama znad ramienia Gila zaskoczył go, wytrącając z zamyślenia.

- Wcale. - Sprawnie ukrył zmieszanie. - Po prostu zastanawiałem się nad zamiarami Henry'ego wobec Bree.

- Myślę, że to raczej jasne. Zamierza ją poślubić. Przykro mi, że muszę ostudzić twoje romantyczne marzenia.

Szyderstwo w głosie Adama napęliło go ochotą, by mu przyłożyć. Gil przełknął gorycz i przypomniał sobie, że przecież chciał naprawić ich wzajemne relacje.

- Pragnę tylko szczęścia Bree. Jeśli wybierze Henry'ego Sullivana, niech i tak będzie.

Zwrócił się twarzą w stronę Adama - jego wygląd wskazywał, że przeholował z brandy.

- Posłuchaj, Adamie, czy nie moglibyśmy odsunąć na bok dzielących nas różnic i być dla siebie uprzejmi? Przez wzgląd na dobro twoich rodziców, jeśli już nie z innych powodów...

Cierpki śmiech Adama sugerował, że propozycja raczej go tylko rozbawiła.

- Zapomnij, Whelan. Wiem, że wróciłeś tu tylko po to, żeby dostać się do testamentu mojego ojca. Zamierzam ci to udaremnić.

Z wielkim wysiłkiem Gil zdołał powstrzymać gniew. Jeśliby powiedział coś niemiłego, ich rozmowa mogłaby zmienić się w bardzo nieprzyjemną scenę. Tego zapewne pragnął Adam. Gil zacisnął zęby i skupił wzrok na tańczących parach. Fakt, że Adam oceniał go tak nisko, ranił jego dumę. Czy wszyscy inni uważali podobnie? Jeśli tak, to oznaczałoby, że powrót tutaj był pomyłką pod każdym względem.

Gil odwrócił się i spostrzegł, że w jego stronę zmierza James w towarzystwie niskiego mężczyzny i dwóch kobiet. Chociaż mężczyzna wydawał mu się znajomy, Gil nie przypominał sobie, by spotkał wcześniej którąkolwiek z dam.

James klepnął Gila w ramię.

- Gilbercie, pozwól, że ci przedstawię Arthura Hastingsa. Korpulentny mężczyzna o podkręconych do góry wąsach wystąpił naprzód, aby uścisnąć rękę Gila.

- Miło mi pana poznać, Gilbercie. Przykro mi, że nie zdążyliśmy na kolację. Inne zobowiązania, rozumie pan.

- Mnie również miło, sir.

Pan Hastings odsunął się na bok i wysoka kobieta o jasnobrązowych włosach uśmiechnęła się do Gila.

- To moja żona Dorothy - przedstawił ją Hastings - i moja córka, Aurora.

Gil przywitał starszą z kobiet, a następnie zatrzymał się na chwilę przed młodą damą obok niej. Chmura złotych włosów i wspaniałe niebieskie oczy sprawiały, że Aurora Hastings wywierała olśniewające wrażenie. Pochylił się nad jej dłonią.

- To dla mnie zaszczyt, panno Hastings. Oblała się rumieńcem aż po linię włosów.

- Wzajemnie, panie Whelan. Wiele o panu słyszałam.
 - Mam nadzieję, że same dobre rzeczy. - Mrugnął do niej okiem, starając się rozwiać jej oczywiste zmieszanie. Pamiętał, co James powiedział na temat jej chęci spotkania z nim.
 - Wielkie nieba, oczywiście! Brianna mówi o panu same wspaniałe rzeczy.
 - Jest pani przyjaciółką Bree?
 - Raczej znajomą. Pracowałyśmy razem nad przedstawieniem bożonarodzeniowym w kościele.
- Pan O'Leary trącił go z boku.
- Dlaczego nie zaprosisz tej pięknej młodej damy do tańca, Gilbertcie? Jestem pewien, że nie ma ochoty siedzieć tu z nami, staruszkami. - Wybuchnął serdecznym śmiechem.
 - Oczywiście. Czy zechce pani zatańczyć, panno Hastings?
 - Z miłą chęcią.

Gil wyciągnął rękę. Aurora podała mu swoją ukrytą w rękawicze dłoń i poprowadził ją na środek sali, gdzie parę innych par kołysało się do muzyki. Była bardzo drobna i delikatna, ledwo sięgała mu do ramion. Podczas tańca modlił się w duchu, żeby nie nadepnąć jej na stopę. Szczęśliwie utwór zaraz się skończył, ale kiedy zwalniał kroku dostrzegł gniewną minę Brianny znad ramienia Henry ego. Nie wyglądała na zadowoloną, patrząc na Aurorę w jego objęciach. Skłonił głowę w jej kierunku z szerokim uśmiechem.

- Proszę wybaczyć, panno Hastings. Obiecałem taniec jeszcze komuś.
- Schylił się ponownie do jej dłoni, całkowicie ignorując wyraz rozczarowania, jaki pojawił się na jej twarzy, i poszedł do Brianny.

Zarumieniona od tańca oraz od patrzenia na Gila obejmującego Aurorę, Brianna usiadła na jednym z krzeseł i odrzuciła z czoła

opadający loczek. Myślała, że tylko Colleen będzie dla niej solą w oku tego wieczora. Teraz jej kolejną rywalką okazała się Aurora.

Kątem oka spostrzegła, że Henry kręci się obok, tak jak zresztą przez cały wieczór. Gdybyż tylko mógł ją zostawić choćby na pięć minut!

Posłała mu uśmiech, mówiąc:

- Od tego tańczenia zaschło mi w gardle. Czy byłbyś tak uprzejmy i przyniósł mi coś do picia? Napoje są w jadalni.

- Oczywiście. - Skłonił się lekko. - Nie odchodź nigdzie. Głośno westchnęła z ulgą, widząc go wycofującego się z tłumu.

Dużo gości przyjechało po kolacji na wieczorne rozrywki. Co najmniej połowy zaproszonych nie znała.

Nagle jakiś cień przesłonił miejsce, w którym siedziała.

- Dobry wieczór panno O'Leary. Czy mógłbym panią poprosić do tańca? - Dobrze znana śpiewna intonacja, którą często posługiwał się Gil, sprawiła, że serce zabiło jej szybciej.

Spojrzała w górę w olśniewająco niebieskie oczy najprzystojniejszego mężczyzny w tym salonie. Ubrany w antracytowy garnitur i krawat w paski wyglądał oszałamiająco. Czekał z wyciągniętą ku niej dłonią.

Oblizwała spieczone wargi, nie do końca pewna, czy chce, by Henry wrócił z jej napojem. Dlaczego się wahała? Czy nie na to właśnie czekała?

- Oczywiście - wydusiła z siebie w końcu i podała mu rękę. Ruszywszy z miejsca, potknęła się, ale złapał ją za łokieć, ratując przed upadkiem.

- Dz-dziękuję.

- Nie ma za co.

Gil poprowadził ją na parkiet, jedną ręką podtrzymując w pasie, gdzie kończył się gorset wykończony drobnymi guziczkami. Kiedy dołączyli do pozostałych tancerzy, muzyka zwolniła. Brianna odwróciła się twarzą do niego i nieśmiało położyła rękę na jego

ramieniu, a on ujął drugą, chowając w swojej dużej, ciepłej dłoni. O mało nie podskoczyła, gdy objął ją w tali i przyciągnął do siebie. Jego twarz znalazła się teraz tak blisko, że nie była pewna, czy pamięta jeszcze kroki do walca. Wszelkie spójne myśli uleciały z jej głowy.

- Nie miałem jeszcze okazji powiedzieć ci, że pięknie wyglądasz. - Łaskotał ją oddechem, poruszając pasemka włosów koło ucha.

Jej serce biło jak oszalałe. Już po raz drugi od czasu powrotu do domu powiedział, że jest piękna.

- Dziękuję. Ty też prezentujesz się bardzo elegancko. - Zapragnęła dodać coś jeszcze, cokolwiek, by oderwać myśli od ciepła jego palców, które czuła na plecach. Zapach jego wody kolońskiej wypełniał jej zmysły podczas każdego wdechu. - Podoba ci się to całe zainteresowanie twoją osobą?

Roześmiał się serdecznie.

- A jak myślisz? Również się zaśmiała.

- Podejrzewam, że tego nie znosisz, ale godzisz się na wszystko ze względu na tatę.

Cofnął głowę, żeby spojrzeć jej w oczy.

- Już zapomniałem, jak dobrze mnie znasz. Nigdy nie uda mi się niczego przed tobą ukryć, nieprawdaż?

Jej usta jeszcze bardziej wyschły od gorąca jego spojrzenia.

- Mówisz tak, jakbym mogła czytać w myślach. Czasami chciałabym to umieć.

- Naprawdę? Czego chciałabyś się dowiedzieć?

Gwar na sali wydawał się odpływać na dalszy plan. Czy ośmieli się zadać pytanie, które ją nękało - o naturę jego uczuć do niej? Lepiej nie kusić losu, bo jeśliby się przyznał, że żywi do niej coś więcej niż braterską sympatię, co wtedy zrobiłaby z swoimi planami na przyszłość?

Muzyka dobiegła końca i pary dookoła nich stopniowo zaczęły zwalniać. Ich spojrzenia nadal były związane, a jego ręce wciąż silnie ją obejmowały. Tak bardzo chciała zostać w tym położeniu przez resztę tego wieczoru. Zagryzła wargi i niechętnie zrobiła krok w tył.

- Dziękuję za taniec.

- Cała przyjemność po mojej stronie, Brianno. - Ujął jej dłoń w rękawiczce i podniósł do ust, nie odrywając wzroku od jej oczu.

- Tu jesteś, Gilbercie. - Fałszywie słodki głos Colleen sprawił, że Briannę przeszły ciarki. - Brianno, nie możesz zawłaszczać dla siebie gościa honorowego. Myślę, że teraz moja kolej, aby z nim zatańczyć.

Rzucając jej ostre spojrzenie, Colleen wcisnęła się pomiędzy Briannę oraz Gila i uchwyciła jego dłoń. Brianna zdusiła w sobie narastającą falę złości. Gdyby nie było tylu świadków, pchnęłaby Colleen na donicę stojącą z tyłu.

W spojrzeniu Gila dało się wyczytać nieme przeprosiny. Kiedy znów rozbrzmiała muzyka para ruszyła do tańca.

Brianna uniosła podbródek i zwróciła się w stronę wolnych miejsc siedzących. Chciała dyskretnie utrzymywać na oku tę parę, zadowolona przynajmniej, że Gil wykazał przytomność, utrzymując Colleen na uczciwą odległość. Gil nie zasługiwał na to, by stać się pionkiem w miłosnych gierkach jej siostry.

Na twarzy Colleen pojawił się z grymas, gdy dobiegał końca jej walc z Gilem. Nie reagował na jej usilne starania, aby w tańcu zbliżyć ich ciała. Ani razu jego wzrok nie zawędrował w jej głęboki dekolt, nie próbował z nią flirtować. Może Gil nadawał się na księdza bardziej niż Rylan Montgomery.

- Dziękuję za wspólny taniec. - Gil udał, że się kłania, a potem

nachylił się blisko jej ucha i wyszeptał: - Zachowuj się przez resztę wieczoru jak należy, jeśli w ogóle potrafisz. Chciała pokazać mu język, ale zamiast tego grzecznie skinęła.

- Twoja strata, panie Whelan.

Odwróciła się na pięcie, od razu wypatrując kolejnego partnera do tańca. Mama musiała zaprosić każdą niezamężną dziewczynę z okolicy, ale jakoś, nieszczęśliwie, nie zadbała o zapewnienie dostatecznej ilości bogatych mężczyzn.

- Tu jesteś, panno OTeary. - Jared Nolan przepychał się przez tłum w jej kierunku. - Cały wieczór próbuję cię dogonić i zaprosić do tańca.

W ciemnym garniturze, z włosami zaczesanymi do tyłu, Jared wyglądał czarująco. Złote spinki lśniły przy mankietach, gdy wyciągał rękę w jej stronę. Colleen zadrżała w duchu. Gdyby tylko jego rodzina była bogatsza... Z drugiej strony, wejście w kręgi towarzyskie rodziny Nolanów oznaczałoby możliwość spotkania innych, bardziej zamożnych mężczyzn. Musiała jak najlepiej wykorzystać każdą nadarzającą się okazję.

- Czy nie obraziłbyś się, jeśli byśmy odłożyli taniec na później, a zamiast tego wyszli na zewnątrz się przewietrzyć? - Przyglądała mu się spod rzęs.

Chytry uśmieszek prześliznął się przez jego usta.

- Tak będzie nawet lepiej.

Ujęła jego ramię i wyszli przez drzwi na ganek. Kiedy przechodzili obok grupy gości, dostrzegła zuchwały uśmiech Rylana i poczuła zadowolenie, że idzie pod rękę z tak atrakcyjnym mężczyzną. Rylan skinął w jej stronę, ona zaś uniosła dumnie podbródek, gdy go mijała.

Chłodny wieczorny wiatr był upragnionym wytchnieniem od zatłoczonych wnętrz. Colleen poprowadziła Jareda wzdłuż ganku w stronę bardziej ustronnego miejsca, gdzie niski kamienny murek wychodził na słynny ogród różany jej matki. Księżyc

w pełni kładł bladą poświatę na trawie i krzewach, nieco upiornie oświetlając marmurowy posąg kobiety w powłóczystej sukni z rękami wyciągniętymi nad poidełkiem dla ptaków. Colleen wzięła głęboki wdech w nadziei, że łagodny zapach kwiatów matki ukoi jej niespokojną duszę.

Jak gdyby wyczuwając napięcie, Jared poufale położył rękę na jej ramionach.

- Czy dobrze się bawisz, moja droga?

- Oczywiście. To wspaniały wieczór - wypowiedziała dobrze wyćwiczony frazes. Tak naprawdę, nic nie szło po jej myśli. Nie planowała, co prawda, poślubić Gila, ale jeden czy dwa pocałunki w ciemnym zaułku mogłyby być rozkoszne.

- Wyglądasz pięknie w tym świetle - wyszeptał nad jej uchem swoim lekko zachrypniętym głosem, sprawiając, że po plecach przeszły jej ciarki.

Przygoda, na którą czekała cały wieczór, nagle stawała się możliwa. Lekko się obróciła, tak żeby jej twarz nieomal spotkała się z twarzą mężczyzny, dając mu w ten sposób otwartą drogę. Z jego gardła wydobył się niski pomruk, a potem zbliżył swoje wargi do jej. Zniknął gdzieś powściągliwy dżentelmen, kiedy przyciągnął ją blisko do siebie i całował coraz mocniej. Dreszcz przeszedł wnętrzości Colleen i tak, jak wypita dziś whisky, wypełnił jej zmysły. W końcu znalazł się mężczyzna, który traktował ją serio. To nie był zwykły, niewinny pocałunek. Był zapowiedzią zakazanych przyjemności, które do tej pory mogła sobie tylko wyobrażać. Jego ręka powędrowała w górę jej klatki piersiowej i musnęła jej nagie ramiona. Podskoczyła, nagły atak paniki przeniknął jej członki, gdy uświadomiła sobie, w jakim odosobnieniu byli. Wiła się, aby uwolnić się z jego objęć, ale Jared tylko zacieśnił uścisk.

- Wydaje mi się, że pan O'Leary nie byłby zadowolony, widząc jak poniewierasz jego córkę. - W silnym irlandzkim akcencie wyraźnie wybrzmiewała determinacja.

Jared cofnął się gwałtownie, zwalniając silny chwyt.

- Kim ty, do cholery, jesteś?!

Colleen poczuła przypływ ulgi, tak intensywny, że ugięły się pod nią nogi, a zaraz po nim nadeszła fala gniewu. Cieszyła się, że ciemność kryje jej płonące policzki. Wyprostowała się i wysoko uniosła głowę.

- To Rylan Montgomery, kuzyn z Bostonu. - Zanim zdążyła dokończyć prezentacji, Rylan podkradł się niczym pantera.

- A kimże pan jest, sir? - Jego ciemne brwi złączyły się w gniewnym grymasie.

- Jared Nolan, przyszły mąż Colleen.

Colleen była zaskoczona śmiałym stwierdzeniem Jareda. Od kiedy to była mowa o ślubie?

- Sądzę, że *przyszły* to kluczowe słowo. - Rylan utkwiał surowe spojrzenie w Colleen. - Niektórzy goście wychodzą. Zdaje się, że twoi rodzice cię szukają.

Przełknęła i spuściła głowę.

- Oczywiście.

Rylan odczekał, aż Jared pierwszy pójdzie do domu. Popatrzył na Colleen, unosząc jedną brew wygładził jej włosy oraz suknię, mówiąc:

- Nic nie powiem twoim rodzicom... tym razem.

Trudny do opanowania gniew pulsował jej w żyłach na samą myśl o bezczelności tego człowieka.

- Czy księża nie powinni być życzliwi? - syknęła. Jego niski śmiech jeszcze bardziej ją zdenerwował.

Będzie musiała znaleźć sposób, żeby pozbyć się tego wścibskie-go księżulka z ich domu - a co ważniejsze - ze swojego życia.

7.

- Gilbercie, państwo Hastingsowie wychodzą - zawołał pan O'Leary, stojąc w drzwiach salonu. - Chodź, odprowadzisz ich ze mną.

Gil znieruchomiał, słysząc urwane polecenie. Jak zwykle, James wydawał rozkaz i znikał, oczekując całkowitego posłuszeństwa.

- Przepraszam, panno Miller - powiedział Gil do siedzącej obok brunetki. - Miło było z panią rozmawiać.

Zostawiając dziewczynę z wyrazem rozczarowania na twarzy, Gil przecisnął się przez grupę kobiet stojących nieopodal drzwi i wyszedł na korytarz. Odetchnął głęboko, zadowolony, że może na chwilę opuścić zatłoczone pomieszczenie, pełne młodych dam żądnych jego uwagi. Podczas kolacji spodziewał się, że będzie to spokojny wieczór, wśród przyjaciół i sąsiadów, ale pani O'Leary zaprosiła chyba każdą pannę z dwóch sąsiednich hrabstw.

Przykleił do twarzy uśmiech i podszedł do pani Hastings stojącej obok męża.

- Miło było panią poznać, pani Hastings. Mam nadzieję, że dobrze się pani dzisiaj bawiła.

- Bardzo dobrze, panie Whelan.

Zwrócił się w stronę Aurory i pochylił nad jej wyciągniętą dłońią.

- Dziękuję za walca, panno Hastings. Jest pani doskonałą tancerką. Zaczerwieniła się.

- Pan również, panie Whelan. Musi pan przyjechać i odwiedzić

nas w Belwederze, teraz, kiedy razem z mamą spędzamy tu lato. Tatuś przyjeżdża na weekendy, ale w ciągu tygodnia czujemy się bardzo samotne. - Lekko szturchnęła matkę.

- Och, tak. Oczywiście. Zadzwonimy, żeby ustalić datę lunchu. Gil zeszytniał, ale zdołał zachować niezmienny wyraz twarzy.

- To byłoby... - *straszne* - ...wspaniale. Arthur Hastings ujął żonę za rękę.

- Dorothy, Auroro, proszę, poczekajcie na mnie w aucie. Muszę zamienić słówko z Gilbertem.

Co znowu?!

Kiedy tylko kobiety wyszły, pan Hastings zwrócił się do niego:

- James mówił mi, że ostatnio otrzymałeś dyplom z przedsiębiorczości na Uniwersytecie Columbia.

- Zgadza się, sir.

- Mógłby nam się przydać w banku młody człowiek z takim talentem. Może zechciałbyś rozważyć propozycję pracy u mnie, w mieście?

Gil zamrugał. Spodziewał się, że mężczyzna będzie chciał porozmawiać z nim o córce. James zrobił krok w przód.

- Wybacz, Hastings. Gilbert zgodził się zająć księgowością tutaj, na farmie. Nie sądzę, żeby znalazł wolny czas pomiędzy tym a pracą z końmi.

Ostry ton głosu pana O'Leary'ego zaskoczył Gila. Brzmiało to tak, jakby jego mentor oczekiwał, że poświęci resztę swojego życia na pracę w Irlandzkich Łąkach. Gil będzie musiał zacząć sygnalizować, że jest to dla niego tylko tymczasowe zajęcie.

Pan Hastings wyciągnął rękę i mocno uściskał dłoń Gila.

- Nasza strata. Ale jeśli kiedykolwiek rozważałby pan zmianę, proszę o mnie pamiętać. Mogę panu zaoferować całkiem przyzwoite wynagrodzenie. Nie wspominając o tym, że praca w mieście może być bardzo korzystna dla pańskiej dalszej kariery.

Gil przełknął ślinę.

- Zapamiętam, sir. Dziękuję.

Gilbert stał na werandzie razem z panem G'Learym, aż samochód Hastingsów zniknął im z pola widzenia.

- Cóż za tupet! Chciał mi cię wykraść prosto sprzed nosa. - James zrobił gniewną minę, opierając się o jedną z białych kolumn. - Gdybym nie musiał z nim trzymać, powiedziałbym tej szui ostro do słuchu.

Gil zmarszczył brwi.

- Myślałem, że go lubisz.

James wyciągnął z kieszeni marynarki fajkę i pudełko zapalek.

- Nieszczególnie. Ale doceniam jego wyczucie biznesowe. - Zapalił fajkę, zaciągnął się głęboko i wypuścił chmurę dymu. - Co też przypomniało mi o kolejnym interesie. Widać gołym okiem, że Aurora jest tobą zauroczona. Chciałbym, żebyś jak najszybciej oficjalnie zaczął się z nią spotykać.

Wieczorny wiatr sprawiał, że dym snuł się przez werandę. Gil mocno wepchnął ręce do kieszeni i zastanawiał się, co odpowiedzieć.

- O co chodzi? - ciągnął dalej James. - Nie widziałeś, jaka to atrakcyjna dziewczyna?

- Bardzo atrakcyjna.

- Zatem? W czym jest problem? Nie proszę, żebyś się z nią ożenił, przynajmniej jeszcze nie teraz. - Wybuchnął serdecznym śmiechem. - Poczekamy i zobaczymy najpierw, ile pieniędzy będę potrzebował.

Gil nie potrafił się zmusić, aby roześmiać się z tego żartu. Z pewnością James nie oczekiwałby od niego, żeby poślubiał Aurorę dla zysków pieniężnych. Gil poluzował krawat i rozpiął guzik koszuli pod szyją.

James oprzytomniał.

- Żarty na bok, ale ja naprawdę potrzebuję twojej pomocy. - Przeszył Gila wzrokiem. - Wiem, że nigdy nie chciałbyś patrzeć,

jak tracimy nasz dom.

Ostatni cień oporu uleciał i Gil przygarbił się. Jak mógłby odmówić temu człowiekowi, który tak wiele mu ofiarował? Westchnął, mówiąc:

- Zaprosili mnie do Belwederu. Dołożę starań, żeby tam wkrótce pojechać.

Ulga na twarzy pana O'Learyego wygładziła zmarszczki z jego czoła. Muskularną ręką ścisnął ramię Gila.

- Dziękuję ci, synu. Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć.

Kiedy skończyła się muzyka, Rylan razem z pozostałymi gośćmi zaczął bić brawo. Kuzynka Kathleen rzeczywiście doskonale grała na pianinie. Teraz, oblana rumieńcem z powodu gromkiego aplauzu, przypominała raczej dwudziestolatkę niż kobietę dwukrotnie starszą. W zasadzie, Rylan umiał wyobrazić ją sobie jako młodą kobietę: wyglądałaby dokładnie jak Colleen. Zastanawiał się, czy Kathleen, tak samo jak jej córka, zbyt szybko wkraczała w dojrzałe życie, czy raczej zawsze była osobą pobożną i wytrwale dążącą do celu.

Rylan gniewnie zmarszczył czoło, przywołując w pamięci *to zwierzę*, Jareda Nolana, obmacującego Colleen. I choć syknęła na niego jak wściekła kotka, zauważył wyraz ulgi na jej twarzy, gdy Jared ją puścił. Przeciskał się przez zatłoczoną salę, w poszukiwaniu kolejnej szklanki przepysznego ponczu. Kiedy przechodził obok par, dziękował niebiosom, że nie musi się martwić o sprawy damsko-męskie.

Bycie duchownym dawało mu tę przewagę, że był niedostępny i, co za tym idzie, niezauważalny dla pań na wydaniu. Dotknął palcami koloratki, którą specjalnie z tego powodu założył na ten wieczór.

Zajrzał do jadalni i z radością stwierdził, że nie ma tam nikogo, więc ruszył prosto w kierunku kryształowej wazy z ponczem stojącej z boku. Chochłą nalał napój do śmiesznie małego kubeczka i wychylił go jednym haustem. Jak mężczyzna miałby ugasić pragnienie, posługując się naczyniem wielkości naparstka?

Stukot obcasów na kafelkach sprawił, że Rylan zwrócił wzrok na drzwi dokładnie w momencie, kiedy Colleen stanęła w drzwiach do pokoju. Na jego widok gwałtownie się zatrzymała.

- Witaj ponownie, panno O'Leary. - Podniósł swój mały kubek w geście pozdrowienia.

- Witaj. - Minęła go płynnym ruchem i sięgnęła po szklanę.

- Proszę pozwolić. - Rylan wziął chochlę i nalał napój o wiśniowym kolorze do jej naczynia, ciesząc się w duchu, że udało mu się nie rozlać ani kropli. - A gdzie jest teraz twój „przyszły mąż”?

Ścięła go lodowatym spojrzeniem.

- To nie *twoja* sprawa.

Umieścił chochlę z powrotem w wazie. Coś w tej kobiecie dotykało go bardzo głęboko. Intuicja podpowiadała mu, że jej drażliwa natura była tylko przykrywką dla jakiegoś utajonego cierpienia i z całego serca pragnął ulżyć jej w tym utrapieniu. Patrzył na nią, kiedy upijała mały łyk. Jej ręce drżały.

Podszedł krok bliżej, tak że ich *ramiona* prawie się zetknęły.

- Wydaje mi się - powiedział powoli - że mężczyzna powinien darzyć swoją wybrankę dużo większym szacunkiem, niż wykazywał pan Nolan wobec ciebie. Jesteś szlachetną młodą damą z dobrej chrześcijańskiej rodziny. Nie rozumiem, dlaczego uważa on za dopuszczalne takie bezczelne zachowanie.

Wysunęła do przodu podbródek.

- Może ja sobie tego życzę.

- Kochasz go aż tak bardzo?

- Nie kocham go w ogóle. - Jej oczy szeroko się *otworzyły*, kiedy nagle uświadomiła sobie błąd swojego wyznania. Z hukiem

odłożyła szklankę na stół, aż krwisty płyn rozchlapał się, plamiąc na czerwono biały obrus. Patrzyła na kuzyna z mieszaniną lęku i złości.

- Po prostu zostaw mnie samą, Rylanie Montgomery. Nie potrzebuję więcej żadnych ingerencji w moje życie.

Dzięki Bogu, goście poszli do domu i Brianna mogła wreszcie udać się do łóżka. Jej stopy były obolałe od nowych butów, do których nie była przyzwyczajona. Nie mogła się doczekać momentu, kiedy je zdejmie i pozwoli nogom odpocząć.

Zatrzymała się przed wysokimi schodami, aby zebrać w sobie siły do wspinaczki. A może w skrytości serca oczekiwała, że Gil przyjdzie powiedzieć jej „dobranoc”, zanim sam uda się na spoczynek. Ogarnęło ją uczucie rozczarowania. Poza jednym wspólnym tańcem, przez całą noc nie mieli nawet okazji, by porozmawiać. Zapewne był zbyt zajęty zabawianiem tych wszystkich niezamężnych dam, które przybyły na przyjęcie.

Frustracja ścisnęła jej serce tak, jak buty uwierały stopy. Pewnie Gil nigdy nie widział w niej nikogo więcej poza małą siostrzyczką. Chociaż, kiedy tańczyli, wydawało jej się, że zobaczyła w jego oczach coś, co przyprawiło ją o szybsze bicie serca i dawało jej nadzieję, że może on także czuje do niej coś więcej.

Objęła wzrokiem korytarz i nie dostrzegając nigdzie Gila, ostatni raz zajrzała przez drzwi salonu. Tylko służące krzątały się tam, porządkując pokój. Być może był w gabinecie razem z ojcem... Podeszła na palcach do drzwi i nadstawiła ucho, by wychwycić jakieś odgłosy. Jedyne wąska smużka światła wzdłuż progu wskazywała, że ktoś jest w środku. Czy powinna wejść? Czy jest tam Gil i czy spędzą sami parę chwil? Na samą myśl o tym, serce w jej piersi ruszyło galopem.

Słyszając dźwięk kroków przemierzających pokój, Brianna odskoczyła od wejścia.

Drzwi otworzyły się do wewnątrz i pojawił się w nich ojciec.

- Wydawało mi się, że słyszę, jak ktoś czai się za drzwiami. Czego chciałaś, Brianno?

Uniosła podbródek z wymuszonym uśmiechem.

- Tylko powiedzieć ci „dobranoc”, tato. To był wspaniały wieczór.

Zmarszczki na jego czole złagodniały.

- Cieszę się. Ty i Henry wydawaliście się dobrze razem bawić.

- Henry bardzo o mnie... dbał. - *Raczej, bardzo przytłaczał.*

- Myślałem, że wstrzymam się jeszcze z tą rozmową, ale w zasadzie teraz jest tak samo dobry czas jak kiedy indziej. - Zaprosił ją ruchem ręki do środka.

Jęknęła w duchu. Dlaczego nie poszła od razu do siebie? Mogła leżeć już wygodnie na łóżku z nogami do góry, by ulżyć zmęczonym stopom. Zamiast tego, musiała wejść do gabinetu i czekać w napięciu na to, co ojciec ma do powiedzenia.

- Brianno, myślę, że już najwyższy czas, żebyśmy porozmawiali o twojej przyszłości.

Poczuła bolesne pulsowanie w stopach. Usiadła na jednym ze skórzanych foteli naprzeciw biurka ojca. Czy odważy się poruszyć temat college'u? Czy lepiej, żeby poczekała na bardziej dogodny moment, kiedy Gilowi uda się już przygotować dla niej grunt?

- Tak, tato?

- Dziś wieczorem dałem Henry emu oficjalne pozwolenie na spotkanie się z tobą. Będę bardzo szczęśliwy, jeśli nasza rodzina połączy się z rodziną Sullivanów.

Brianna ścisnęła podłokietnik fotela tak, że aż zaboląły ją palce. Tak bardzo chciała zadowolić ojca, a jednocześnie nie mogła zgodzić się na to nieuczciwe żądanie.

- A co z moimi pragnieniami?

Gęste brwi ojca złączyły się.

- Dlaczego miałabyś nie chcieć poślubić takiego wartościowego mężczyzny jak Henry?

Dobrze znany dreszcz przerażenia przebiegł jej plecy.

- Chodzi o to, że nie zamierzałam tak wcześnie wyjść za mąż. Zamrugał jak rażony gromem.

- Co innego miałabyś robić? Zagryzła wargi.

-Ja... ja...

- Przestań się jąkać, dziewczyno. Jeśli chcesz coś powiedzieć, wyduś to z siebie.

Zesztywniała tak bardzo, że jej kręgosłup przypominał pogrzebacz stojący koło kominka.

- Chciałabym kontynuować moją edukację i... iść do college'u. Jego usta otworzyły się ze zdumienia.

- Po co, do licha, chciałabyś iść do college'u? Bystry, młody mężczyzna chce związać z tobą swoją przyszłość. Z pewnością nie chciałabyś odrzucić tak doskonałej propozycji.

Brianna skoczyła na nogi i przemierzyła pokój, podchodząc do wielkiego paleniska.

- Będę miała jeszcze dużo czasu na małżeństwo po ukończeniu college'u. Henry mógłby się ze mną nadal spotykać, jeśli tylko by chciał.

Ojciec plasnął dłonią w biurko.

- Spotykać się z tobą na odległość przez dwa albo trzy lata? Nigdy nie słyszałem niczego równie absurdalnego.

Pod pełnym oburzenia spojrzeniem ojca Brianna była bliska załamania. Ale nie da mu tej satysfakcji, nie tym razem.

- Może tobie wydaje się to absurdalne, ale nie mnie. Chcę mieszkać w mieście, zobaczyć świat poza wyspą. Rozwijać się intelektualnie...

- Żadna kobieta nie potrzebuje rozwoju intelektualnego!

Brianna odsunęła na bok urazę i sięgnęła po argument nie do odparcia.

- A co z ciocią Fiona? Twoja siostra poszła do college'u i teraz sama tam wykłada.

Przewrócił oczami.

- Fiona zawsze zachowywała się wbrew naturze. Dokonywała kiepskich wyborów i teraz jest zgorzkniałą starą panną żyjącą samotnie ze swoimi ptakami. Niezbyt dobry przykład do naśladowania. Ty musisz skupić się na tym, żeby stać się odpowiednią żoną dla Henrygo. Nauczyć się małżeńskich obowiązków od matki, tak jak robi to teraz Colleen.

Ostry śmiech wyrwał się z jej gardła, zanim zdążyła się pohamować.

- A więc tym zajmuje się teraz Colleen?

Ojciec zrobił krok w jej kierunku, budząc w niej przerażenie.

- Byłbym wdzięczny, gdybyś okazała siostrze więcej szacunku, młoda damo. Colleen jest wcieleniem piękna i wdzięku. Zrobiłabyś lepiej, jeśli sama spróbowałabyś być bardziej do niej podobna.

Brianna mocno zagryzła drgającą wargę. O to chodziło - czarno na białym. Jej ojciec jawnie przyznał, że woli jej starszą siostrę. Tę piękną, która nie mogłaby robić niczego złego. Odpowiedź nie chciała przejść jej przez gardło, uwięzła jak gruda, której nie dało się poruszyć.

- Nie będziemy więcej rozmawiać o tych głupotach. Powiedziałem Henryemu, że może się z tobą spotykać, a ty *przyjmiesz* jego awanse. Teraz zaś życzę ci dobrej nocy. - Zajął ponownie swoje miejsce i skupił się na papierach leżących przed nim na biurku, lekceważąc ją jak zawsze.

Poczucie krzywdy groziło jej całkowitym zmiążdżeniem. Zanim łzy zdążyły zdradzić jej słabość, Brianna zerwała się z miejsca i wybiegła z gabinetu - ból duszy przewyższył cierpienie zmęczonych stóp

8.

Gil wprowadził do stajni hebanowego ogiera. Z Obietnicą Morgana wykonał dziś niezły trening i miał nadzieję, że jego właściciel będzie zadowolony z postępów konia. Pan Morgan, jeden z najbogatszych ludzi w kraju, dobrze opłacał Irlandzkie Łąki. Zamierzał wystawić wierzchowca do wyścigów w stanach, w których było to nadal dozwolone, i oczekiwał, że zostanie on dobrze przygotowany.

- Proszę bardzo, chłopcze. Zaslugujesz na smakołyk po tak ciężkiej pracy.

Gil wyjął z kieszeni małe jabłko i podał na otwartej dłoni. Aksamitne wargi połaskotały jego dłoń, kiedy „Morgan” przyjął podarunek. Gil postąpił na przód, zamknął drzwi boksu i schylił się po wiadro z wodą, żeby nalać do koryta. Przepelniało go uczucie błogości, gdy przyglądał się, jak to wspaniałe zwierzę zaspokajało swoje pragnienie.

To był świat, do którego należał Gil. Świat koni, które nie oceniały, które kochały go bezwarunkowo, pomimo ubóstwa rodziców i jego sieroctwa. Zwierzęta kochają za to, kim się naprawdę jest, nie za bogactwo albo kręgi towarzyskie, w których się bywa.

Gil przeszedł w głąb korytarza, aby sprawdzić, jak się miewa Georgina, która miała się ożrebić na dniach. Uwielbiał wiosnę, kiedy nowe życie wypełniało stajnię. Georgina wystawiła głowę na korytarz, w oczekiwaniu jego wizyty. Zarżała i zarzuciła łbem, żadna powitalnych czułości. Zajmowała szczególne miejsce w sercu Gila. Razem z Bree pomagali podczas jej przyjścia na świat wiele lat

temu. Ta łagodna z natury, piękna dama bardzo szybko zdobyła uczucia ich obojga.

Gil wszedł do boksu, gładząc dłońmi pękaty bok Georginy.

- Jak się miewa moja dziewczynka? Są już jakieś widoki na dzidziusia?

Z tym źrebakiem wiązano wielkie nadzieje. Pan OTeary sparował klacz z jednym z najlepszych koni wyścigowych w okolicy, licząc na wychowanie kolejnego zwycięzcy Kentucky Derby. Gil poklepał zad Georginy i westchnął. Przez lata nauczył się, że szaleństwem jest przywiązywać tak wielką wagę do jednego konia. Matka natura często na swój sposób udaremniała takie oczekiwania.

Sprawdził obrok oraz wodę Georginy i wyszedł z boksu. Kiedy zamykał drzwi, w stajni rozległ się tupot niespokojnych kroków. Kroków zdecydowanie damskich. Gil obszedł róg w kierunku głównego korytarza, ale nie dostrzegł nikogo. Zdziwiony, wyszedł na zewnątrz, w jasne poranne słońce i ręką przysłonił oczy, aby sprawdzić, czy to Brianna wyprowadzała Sophie na przejażdżkę. Jednak, nie licząc Joego trenującego konia na torze, nie było nikogo.

Kiedy Gil zawrócił, w podwójnych drzwiach stajni pojawiła się pełna determinacji Brianna. Ubrana była w swój zwykły strój jeździecki, a włosy przetykane cytrynowymi pasemkami zwinięte miała wysoko wokół głowy. Prowadziła konia w dół ścieżki w kierunku miejsca, gdzie otwierało się ogrodzenie. Jego chwilowa radość ze spotkania szybko zmieniła się w przerażenie, kiedy spostrzegł, którego konia wzięła.

- Czy wiesz, co ty w ogóle robisz? - zawołał, starając się powstrzymać złość w głosie i podbiegł do niej.

Roziskrzone spojrzenie przebiło go na wylot. Gdyby był kupką siana, spłonąłby na miejscu.

- Jadę na przejażdżkę.

- Na tym koniu nie pojedziesz. - Nawet w najlepszych czasach

Zwycięski Major był trudny w prowadzeniu, a według tego, co mówił Sam, od czasu zranienia tylnego kopyta dwa miesiące temu był jeszcze bardziej nieobliczalny. Potrzeba było twardej ręki, aby utrzymać go w ryzach i czy to się jej podobało, czy nie, Brianna nie miała wystarczającej siły fizycznej, żeby sobie z nim poradzić.

Ignorując Gila, wskoczyła na siodło i gwałtownie spięła konia piętami. Niepokój przeszył całe jego ciało. Bree nigdy nie zachowywała się tak zuchwale wobec zwierząt.

- Brianno, stój! - Rzucił się dziko w jej kierunku, żeby chwycić uzdę, ale ona odciągnęła łeb Majora poza jego zasięg.

Jeszcze dwa razy trąciła boki konia i zwierzę pognało w prawą stronę. Zamiast poprowadzić go na tor, Brianna gwałtownie skręciła za ogrodzeniem i popędziła na otwarte pastwiska za stajnią.

Niepokój przerodził się w panikę, całkowicie odbierając mu oddech. Czy ona chciała się zabić? Już samo utrzymanie tego konia na torze było wystarczająco trudne. Tylko Bóg wie, co to zwierzę może zrobić na otwartym polu - zwłaszcza jeśli jego tylne kopyto trafi na nierówny grunt.

Gil rzucił się w kierunku Joego, który zatrzymał Gwiazdny Pył z boku toru.

- Joe, daj mi wodze. Szybko!

Joe ze zdumieniem zmarszczył brwi, ale szybko zeskoczył i podał mu skórzane lejce.

- Powiedz Samowi, że Bree wzięła Majora. Jadę za nią.

Gil z lekkością wskoczył na siodło i dźgnął boki konia, odczuwając cień wyrzutów sumienia za tak ostre potraktowanie zwierzęcia.

Miał tylko nadzieję, że Gwiazdny Pył będzie wystarczająco szybki, by dogonić Majora.

Pochylając się nisko nad jego szyją, Gil nieustannie dopingował konia, by dał z siebie wszystko. Zlali się w jedno, frunąc nad trawiastą łąką, potem wspięli się na wzgórze. W dali dostrzegł

czarną plamę Majora, dzięki Bogu, wciąż niosącego Bree na swoim grzbiecie.

Jeszcze mocniej cisnął wierzchowca, obiecując mu wszelkie możliwe nagrody, jeśli tylko doścignie tamtego konia. Stopniowo zmniejszali dystans, aż zbliżyli się na odległość zasięgu głosu.

- Brianno, zwolnij! Ten koń jest kontuzjowany. - Miał nadzieję, że troska o zwierzę spowoduje opamiętanie.

Zakołysała się, zerkając sponad ramienia, ale zamiast zwolnić, przyspieszyła jeszcze bardziej w szalonym pędzie.

Przerażenie ścisnęło wnętrze Gila.

Panie, proszę, spraw, żeby zatrzymała się, zanim komuś stanie się krzywda!

Czemu Gil musiał za nią jechać?

Brianna chciała zetrzeć łzy złości z oczu, ale nie odważyła się ani na chwilę puścić wodzy. Ścisnęła je tak kurczowo, że aż wżynały się w jej dłonie. Dlaczego nie zdążyła założyć rękawiczek? Tak bardzo chciała być sama, poczuć przez chwilę, jak żyje się na krawędzi, kiedy nikt nie mówi, co można, a czego nie, że zapomniała o niezbędnych środkach ostrożności.

Obraz zamazywał się i nie miała już poczucia, w którą stronę kieruje się Major. Trzymała się ile sił, czepiając się jak rzep jego grzywy, podczas gdy koń całkowicie przejął prowadzenie.

Strzępkiem świadomości zanotowała krzyki Gila, kiedy ziemia pod jej stopami przemykała lotem błyskawicy. Jakaś gałąź uderzyła ją w policzek, uświadamiając jej, jak blisko znalazła się od leśnej granicy ich posiadłości. Zbierając w sobie wszystkie siły, najmocniej jak umiała, ściągnęła lejce, żeby zwolnić pęd Majora. Gdyby skreślił pomiędzy drzewa, mógłby się potknąć na korzeniu i złamać nogę. Tata nigdy by jej nie wybaczył, jeśli uszkodziłaby

jednego z rasowych koni jego klienta.

Podziękowała Bogu, że Major zwolnił, jednocześnie przygotowując się wewnątrz na starcie z wściekłością Gila, gdy ją wreszcie dogoni.

Jakiś ruch wśród drzew zwrócił jej uwagę. Parę sekund potem, na ścieżkę wyskoczył zając. Spłoszony Major zarżał, pośliznął się i zatrzymał w miejscu. Jej dłonie momentalnie pokryły się potem. Pomimo mocno zaciśniętych kolan, nie zdołała się utrzymać w siodle. Z jej gardła dobył się krzyk, kiedy ogromna siła posłała ją w powietrze ponad łbem Majora.

9.

- Brianno! - Gil zamarł na widok drobnej sylwetki przelatującej w powietrzu i spadającej jak kłoda na twardą ziemię. Niebezpiecznie szarpnął wierzchowcem, zatrzymując go w miejscu i zeskoczył z siodła. Dopadł do niej, kiedy spłoszony ogier dreptał w miejscu i zarzucał głową tuż nad jej bezwładnym ciałem.

- Spokojnie, chłopcze. Spokojnie. - Gil starał się zachować łagodny ton głosu, pomimo wielkiego niepokoju, jaki ścisnął jego serce. Musiał szybko odciągnąć rozdrażnionego konia na bezpieczną odległość.

Sprawnym ruchem chwycił wodze, pociągnął ogiera w kierunku pobliskiego drzewa i przywiązał do pnia. Czuł pulsowanie tętna w uszach. Skoczył z powrotem do dziewczyny, leżącej nieruchomo, twarzą do ziemi, z włosami rozsypanymi dookoła głowy.

- Boże, spraw, żeby wszystko było dobrze. - Powtarzając w kółko rozpaczliwą modlitwę, pochylił się nad Brianną i przyłożył palce do jej szyi. Kiedy odnalazł słaby puls, napięcie nieco zelżało, ale myśli o możliwych złamaniach, krwotokach wewnętrznych i paraliżu nie przestawały go dręczyć.

Cóż ją opętało, żeby podjąć takie ryzyko?

Powoli, najdelikatniej jak tylko umiał przekręcił ją na bok, z niepokojem stwierdzając brak jakiegokolwiek reakcji z jej strony. Nawet jęknięcie byłoby lepsze niż ten bezwład. Wilgoć trawy przenikała jego spodnie, kiedy szukał urazów. Na jej policzku zauważył coraz bardziej nabiegające krwią stłuczenie i kilka głębokich zadrapań.

Krew płynęła także z jej nosa i ust. Utulił jej głowę w ramionach i odsunął z oczu zmierzwiłone włosy.

- Bree, czy mnie słyszysz? Wstawaj, proszę.

Szybkim ruchem ręki dotykał jej ramion i nóg, tak jak zawsze sprawdzał konia, który odniósł jakieś obrażenia. Z ulgą stwierdził, że nie ma żadnego złamania. Wciąż jednak wymagała natychmiastowej pomocy lekarskiej.

Ostrożnie podniósł jej wiotkie ciało i najdelikatniej jak tylko umiał umieścił na grzbiecie Gwiezdnego, przewieszając ją przez przedni łęk siodła. Następnie sam wdrapał się na siedzisko i powoli odwrócił dziewczynę. Utulił ją ostrożnie, opierając o swoją pierś, jedną ręką mocno ją obejmując, a drugą trzymając obie wodze. Kiedy tylko wrócą, pośle któregoś ze stajennych po Majora.

W połowie drogi, dziewczyna poruszyła się, a z jej gardła dobył się niski jęk.

- Ciii... Jestem tutaj - wyszeptał. - Nie ruszaj się, zaraz wrócimy do domu. - Jej pełne bólu kwilenie sprawiało, że ogarniały go fale bezsilności. - Trzymaj się, kochanie - szeptał zaschniętymi z emocji ustami. - Jesteśmy już prawie na miejscu.

Kiedy dojeżdżali do stadniny, Sam wybiegł naprzeciw, by mu pomóc, z daleka pytając co się stało.

- Major się spłoszył i ją zrzucił. - odparł Gil. Sam pomógł mu zdjąć z konia bezwładne ciało Bree.

- Co ona, do licha, robiła na tym koniu?

- Nie mam pojęcia. - Gil wziął ją z powrotem na ręce. - Odstaw Gwiezdny Pył i pošlij któregoś ze stajennych po Majora. Przywiązałem go do drzewa na zachodnim pastwisku.

- Już się robi. Daj później znać, co z nią.

Gil pokiwał głową i energicznie ruszył przez trawnik w kierunku domu. Kiedy wszedł do holu, jego ręce już omdlewały. Skierował się więc od razu do salonu i delikatnie położył Briannę na sofie.

Prawie od razu w drzwiach pojawiła się pani Johnston. Gospościa wydała stłumiony okrzyk, zakrywając ręką usta:

- Co się stało panience Briannie?

- Spadła z konia. Proszę zadzwonić po doktora i przynieść czystą tkaninę oraz lód.

- Dobrze, proszę pana. - Kobieta niemalże wyfrunęła przez drzwi.

Gil wiedział, że powinien znaleźć Kathleen, ale nie śmiał zostawić Brianny samej nawet na minutę. Gdyby to uczynił, na pewno stałoby się coś strasznego. Wierzył, że dopóki z nią jest, wszystko będzie dobrze.

- Bree, czy mnie słyszysz? Otwórz oczy. - Głaszcząc jej zdrowy policzek szorstkimi palcami, zdumiewał się delikatnością jej skóry. Nieliczne piegi, których tak nie znosiła, stanowiły wyraźny kontrast wobec bladości jej cery. Dziewczyna nadal leżała nieruchomo. Nawet nie ruszyła powieką.

A co, jeśli to uraz mózgu?

Dobry Boże, proszę, spraw, żeby się zbudziła i porozmawiała ze mną.

W tym momencie gotów był obiecać Bogu wszystko, byleby tylko wyprosić zdrowie dla Brianny. Pochylił nad nią czoło, łączył palce pod powiekami. Mocno mrugał, żeby nad nimi zapanować. Trwał w ten sposób, szepcząc jej nad uchem ciche modlitwy. Wydawało mu się, że minęła cała wieczność, zanim jej powieki drgnęły i, mrugając, otworzyła oczy. Patrzyła obojętnie na niego przez parę sekund, potem w jej oczach pojawiał się błysk - rozpoznała go.

- Gil.

Wydał głośne westchnienie ulgi. To było najmiłsze słowo, jakie kiedykolwiek słyszał. *Dziękuję Ci, Panie Jezu.*

- Spokojnie, kochanie. Nie ruszaj się, leż.

- Głowa... boli. - Podniosła rękę do czoła. Gil pochwycił jej dłoń i przytrzymał mocno.

- Doktor już jedzie.

Pani Johnston pojawiła się z miską zimnej wody, lodem i wilgotną chustką. Gil zawiązał trochę lodu w tkaninę i delikatnie przyłożył do czoła Brianny, z zadowoleniem zauważając, że grymas na jej twarzy powoli ustępuje.

Pani Johnston dreptała z przejęcia wkoło sofy.

- Doktor Shepherd wkrótce tu będzie, panie Whelan. Pani O'Leary już schodzi.

- Dziękuję, pani Johnston.

Cała postać Bree nagle spięła się i dziewczyna złapała jego ramię w stalowym uścisku.

- Co się dzieje? Boli cię coś? - zapytał ją.

- Nie... mów... tacie. - Było widać, że każde słowo wymagało od niej sporo wysiłku.

- Ojca nie ma w domu. Nie martw się tym teraz.

Napięcie z niej uleciało i zamknęła oczy. Wydawało się, że znów traci świadomość.

Pani O'Leary wtargnęła do pokoju wśród łopotu sukni.

- Gil, co się stało? Czy ona jest cała? - Uklękła na podłodze obok sofy i położyła rękę na ramieniu Bree.

Nawet gdyby bardzo chciał ją pocieszyć, Gil nie potrafił skłamać.

- Jechała na jednym z ogierów. Spłoszył się i ją zrzucił. W jej niebieskich oczach pojawiły się łzy.

- Moje biedne maleństwo.

- Doktor powinien tu być już wkrótce.

- Co robiła, dosiadając ogiera? Dlaczego nie wzięła Sophie?

- Nie wiem. - Przeszyło go rozdzierające poczucie winy. Czy mógł bardziej postarać się zapobiec jej szaleństwu? - Próbowałem ją zatrzymać, ale nie chciała mnie słuchać. Kiedy ją wreszcie dogoniłem, leżała już na ziemi.

Parę minut później pani Johnston pojawiła się w drzwiach.

- Przyjechał doktor Shepherd.

- Wprowadź go, Alice. - Pani O'Leary wyprostowała się i poprawiła włosy. - Dzień dobry, doktorze. Dziękuję za tak szybkie przybycie. Brianna spadła z konia.

Starszy mężczyzna zdjął kapelusz, odłożył go na stolik obok krzesła i chwyciwszy torbę lekarską, podszedł do dziewczyny. Gil i pani O'Leary odsunęli się, aby zrobić mu miejsce przy Briannie, która leżała nieruchomo z kompresem na czole.

- Proszę powiedzieć dokładnie, co się stało - nakazał, przyglądając się uważnie swojej pacjentce.

Podczas gdy Gil opisywał wszystko, co widział, doktor Shepherd badał Bree, zaglądając jej w oczy, i obmacując głowę. Jego dotyk wybudził dziewczynę. Gil wzdrygał się za każdym razem, gdy widział grymas bólu na jej twarzy.

W końcu doktor Shepherd podniósł się z ponurą miną.

- Ta młoda dama miała dużo szczęścia. Mogła złamać kark lub zostać sparaliżowana. - Popatrzył na Briannę. - Masz szczęście, że skończyło się tylko na wstrząśnieniu mózgu, chociaż pewnie jutro będziesz się czuła, jakby cię stratował koń.

Podniósł torbę i skierował się w stronę pani O'Leary.

- Będzie pani musiała pilnować, aby nie zapadła w zbyt głęboki sen. Przez najbliższe dwadzieścia cztery godziny, proszę budzić ją co godzinę i nie pozwalać jej zasnąć przez chwilę, tak żeby napiła się trochę wody lub herbaty i sprawdzać, czy mówi składnie. Jeśli w którymkolwiek momencie pogorszy się jej lub nie da się obudzić, proszę niezwłocznie po mnie posłać.

Wyraz ulgi na twarzy pani O'Leary idealnie odzwierciedlał to, co czuł teraz Gil. Choć wypadek był poważny, wstrząśnienie mózgu nie zagrażało życiu.

Jeszcze raz doktor zwrócił się do Brianny.

- Radziłbym trzymać się z dala od koni, przynajmniej przez

tydzień. A po tym czasie, jeśli będziesz jeździć, wybieraj te łagodniejsze sztuki. - Złagodził upomnienie mrugnięciem oka.

- Dziękuję za przybycie, doktorze Shepherd. - Pani O'Leary odprowadziła mężczyznę do wyjścia, zostawiając Gila samego z Bree. Ten przyciągnął jeden z taboretów, postawił obok sofy i usiadł. Jego oczy skrzyżowały się z jej nieufnym spojrzeniem.

Obserwował ją przez jakiś czas, starając się zwalczyć pokusę skarcenia za głupi wybryk..

- Może zechciałabyś mi wyjaśnić, po co ci była ta przygoda?

Zanim odwróciła twarz w stronę oparcia kanapy, zdążył zauważyć w jej oczach łzy. Słowa reprimendy zamarły na jego ustach. Nie potrzebowała, żeby ktokolwiek mówił jej, jak głupio się zachowała. Zrozumiał to, widząc wypisany na jej twarzy żal.

Położył delikatnie rękę na jej ramieniu.

- Bree, możesz mi o wszystkim mówić. Wiesz o tym, prawda? Nie odpowiedziała, ale jej cierpienie odbiło się w drzeniu, które

wyczuł pod dłonią. Gdyby nie to, że pani O'Leary mogła wrócić w każdej chwili, wziąłby ją w ramiona i spróbował pocieszyć. Zamiast tego, ograniczył się do głaskania jej ręki w milczeniu, mając nadzieję, że sama jego obecność pomoże. Po pewnym czasie, kiedy zrozumiał, że i tak nic mu nie powie, podniósł się niechętnie.

- Musisz odpocząć. Porozmawiamy o tym, gdy poczujesz się lepiej.

Dlaczego wydawało mu się, że była na niego zła?

Długo patrzył, jak leżała odwrócona do niego plecami, a potem zamaszystym krokiem wyszedł z pokoju. W drzwiach minął się z panią O'Leary, wracającą od głównego wejścia.

Skłonił się szybko.

- Jeśli będzie mnie pani potrzebowała, będę w stajni.

- Gilbercie, poczekaj. - Zatrzymała go, kładąc rękę na jego ramieniu. W jej oczach malowała się troska. - Co tak naprawdę się tam stało?

Potrząsnął głową, mówiąc:

- Sam chciałbym wiedzieć. Jechała na tym koniu, jakby ją sam diabeł ścigał. Nie zdążyłem jej dogonić na czas... - Zamilkł. Nie był w stanie mówić dalej, bo gardło ścisnęło mu poczucie winy.

Przytrzymała go za ramię, a na jej twarzy malowało się współczucie.

- To nie twoja wina. Zastanawiam się, co ją do tego skłoniło i dlaczego wybrała tak dzikiego konia.

- Proszę dać jej czas, żeby doszła do siebie. Dowiem się, o co chodziło, znajdę na to jakiś sposób.

Kathleen O'Leary uśmiechnęła się przelotnie.

- Jeśli komukolwiek miałyby się to udać, to tylko tobie.

Następnego ranka po obudzeniu Brianna rzeczywiście czuła się jakby stratowała ją stado koni. Bolał ją każdy mięsień i nawet oddychanie wiązało się z wysiłkiem. Nieznośny łomot, niczym uderzenia kowalskim młotem, rozsadzał jej skronie. Jasne światło dzienne powodowało ból oczu, dlatego też szybko zamknęła je z powrotem.

- Mam nadzieję, że ból przypomina ci o twojej nieroztropności. - Usłyszawszy szorstki głos ojca, Brianna stęknęła. - O mały włos nie zabiłaś siebie i tego konia.

Mrużąc oczy, z trudem uniosła jedną powiekę. Zastanawiała się, co bardziej by go zmartwiło.

Stał u stóp jej łóżka z gniewnie zmarszczonym czołem i rękami wetkniętymi w kieszenie spodni. Nerwowe stukanie nogą sprawiało, że łańcuszek kieszonkowego zegarka tańczył, odbijając się od guzików kamizelki. Chyba byłoby bezpieczniej, gdyby skupiła się na obserwowaniu tego ruchu, zamiast prób stawienia czoła jego gniewowi.

- Co ty, właściwie sobie wyobrażałaś, dziewczyno?

- Przepraszam, tato. Czy z Majorem wszystko w porządku? -Liczyła, że może przyjmie jej szczerze przeprosiny i o wszystkim zapomni.

- Jego kontuzjowana noga nieźle ucierpiała, ale powinien z tego wyjść. Co cię podkuśiło, żeby w ogóle wziąć tego konia?

Z powrotem zamknęła oczy, marząc o tym, by ją przytulił i powiedział, jak bardzo się o nią martwił, że cieszy się, że nic jej się nie stało.

- Wydaje mi się, że szukałam jakichś ekscytujących doznań -rzuciła pierwszą odpowiedź, jaka nasunęła się jej na myśl, wiedząc, że nigdy nie poda mu prawdziwej przyczyny.

- Ekscytujących doznań?! - nieomalże wykrzyczał. - Narażałaś tak drogie zwierzę na niebezpieczeństwo dla jakichś doznań?

Brianna drgnęła pod przykryciem, krzywiąc się z mocnego bólu, który przeszył jej ciało, zmusiła się do otwarcia oczu.

Ojciec zrobił krok w kierunku łóżka. Jego twarz znaczyły czerwone plamy.

- Za całe to brawurowe, niedojrzałe zachowanie - mówiąc to, pogroził jej palcem - dopóki nie wykażesz się lepszą oceną sytuacji, młoda damo, masz zakaz przebywania w stadninie.

Brianna zacisnęła w pięści leżące na kocu dłonie, starając się zapanować nad gniewem. Zakaz przebywania w stadninie? Mógłby równie dobrze zakazać jej oddychania. Nieodparta potrzeba, by ostro odpowiedzieć była większa niż zdrowy rozsądek.

- Może potrzebowałam trochę uwagi, tato. *Twojej* uwagi. Może miałam już dość bycia niezauważaną córką - tą, którą chcesz jak najszybciej wydać za mąż osobie oferującej najwyższą cenę. - Zagryzła dolną wargę. Nagle pożałowała wypowiedzianych słów. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła, była litość ojca.

Patrzył na nią, jakby jej urosły dwie głowy.

- Co ty, na miłość boską, chcesz mi przez to powiedzieć?

- Nieważne. - Brianna zamknęła oczy, licząc, że zostawi ją samą sobie z jej siniakami, tymi wewnętrznymi i zewnętrznymi. Nie będzie przy nim płakała.

- Nigdy nie zrozumie kobiet, nawet jak bym dożył stu lat. -Ciężkim krokiem przemierzył pokój. Głośne trzaśnięcie drzwiami było dla niej informacją, że ojciec już wyszedł.

Wstrzymany oddech uleciał z niej ze świstem, a zaraz potem trysnęły łzy, które piekły ją pod zamkniętymi powiekami.

Jej ojciec nigdy się nie zmieni. Dlaczego zawsze miała nadzieję, że to się uda? Że pewnego dnia uśmiechnie się do niej, nazwie ją swoją ukochaną, powie, że jest z niej dumny... Przeciągły szloch dobył się z jej gardła, zanim zdążyła schować twarz w poduszkę.

Boże, proszę, zabierz ode mnie to ciągle cierpienie i rozczarowanie. Spraw, bym umiała cieszyć się Twoją miłością i nie potrzebowała niczego innego. Daj mi Twój pokój i zabierz ode mnie ból.

Zanim znów zrobię coś, czego będę żałowała.

10.

Gil oparł się o ścianę w korytarzu na piętrze. Przerazenie przyprawiło go o ból brzucha. James wybiegł z pokoju Brianny tak gwałtownie, że nawet nie zauważył nawet Gila stojącego przed drzwiami.

Choć bardzo szanował Jamesa, zupełnie nie rozumiał jego stosunku do młodszej córki. Przez lata obserwował, jak ciągła krytyka i pełne lekceważenia traktowanie wpłynęły na pewność siebie Bree. Gil miał nadzieję, że kiedy będzie starsza, sytuacja się zmieni. Ale wyglądało na to, że ich relacja tylko się pogarszała.

Zza zamkniętych drzwi dobywał się ściskający serce szloch. Gil oparł rozpostarte dłonie na drewnianej powierzchni i przytknął do nich czoło. Gdyby wszedł tam teraz, miałby problem z opanowaniem emocji. Nie mógłby znieść widoku cierpienia Brianny, czy to emocjonalnego, czy fizycznego.

Głośno wypuścił powietrze i wyprostował się. Nie, lepiej będzie, jeśli zachowa dystans. Pozwoli się jej uspokoić, zanim spróbuje z nią porozmawiać. W międzyczasie, postara się załagodzić sytuację w inny sposób.

Odnalazł Jamesa w stajni, kręcącego się niecierpliwie obok wejścia do boksu Majora, podczas gdy Sam przeprowadzał dokładne badanie chorej nogi. Choć nie był weterynarzem, jego wiedza i zdolności w obchodzeniu się ze zwierzętami mogły konkurować z ekspertyzą doktora Phelps'a. Już wiele razy James polegał na nim i nigdy się nie zawiódł.

Gil stanął obok niego i zajrzał do boksu.

- Jak on się miewa?

Mięśnie koło szczęki Jamesa drgnęły.

- Sam mówi, że ta jazda pogorszyła trochę sprawę, ale, dzięki Bogu, to nic trwałego.

Gil czekał w milczeniu, aż pan O'Leary będzie gotowy do wyjścia.

- Czy możemy porozmawiać chwilkę na zewnątrz? James odsunął się od boku.

- O czym?

- Nie chciałbym o tym mówić tutaj.

Wyszli razem tylnymi drzwiami i bez słowa, zgodnie skierowali się w stronę białego ogrodzenia otaczającego tor. Gil oparł obutą stopę o dolny szczebel, a złożone ręce o górny.

James wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki fajkę i włożył ją w usta.

- Co cię nurtuje, chłopcze?

- Chodzi o Briannę, sir.

Na szorstkiej twarzy Jamesa natychmiast odmalował się gniew.

- Nie rozumiem tej dziewczyny. Powinienem być krócej ją trzymać, kiedy była mała. Kathleen nigdy nie pozwalała mi uczyć dzieci dyscypliny tak, jak chciałem.

Gil wziął głęboki wdech, zanim powiedział:

- Myślę, że Brianna czuje, że ją ignorujesz, a jednocześnie faworyzujesz Colleen. - Zerknął z boku, żeby ocenić reakcję pana O'Learyego.

James zmarszczył brwi.

- Skąd przyszedł jej do głowy taki pomysł?

Gilem wstrząsnęła irytacja. *Jak ten człowiek może być tak ślepy?*

- Może z lekceważącego sposobu, w jaki traktujesz jej opinie i przerywasz jej, kiedy próbuje ci coś powiedzieć. Albo ze względu na to, że chwalisz za wszystko Colleen, a Bree ledwie zauważasz. - Gil zmusił się do powstrzymania dalszej tyrady i starał się

opanować targające nim emocje. James powoli wyjął fajkę z ust.

- A więc, tak na to patrzy?

- Wiem tylko, jak to wygląda z mojej perspektywy.

James gwałtownie pochylił się nad płótem, jakby całe powietrze uleciało z jego płuc.

- Colleen nigdy nie przysparzała mi zmartwień, a Brianna... - Potrzęsnał głową. - Nigdy nie wiedziałem, jak sobie poradzić z naturą tej chłopczycy. Spędzała cały czas z nosem w książce albo z tobą i końmi. To niezbyt normalne jak na dziewczynę.

Gil starał się nie okazać zdenerwowania.

- Jak widzisz, wyrosła na całkiem udaną kobietę.

- Poza tym głupim pomysłem pójścia do college'u. Po co jej ta edukacja? Nie pomoże jej w znalezieniu męża.

Zatem Bree powiedziała ojcu o pragnieniu pójścia do szkoły. Wygląda na to, że nie na taką reakcję z jego strony liczyła. Czy to kryło się za jej wczorajszą dziką jazdą?

- Może Brianna potrzebuje od życia czegoś więcej niż po prostu bycia czyjąś żoną.

- I ty też? - James rzucił mu piorunujące spojrzenie. - Zawsze stałeś po jej stronie, nieprawdaż? Bóg widzi, że jesteś dla niej lepszym bratem niż Adam.

Gil drgnął, jakby te słowa uderzyły go w twarz. Określenie „brat” zupełnie nie oddawało tego, co czuł wobec Brianny. Gdyby miał jeszcze co do tego jakieś wątpliwości, widok bezwładnego, zwiniętego na ziemi ciała dziewczyny, kiedy nie wiadomo było, czy żyje, czy nie, zupełnie przegonił wszelkie pozory braterskich uczuć. Choć wyjątkowo skomplikowane i nieproszone, jego uczucia do Brianny były z pewnością tym, co mężczyzna czuje wobec kobiety, którą pragnie kiedyś poślubić. Zesztywniał na samą myśl o tym.

- Czy byłoby wielką szkodą pozwolić jej pójść do college'u na rok albo dwa?

- Stracone pieniądze - mruknął James - a co gorsze, utracona okazja. Henry Sullivan poprosił o jej rękę. Nie sądzę, żeby chciał czekać, zanim Brianna skończy się bawić w studentkę.

A więc to już oficjalne. Henry i Brianna wkrótce będą zaręczeni. Gil aż do bólu zacisnął palce na słupku ogrodzeniowym.

- Bree nie skończyła jeszcze osiemnastu lat. Colleen jest o rok starsza i nie naciskasz na jej zamążpójście. - Nieposłuszeństwo wybrzmiewające w jego głosie wznosiło pomiędzy nimi mur.

James nastroszył się jak wściekły kogut.

- Colleen cieszy się niemałym powodzeniem. Czekamy tylko na właściwego mężczyznę, a czas pomnaża stawkę.

- Chyba chciałeś powiedzieć: na właściwą ofertę. James wypuścił głośno powietrze.

- A co w tym złego? Piękna córka jest jednym z największych atutów mężczyzny.

Krew zagotowała się w Gilu na myśl, że James traktuje swoje dzieci jak pionki, zamiast doceniać je jako błogosławieństwo. Czyż nie tak samo postępował wobec niego samego? Wykorzystywał go, żeby poprawić finanse firmy poprzez jego związek z córką bankiera. Rozczarowanie przygniotło jego ramiona niczym jarzmo. Jeśli James posunie się z Bree za daleko, straci ją. Gil jeszcze bardziej przygarbił się, kiedy uświadomił sobie kolejną prawdę. Nie tylko James ją straci. Kiedy Brianna zostanie żoną Henry'ego, także jej relacja z Gilem już nigdy nie będzie taka sama.

Dwa dni po wypadku, uzbrojona w Biblię i jakąś książkę z biblioteczki ojca, Brianna rozkoszowała się słońcem wpadającym przez salonowe okno, które ogrzewało jej plecy i oblewało obolałe ciało tak miłym ciepłem. Ucieczka w świat książek pozwalała uniknąć myślenia i rozmów o dręczących ją problemach - o sprzeczności

ojca wobec jej pragnienia pójścia do college'u, o niechcianych za-
lotach Henry ego, o zagmatwanych uczuciach wobec Gila...

Głosy z korytarza wyrwały ją z lektury. Poczowała nerwowe napięcie w
karku, oczekując, kto wejdzie. Jednocześnie pragnęła i obawiała się
ponownego spotkania z Gilem, wiedząc, że będzie starał się
rozszyfrować przyczyny tak nierozważnej jazdy. Mogła przyznać się
do kłótni z ojcem, ale nigdy nie mogłaby podać mu drugiego powodu,
który ją zasmucił tamtego poranka.

Otworzyły się drzwi salonu i weszła pani Johnston. Ukłoniwszy się
lekko, zaanonsowała:

- Pan Sullivan chciał się z panienką zobaczyć, panno Brianno. Czy
przyjmuje panienka gości?

Brianna pokiwała głową.

- W porządku. Może wejść.

Henry wręczył gosposi swój kapelusz i wkroczył do pokoju. Jego
jasne włosy były schludnie zaczesane nad czołem. Pochylił się
kurtuazyjnie nad dłonią dziewczyny, mówiąc:

- Brianno, moja droga. Bardzo się zmartwiłem, słysząc o twoim
wypadku. Jak się czujesz?

- Dużo lepiej, dziękuję. Wciąż jednak jestem trochę obolała. -Ręką
wskazała na krzesło. - Proszę, usiądź. Może masz ochotę na coś do
picia?

- Nie, dziękuję. - Zamiast wskazanego siedziska, zajął miejsce na
kanapie obok niej. - Co tak naprawdę się stało? Słyszałem tylko, że
zrzucił cię koń.

Zachowała spokój, tłumacząc:

- Jechałam pastwiskiem i zając spłoszył mojego wierzchowca.
Wszystko działo się tak szybko...

- To straszne. Jak wróciłaś?

Spuściła wzrok na książkę leżącą na jej kolanach.

- Gil mnie znalazł i przyniósł z powrotem. - Nie musiała widzieć
twarzy Henry ego, żeby wyobrazić sobie jego niezadowolenie.

- Oczywiście. Stary dobry Gil zawsze pędzi na ratunek.

Brianna zjeżyła się, słysząc jego sarkazm. Nigdy nie mogła pojąć, dlaczego Henry tak bardzo nie lubił Gila - chyba był po prostu zazdrosny o ich przyjaźń.

- Henry, musisz odsunąć na bok swoją niechęć wobec Gila. Jest częścią naszej rodziny i ja... my... bardzo go lubimy.

Surowość zniknęła z twarzy Henry'ego.

- Masz rację. Zapewne jestem mu winien wdzięczność za to, że tak dobrze się tobą opiekował. Jednakże teraz, kiedy jesteśmy prawie zaręczeni, to powinno być *moje* zadanie. - Sięgnął po jej rękę.

Brianna znieruchomiała. Nie była jeszcze gotowa na tak otwarte deklaracje z jego strony. Czy teraz będzie sobie pozwalał na zbyt dużą poufałość wobec niej? Próbował skraść całusa, kiedy będą sami? Myśl o tym wywołała przyływ paniki. Pragnęła jedynie pocałunków Gila...

Udając, że musi poprawić książkę, wysunęła rękę z jego uścisku.

- Dziękuję, że przyszedłeś. Niestety, obawiam się, że jeszcze bardzo szybko się męczę.

- Oczywiście. Wrócę, kiedy już poczujesz się lepiej. - Złożył na jej policzku szybki pocałunek, a następnie wstał, przyglądając się jej z zainteresowaniem, zanim wyszedł z salonu.

Gdy tylko usłyszała trzask zamykanych drzwi, odetchnęła głęboko.

- Dzięki Bogu. - Oparła się na kanapie i zamknęła oczy.

- Czy to w ten sposób traktuje się swojego wybranka?

- Gil. - Brianna podskoczyła, a nagły ruch sprawił, że ból przeszył potłuczone ciało i z jej ust dobył się jęk.

Delikatny wiatr docierał z otwartych drzwi balkonowych, w których stał Gil. Wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie, co wzbudziło w niej irytację.

- Cóż ty wyprawiasz? Teraz mnie szpiegujesz? - Z trzaskiem

zamknęła książkę i odrzuciła ją na bok.

- Miałem taki sam zamiar, co Henry. Chciałem zobaczyć, jak się czujesz.

- Jak widzisz, bardzo dobrze. - Drżącymi palcami gładziła materiał sukni.

Gil przekroczył próg, zbliżył się do kanapy i uklęknął przed nią. Rozbawienie na jego twarzy ustąpiło miejsca zaniepokojeniu, kiedy ujął jej dłoń.

- Nawet nie wiesz, ile lat przybyło mi przez ten twój wyczyn. Popelniła błąd i popatrzyła w niebieską głębię jego oczu. Czująca rozszalałe tętno pulsujące w szyi.

- Ja... ja dotąd nie podziękowałam ci za to, że przyniosłeś mnie do domu.

- Możesz mi podziękować, wyjaśniając, co tak naprawdę się zdarzyło. Co cię skłoniło, żeby wziąć Majora na tę szaloną jazdę?

Ciepło wypłynęło na jej oblicze z taką siłą, że zaczęła marzyć o wachlarzu. Uniosła podbródek.

- Tak jak powiedziałam tacie, chciałam przeżyć coś ekscytującego.

Gil ścisnął mocniej jej rękę.

- Wszystko pięknie, ale widziałem cię, zanim wyjechałaś. Nie szukałaś ekscytacji. Byłaś wściekła i chciałbym wiedzieć, co tak bardzo cię zdenerwowało, że ryzykowałaś swoje życie, a także zdrowie tego konia.

Jej dolna warga drgnęła, gdy poczucie winy, które przez dwa dni odsuwała od siebie, wypłynęło z nową mocą. Narażała nie tylko swoje życie, ale też nieszczęsnego Majora, który i tak cierpiał z powodu kontuzji. Gdyby uraz uległ pogorszeniu... nie, nie chciała nawet wyobrazić sobie, co by się wtedy stało.

- Bree?

Oderwała wzrok od jego hipnotyzującego spojrzenia i zaczerpnęła haust powietrza.

- Pokłóciłam się z tatą po przyjęciu w sobotę. Oświadczył mi, że dał Henry emu błogosławieństwo w staraniach o moją rękę. Powiedziałam mu, że nie chcę wychodzić za mąż, że chcę iść do college'u.

Gil przysunął się na sofie w jej kierunku.

- Wyobrażam sobie, że nie przyjął tego zbyt dobrze. -Nie.

Gil siedział z dłońmi splecionymi na kolanach. Zerknął na nią znowu i podejrzliwie zmarszczył brwi.

- Dlaczego więc byłaś wciąż zła następnego poranka? Czy coś innego się jeszcze wydarzyło?

Jej serce zatłukło się w piersi i szybko odwróciła twarz. Znał ją zbyt dobrze.

- Brianno, popatrz na mnie. Co jeszcze się stało? -Nic.

- Nigdy nie umiałaś dobrze kłamać. Czy chodzi o Colleen? -Nie.

Uchwycił jej brodę między palcami.

- Chciałbym wiedzieć, co cię zdenerwowało.

Wyszarpnęła się i z trudem podniosła z kanapy. Ból przenikający jej zeszywniałe mięśnie sprawił, że jęknęła, zachwiała się i próbowała złapać równowagę.

W mgnieniu oka Gil znalazł się przy niej. Gdy otoczył ją silnym ramieniem, zapragnęła jedynie zanurzyć się w jego ciepłe choćby na chwilę.

- Powiedz mi. - Jego oddech poruszał kosmykami włosów otaczających jej twarz.

Odepchnęła go i pokuśtykała w stronę kominka, wiedząc, że nie przestanie jej męczyć dopóki nie dopnie swego.

- Dobrze, powiem ci okrutną prawdę. Podśluchałam, jak ojciec oznajmił Samowi, że nie mamy się czym martwić, teraz, kiedy poślubisz Aurorę Hastings. Dzięki temu dostaniemy pożyczki bez

limitu, jako że staniemy się wkrótce częścią rodziny Hastingsów. - Ogarnął ją bezsilny gniew. Oparła się o gzyms kominka, marząc by wyszedł z pokoju, zanim ona jeszcze bardziej się obnaży ze swoimi uczuciami. Wyczuła, że Gil zbliża się do niej.

- Nie zamierzam poślubiać Aurory. - Jego cichy głos przyprawił ją o dreszcze. - Powiedziałem jedynie, że mogę rozważyć spotkanie się z nią przez jakiś czas, aż twój ojciec dostanie kredyt.

Obróciła się tak szybko, że zaskoczony zrobił krok w tył.

- Myślisz, że jest w porządku bawić się uczuciami dziewczyny tylko dla korzyści finansowych? Jakbyś się czuł, gdyby ktoś mnie tak traktował? - Odczuła satysfakcję, widząc jak oblewa go rumieniec. - Myślałam, że jesteś honorowym człowiekiem, Gil. Ale okazuje się, że nawet ty gotów jesteś zrezygnować ze swoich zasad, tylko po to, aby zyskać aprobatę ojca.

- Chcę być w porządku. - Grymas oburzenia przeciął jego oblicze. - Po tym wszystkim, co twój ojciec dla mnie zrobił, jak mógłbym odmówić mu tej jednej rzeczy, o którą prosi?

Założyła rękę.

- Po prostu, mówiąc „nie”.

Przysunął się bliżej. Jego poirytowanie wibrowało w powietrzu między nimi.

- Jeśli to takie łatwe, dlaczego ty nie sprzeciwisz się ojcu? Odmów Henryemu.

Jej gniew przygasnął i poczuła się nagle bardzo słaba. Pomysł, by tak po prostu sprzeciwić się ojcu, sprawił, że oblały ją zimne poty.

- A jednak, to nie takie proste, prawda Brianno?

Zanim zdążyła wymyślić jakąś odpowiedź, Gil szybko wyszedł przez otwarte drzwi balkonowe, zostawiając ją tak poruszoną, jak nigdy dotąd.

11.

Już po raz kolejny sen uleciał z powiek Gila. Wyglądało na to, że od czasu powrotu do Irlandzkich Łąk bezsenność stała się częścią jego życia. W sypialni na trzecim piętrze panował gorący zaduch, tak iż miał wrażenie, że ściany walą się na niego. Wskoczył z pościeli, założył spodnie, koszulę oraz buty i wyszedł na korytarz. Przejdzie się w chłodnym wieczornym powietrzu i sprawdzi, jak się ma Georgina. Tego dnia klacz wydawała się bardzo niespokojna, co często bywa u koni oznaką nadchodzącego porodu. Coś mówiło Gilowi, że dzisiaj przyjdzie jej czas.

Zszedł cicho tylnymi schodami i przez boczne drzwi wyszedł na zewnątrz. Podmuch świeżego powietrza rozluźnił napięte mięśnie jego ramion. Wziął głęboki wdech, delektując się zapachem kwitnących bzów. Księżyc był prawie w pełni. Idąc w kierunku stajni, Gil spacerował ścieżką biegnącą wzdłuż toru wyścigowego i rozkoszował się spokojem nocy.

Wszedł do ciemnego korytarza, jednak, gdy skręcił w boczną odnogę, zauważył w oddali słabe światło. Dochodziło z boksu Georginy.

Przyspieszył kroku. Latarnia kołysała się na haku ponad przegrodą klaczy. Serce Gila zabiło szybciej na dźwięk cichego głosu Brianny, przemawiającej łagodnym tonem do zwierzęcia. Chcąc przygotować się na pierwsze spotkanie od czasu ich ostatniej kłótni, Gil zerknął za drzwi boksu.

Brianna siedziała na słomie, trzymając w objęciach łeb klaczy. Kiedy padł na nią jego cień, spojrzała do góry.

- Georgina rodzi. - Jej zatroskane oczy wyrażały niepokój.

Gil otworzył drzwi i wszedł do boksu. Ominął rozpostarte na ziemi fałdy sukni i ukląkł przy Georginie. Szybko przebiegł dłonią jej wielki brzuch i pokiwał głową, gdy poczuł pod ręką przybierający na sile skurcz.

- Jak często wracają bóle?

- Co pięć minut. - Brianna nie przestawała głasnąć głowy konia. Pasemka włosów wyszły z jej warkocza i zawinęły się koło policzka. - Czy powinniśmy wezwać doktora Phelpsa?

- Nie ma potrzeby zakłócać jego spokoju o tej godzinie, jeśli nie dzieje się nic niepokojącego. - Przykucnął na piętach, gdy zobaczył, że klacz się odprężyła. - Czy wszystko przebiega normalnie?

- Tak mi się wydaje.

Gil wstał i wyskubał źdźbło słomy ze spodni.

- A co ty w ogóle tu robisz o tej porze? Wzruszyła ramionami, mówiąc:

- Nie mogłam spać. A odkąd tata zabronił mi przebywać w stadninie, to jedyna pora, kiedy mogę tu przyjść i nikt mnie nie przyłapie.

Gil się zaśmiał.

- Powinienem był wiedzieć, że nie będziesz umiała sobie tego odmówić. - Oparł ramię o drewnianą ścianę. - To może być długa noc. Jesteś pewna, że dasz radę?

Posłała mu pełne oburzenia spojrzenie.

- Czy kiedyś było inaczej?

- Nie, oczywiście. - Kącik jego ust uniósł się w delikatnym uśmiechu.

Rysy jej twarzy złagodniały.

- Pamiętasz tę noc, kiedy urodziła się Georgina? Kiedy czuwaliśmy całą noc, żeby pomóc Samowi przy porodzie?

- Jasne, że pamiętam. To było jedno z najwspanialszych doświadczeń w moim życiu.

Wspomnienia tamtego wieczora niespodziewanie powróciły po raz kolejny, uświadamiając mu nagle, w jak intymnych warunkach teraz przebywali, romantycznie oświetleni blaskiem latarni. Odsunął się od ściany i odchrząknął, mówiąc:

- Lepiej pójde zbudzić Sama. Możemy go potrzebować, jeśli coś poszłoby nie tak.

Zanim spuściła oczy, zdążył zauważyć w nich cień rozczarowania. Byłoby miło przeżyć to tylko we dwoje, ale Gil nie ufał sobie. Pamiętał jak po porodzie Georginy, pełna uniesienia Brianna rzuciła się w jego ramiona, z wielkiej radości tuląc się do niego. Wtedy, po raz pierwszy uświadomił sobie, że czuje do niej coś więcej niż tylko przyjaźń. Po raz pierwszy musiał walczyć z samym sobą, by jej nie pocałować. Nie chciał, żeby ta sytuacja się powtórzyła.

Gil skierował się do budynku, który nazywali „roboczą stajnią”, gdyż trzymano tam konie pociągowe. Kwatera Sama pogrążona była w ciemności. Gil zapukał i chwilę potem rozległo się stęknienie i skrzypnięcie łóżka. Sam otworzył drzwi, spojrzął na nocnego gościa i sięgnął po kraciastą koszulę wiszącą na haku za drzwiami.

- Georgina?

Gil pokiwał głową.

- Już czas.

Szli do stajni pośród niekrępującej ciszy. Sam wszedł do boksu, w którym cały czas siedziała Brianna. Gil czekał na korytarzu, kiedy starszy mężczyzna przeprowadzał dokładne badanie.

- To nie powinno już długo trwać - powiedział, wycierając rękę w ręcznik.

Ale parę godzin później optymistyczne prognozy Sama okazały się błędne. Georgina leżała wyczerpana powracającymi skurczami, które nie dawały pożądanego rezultatu.

- Co się dzieje, Samie? - Strach w głosie Brianny złamał spokój Gila. Położył rękę na jej ramieniu, żeby ją pocieszyć. Sam podrapał

się po głowie.

- Nie jestem pewien. Ten źrebak powinien się urodzić już dawno temu. Zbadam ją jeszcze raz i może trzeba będzie zadzwonić po lekarza.

Kiedy skończył, wyraz jego twarzy zdradzał, że dzieje się coś złego. Westchnął przeciągle, mówiąc:

- Brianno, dobrze by było, żebyś poszła na górę i zadzwoniła po doktora Phelps. Powiedz, żeby przyjechał tak szybko, jak będzie mógł.

Gil pomógł jej wstać. W oczach dziewczyny pojawiły się łzy, kiedy stwierdziła:

- Nie chcę jej tak zostawiać.

Gil strzepnął słomę z jej spódnicy.

- Nic jej się nie stanie do twojego powrotu. Poszedłbym zamiast ciebie, ale Sam może mnie potrzebować. A poza tym, załatwisz to szybciej niż ja.

- Dobrze. Zaraz wracam. - Wyszeptała jeszcze ostatnie słowa pocieszenia do ucha Georginy i wybiegła z boksu.

Kiedy jej kroki ucichły, Gil ukląkł, by pogłodzić łeb klaczy.

- Co jest nie tak, Samie? - zapytał cicho. Sam oparł rękę na biodrze i pokręcił głową.

- Nie lubię spekulować, zwłaszcza mając na uwadze, jak wielkie nadzieje wiązał pan O'Leary z tym źrebakiem. - Jego ramiona opadły i wydał długie westchnienie. - Nie jestem pewien, ale ten źrebak może być kulawy.

Gil poczuł, jak z przerażenia w gardle staje mu gula. James będzie wstrząśnięty, a dla Brianny to będzie druzgocące.

- Mam nadzieję, że się mylisz, Samie.

- Ja także, synu.

Słońce już zaczęło się podnosić, kiedy wreszcie przybył doktor Phelps. Ten siwowłosy mężczyzna o oczach nieokreślonego koloru był dyżurującym weterynarzem od zawsze, odkąd Gil sięgał pamięcią. Gil i Sam odetchnęli z ulgą, gdy wszedł do boksu, wiedzieli bowiem, że klacz jest teraz w dobrych rękach. Lekarz zrobi wszystko co w jego mocy, żeby zachować w zdrowiu matkę i źrebaka.

Gil i Brianna stali razem w korytarzu, patrząc na wszystko przez otwarte drzwi. Kiedy Brianna zaczęła dygotać od zimnego porannego powietrza, zauważył, że ma na sobie tylko cienką bluzkę.

- Gdzie twój szal? Wzruszyła ramionami.

- Chyba zostawiłam w domu.

Podszedł bliżej i otoczył ją ramieniem, by przekazać jej trochę własnego ciepła.

- Obudziłaś ojca?

- Nie. - Podniosła ku niemu zmęczone oczy. - Tylko by na mnie nakrzyczał za to, że tu jestem. Nie chciałam, żeby zepsuł ten moment. - Westchnąwszy, pozwoliła, by jej głowa opadła na jego ramię.

Nagły przypływ instynktu opiekuńczego dał o sobie znać i Gil objął ją mocniej. Chciał być tym jedynym, który chroniłby ją od każdej troski, każdego rozczarowania w życiu. Gdyby tylko James pozwolił mu spotykać się z Brianną. Ale, z wielorakich powodów, to nigdy nie mogło się wydarzyć.

Jakieś poruszenie zwróciło z powrotem jego uwagę na wydarzenia w boksie.

- Spokojnie, panienko. Prrr! - Sam uspokajał Georginę, która próbowała się podnieść. - Jeszcze nie skończyliśmy.

Z drugiej strony konia stał doktor Phelps z ręką wewnątrz klaczy. Krzywił się, próbując pomóc zwierzęciu podczas skurczu. Koń wydał głośne rzenie, a zaraz potem słychać było chlupot tryskających wód.

Brianna szarpnęła się, gotowa w każdym momencie wskoczyć do boksu, ale Gil silnymi rękami trzymał ją z daleka.

- Daj im czas.

Sam odsunął się, gdy Georgina przetoczyła się na nogi. Doktor Phelps pracował nad uwolnieniem żrebaka z worka owodniowego. Zaklął pod nosem, kiedy wyprostowawszy się, podparł się pod boki i spojrzał na ściółkę.

Briannie zrzęda mina.

- Co się stało? Czy z małym wszystko w porządku?

Doktor Phelps podniósł głowę. Smutek malujący się na jego twarzy mówił sam za siebie.

- Obawiam się, że nie. Ma zdeformowaną tylną nogę.

Nogi ugięły się pod Gilem. A jednak Sam miał rację. Zadrżał na myśl, co to będzie oznaczało dla Jamesa.

Brianna precyzyjnie się do boksu. Gil wszedł za nią, gotowy ją wyprowadzić, jeśli będzie to konieczne. Pomimo wadliwie rozwiniętej nogi, żreback dzielnie starał się wstać, podczas gdy matka zlizywała resztki płynu z jego sierści. Brianna uklękła na słomie obok niego, szepcząc słowa zachęty. Gil wiedział, że bardzo chciała go dotknąć, ale czekała, aż osiągnie równowagę - o ile to w ogóle było możliwe. W końcu żrebackowi udało się stanąć i Brianna klasnęła w dłonie.

- Och, jest taki piękny! Kasztanek po mamie. I ma białe skarpetki. Jak cię nazwiemy, mały?

Gil poczuł w piersi ucisk bólu, wiedząc, co ma się wydarzyć. Delikatnie podniósł ją z klęczek, podtrzymując dłonią jej rękę.

- Nie będziemy nadawać mu imienia, Bree. - Słowa ugrzęzły mu w gardle. Życie było takie niesprawiedliwe.

- O czym ty mówisz? Oczywiście, że damy mu imię.

W korytarzu zagrzmiały głośnie kroki. Choć jeszcze nikogo nie było widać, Gil wiedział, że to James. Jego podły nastrój miał za chwilę jeszcze bardziej się pogorszyć.

- Brianno O'Leary, cóż ty, do licha, robisz w stajni, skoro wyraźnie zakazałem ci tu przychodzić?

Gniewny wyraz ustąpił miejsca wstrząsowi, gdy jego wzrok spoczął na zdeformowanej nodze nowonarodzonego źrebaka.

- Na Świętego Hioba! - Krew odpłynęła mu z twarzy.

Sam, stojący najbliżej drzwi, wyciągnął rękę, by go uspokoić.

- Przykro mi, Jamesie.

Doktor Phelps wytarł już ramiona i ręce dużym ręcznikiem, a teraz pakował torbę.

- Nie mogliśmy nic zrobić. Naprawdę szkoda, bo byłby piękny. Brianna zjeżyła brwi.

- Zachowujecie się tak, jakby ten źrebak umierał. Ma wykręconą nogę, ale poza tym jest zdrowy. - Wodziła wzrokiem od weterynarza do Sama i dalej na ponurą twarz ojca, by w końcu zatrzymać spojrzenie na Gilu. Ich spojrzenia spotkały się. Kiedy wpatrywał się w jej szerokie, pełne niepewności oczy, słowa zamarły na jego ustach. Może wcale nie pomagał Briannie, chroniąc ją przed tą okrutną stroną interesu, jakim była hodowli koni. Gil nie mógł znieść myśli, że to on miałby jej powiedzieć, co się stanie z tym źrebakiem. Potrząsnął głową, w milczeniu błagając ją o zrozumienie.

James jakby się obudził.

- Wyprowadźcie go z dala od matki. Idę po strzelbę.

Gil mocniej uchwycił ramię Brianny, przewidując, że albo rzuci się w stronę konia, albo zemdleje.

- O czym ty mówisz? - wrzasnęła, starając się uwolnić. James nie zwrócił uwagi na jej pytanie, tylko wyszedł szybko

z boksu. Brianna wyrwała się z uścisku Gila i pobiegła za nim.

- Tato, poczekaj!

Dobry Boże, daj jej siłę znieść to. - Cicha modlitwa towarzyszyła Gilowi, kiedy ruszył za nią.

Brianna rzuciła się na ojca, łapiąc go za rękę.

- Nie zabijesz tego maleństwa! - Jej rozhisteryzowany głos rozbrzmiewał w całej stajni.

Kiedy Gil ich dogonił, James obrócił się, żeby spojrzeć na córkę. Zobaczył ból wyryty w zmarszczkach wokół oczu Jamesa i zdał sobie sprawę, jak wiele go to kosztuje.

- Nie kłóć się ze mną, dziewczyno. Trzeba uśmiercić tego źrebaka. Z tą kulawą nogą nie jest nikomu potrzebny.

- Nie jest niepotrzebny! - wykrzyczała. - Może nie będzie czym-pionem w wyścigach, ale ma swoją wartość!

Czerwone plamy naznaczyły jego policzki.

- Nie będę płacił za chów zwierzęcia, które będzie tylko prze-rośniętym pupilkiem. Nie przyda się nawet jako koń pociągowy. I nikt nie będzie chciał go kupić jako konia wyścigowego. Nie stać nas, by go utrzymywać.

James szedł dalej korytarzem w stronę zamkniętej szafki, w której trzymał strzelby. Gil poszedł za nim.

- Z pewnością jest jeszcze inne rozwiązanie - zagadnął niepewnie. - Wybadam, kto mógłby go chcieć. Może ktoś potrzebuje konia dla dzieci.

James potrząsnął głową.

- Nikt go nie kupi. Możesz mi zaufać.

Brianna precisnęła się obok Gila i podbiegła do ojca.

- Nie pozwolę ci na to! Nie możesz zamordować niewinnego zwierzęcia! - Powietrze rozdarł potworny szloch. - Tato, proszę! - Zawodziła takim żalem, że serce Gila o mało nie rozpadło się na kawałki.

Kiedy James ją zignorował, zwróciła dzikie spojrzenie w stronę Gila, chwytając palcami jego koszulę na piersiach.

- Gil, zrób coś! Nie pozwól mu tego uczynić! - Opadła na kolana na brudną podłogę, kiedy szloch na nowo wstrząsnął jej ciałem. - To, że nie jest idealny, nie uprawnia taty do zabicia.

Jej cierpienie stało się jego własnym. Czuł, że płuca ma tak ściśnięte, że zaraz zabraknie mu powietrza. Klęczał koło niej, ramieniem obejmując jej dygocące ramiona.

- Chodź, Bree. Wejdziemy do środka. - Musiał wyprowadzić ją z dala, zanim James odda śmiertelny strzał.

Jej głowa drgnęła, a twarz opuchnięta od płaczu zwróciła się w jego stronę. Złapała go za rękę niczym imadło.

- Gil, proszę. Zatrzymaj go.

Jego myśli wirowały z zawrotną prędkością, szukając sposobu, by zapobiec nadchodzącej katastrofie. Nie mógł wytrzymać myśli, że zawiedzie Brianę, tak jak zawsze czynił to jej ojciec.

Panie, pokaż mi jakieś rozwiązanie. Co można teraz dla niej zrobić?

James otworzył szafkę i wyjął strzelbę. Oparł ją o ścianę, szukając naboju. Czy nie dostrzegał, że jego córka umiera z rozpacz? Czy w ogóle przejął się jej żalem?

Gil przystąpił do Jamesa chwiejnym krokiem w momencie, kiedy ten sięgał po broń.

- Ja go wezmę.

James zamarł i przeszył Gila ponurym spojrzeniem. - Co?

- Kupię od ciebie tego żrebaka. James prychnął, mówiąc:

- Nie bądź głupi, chłopcze. I tak cię na niego nie stać. - Podszedł, by chwycić strzelbę, ale Gil stanął na jego drodze.

- Mam trochę oszczędności. Dam ci uczciwą cenę. Lepszą niż jakakolwiek oferta, którą byś otrzymał.

James zatrzymał się, by na niego spojrzeć.

- Oszalałeś? Co zrobisz z kulawym koniem?

Musiał być rzeczywiście szalony. Spora suma, którą odłożył na założenie własnej farmy zmarnuje się na zwierzę, które będzie raczej obciążeniem niż inwestycją. Ale czuł, że właśnie to należało

teraz zrobić. Przywrócenie uśmiechu na twarzy Brianny warte było każdego ceny.

- Znajdę dla niego jakieś miejsce, w którym mógłby się przydać.

James westchnął głośno, potrząsając głową.

- Jeśli jesteś na tyle głupi, żeby zapłacić za niego i za jego utrzymanie, czemu miałbym odmówić dobrego zarobku?

Gila zalała fala ulgi. Kiedy opadło napięcie, poczuł, że nogi ma jak z waty.

Mamrocząc coś pod nosem, James odstawił strzelbę razem z nabojami do szafki i zamknął drzwiczki.

- Spotkamy się w domu i omówimy szczegóły. - Popatrzył dziwnie na córkę klęczącą na ziemi, odwrócił się i wymaszerował ze stajni.

Zaraz po jego wyjściu, Brianna skoczyła na nogi i rzuciła się w ramiona Gila, śmiejąc się i płacząc jednocześnie. Napięcie uchodziło z jego ciała, kiedy tulił ją w ramionach i zanurzał twarz w jej włosach. Trzęsące się ramiona dziewczyny wskazywały, że nadal płacze. Trzymał ją, aż drzenie ustało, sycąc się jej słodką bliskością.

Wreszcie, otarła twarz rękawem i odsunęła się, by na niego spojrzeć. Chociaż jej włosy porozrzucane były w nieładzie, policzki jeszcze wilgotne, a rzęsy nad zapuchniętymi oczami wciąż mokre, nigdy nie wydawała mu się piękniejsza. Była niczym anioł, walczący o bezbronne zwierzęta.

- Dziękuję ci, Gil - wyszeptwała. Jej szeroko otwarte oczy były pełne wzruszenia. - Nie masz pojęcia, jak wiele to dla mnie znaczy.

Zdobył się na półuśmiech.

- Oj, też mi się tak wydaje. - Jednym palcem strącił kosmyk włosów z jej twarzy, walcząc z siłą uczuć kłębiących się w nim jak szalone.

Prawda, którą zbyt długo wypierał ze świadomości, nie mogła już dłużej być ukrywana. Był na dobre zakochany w Briannie. Być może zawsze był - i zawsze będzie.

Zanim zrobiłby cokolwiek, czego mógł potem żałować, rozmyślnie cofnął się o krok, byle dalej od tego przyciągania.

- To była długa noc. Chodźmy zobaczyć do żrebaka, zanim wybierzemy się na spoczynek.

Gdy tylko Gil się odsunął, Brianna miała wrażenie jakby jej oddech ustał. Mogła być nieprzytomna z braku snu, nerwowo wyczerpana szturmem uczuć, który dopiero przeszła, ale była pewna tego, czego właśnie doświadczyła.

Niepozostawiający żadnych wątpliwości glód w oczach Gila odpowiadał jej własnej tęsknocie. A po tym, co dla niej zrobił, była tego bardziej niż pewna. Dowód był jasny jak słońce wstające ponad oddalonymi łąkami.

Gil ją kochał.

Dokładnie zdawał sobie sprawę, co by dla niej znaczyło uśmiercenie tego żrebaka i kupił konia, aby ocalić ją od cierpienia. Wezbrała w niej ogromna fala miłości.

- Och, Gil.

Stając na palcach i opierając ręce na jego piersi, poszła za głosem serca i zbliżyła swoje usta do jego warg.

Nareszcie, westchnęła w myślach. Smakował właśnie tak, jak sobie wyobrażała. Był męski i ciepły - upajający. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że ani jeden mięsień Gila nie drgnął. Jego ciało przestało być miękkie i niosące pocieszenie, a stało się sztywne jak drewniana belka za jego plecami. Otworzyła oczy i ujrzała jego przerażone spojrzenie. Przecież nie mógł być tak wstrząśnięty jej zachowaniem...

Odsunęła się, a rozpacz zalała jej duszę. Może źle go zrozumiała. Może myśl o pocałunku z nią przepełniała go odrazą. Zażenowanie paliło ją na twarzy.

- Prze-przepraszam.

Próbowała zrobić krok w tył, ale jego ręce zacisnęły się na jej ramionach. Jęknął, przyciągnął ją do siebie i ponownie złączył swoje usta z jej wargami.

Jej serce wznosiło się i obijało o żebra niczym ptak uwięziony w klatce, pragnący wzbić się do lotu. Wtopiła się w niego i oddała pocałunek, wkładając w niego każdy gram uczucia, jakie w niej było, rozkoszując się dotykiem jego dłoni w jej włosach opadających na ramiona. Wydał kolejny jęk, a potem silny strumień zimnego powietrza wdarł się pomiędzy nich, kiedy gwałtownie odsunął ją od siebie.

- Brianno, nie. Nie możemy.

Odurzona, nieco chwiejąc się na nogach, skupiła swój wzrok na jego twarzy. Zaniepokoiło ją udręczenie odmalowane w błękitnych oczach.

- Co się stało?

Cofnął się i oparł o ścianę stajni, tak jakby nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

- To nie w porządku. Twój ojciec traktuje mnie jak syna, jak twojego brata.

Poczucie krzywdy wzbierało i gniew zaczynał kipieć w jej sercu. Po raz kolejny jej ojciec niszczył coś pięknego w jej życiu. Zacisnęła dłonie, wbijając paznokcie w skórę aż do bólu.

- Nie obchodzi mnie co myśli mój tata. Ty *nie* jesteś moim bratem.

Gil zanurzył palce we włosach, przeczesując ciemne loki.

- Przepraszam, Bree. Po tym wszystkim, co dla mnie uczynił, nie mogę zawieść w ten sposób jego zaufania. Proszę, zapomnijmy, że to się w ogóle wydarzyło.

Oderwał się od ściany i szybko ruszył w głąb korytarza, podrywając w powietrze kurz i kawałki słomy.

Brianna zagryzła wargi, powstrzymując odruchową chęć pójścia za nim, by go wyprowadzić z błędu. Potrzebował czasu, żeby się uporać z tym, co się między nimi wydarzyło. Objęła się w pasie rękami, by zatrzymać ciepło jego ramion i rozkoszną prawdę, która paliła jej serce.

Kochała Gila i on także ją kochał.

Pomimo jego odrzucenia, strumyczek szczęścia wyrzeźbił w jej sercu wyraźny ślad. Pocałowała Gila, a on odwzajemnił pocałunek - nie było co do tego wątpliwości. W końcu uzyskała odpowiedź, której pragnęła. Zależało mu na niej bardziej niż na siostrze, nawet jeśli nie umiał się do tego przyznać. Palcem dotknęła lekko spuchniętych warg i pozwoliła, by dreszcz tego pocałunku przeszył ją na nowo. Nie liczyło się dla niej to, że jego rozsądek przeważał i ją odepchnął. Ich wzajemne uczucia w końcu wygrają - była tego pewna. Poza tym, tata i tak traktował już Gila jak syna. Dlaczego nie miałby go usynowić jako zięcia?

Myśl o pragnieniu pójścia do college'u na chwilę przyprawiła ją o niepokój, ale zaraz odsunęła go o siebie. Gil wiedział, jak ważna była dla niej dalsza edukacja. Na pewno na nią poczeka. Będzie miał także czas, by odłożyć pieniądze na swoją farmę.

Unosząc się na fali szczęścia, wróciła do boksu Georginy. Chciała upewnić się, że maluszek i matka nawiązali wzajemną relację. Kiedy nadeszła, przed boksem został już tylko Sam.

- Jak sobie radzi? - zapytała, zerkając do środka.

Sam ręką wskazał na matkę i drobnego żrebaka, który łapczywie ssał mleko.

- Jak widzisz, ma się świetnie. Jej serce rosło.

- Czyż nie jest wspaniały? Pomyśleć tylko, że tata chciał się go pozbyć.

Sam odwrócił się i badawczo jej przyjrzał.

- Co sprawiło, że zmienił zdanie?

Uśmiechnęła się czule na wspomnienie cudownego gestu Gila.

- Gil zaproponował, że go kupi.

- To przechodzi ludzkie pojęcie! - Sam podrapał się po głowie, a jego ogorzała twarz przybrała speszony wyraz. - Ten chłopak jest niesamowity.

Wybuchnęła śmiechem.

- Tak jest, Samie. Tak właśnie jest.

12.

Gil szedł na oślep wiejskimi drogami wijącymi się pomiędzy posiadłościami Long Island, zbyt poruszony, by skupiać się na czymkolwiek innym niż marsz. Musiał pokonać dobre parę mil, zanim zawrócił i zaczął zmierzać z powrotem w stronę domu. Jednak jego stan emocjonalny niewiele się zmienił w porównaniu do tego sprzed dwóch godzin. Z wściekłością kopnął kamień na ścieżce w kierunku kępy drzew. Jak to się stało, że jego życie tak nagle wymknęło się spod kontroli? W przeciągu paru godzin kupił kulawego konia i całował się z Brianną O'Leary - a przecież obiecywał sobie, że nigdy do tego nie dopuści.

A teraz już nie może niczego cofnąć. Już nigdy nie zapomni smaku jej słodkich ust, zapachu jej włosów i ciepła jej ciała w jego ramionach. Zdarzało mu się wcześniej całować parę dziewcząt, co było miłe, ale w niczym nie przypominało tego odmieniającego jego życie doznania. W momencie kiedy jej usta dotknęły jego warg, wiedział, że świat już nigdy nie będzie taki sam. Żadna inna kobieta nie mogła w nim wzniecić tak poruszającego odczucia. *Jestem skończony.*

Gil wspiał się na wzgórze i dostrzegł w oddali rezydencję państwa OTeary. Zgarbił się. Jego ciało, teraz równie znużone jak jego dusza, gorąco pragnęło zapaść w sen. Nie było sensu już dłużej odkładać nieprzyjemnego obowiązku spotkania z Jamesem.

Powlókł się do domu i zastał go siedzącego przy biurku w gabinecie. Westchnął z ulgą, że nigdzie w pobliżu nie dostrzegł Bree.

O'Leary popatrzył na niego znad księgi rachunkowej.

- Tu jesteś, chłopcze. Już myślałem, że zmieniłeś zdanie.

- Nie, sir, nie zmieniłem - powiedział cicho.

James powoli odłożył pióro, zakorkował buteleczkę atramentu i złożył ręce na zamkniętej już księdze.

- Usiądź, Gilbercie. Myślę, że musimy porozmawiać.

Gil rzadko widział, żeby James był tak poważny. Wzbierało w nim przerażenie, kiedy niechętnie usiadł na jednym ze skórzanych foteli z drugiej strony biurka.

- O źrebaku...

- Częściowo tak. Ale przede wszystkim o twoich uczuciach do mojej córki.

Gil znieruchomiał. Bardzo chciał coś powiedzieć, ale ponieważ nie przychodziło mu do głowy nic właściwego, siedział w milczeniu.

- Powiedz mi, Gilbercie Whelanie, od jak dawna jesteś zakochany w Briannie?

Gil drgnął, tak jakby mężczyzna go uderzył. Zbielałymi knykciami ścisnął skórzane podłokietniki.

- Nie wiem, o czym...

- Nie jestem ślepy, chłopcze. Widziałem, co się stało w stajni. I wiem dlaczego zgodziłeś się kupić źrebaka. Chciałeś uratować sytuację dla Brianny, oszczędzić jej cierpienia. Zaiste szlachetny gest. Zachowanie godne zakochanego.

Gil chciał się sprzeciwić, ale wyschnięty na wiór język przykleił mu się do podniebienia. Ciszę przerywało jedynie miarowe tykanie zegara.

James pochylił się ponad blatem biurka.

- Nie staraj się zaprzeczać. Rozpoznaję te oznaki, bo tak samo było z moją Kathleen. - Jego twarz złagodniała, jak to często bywało, kiedy mówił o swojej żonie.

W sercu Gila pojawiła się iskierka nadziei. Może James mógłby wykazać zrozumienie dla jego sprawy?

- Ja... ja nie wiem, co powiedzieć, sir. Oczy Jamesa zwęziły się.
- Chcę, żebyś odpowiedział mi na jedno pytanie. I oczekuję prawdy. Czy... okazałeś jej swoje uczucia?

Gil bezskutecznie próbował opanować falę ciepła wypływającą na jego twarz na samo wspomnienie ich pocałunku. Z pewnością nie zamierzał dzielić się tym z panem OTeary.

- Nigdy nie mówiłem nic Briannie o swoich uczuciach.
- A więc nie mieliście romansu w ukryciu przede mną? Oburzenie wstrząsnęło Gilem.

- Oczywiście, że nie. James odetchnął głęboko.

- Dzięki Bogu. Nie jest jeszcze za późno.

*Za późno*⁷. *Co to ma oznaczać?* Gil przełknął ślinę i wstał, mówiąc:

- Panie OTeary, wiem, że nie posiadam wielu atutów, ale mam wielkie plany na przyszłość. W ciągu roku powinienem zaoszczędzić wystarczająco dużo pieniędzy, żeby zakupić swoją własną posiadłość.

Twą Jamesa skamieniała. Odsunął w tył krzesło i podnosząc rękę, rzekł:

- Pozwól, że na tym skończymy. - Powoli, jakby ważył każde słowo, obszedł biurko i stanął obok niego. - Gilbercie, wychowałem cię na łonie mojej rodziny. Uważałem cię za syna i, praktycznie rzecz biorąc, rodzeństwo dla moich dzieci. Uwzględniłem cię nawet w testamencie. Byłoby prawie kazirodstwem, jeślibyś żył w związku z Brianną.

Dłonie Gila zacisnęły się w pięści w geście bezsilnej frustracji.

- Ale nie jesteśmy spokrewnieni - ani biologicznie, ani prawnie, sir. Nie wiem, dlaczego...

James wyprostował się całkowicie, górując nad nim wzrostem, z rękami założonymi na piersi.

- W świetle takiego rozwoju zdarzeń, Gilbercie, uważam, że lepiej byłoby dla ciebie przyjąć propozycję pracy w banku złożoną ci przez Arthura Hastingsa. - Żołądek podszedł Gilowi do gardła. Oniemiały, opadł z powrotem na fotel. - Możesz wrócić do miasta i zacząć oficjalnie spotykać się z jego córką. W międzyczasie, Brianna nadal będzie widywać się z Henrym Sullivanem. Spodziewam się, że ogłoszą swoje zaręczyny podczas jej osiemnastych urodzin za dwa tygodnie. - Rzucił Gilowi długie spojrzenie.

- Odległość dobrze zrobi wam obojgu. Gil odczuł nagły zawrót głowy.

- A więc, jestem godny, by dziedziczyć twój majątek, ale niegodny, by poślubić twoją córkę? - Słowa okazały się dużo ostrzejsze, niż zamierzał.

- To nic osobistego, synu. Potrzebuję bogactwa i statusu społecznego, które może wnieść rodzina Sullivanów, sam rozumiesz.

- Poklepał Gila po plecach, a potem obszedł biurko i wrócił na swoje miejsce. - Jeśli nadal jesteś zdecydowany kupić tego żrebaka, dam ci wyjątkowo korzystną cenę. - Odkorkował atrament i zanurzył pióro, okazując tym gestem lekceważenie wobec rozmówcy.

Gil niepewnie, próbując poradzić sobie ze wszystkim, co zostało do tej pory powiedziane, z żalem serca musiał przyznać, że James miał rację. Gil nie potrafił sobie wyobrazić codzienności z Brianną po tym, co między nimi zaszło.

- Porozmawiam z panem Hastingsem, ale chciałbym zostać aż do urodzin Bree. Nie przeżyłaby tego, gdybym wyjechał wcześniej.

- W porządku. - James rzucił na niego okiem. - Bez urazy, mam nadzieję, że to rozumiesz, synu.

Gil zacisnął usta, starając się nie pokazać po sobie, że sytuacja wymknęła mu się spod kontroli. Poranne promienie słońca sączyły się przez okno, oświetlając surowe linie na twarzy Jamesa.

Gil zmrużył oczy wobec ostrego światła prawdy, które skutecznie rozproszyło wszelkie złudzenia, jakie miał na temat swojego miejsca w tej rodzinie.

Przełknął gorzkie poczucie rozczarowania.

- Oczywiście, sir. Wyraził pan jasno swoje stanowisko. Wiem teraz dokładnie, gdzie moje miejsce.

Brianna wtargnęła do gabinetu ojca bez pukania.

- Tato, czy widziałeś Gila? Nie mogę go nigdzie znaleźć.

Minęły trzy dni od narodzin żrebaka, trzy dni od ich cudownego pocałunku, a Brianna ani razu nie widziała Gila dłużej niż przez pięć minut. Była zdecydowana porozmawiać z nim dzisiaj i dowiedzieć się, jak naprawdę mają się sprawy między nimi.

Ojciec spojrzał na nią znad papierów.

- Zdaje się, że pojechał do miasta, żeby spotkać się z Arthurem Hastingsem.

Ogarnęło ją złe przeczucie.

- Dlaczego miałyby to robić?

Tata zdjął okulary i podrapał się po grzbiecie nosa.

- Nic ci nie powiedział? Arthur zaproponował Gilowi pracę w swoim banku na Manhattanie. Podejrzewam, że właśnie omawiają szczegóły.

Pokój zawirował wokół niej. Przytrzymała się oparcia fotela, by nie upaść.

- To nie może być prawda. Gil nie mógłby chcieć pracować w banku.

- Jest młodym, bardzo ambitnym mężczyzną, Brianno. Nie możemy oczekiwać, że zostanie tu z nami na zawsze. Arthur zauważył jego talent i chciał go przyuczyć do prowadzenia swojego interesu. To ma sens - zwłaszcza teraz, kiedy Gil spotyka się z jego córką.

Nagły wstrząs na chwilę ją sparaliżował, ale zaraz wezbrał w niej ogromny gniew, rozwiązując język.

- Gil *nie* spotyka się z Aurorą Hastings. Ojciec posłał jej spojrzenie pełne dezaprobaty.

- Ogłosił to oficjalnie wczoraj. Zdaje się, że cała rodzina jest zachwycona.

Brianna szarpnęła za kołnierz bluzki, który zaczął ją nieznośnie uwierać.

- Mylisz się. Gil nie interesuje się Aurorą. Wydał z siebie długie sapnięcie.

- Aurora jest piękną młodą panną z bogatej rodziny. Czy znalazłby lepszą partię?

- Gil kocha mnie! - Słowa płynęły z jej ust potokiem rozpaczliwego oburzenia.

Ojciec zmarszczył brwi.

- Przestań fantazjować, Brianno. Gil kocha cię jak siostrę. Nic ponad to.

Trująca mieszanka złości i zazdrości przetoczyła się przez jej żyły.

- Nie masz racji - powtórzyła. - Gil całował mnie tak, jak mężczyzna całuje kobietę, którą kocha.

Podarwał głowę, dając tym samym Briannie poczucie drobnego zwycięstwa.

- Tak, tato. Gil kocha mnie, a ja kocham jego. Połączy nas wspólna przyszłość, zobaczysz.

Twarz ojca zmieniła się w kamień. Uderzył dłonią w wypolerowany blat biurka.

- Nie chcę więcej o tym słyszeć. Wybij sobie z głowy te absurdalne pomysły i skup się raczej na Henrym, twoim przyszłym mężu.

Palce Brianny zacisnęły się w pięść, tak, że paznokcie wbijały się jej głęboko w skórę. Najchętniej roztrzaskałaby coś na kawałki. Stłukłaby jeden z cennych trofeów ojca. Pragnęła skrzywdzić go

tak, jak on zawsze ją krzywdził. Zamiast tego, mocno przygryzła dolną wargę, aż smak krwi przywrócił jej zdrowy rozsądek.

Kiedy tylko wyjaśni z Gilem to nieporozumienie, udowodni ojcu, że ich miłość jest czymś czystym i uświęconym przez Boga, czymś, czego nie zniweczy chciwość taty.

Miłość wszystko zwycięży. Była tego pewna.

Unikając Brianny, Gil stopniowo umierał - podzielał los, na który z pewnością zasłużył. Starł pot z czoła rękawem koszuli, w milczeniu wyrzucając sobie, że jest najgorszym tchórzem. Niewygodna prawda tkwiła w nim jak ostrze wbite pomiędzy jego łopatki. Nie miał odwagi spojrzeć jej w oczy po tamtym pocałunku.

Odwagi, by powiedzieć jej, że wyjeżdża.

Po dwunastu godzinach pracy z końmi oraz intensywnej jeździe wokół posiadłości O'Learych - choć to nie pomogło pozbyć się poczucia winy i frustracji - Gil kończył szcztokować sierść Monarchy, wściekły, że nic nie może wymazać Brianny z pamięci.

Głośno wypuścił powietrze, sprawiając, że drobinki kurzu roztańczyły się wokół niego. Jego myśli wróciły do rozmowy, którą nieumyślnie podsłuchał dzień po tym, jak James wygonił go z Irlandzkich Łąk. Gil starał się uciec przed Brianną, przemykając ukradkiem do kuchni przez wejście dla służby, gdy usłyszał głosy dochodzące z tylnej werandy.

- Domyślam się, że uważasz mnie za potwora, dlatego że nie pozwoliłem Briannie ciągnąć tych romantycznych marzeń. - Baryton Jamesa był wyraźnie słyszalny z miejsca, gdzie stał Gil, przyparty plecami do ceglanej ściany.

- Nie za potwora, kochanie. Ale chciałabym wiedzieć, co masz przeciwko temu, żeby Gil spotykał się z Brianną.

- Ten chłopak dorastał w naszym domu niczym brat dla naszych

dzieci. To jak kazirodztwo, Katie. To jak zdrada. Gil wzdrygnął się, jakby James go uderzył.

- Mówisz tak, jakby specjalnie uknuli podstępny plan, by cię zranić. Czasem miłość dopada znienacka. Nie pamiętasz już, jak to było z nami?

- Pamiętam - odpowiedział chropowatym głosem. - Pamiętam także, jak mój ojciec z trudem przecierał sobie drogę wyjścia z brudu ubóstwa, walcząc z dyskryminacją, kiedy przy każdej okazji wytykano mu, że jest biednym Irlandczykiem. Wiesz, jak dużo czasu zajęło nam osiągnięcie powszechnego poważania, Katie.

Ciężkie kroki zadudniły na werandzie i Gil wyobraził sobie Jamesa przemierzającego ją niczym uwięziony w klatce lew.

- Przysiągłem sobie, że moje dzieci nigdy nie zazną tego rodzaju trudów. Że nasze córki poślubią szanowanych, bogatych mężczyzn o dobrej pozycji społecznej. Czy tego chcesz, czy nie, Gilbert jest synem ubogiej pracownicy, skazanym na dożywotnie zmagania. Nie chcę tego dla Brianny.

- A co z tym, czego pragnie Brianna?

Gil wstrzymał oddech, gwałtownie wbijając palce w cegły za jego plecami. James prychnął.

- To marzycielka. Chce iść do college'u, żeby „rozwijać się intelektualnie”. A potem, poślubić chłopaka bez grosza przy duszy. Skąd ona bierze takie pomysły?

Kroki pani O'Leary także zabrzmiały na tarasie.

- Nasze dzieci będą popełniać błędy, Jamesie, i wybierać inne drogi niż te, które byśmy dla nich chcieli. Możemy je prowadzić, ale nie możemy na nich niczego wymuszać.

- Naprawdę? A czy ty nie wymuszasz na nich swojej religii?

- To co innego. Staram się uratować ich dusze.

- Ty ratujesz dusze, Katie, ja zajmę się resztą. Podtrzymuję swoją decyzję. Brianna poślubi Henry'ego Sullivana.

Zatem zgasł ostatni płomyk nadziei, pozostawiając Gila bezradnego. Pani OTeary była jedyną osobą na świecie, która mogłaby zmienić zdanie Jamesa, ale nawet jej się nie udało.

Szczęśliwie lub nieszczęśliwie - Gil sam nie był pewien - pan Hastings nie podzielał negatywnego zdania Jamesa na temat nazwiska Whelanów. Uradował się bardzo zmianą decyzji Gila i chętnie zaproponował mu początkowe stanowisko w Hastings Bank and Loan Company. Dał mu także przyzwolenie na spotkanie się z Aurorą. Najwidoczniej, Arthur nie miał co do Gila jako potencjalnego zięcia takich zastrzeżeń jak James - może dlatego, że nie miał nikogo innego, kto by poszedł w jego ślady.

Stąd też, rodzina Hastingsów zaprosiła Gila tego wieczoru na kolację w Belwederze, ich letniej rezydencji. Pan Hastings obiecał wysłać po niego samochód dokładnie o szóstej, co znaczyło, że miał mało czasu na przygotowanie się.

Gil odrzucił nieistotne rozważania i wyszedł z boksu, zamykając zasuwę z delikatnym metalicznym stuknięciem. Gnany pośpiechem, nie zauważył zawczasu Brianny stojącej w głównym korytarzu. Stał jak wryty, kiedy się zorientował, że już nie uniknie konfrontacji.

Stała, blokując wyjście, z rękami założonymi na piersiach w geście zaciętości. Za jej plecami wiatr unosił kurz i słomki w spirale, w szalonym tańcu wpadające przez otwarte drzwi. Złowieszcze chmury mknęły po niebie, otaczając głowę Brianny niby rama obrazu.

- Dlaczego mnie unikasz? - Jej słowa zadźwięczały wśród pustych ścian.

Mowa, którą ćwiczył na taką ewentualność, całkowicie uleciała mu z głowy.

- Byłem zajęty. - Schylił się, by podnieść zwój liny i zawiesić go na haku na ścianie.

- To prawda? - Nieskrywane emocje tańczyły w głębi jej oczu.

Przygotował się na zadanie ciosu.

- Tak.

Zakryła usta ręką, tłumiąc krzyk. Poczł ukłucie piersi, jakby wycelowala i wypuściła strzałę w jego kierunku, ale wytrzymał to.

Jej ręka opadła, zaciśnięte pięści odznaczały się wyraźnie na tle niebieskiej sukni.

- Chcę, żebyś to powiedział na głos.

Oblizal usta, starając się nawet nie mrugnąć okiem. Musiał być silny, przekonać ją, że to było dla nich jedyne rozwiązanie.

- Przyjąłem pracę w banku Hastingsa. I zacząłem spotykać się z Aurorą.

Zachwiała się, ale opanowała słabość.

- Dlaczego, Gil? - Jej udręczony szept zawisł w przestrzeni pomiędzy nimi.

- Myślę, że wiesz dlaczego.

- Mój ojciec. - Te słowa wystrzeliły z jej ust jak pełne jadu szyderstwo.

Pokiwał głową.

- Możesz się z nim nie zgadzać, ale on po prostu troszczy się o ciebie. Chce dla ciebie lepszej przyszłości, lepszej, niż ja mógłbym ci zapewnić.

Zrobiła parę szybkich kroków w jego stronę i gwałtownie rozłożyła ręce.

- Nie rozumiesz?! Nie zależy mi na pieniądzech czy statusie społecznym. Żadna z tych rzeczy nie uszczęśliwi mnie tak, jak życie z tobą.

Dobry Boże, jak mogę walczyć z taką prostotą, z taką pasją? Pragnął przyciągnąć ją do siebie i nigdy nie puszczać, ale musiał skłonić ją, by zaakceptowała obecny stan rzeczy.

- Sprzeciwianie się woli ojca cię nie uszczęśliwi, Bree. Zniszczy twoją rodzinę. Wywoła rozłam, którego nie da się naprawić.

Nie mogę im tego zrobić - dla ciebie nie mogę. - Wziął głęboki wdech. - Zatem dopóki twój ojciec nie zmieni zdania, tak musi być.

Wiedział, że ta prawda do niej dotarła, kiedy ujrzał, jak się skuliła, a blask w jej oczach przygasł. Jego serce krwawiło, ale włożył ręce do kieszeni, żeby przypadkiem nie starać się jej dosięgnąć.

- Zostanę do twoich urodzin, a potem przeprowadzam się na dobre do miasta. Tak będzie lepiej dla wszystkich.

Pochylił głowę, by ukryć napełnione łzami oczy, ominął ją i wyszedł ze stajni. Zaczął padać deszcz. Wielkie krople w ciągu kilku sekund zupełnie przemoczyły jego koszulę. Kiedy był w połowie drogi do domu, usłyszał pełne cierpienia zawodzenie Brianny i resztki jego opanowania rozpadły się w proch. Żal wybuchł jak grzmot i zmieszał się z deszczem ciekącym po jego twarzy.

Stracił Briannę, stracił Irlandzkie Łąki - wszystko dlatego, że nie umiał odeprzeć pokusy jej pocałunku.

Zasługiwał na to, by już do końca życia być nieszczęśliwym.

13.

Colleen postukiwała nogą w rytm muzyki, próbując udawać zadowolenie z zabawy podczas urodzin Brianny. Nie po to, żeby jej siostra w ogóle to zauważała. Brianna jeszcze nigdy w życiu nie wyglądała równie nieszczęśliwie. Zapewne przybita była nieuchronnie zbliżającym się dniem wyjazdu Gila. Wyjątkowo zaskakujący obrót spraw, trzeba przyznać.

Tym bardziej szkoda, że Colleen nie miała nawet okazji skraść jego pocałunku. Wachlowała rozpalone od tej myśli policzki. Cały wieczór zbywała propozycje tańca. Po dwóch krępujących walcach z Jaredem, oświadczyła, że złapał ją skurcz w nodze i na resztę wieczoru umiejscowiła się na krześle. Jared wykazywał zbytnią słabość do trunków i nie potrafił trzymać rąk przy sobie, co sprawiało, że Colleen zaczęła unikać jego towarzystwa.

Fakt, że spędził dwadzieścia minut zaszyty z jej ojcem w gabinecie, pogorszył jedynie jej już i tak paskudny humor. Taka osobista rozmowa mogła świadczyć tylko o jednym - Jared poprosił o jej rękę. Fale nudności przeszły jej żołądek. Niegdyś brała pod uwagę możliwość ślubu z tym mężczyzną, ale ostatnio jego zachowanie stało się coraz bardziej niepokojące i wcale nie była pewna, czy w ogóle chce mieć z nim do czynienia.

Tata jednak nigdy nie zaprzepaściłby szansy połączenia rodziny z dobrze sytuowanymi sąsiadami. Colleen musiała wymyślić, jak w niekwestionowany sposób zakończyć ten związek, raz na zawsze.

Przebiegła wzrokiem tłum, zadowolona, że przynajmniej raz wszystkowiedzące oczy Rylana Montgomeryego nie są skierowane

na nią. Jej wzrok powędrował ku dalszej części pokoju i zatrzymał się na Gilu, który stał w kącie z Aurorą Hastings, sprawiając wrażenie okropnie przygnębionego. Nie zbliżył się do Brianny przez cały wieczór, co też było wyjątkowo dziwne. Normalnie, w jej urodziny, poświęciłby całą swoją uwagę Bree. Być może pogłoski, które zasłyszała, były prawdziwe i Gil rzeczywiście zaczął spotykać się z Aurorą. Jeśli tak, być może dziewczyna ukróciła jego absurdalne zainteresowanie jej siostrą.

- Co się dzieje dzisiaj z Bree? - Adam rozsiadł się na siedzeniu obok niej. - Zwykle uwielbiała swoje urodziny.

Colleen zerknęła na brata, z zadowoleniem stwierdzając, że przynajmniej raz nie przesadził z alkoholem. Jego spojrzenie było przenikliwe, a głos wyraźny. Kiwnął głową w kierunku Gila.

- Domyślam się, że ma to coś wspólnego z Whelanem. Mam rację? Wzruszyła ramionami.

- Być może. Zaczął pracować dla pana Hastingsa i przeprowadza się do miasta.

- Alleluja! Bóg jednak istnieje.

- Adamie! - Pacnęła go w ramię. - Bo jeszcze mama usłyszy, że wygadujesz takie rzeczy.

Nie zdążył odpowiedzieć, gdyż właśnie w tym momencie tata wystąpił na przód i klasnął w dłonie, aby zwrócić uwagę wszystkich obecnych na sobie. Rozmowy ucichły.

- Chciałbym wam podziękować za przybycie i wspólne świętowanie osiemnastych urodzin Brianny. - W pokoju rozległy się brawa. Tata gestem uciszył gości. - Oprócz tego radosnego wydarzenia, jest jeszcze jedna wspaniała okazja do świętowania.

Colleen zamarła w miejscu, jej serce waliło jak młot.

- Wiesz, o co może chodzić? - zapytał szeptem Adam.

- Nie. - Zacisnęła leżące na kolanach dłonie. Lepiej, żeby to nie miało żadnego związku z Jaredem Nolanem.

- Z radością chciałbym ogłosić zaręczyny Brianny z panem Henrym Sullivanem, synem naszego drogiego przyjaciela i sąsiada, pana Williama Sullivana.

Colleen odetchnęła z ulgą, przez salę przeszedł pomruk zaskoczenia, a potem jeszcze większe brawa. Jej siostra, wcale się nie uśmiechając, zrobiła krok w przód, by stanąć obok taty i Henrygo. Wbiła wzrok w podłogę. Jeszcze nigdy Colleen nie widziała tak nieszczęśliwej przyszłej panny młodej. Z kolei Henry promieniał, kiedy pochylił się i ucałował Briannę w usta. W tym samym momencie Gil przecisnął się obok Aurory i wypadł z pokoju.

Colleen wymieniła spojrzenia z Adamem.

Interesujące. Być może te zaręczyny, bardziej, niż zbliżający się wyjazd Gila, tłumaczyły dystans pomiędzy Brianną a Gilem. Colleen wyprostowała plecy, kiedy w jej głowie zakiełkował nowy plan. Biorąc pod uwagę wyraźne przygnębienie Gila, pojawiała się wyjątkowa okazja, by skorzystać z jego cierpienia i jednocześnie uwolnić się z własnej, równie nieznośnej sytuacji. Musiała tylko niezwłocznie dopracować szczegóły.

Colleen uśmiechnęła się do siebie. Czyż stanowiło to jakikolwiek problem dla mistrzyni intrygi?

Gil zaczerpnął rześkiego wieczornego powietrza, a następnie powoli wypuścił je z płuc. Wyszedł, żeby przespacerować się na zewnątrz, licząc, że kojące cykanie świerszczy uspokoi jego skołatane nerwy. Oparty o najwyższy szczebel białego ogrodzenia otaczającego posiadłość O'Learych, obserwował blask księżycy tańczący na okolicznych polach. Nawet tak eteryczne piękno nie było w stanie uciszyć tego wieczora jego duszy.

Serce rozpadło mu się na kawałki w momencie, kiedy Brianna została oficjalnie zaręczona z młodym Sullivanem. Choć wiedział,

że James planuje ogłosić to tej nocy, nic nie było w stanie przygotować go na piekący ból, który poczuł, gdy Henry pocałował ją prosto w usta. Mimo pytającego spojrzenia Aurory, Gil musiał niezwłocznie wyjść, żeby utrzymać na wodzy swoje emocje.

Na szczęście, Hastingsowie wkrótce po tym oświadczyli, że muszą już jechać i gdy tylko ich auto zniknęło z zasięgu wzroku, Gil zrezygnował z powrotu na przyjęcie i udawania, że dobrze się bawi. Marzył o ciemności, która tak dobrze pasowała do jego ponurego nastroju, o miejscu, gdzie mógłby spokojnie, w samotności zagłębić się w swoim cierpieniu.

Od głównych drzwi doszły go głosy ostatnich wychodzących gości. Niemiła prawda ciążyła mu na żołądku tak, jak zbyt słodki tort urodzinowy, który zjadł niedawno. Jutro opuści Irlandzkie Łąki i wyruszy w stronę swojego nowego życia, z dala od rodziny O'Leary, z dala od Brianny. Odtąd, kogokolwiek Bree i jej ojciec wybiorą na jej męża, przestawało to być jego sprawą.

Dlaczego więc jego pięści się zaciskały i odczuwał tak silną potrzebę, żeby w coś uderzyć? Czemu chciał zadać komuś takie samo cierpienie, jakie on przeżywał?

Odchrząknął z oburzeniem, odepchnął się od płotu i ruszył powoli w dół ścieżki w kierunku stajni. Szarpnięciem otworzył drzwi i wszedł do swojego sanktuarium, zdejmując po drodze lampę z haka. Konie zarżały i zastukały kopytami w przegrodach. Bez większego zastanowienia Gil skierował się prosto do boksu Monarchy, nie wiedząc jeszcze, czy po prostu zacznie go oporządzać, czy weźmie na dziką przejażdżkę.

Biała gwiazda wyraźnie jaśniała na ciemnym pysku konia, widoczna nawet w słabym świetle lampy, którą Gil powiesił wysoko na haku. Otworzył drzwi i wszedł do środka przegrody. Monarcha wydał niskie rzenie, kiedy Gil gładził dłonią jego jedwabistą sierść. Na myśl o tym, że znów będzie musiał opuścić swojego czworonożnego przyjaciela ogarnęła go melancholia gęsta jak poranna mgła.

- Jak się masz, chłopcze? Mam nadzieję, że lepiej niż ja.

- Zapewne *ja* mogłabym *znaleźć* sposób, żebyś poczuł się lepiej. Gil podskoczył, słysząc za sobą damski głos. Wychylił się, by spojrzeć przez drzwi, ale korytarz był pusty.

- Kto tam? - Wyszedł na otwartą przestrzeń.

- To tylko ja. - Miękkie kroki zaszeleściły wśród kawałków słomy leżącej na podłodze.

Wyostrzył wzrok, spoglądając w kierunku boksu sąsiadującego z przegrodą Monarchy. Czy to Brianna przyszła tu za nim? Na myśl, że mogliby wspólnie przeżyć jeszcze tę ostatnią chwilę, przerażenie zmieszane z niecierpliwym wyczekiwaniem sprawiły, że krew zaczęła szybciej krążyć w jego żyłach.

Jednak zamiast niej, zza drzwi wynurzyła się Colleen. Rozczarowanie uderzyło go z mocą huraganu.

- Nie wyglądasz na zbyt uradowanego moim widokiem. - Przeciągnęła ręką w dół gorsetu swojej cytrynowej sukni.

Gil zmarszczył brwi. Wyraźnie było widać, że starała się zwrócić jego uwagę na swoje wdzięki.

- Co tutaj robisz, Colleen? Nie jesteś odpowiednio ubrana do stajni.

Wydęła usta w przebiegłym uśmiešku.

- Cieszę się, że to zauważyłeś. - Podeszła do niego, obserwując go spod długich rzęs. - Zaczęłam się zastanawiać, czy w twoich żyłach płynie krew... - Przeciągnęła palcem po rękawie jego koszuli - czy masz tam tylko lód.

Gil zmusił się, by patrzeć tylko na jej twarz, nie spuszczać wzroku na kremową skórę jej szyi i jeszcze niżej, na wyraźnie zaznaczone pod suknią kształty.

- Czegokolwiek szukasz, nie znajdziesz tego tutaj. Lepiej zrobisz, jak wrócisz do domu, zanim twój tatuś za tobą zatęskni. - Zrobił krok w tył, krzywiąc się z bólu, kiedy twardy kawał drewna wbił mu się w plecy.

Colleen podeszła bliżej i zamknęła mu drogę wyjścia. Wyczuwając jego skrępowanie, zaśmiała się niskim głosem.

- Myślę, że znalazłam dokładnie to, czego mi potrzeba. Zanim zrozumiał jej zamiary, Colleen rzuciła się na niego. Jej

ramiona zamknęły się wokół jego szyi i stopiła swoje usta z jego wargami. Wstrząs sparaliżował jego członki tak, że zamarł w bezruchu. Z największym wysiłkiem opanował swoją reakcję i poddał się narastającej w nim złości. Chwycił ją za nadgarstki i spróbował od siebie oderwać, ale przyczepiła się do niego, jak rzep do psiego ogona. Gwałtowny wdech odbił się echem w korytarzu, a zaraz potem dał się słyszeć stukot drobnych kroków. Gil wykorzystał zaskoczenie Colleen i szybko odepchnął ją od siebie.

- Dosyć tego. - Spiorunował ją wzrokiem i wychylił się, żeby zobaczyć, kto był świadkiem jego upokorzenia.

Wybuch paniki odebrał mu oddech. Brianna stała w przyćmionym świetle jak kamienny posąg. Łzy wypełniały jej pełne przerażenia oczy, dłońmi zasłaniała usta.

Żal i wstyd przepełniły Gila na widok poczucia zdrady, które z łatwością odczytał z jej twarzy. Zrobił niepewny krok w jej stronę, mówiąc:

- To nie tak, jak myślisz, Bree.

Potrząsnęła głową, jej loki podskoczyły, kiedy potknęła się, robiąc krok w tył.

- Jak mogłeś? I to z moją siostrą? - Wydała zduszony szloch, odwróciła się na pięcie i uciekła ze stajni.

Gil szarpnięciem uwolnił rękę.

- Brianno, poczekaj! - Pobiegnął za nią, gotowy zrobić wszystko, by mu uwierzyła. Nie mógł pozwolić, żeby karmiła się takimi myślami. Mimo że miała przewagę na starcie, szybko dogonił ją na trawniku przed domem i siłą zatrzymał.

- Zostaw mnie! - Łzy płynęły po jej policzkach, kiedy obróciła się w jego uścisku i zaczęła okładać go pięściami. Znosił niezbyt

celne ciosy, nie starając się nawet ich powstrzymać.

- Pozwól mi wytłumaczyć, proszę.

- Co wytłumaczyć?! Wszystko widziałam! - Jej pierś unosiła się w ochrypłym szlochaniu.

Uspokoił jej atak, otaczając ją ramieniem. Choć była sztywna jak kołek w jego ramionach, Gil upajał się jej bliskością. Ogarnął go znajomy zapach słodkich perfum.

- Colleen mnie pocałowała. Staralem się ją odsunąć.

- Kłamca - wysyczał głos Colleen tuż za jego uchem. - Dżentelmen nigdy nie powiedziałby czegoś takiego o damie. - Stała obok nich, jej nozdrza drgały.

Był tak pochłonięty Brianną, że całkowicie zapomniał o Colleen. Teraz na nowo obudziła się w nim gwałtowna wściekłość.

- Żadna dama nigdy nie narzucałaby się mężczyźnie!

Ręka Colleen wystrzeliła jak z procy. Nagłe uderzenie w policzek sprawiło, że oczy zaszyły mu łzami.

- Nie waż się do mnie więcej odzywać, Gilbercie Whelanie.
- Podniosła fałdy sukni i sztywno przemaszerowała przez trawnik w kierunku domu.

Mimo rwącego bólu w policzku, Gil zdołał powstrzymać nadal szamoczącą się istotę w jego objęciach. Nie mógł pozwolić, by Bree odeszła, wierząc, że ją zdradził w ten sposób, zwłaszcza mając na uwadze jej niezbyt dobre relacje z siostrą.

- Colleen zasadziła się na mnie w stajni. Proszę, powiedz, że mi wierzysz - wyszeptał.

Stała z odwróconą twarzą, ale widział jej zaróżowiony policzek.

- Nie odwzajemniłem pocałunku, Brianno. Z pewnością to widziałaś.

- Zapewne chciałeś.

Kiedy zadrżały jej wargi, ze wszystkich sił musiał się powstrzymać, by nie pochylić się i nie zasmakować po raz kolejny tych słodkich ust. Tych właśnie, które dręczyły go od dwóch tygodni.

Puścił jedną rękę, by ująć ją za podbródek i zmusić do spojrzenia sobie w oczy.

- Jedyłą panną O'Leary, którą kiedykolwiek chciałem całować jesteś ty, Brianno.

Colleen przemierzała trawnik, kierując się w stronę schodów prowadzących do frontowej werandy. Jej serce wściekle łopotało w piersi. Czy jej plan się powiódł? Czy Jared czekał na nią w stajni, tak jak się z nim umówiła i czy był świadkiem jej drobnej sceny uwodzenia? A może nieoczekiwane nadejście Brianny wszystko zepsuło? Nie śmiała się odwrócić, by to sprawdzić.

- Co się tu, do diabła, dzieje? - Głęboki głos taty zagrzmiął z werandy, zatrzymując Colleen na dolnych stopniach schodów. Jego wzrok przebiegał od Gila i Brianny do niej.

Palce Colleen zamarły na zimnej poręczy. Nie zamierzała angażować taty w swoje małe przedstawienie. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

- Też chciałbym to wiedzieć, sir. - Jared pojawił się za jej plecami, co przyprawiło ją o dreszcze.

Z wysoko uniesioną głową zwróciła ku niemu swoją piękną twarz. Chłód skrzył się w jego jasnych oczach.

- Co to ma znaczyć, Colleen? Wytrzymała jego spojrzenie i zapytała:

- To, czyli co?

- Ty mi wytłumacz - powiedział, podchodząc do niej bliżej. Jego oddech zamieniał się w parę. - Dlaczego w stajni całowałaś Gilberta Whelana, jak jakaś ladacznica?

Odkoczyła od niego, bojąc się wściekłości, którą ujrzała na jego twarzy. Teraz, w najgorętszym momencie, tak dobrze wyćwiczony tekst uleciał jej z głowy.

- My... my zostaliśmy przyłapani... w chwili namiętności. Wyczuła raczej, niż usłyszała, okrzyk wyrażający wstrząs i naiwne oburzenie Brianny.

Jared chwycił ramię Colleen tak mocno, że aż się skrzywiła.

- Ty i ja jesteśmy praktycznie zaręczeni. Jak możesz całować w ten sposób innego mężczyznę?

Niezdolna w żaden inny sposób tego wyjaśnić, po prostu wzruszyła ramionami. Odepchnął ją i wyduł wargi z odrazą.

- Obawiam się, panie O'Leary, że muszę zerwać nasze porozumienie. Nie mogę poślubić pańskiej córki.

Colleen odwróciła od niego twarz, by nie pokazać po sobie jakiegokolwiek znaku pełnej triumfu satysfakcji, starając się sprawiać wrażenie osoby jak najbardziej skruszonej.

- Nie zechciałbyś wejść do środka i porozmawiać o tym w racjonalny sposób? - Ojciec właściwie błagał mężczyznę, by jeszcze raz się zastanowił.

- Niestety, sądzę, że to nie ma sensu. Jestem zdecydowany. Jej piękno nie rekompensuje jej nieszczeroci. - Rzucił Colleen ostatnie pełne obrzydzenia spojrzenie, zanim odszedł.

Colleen ze świstem wypuściła powietrze. Kiedy wreszcie odważyła się spojrzeć na ojca, jej serce zamarło. Jeszcze nigdy nie widziała go tak rozzłoszczonego na nią. Co gorsze, obok ojca na werandzie stał Rylan Montgomery z wyjątkowo ponurym wyrazem twarzy.

- Brianno, lepiej znajdź swojego narzeczonego i idź mu życzyć dobrej nocy. - Tata skierował na nią wściekłe spojrzenie. - Colleen, chcę cię natychmiast zobaczyć w moim gabinecie.

Jak złoczyńca skazany na ścięcie, Colleen ruszyła za ojcem do domu, starając się ignorować pełne litości spojrzenie Rylana, które rzucił jej, gdy go mijała.

14.

Chłodny wieczorny wiatr sprawiał, że dreszcze przebiegały ramiona i plecy Brianny. Otuliła się rękami, choć sama nie wiedziała, czy po to, by się ogrzać, czy ochronić przed kolejnym bólem. Po ostatnich dwóch zawiłych tygodniach, myślała, że już nic nie może przysporzyć jej większego żalu. Ale widok Gila w tak intymnym uścisku z Colleen, to było zbyt wiele dla jej zbolełego serca.

Podniosła oczy i całkowicie zatraciła się w głębi spojrzenia Gila. Natężenie uczuć, które tam ujrzała, sprawiło, że zadrżała.

- Zobacz, co próbowała zrobić Colleen. Wyraźnie widać, że zaplanowała to, aby Jared przyłapał nas razem i z nią zerwał. - Gil przeczesał ręką włosy, a jego loki stanęły jeszcze bardziej niesfornie. - Przysięgam ci, że między nami nic nie było.

Przygnębienie zamknęło jej usta. Podmuch wiatru przeniknął cienki szal i nie mogła opanować drżenia.

- Zaraz zamarzniesz. Chodźmy. - Objął ją w pasie ręką i pociągnął w kierunku schodów.

Choć wiedziała, że powinna unikać jego dotyku, czuła, jak jej ciało lgnie do emanującego od niego ciepła. Zatrzymał się u szczytu schodów i przyciągnął ją blisko do siebie. W chwili słabości pozwoliła, by jej głowa oparła się o jego pierś, szukając pocieszenia w rytmie bicia serca. Być może to był ostatni raz, kiedy mogła być tak blisko niego, czuć zapach jego wody po goleniu zmieszany z wonią cygar i brandy.

Nagle frontowe drzwi otworzyły się z cichym skrzypnięciem.

Oświetlona lampą z przedsionka, niechętnie cofnęła się, wiedząc, że nie ma prawa być w jego ramionach.

- Byłbym wdzięczny, gdybyś trzymał ręce z daleka od mojej narzeczonej. - Henry przeszył Gila pełnym niechęci spojrzeniem i ruszył ku nim, aby ukryć postać Brianny w swoim objęciu.

Gil wzdrygnął się, a w głębi jego oczu zapłonął ból. Zaraz potem, jego oblicze pokryło się wyrazem beznadziejnej porażki.

- Przepraszam cię, Brianno. Za wszystko. - Spuścił głowę i zbiegł po schodach.

Instynktownie, całą sobą pragnęła rzucić się za nim. Prawdopodobnie nawet drgnęła w jego kierunku, ale Henry ją zatrzymał.

- Brianno, już czas wracać. Wszyscy goście wyszli. - Zawahał się. - Co ty w o ogóle tutaj robiłaś?

Stała ze wzrokiem wciąż utkwionym w stajni, gdzie zniknął Gil.

- Chciałam po prostu zaczerpnąć trochę świeżego powietrza. -7
miałam nadzieję jeszcze raz zobaczyć się z Gilem.

- Poczujesz się lepiej po dobrze przespanej nocy. - Henry przeprowadził ją przez drzwi wejściowe i dalej, w głąb holu.

Była tak otępiała, że nawet nie poruszyła się, kiedy się pochylił, by na dobranoc ucałować ją w usta.

- Dobranoc, Brianno. Do zobaczenia jutro w kościele.

- Dobranoc. - Odwróciła się, żeby wspiąć się po schodach, mocno przeświadczona o tym, że Henry obserwuje każdy jej krok, i pewna, że pozostanie tam, aż nie przekona się, że nie będzie już próbować czmychnąć do stajni.

Do jej ospałego rozumu zaczęła docierać beznadzieja jej położenia - zamieniła jeden rodzaj więzienia, z dominującym ojcem, na inny, z przyszłym mężem.

Colleen przycupnęła na skraju wysokiego skórzanego fotela w gabinecie ojca, czekając na naganę. Biorąc pod uwagę wcześniejsze doświadczenia, wiedziała, że tata ma bardzo wybuchowe

usposobienie i jego gniew powinien zniknąć tak szybko, jak się pojawił. Zwłaszcza jeśli to dotyczyło jej osoby. Stał za biurkiem z kamienną twarzą.

- Jeszcze nigdy się tak na tobie nie zawiodłem, Colleen O'Leary. Splotła ręce i spuściła wzrok, żeby jeszcze lepiej odegrać rolę skruszonej.

- Twoje dzisiejsze zachowanie jest niewybaczalne i nie pozwolę by przeszło bez echa.

Nagły skurcz przeszył jej wnętrzności. Tata nigdy nie karał jej za takie absurdalne wybryki. Chociaż, nawet tymczasowa kara nie była zbyt wygórowaną ceną za uniknięcie niechcianego mariażu. Poza tym, cóż strasznego mogło ją spotkać?

Ojciec wysunął fotel i usiadł.

- Twoja matka zawsze wyrzucała mi, że jestem dla ciebie za dobry. Być może miała rację. - Wypuścił powietrze. - Zraniłaś dziś porządnego człowieka, mężczyznę, który chciał ci ofiarować życie, na jakie zasługiwałaś. Nie wspominając o cierpieniu, jakie przysporzyłaś Gilbertowi... i twojej siostrze.

Zwiesiła niżej głowę, starając się wywołać łzy, którymi często zdobywała serce ojca.

- Zdałem sobie sprawę, że w ogóle nie masz względu na uczucia innych ani na to, jak twoje zachowania na nich wpłyną. Robisz, co chcesz, ranisz każdego, byleby tylko osiągnąć swój cel. Z bólem muszę to przyznać, ale okazuje się, że jesteś bardzo próżną i samolubną młodą kobietą.

Colleen poderwała głowę, jej usta otworzyły się ze zdumienia. Jeszcze nigdy ojciec nie wypowiedział do niej takich słów. Zawsze uważał jej psikusy za zabawne.

Łzy wypełniające jej oczy przestały być wymuszone.

- Tak mi przykro, tato. Wynagrodzę to jakoś Bree i Gilowi. - Podniosła podbródek. - Ale nie jest mi przykro ze względu na Jareda. On nie jest tym, za kogo go masz. To nie mężczyzna,

którego chciałabym poślubić. Ojciec potrząsnął głową.

- Niech i tak będzie, ale nie mogę pozwolić na takie bezduszne zachowania. Potrzebuję czasu, żeby przemyśleć odpowiednią karę za twój wybryk. Jutro po mszy dam ci znać, jaką decyzję podjąłem.

Colleen poczuła ogromny ciężar w żołądku, kiedy spostrzegła surową postawę ojca oraz bezlitosny wyraz twarzy. Nic nie zapowiadało, by miało się to zmienić. Z trudem przełknęła ślinę i podniosła się z fotela.

- Przepraszam, że cię zawiodłam, tato. Dobranoc.

Kiedy odwróciła się do wyjścia, ojciec nawet nie podniósł na nią wzroku znad otwartej książki leżącej przed nim na biurku.

Zaraz po niedzielnym obiedzie Rylan zapukał do zdobionych drzwi gabinetu Jamesa. Jego dłonie były spocone ze zdenerwowania. Mimo że od czasu przyjazdu Rylana do Irlandzkich Łąk onieśmielający mąż jego kuzynki był wobec niego grzeczny, w jego zachowaniu dawało się wyczuć dystans do młodego duchownego. Po co więc chciał się z nim teraz widzieć?

Drzwi otworzyły się i gospodarz powitał go uśmiechem. Spod wąsów połyskiwały białe zęby.

- Wejdz, Rylanie. Proszę, usiądź.

Rylan wkroczył do tego, jakże męskiego pokoju i zajął miejsce, które wskazał mu pan O'Leary, w fotelu koło kamiennego paleniska. James usiadł obok niego. Aromatyczne zapachy tytoniu i palonego drewna wypełniały przytulną przestrzeń, przywodząc na myśl puby, które Rylan pamiętał z Irlandii.

James wziął fajkę ze stołu.

- Zatem, Rylanie, jak ci się podoba w Irlandzkich Łąkach?

Rylan starał się uspokoić nerwy. Może mężczyzna chciał go po prostu lepiej poznać...

- To urocze miejsce. Dużo spokojniejsze niż Boston.

- Zgadza się. Jednak żona powiedziała mi, że wkrótce zaczniesz pracę w sierocińcu Świętej Rity, w mieście - mówił James, trzymając cybuch fajki w ustach.

- Tak, sir. W zasadzie jadę tam jutro po raz pierwszy.

- Dobrze, dobrze. - James sięgnął po pudełko zapalek i wyciągnął jedną, by zapalić fajkę. Zaciągnął się głęboko, a potem zaczął intensywnie wpatrywać się w rozmówcę.

Rylan pomyślał, że chyba niewielu ludzi odważyłoby się spierać z Jamesem O'Learym.

- Przejdę prosto do sedna, synu. Potrzebuję twojej pomocy dla mojej córki i wydaje mi się, że sierociniec mógłby załatwić tę sprawę.

Rylan wyprostował się w swoim fotelu.

- Nie rozumiem.

- Nie wiem, jak wiele z małego przedstawienia Colleen widziałeś wczoraj wieczorem. Dość powiedzieć, że ostatnio jestem niezbyt zadowolony z jej zachowania.

Rylan uniósł brew i czekał na dalszy ciąg. James odwrócił wzrok na płomień trzaskające w kominku.

- Obawiam się, Rylanie, że rozpuściłem swoją najstarszą córkę i z tego powodu stała się... egocentryczna. - Zaciągnął się głębiej i wypuścił długą smugę dymu. - Najwyższy czas, by nauczyła się, że w życiu istnieje coś więcej poza żartami i przyjęciami. Nie stanie się nigdy dobrą żoną, dopóki nie nauczy się myśleć o kimś innym niż tylko o sobie samej. Zwłaszcza jeśli miałyby kiedyś mieć dzieci.

Rylan nie mógł powstrzymać drgnięcia ust.

- Ciężko mi sobie wyobrazić Colleen z dzieckiem na rękach.

- Dlatego właśnie wolontariat w sierocińcu powinien wyjątkowo dobrze jej zrobić.

Rylan zeszywniał i zmarszczył brwi.

- Jest pan tego pewien, panie O'Leary? Szczerze, wątpię, aby wytrzymała tam choć jeden dzień.

James wyjął fajkę z ust, a jego oczy się zwęziły.

- Nie będzie miała wyboru w tej kwestii.

Rylan wypuścił powoli powietrze, czuł kołatanie w głowie.

- Proszę pozwolić, że porozmawiam z zakonnica, która prowadzi ten sierociniec. Jeśli nie będą mieli zastrzeżeń, w środę wezmę Colleen ze sobą.

- Doskonale. - James wstał i uścisnął dłoń Rylana. - Doceniam twoją pomoc. Jeśli ktokolwiek może pomóc Colleen nauczyć się pokory, jestem pewien, że to właśnie zadanie dla księdza i dobrych siostrzyczek od Świętej Rity.

Rylan wyszedł z gabinetu pana O'Learyego jeszcze bardziej zaniepokojony, niż był, zanim tam wszedł. Jakimś trafem został wplątany w wykonanie kary na Colleen.

Obrazy jej wściekłej, pokrytej błotem twarzy z ich pierwszego spotkania powróciły mu przed oczy. Na święte niebiosa, będzie potrzebował naprawdę olbrzymich zapasów cierpliwości i modlitwy, aby to wszystko przetrwać.

15.

Gil wkroczył do budynku Hastings Bank and Loan Company i jego nozdrza wypełniła mieszanina zapachu cytrynowej pasty do mebli oraz pieniędzy. Lekkie mrowienie w dole brzucha przypominało mu, że będzie potrzebował paru dni, aby przyzwycząić się do nowej sytuacji. Wyprostował ramiona i poczuł jak narastającą determinację. Nieważne, jak do tego wszystkiego doszło, musi jak najlepiej wykorzystać nadarzającą się okazję. Dobry Bóg na pewno ma jakieś powody, dla których postawił go w tym miejscu i Gil przysiągł sobie jak najlepiej wykonywać tę pracę, nawet jeśli nie będzie jej lubił.

Rozejrzał się powoli po wnętrzu imponującego budynku. Na całej długości pomieszczenia położono lśniące ciemne deski, poprzecinane żelaznymi przegrodami dla każdego kasjera. Ze względu na wczesną porę, w środku przebywał tylko jeden albo dwóch klientów. W przeciwległej ścianie widoczny był rząd drzwi oznaczonych mosiężnymi tabliczkami.

Gil przeszedł w głąb głównego korytarza, w kierunku biurka, znad którego przyglądała mu się recepcjonistka. Poprawił marynarkę.

- Dzień dobry. Jestem umówiony z panem Hastingsem. Proszę powiedzieć, że przyszedł Gilbert Whelan.

- Chwileczkę, już go proszę, panie Whelan.

Wróciła po paru minutach razem z panem Hastingsem.

- Dobrze cię widzieć, Gilbercie. Proszę, wejdź.

Gilbert podał mu dłoń na powitanie i poszedł za nim na drugi

koniec budynku, gdzie pan Hastings wszedł do przestronnego gabinetu na rogu korytarza. Wskazał na wyściełane krzesło dla gości, a sam obszedł olbrzymie biurko i zajął wysoki, ciemny, skórzany fotel.

- Pozwól, że jeszcze raz powiem, jak bardzo się cieszę, że tutaj jesteś. Nie wiem, co skłoniło cię do zmiany decyzji i nie chcę wiedzieć. Mogę sobie tylko powinszować szczęścia.

- Cieszę się, że tak pan myśli. - Gil położył ręce na podłokietnikach, pragnąc, żeby jego nerwy zelżały choć trochę.

- Moim celem jest, żebyś, kiedy to tylko będzie możliwe, pracował w dziale kredytów. Biorąc pod uwagę twoje doskonałe wykształcenie, powinieneś szybko przejść szkolenie.

- Dziękuję panu za zaufanie.

- Dobrze. Zajmijmy się dokumentami, a potem przedstawię cię człowiekowi, który będzie odpowiedzialny za wprowadzenie cię w twoje obowiązki. - Pan Hastings wstał. - A jeszcze z takich osobistych spraw... Mam nadzieję, że zaszczycisz nas dzisiaj swoją obecnością na kolacji. Moja żona i córka będą w mieście na zakupach przez parę najbliższych dni.

Gil spiął się, ale zdobył się na uśmiech.

- Dziękuję, z przyjemnością.

Wyszli do głównego pomieszczenia banku.

- Czy udało ci się dostać miejsce w pensjonacie, który ci poleciłem?

- Tak, proszę pana. Pani Shaughnessy miała dostępny pokój na drugim piętrze. Jest bardzo wygodny.

- Wspaniale. Zatem wszystko układa się idealnie.

Gil wstrzymał westchnienie, kiedy szedł za panem Hastingsem, myśląc, jak bardzo nic nie idzie tak, jak trzeba. Nawet nie próbował sobie wyobrazić, co mogła teraz robić Brianna.

Był jasny, wczesny środowy poranek, kiedy Colleen stała na peronie stacji kolejowej w Long Island, niecierpliwie postukując nogą. Co też wyobrażał sobie jej ojciec, posyłając ją do sierocińca - i to jeszcze z Rylanem Montgomerym? Jak miała poznać zamożnych kandydatów na męża wśród zakonnic? Sapnęła tak, że aż jeden z jej idealnych loczków wzleciał ponad czoło. Być może ślub z Jaredem ostatecznie nie był takim złym pomysłem, w porównaniu do kary, którą musiała odbyć.

- Nadjeżdża pociąg. - Rylan podbiegł w jej stronę, a jego ciemne włosy rozwiał wiatr.

Parę sekund później lokomotywa zatrzymała się ze zgrzytem pośród kłębów pary. Colleen odsunęła się, grając na zwłokę, czekała aż wszyscy pasażerowie wysiądą, a wsiądą nowi.

Rylan ujął ją za łokieć i pchnął lekko w kierunku otwartych drzwi.

- Nie próbuj przegapić pociągu - powiedział niskim głosem. - Obiecałem twojemu ojcu, że cię dopilnuję, a ja zawsze dotrzymuję danego słowa.

Posłała mu piorunujące spojrzenie.

- Nie wątpię. - Weszli po schodach i skierowali się w dół wąskiego korytarza, gdzie Colleen wybrała miejsce przy oknie. - Pewnie cały ten pomysł był twój. - Rozłożyła starannie suknię, rozkloszowując ją wokół siebie. - Takie coś mógłby wymyślić tylko ksiądz.

Rylan usiadł naprzeciw niej.

- Zapewniam cię, że to był pomysł twojego taty. Możesz mi zaufać. Nie jestem pewien, czy siostra Małgorzata w ogóle by się na to zgodziła. Przekonał ją tylko mój urok osobisty. - Uśmiechnął się szeroko, ukazując dołeczki w obu policzkach.

Colleen skrzywiła się i odwróciła twarz, by popatrzeć, jak krajobraz przesuwał się za oknem. Zadrzała, wyobrażając sobie bardzo brudnych łobuzów żyjących w jakiejś ruderze wraz z zakonnicami, które z pewnością będą ją oceniać z nieomylną pobożnością.

Może trzeba było lepiej rozważyć ten pomysł z uwodzeniem Gila.

- Powiesz mi, dlaczego to zrobiłaś?

Ciche pytanie Rylana brutalnie przywróciło ją do rzeczywistości zapchanego pociągu, o borych kraciastych siedzeniach i brudnych oknach. Kleryk pochylił się do przodu, tak by nic nie umknęło jego inteligentnym brązowym oczom. Nawet w swojej czarnej sutannie i białej koloratce przyprawiał ją o szybsze bicie serca.

- Co zrobiłam?

- Pocałowałaś Gilberta. Myślałem, że byłaś po słowie z panem Nolanem. - Uniósł brew. - Wygląda na to, że nie mogłaś być do niego zbyt przywiązana, skoro całowałaś innego mężczyznę.

Fakt, że nie wyczuła w jego głosie potępienia, ale jedynie czystą ciekawość, pozwolił jej nad sobą zapanować. Szeptane słowa *rozwiązła* i *ladacznica* krążyły w kościele między ławkami. Rozpaczliwie wykorzystywała każdy skrawek dumy, by wysoko unosić głowę, kiedy przechodziła wzdłuż głównego przejścia w kierunku miejsca, gdzie zwykle siadali. Jadowite spojrzenie, które rzuciła jej siostra Jareda, Rebecca, wywołało poczucie żalu, że skrzywdziła rodzinę Nolanów. Może tata miał rację. Może rzeczywiście była prózną i samolubną kobietą.

Splonęła się, gdy uświadomiła sobie, że Rylan nadal na nią patrzy, oczekując odpowiedzi.

- Chciałam się trochę zabawić. - Miała nadzieję, że kupi jej żarcik i da jej spokój. Męczyło ją to jego ciągle zagładanie w jej duszę.

- Chciałabyś, żeby ludzie myśleli, że jesteś pełną dowcipu flirciarką, nieprawdaż? Że masz w tej pięknej głowie tylko podłe intrygi. Zastanawiam się, dlaczego tak jest.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Myślę, że masz. I wydaje mi się, że zorganizowałaś tę małą scenę namiętności specjalnie dla pana Nolana, żeby odwołał wasze zaręczyny.

Colleen otworzyła usta ze zdziwienia. Czy ten człowiek posiadał zdolność czytania w myślach? Szybko się opamiętała, unosząc brodę.

- Skąd miałabym wiedzieć, że Jared akurat wtedy przyjdzie do stajni i przyłapie mnie z Gilem? - Bawiła się rękawem, za wszelką cenę starając się uniknąć jego spojrzenia.

- Zapewne umówiłaś się na spotkanie z Jaredem w stajni, a potem zasadziłaś się na biednego Gila, wiedząc, że Jared będzie na ciebie czekać.

- To absurdalne!

- Jedyne, czego nie rozumiem, to dlaczego po prostu nie powiedziałaś temu mężczyźnie, że nie chcesz za niego wyjść. Oszczędziłoby to mnóstwa problemów.

Colleen wpadła w złość.

- Nie znasz mojego ojca! Tata nigdy by nie pozwolił... - Jej głowa drgnęła do góry, kiedy zdała sobie sprawę, że właśnie potwierdziła jego podejrzenia. Uśmiechnął się porozumiewawczo, a ona zacisnęła mocno zęby, żeby nie krzyknąć.

Rylan położył jej rękę na ramieniu. Poczowała ciepło jego dotyku przenikające przez sukienkę, jakby odciskał na niej swoje piętno.

- Uważam, że kobieta powinna mieć prawo wybierać, kogo chce poślubić i żaden człowiek, ojciec czy ktokolwiek inny, nie może jej do niczego zmusić. Jeśli to ma dla ciebie jakieś znaczenie, cieszę się, że nie wyjdiesz za Jareda. Nie był cię godny. - Lekko ucisnął jej ramię. - Masz dużo większą wartość dla twojej rodziny i dla Boga, niż ci się wydaje.

Po raz kolejny nieświadomie otworzyła usta, lecz równie szybko je zamknęła, zaskoczona, że zbiera jej się na płacz. Starając się uniknąć tych przenikliwych brązowych oczu, odwróciła głowę do okna, udając nagle zainteresowanie mijanymi widokami.

Kiedy dojechali na miejsce, Rylan, który przez pozostałą część drogi na szczęście zachował milczenie, pomógł jej zejść na peron.

- Dom dziecka jest niedaleko. To tylko parę budynków stąd. Po zaduchu pociągu, Colleen z zadowoleniem wdychała świeże powietrze, dziarsko krocząc obok Rylana. Od razu ożywiło ją pełne energii miasto. Uwielbiała zgiełk i zamęt ludzi przemykających w różne strony, tak jak i widok koni, powozów oraz samochodów przepychających się na ruchliwych ulicach. Natychmiast poprawił jej się humor - chyba pierwszy raz od wielu dni.

Rylan prowadził w kierunku olbrzymiego, czterokondygnacyjnego brązowego budynku z szerokimi betonowymi schodami wiodącymi do głównych drzwi. Na mosiężnej tablicy na drzwiach wygrawerowano nazwę: „Dom dziecka im. św. Rity”.

Gdy weszli do środka, ciche wnętrza w niczym nie przypominały harmidru jakiego oczekiwała. Skrzypnięcie drzwi zamykających się za nimi wydało się nieomal świętokradztwem w tej kościelnej atmosferze.

Kobieta w recepcji zerknęła na nich znad okularów, kiedy podchodzili do jej biurka.

- Ach, to pan, panie Montgomery. Dobrze pana znowu widzieć. Rozpromienił się na jej widok.

- Panią również, pani Taft. To jest panna O'Leary. Będzie tutaj pracować z dziećmi jako wolontariuszka.

Pani Taft uśmiechnęła się do Colleen.

- Wspaniale. Zaraz zwołam do pani siostrę Weronikę. Proszę usiąść i chwilę poczekać. - Pulchna kobieta pobiegła w głąb holu.

Colleen usiadła obok Rylana na jednym z krzeseł dla gości, podziwiając gustowny wystrój wnętrza. Już sama architektura wzbudzała podziw swoimi wysokimi sklepieniami, pięknymi gzymsami i strzelistymi oknami. Jakże odmienny był to obraz od podupadłej rudery, którą sobie wyobraziła. Może praca tutaj nie będzie tak straszna, jak się spodziewała.

Colleen spojrzała w górę i zobaczyła zakonnicę całą ubraną na białą, od welonu po czubki butów, sunącą w jej stronę po dywanie

w romby. W obu dłoniach trzymała rączki schludnie ubranych dzieci, które kroczyły obok niej z dostojeństwem. Rylan skoczył na nogi.

- Szczęść Boże, siostrzo Weroniko.

Colleen pozazdrościła siostrze otrzymania tak promiennego uśmiechu. Kobieta nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia jeden czy dwadzieścia dwa lata, a niewinność wypisana na jej twarzy jaśniała nie mniej niż śnieżnobiały habit. Colleen powoli wstała, czując się zupełnie nie na miejscu.

- Siostrzo, to jest moja daleka kuzynka, panna Colleen O'Leary. To o niej wspominałem, iż miałyby przychodzić do dzieci jako wolontariuszka.

Zakonnica zrobiła krok w stronę Colleen i uścisnęła jej dłoń.

- Witam, panno O'Leary. Cieszymy się, że jest pani tutaj. Dzieci także będą zachwycone.

Colleen z trudem przełknęła ślinę. A co, jeśli dzieci będą ją nienawidzić?

- Miło siostrę poznać.

Siostra Weronika wskazała na dzieci stojące obok niej.

- To jest Johnatan Feeny i Delia O'Brien. Dzieci, przywitajcie się z panną O'Leary.

Dzieci, które nie mogły mieć więcej niż pięć lat, dygnęły grzecznie, mówiąc:

- Dzień dobry, panno O'Leary.

Chłopiec miał na sobie krótkie spodenki z szelkami oraz wy-krochmaloną białą koszulę. Dziewczynka, równie zadbana, ubrana była w żółtą sukieneczkę, a złote loki przewiązane miała dopasowaną kolorem kokardką. Wyobrażenie Colleen o brudnych łobuziakach zupełnie się rozwiało. Te dzieci były przecudne. Miała nadzieję, że ich zachowanie jest takie, jak ich wygląd.

- Czym będę się tutaj zajmowała? - Colleen zaryzykowała pytanie, patrząc to na Rylana, to na siostrę Weronikę.

Zakonnica znowu się uśmiechnęła.

- Zaczniemy powoli, może od lekcji. Trzeba pomóc dzieciom w pisaniu.

Colleen powstrzymała przerażenie, które odebrało jej oddech. Nigdy nie spodziewała się, że będzie musiała powrócić do sali lekcyjnej już w rok po ukończeniu szkoły. Na szczęście, nie będzie tu pani Stephens, która nieustannie przypominała jej, jak jest bezmyślna w porównaniu do błyskotliwej młodszej siostry. Colleen wyprostowała ramiona i starała się sprawiać wrażenie pewnej siebie. Czy trudno będzie pomagać tym maluchom w nauce?

- Proszę za mną, panno O'Leary. Zaprowadzę panią do klasy siostry Małgorzaty.

Rylan nie zrobił ani kroku z nimi, więc Colleen odwróciła się, pytając:

- Nie idziesz z nami? Uśmiechnął się szeroko.

- Nie jestem aż takim szczęściarzem. Dzisiaj mam za zadanie odmalować sypialnię. Zostawiam cię w dobrych rękach siostry Weroniki.

Uklonił się i wyruszył w stronę szerokich schodów prowadzących na górę.

Zamiast ulgi, że pozbyła się wreszcie jego irytującej osoby na cały dzień, zaczęło ją nękać dziwne uczucie rozczarowania, kiedy podążała za siostrą Weroniką w głąb korytarza.

16.

Brianna zdjęła swoją uczniowską togę i biret i przewiesiła je przez krzesło z tyłu sali lekcyjnej. Dookoła rozlegały się rozmowy jej koleżanek z klasy, ale daleko jej było do świętowania. Upłynęły dwa tygodnie od jej urodzin - dwa tygodnie od wyjazdu Gila - a jej się wydawało, jakby minęły ze dwa lata. Niezależnie gdzie się znajdowała, okrywała ją mgła przygnębienia. Teraz było podobnie.

- Chodźmy, Bree! - zawołała Rebecca Nolan. - Nasi rodzice będą czekać na nas w wejściowym holu. Już mi ślinka leci na myśl o cieście, które pani Stephens dla nas upiekła. - Rebecca ujęła ją pod rękę i pociągnęła w kierunku wyjścia.

- Czyż to nie była wspaniała uroczystość? Jesteśmy już oficjalnie absolwentkami liceum. Całe życie stoi przed nami otworem.

Brianna zamrugła powiekami wobec zapału swojej najlepszej przyjaciółki. Przecież jeszcze parę tygodni temu sama oczekiwała na ukończenie szkoły z podobnym entuzjazmem. Wyprostowała się i wzięła głęboki wdech, strofując się surowo w myślach. Musiała przestać przejmować się Gilbertem Whelanem i zacząć żyć własnym życiem.

Zmusiła się do promiennego uśmiechu.

- Więc jakie są twoje wielkie plany na przyszłość, Becca? Na wykafelkowanej posadzce rozlegał się stukot ich butów.

- Poczekam do końca lata i wtedy zdecyduję. - Pochyliła swoją blond głowę blisko Brianny. - Wciąż mam nadzieję, że niedługo Ben Walters poprosi o zgodę na spotkanie się ze mną. Napomykał

coś o tym, ale wydaje mi się, że za bardzo boi się zapytać taty.

- Ben szaleje za tobą. Trudno uwierzyć, że tak zwleka z tą decyzją.

Rebecca westchnęła.

- Jeśli nie zrobi nic przed jesienią, pewnie pójdę do college'u. Może znajdę sobie jakiegoś studenta.

Brianna zacisnęła wargi, aby nie było słychać jej zduszonego krzyku. Dałaby wszystko, by być na miejscu Rebekki i mieć wsparcie ojca w decyzji o pójściu do college'u. A Rebecca czekała jedynie na Bena.

Dlaczego życie kobiety wydaje się zawsze zależeć od kaprysów mężczyzn?

Weszły do sali, gdzie dyrektor i nauczyciele zorganizowali przyjęcie dla absolwentów i ich rodzin. Jakimś trafem, tacie udało się zaprosić nawet Henry'ego, co niezmiernie irytowało Briannę. W końcu nie był członkiem rodziny i...

Zamiast niego powinien tu być Gil.

Zawsze wyobrażała sobie dumną minę Gila siedzącego na widowni, podczas gdy ona miała otrzymywać wymarzony dyplom. Nie Henry'ego. Przełknęła stojącą w gardle gulę, która wydawała się na dobre tam rozgościć od czasu wyjazdu Gila. Ze względu na matkę zebrała się w sobie, przykleiła na twarz uśmiech i przeszła przez salę, żeby przywitać rodzinę.

- Gratulacje, kochanie. Jesteśmy z ciebie tacy dumni. - Mama mocno przytuliła córkę, otaczając ją kojącym zapachem swoich perfum.

- Bardzo dumni - powtórzył James, całując ją w czubek głowy.

Przynajmniej raz, ojciec wydawał się z niej zadowolony. Oczywiście do czasu, kiedy robiła dokładnie to, czego chciał. Ten przebłysk prawdy odebrał jej przelotną radość.

Henry podszedł i przyciągnął ją do siebie w dziwnym uścisku.

- Następną okazją do świętowania będą nasze zaślubiny.

Brianna uwolniła się, a zaskoczenie przegoniło uśmiech z jej twarzy.

- Ale to jeszcze nie tak prędko. Ojciec uniósł krzaczaste brwi.

- Po co czekać? Zawsze mówię, że im wcześniej, tym lepiej. Mama poklepała rękę taty.

- Jamesie, kochanie, nie zapominaj ile potrzeba przygotowań do ślubu. Zwłaszcza do takiego ślubu, o jakim mówiłaś. Przecież same zaproszenia mogą zająć kilka tygodni.

Niepokój prześliznął się po kręgosłupie Brianny.

- Nie chcę wielkiego, wykwintnego ślubu. Zwykła uroczystość w kościele Świętej Rity będzie wystarczająca.

Henry zrobił zagniewaną minę, mówiąc:

- Jak to! Połączenie rodzin O'Learych i Sullivanów oraz ich biznesów musi odbyć się z należytych rozgłosem.

Mama rzuciła Briannie nerwowe spojrzenie i ścisnęła jej ramię.

- Nie ma potrzeby o tym teraz rozmawiać. Dzisiaj świętujemy ukończenie szkoły Bree. Chodźmy spróbować trochę tego ciasta, zanim całkiem zniknie.

Do czasu powrotu do Irlandzkich Łąk, nerwy Brianny były napięte do granic możliwości. Jedyne, czego teraz pragnęła, to uciec do swojego pokoju i zaszyć się pod kołdrą, aż wszyscy zapomną o ślubnych planach.

Jej rodzice jednak, zostawili ją na tarasie, żeby bez świadków mogła życzyć Henry emu dobrej nocy. Od kiedy byli oficjalnie zaręczeni, ojciec pozwalał im na dużo większą swobodę przebywania na osobności, z czego Brianna wcale się nie cieszyła.

Henry poprowadził ją z boku domu, gdzie weranda z zewnątrz jakby obejmowała ceglana ścianę. Każde z nich usiadło na wiklinowym fotelu. Letnia noc była ciepła, lecz mimo to, przeszedł ją chłodny dreszcz.

- Przepraszam, nie zostanę długo, Henry. Jestem wykończona

po dzisiejszym dniu.

- Oczywiście. To wszystko musiało być dla ciebie bardzo ekscytujące. - Jego protekcjonalny ton nie pomógł jej zdobyć się na sympatię. - Dam ci parę dni odpoczynku, a potem zaczniemy planować nasz ślub.

Wyciągnął rękę i ujął jej dłoń.

- Twoje palce są zimne jak lód.

Masował jej dłoń, przywracając jej skórze ciepło. Jak bardzo marzyła, żeby to Gil trzymał ją za rękę.

Panie, wiem, że powinnam szanować mojego tatę, ale jak mogę zgodzić się na Henry'ego skoro moje serce płacze za Gilem?

Kiedy tylko mogła, delikatnie uwolniła swoje palce z jego uchwytu. Myśl, która nie dawała jej spokoju od paru ostatnich dni, powróciła z wielką mocą. Czy mogła poślubić Henry'ego i jednocześnie otrzymać wykształcenie, o którym marzyła? Jeśli byłoby to osiągalne, chyba mogłaby ostatecznie przetrwać to małżeństwo.

Zagryzła wargę i zerknęła z boku na profil Henry'ego.

- Henry, co byś powiedział, gdyby... - zawahała się.

- Gdyby co? - Uniósł brew.

- Gdybym poszła do college'u po naszym ślubie?

Wyglądał jak rażony gromem i jej nadzieje poszły na dno szybciej niż podkwa wrzucona do wiadra wody.

- Po co miałabyś iść do college'u? Czyż małżeństwo nie powinno być dla ciebie najważniejsze?

Wyprostowała się na oparciu fotela.

- Jedno nie wyklucza drugiego. Ty będziesz pracował cały dzień i będziemy mieć służące, które zajmą się obowiązkami domowymi. Dlaczego nie mogłabym kontynuować swojej edukacji?

Zerwał się z miejsca i przemierzył całą długość werandy.

- To byłaby strata czasu i pieniędzy. Co jeśli będziesz... przy nadziei? Nie mogłabyś nadal uczyć się na wykłady.

Jej policzki oblały się rumieńcem, kiedy uświadomiła sobie nagle, co pociągnie za sobą małżeństwo z Henrym. To wyobrażenie przeszło jej wewnątrz.

Wstała gwałtownie, niemalże przewracając się w pośpiechu.

- Pewnie masz rację. Muszę już iść. Dziękuję jeszcze raz, że przyszedłeś. - Odwróciwszy wzrok, skierowała się w stronę głównych drzwi. Gdy zrobiła dwa kroki, Henry chwycił jej rękę.

- Poczekaj minutkę, Brianno.

Dostrzegła śmiałość widoczną w jego jasnych oczach.

- Wydaje mi się, że dzisiejsza okazja to dobry moment na bardziej... prywatne pożegnanie. - Zrzuciwszy kapelusz jedną ręką, drugą ujął ją za kark i przywarł swoimi ustami do jej warg.

Brianna zamarła. Sparaliżowana jego dotykiem, nie potrafiła zrobić żadnego ruchu. To nie było zwykle grzeczne cmoknięcie Henry'ego. Ten pocałunek naznaczył ją jako jego własność, domagając się odpowiedzi, której nie mogła mu dać. Cofnął się, a z jego twarzy wyraźnie biło rozczarowanie. Zrobiła krok w tył, wyswabadzając się z jego objęcia. Na próżno próbowała opanować niepokój ściskający jej gardło.

- D-dobranoc, Henry.

Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, pospieszyła do drzwi wejściowych, podniosła suknię i pobiegła w górę schodów. Kiedy już dotarła do sypialni, starannie zamknęła drzwi i oparła się o nie. Jej pierś wznosiła się i opadała w szybkim oddechu.

Nie, niech Bóg wybaczy, nie mogła przez to przejść. Nie mogła udawać, że żywi uczucia, których nie było. Skoro nie mogła znieść pocałunku Henry'ego, jak wytrzyma ich noc poślubną? Przeszły ją dreszcze od stóp do głów.

Upadła na kolana na dywanie koło łóżka i zatopiła się w żarliwej modlitwie, błagając Boga o pomoc i odwagę, aby udało jej się uciec od niechcianej przyszłości, jaka na nią czekała.

Słońce nie wyszło jeszcze ponad linię drzew w poniedziałkowy poranek, gdy Brianna otworzyła drzwi swojej sypialni. Wystawiła głowę na korytarz, żeby upewnić się, że nikogo nie ma w pobliżu i potem szybko wyszła, zamykając drzwi z cichym stuknięciem.

Z walizką w ręce przeszła na palcach w dół głównych schodów do holu. Powstrzymując zdenerwowanie, położyła dwie koperty na stoliku - jedną dla matki, a drugą dla Henry'ego.

Ostatnie dwa dni spędziła zaszyta w swoim pokoju, rozmyślając i modląc się. Po tym czasie podjęła decyzję. Być może straciła Gila, ale nie mogła poślubić Henry'ego.

Niezależnie, jak bardzo pragnął tego jej ojciec.

Brianna po raz ostatni dokładnie rozejrzała się po ukochanym domu, wzrokiem pieścąc wszystkie zakamarki. Chwilę potem, zanim poddałaby się trwodze, która ścisnęła jej serce jak w stalowym uścisku, wymknęła się na zewnątrz głównymi drzwiami.

Podczas spaceru do stacji kolejowej miała czas, by po raz kolejny przemyśleć każdy krok swojego planu. Kłębił się w niej niepokój zmieszany z ekscytacją. Po raz pierwszy w życiu samodzielnie podejmowała jakieś działanie, decydowała o swojej przyszłości. W liście do Henry'ego uprzejmie zerwała zaręczyny, życząc mu jak najlepiej. Być może to było tchórzostwo z jej strony, ale wydawało jej się, że gdyby spróbowała zrobić to twarzą w twarz, straciłaby zimną krew.

Kiedy dotarła na stację, kupiła bilet na Manhattan i niedługo po tym pierwszy poranny pociąg zajechał na peron. Konduktor pomógł jej wsiąść po schodkach do wagonu, który był prawie całkowicie pusty. Brianna wyruszyła tak wcześnie rano, by mieć pewność, że nie spotka Colleen i Rylana. Pamiętała, że pracowali w sierocińcu zwykle w poniedziałki oraz środy i chociaż Colleen nie przejmowała się tym, co robiła jej siostra, Brianna była pewna, że Rylan poczułby się w obowiązku ją zatrzymać.

Zajęła miejsce w pociągu i westchnęła z ulgą. Pierwszy etap jej planu poszedł dokładnie tak, jak to zaplanowała. Godzinę później, gdy pociąg zatrzymał się na stacji Manhattan, Brianna zebrała całą swoją odwagę i weszła do budynku dworcowego. Urzędnik przy biurku udzielił jej wskazówek, jakim tramwajem dojedzie na ulicę, przy której mieszkała ciocia Fiona, o ile nigdzie się nie przeprowadziła.

Podróż nie trwała nawet piętnastu minut. Brianna wysiadła na przystanku wskazanym przez urzędnika i zgodnie z wytycznymi skierowała się na zachód. Po minięciu dwóch przecznic doszła do Zachodniej Ulicy Dziewięćdziesiątej Czwartej. Nastrój poprawił się jej na widok uroczych domów ciągnących się po obu stronach drogi. W większości były one wysokie i wąskie, z szerokimi betonowymi schodami prowadzącymi do drzwi frontowych.

Przy adresie ciotki zawahała się, a wątpliwości zwały jej determinację. Może powinna była najpierw zadzwonić, ale bała się, że ciocia Fiona będzie starała się o przyzwolenie taty, zanim ją wpuści, a przecież nie mogła tego ryzykować.

Wyprostowała ramiona, wspięła się po schodach i zadzwoniła do drzwi. Otworzyła jej kobieta o wydatnym biuście i szarzejących włosach. Sądząc po uniformie, była to gospodyni ciotki.

- Dzień dobry. Czy zastałam pannę O'Leary? Kobieta spojrzała na Briannę z góry na dół.

- Czy mogę zapytać, z kim mam przyjemność?

- Brianna O'Leary, jej bratanica.

Brwi kobiety uniosły się ponad oprawki okularów.

- Czy była panienka umówiona?

- Nie - zawahała się. - To niespodzianka.

Kobieta zmierzyła wzrokiem walizkę stojącą obok nóg Brianny, a potem przeniosła wzrok na jej twarz zaczerwienioną od upokorzenia.

- Proszę wejść. Upewnij się, czy panna O'Leary przyjmuje gości

o tej porze. - Nie starała się nawet ukryć dezaprobaty w głosie.

- Dziękuję. - Brianna weszła przez drzwi, nie zdejmując rękawiczek i splatając razem dłonie. Dom w stylu wiktoriańskim tchnął ciepłem i urokiem. Brianna od pierwszej chwili poczuła się jak u siebie. *Oby tylko ciocia Fiona była serdeczna...*

Czekała cierpliwie w przedpokoju, aż doszedł do jej uszu szmer rozmów, a potem usłyszała odgłos kroków na wąskich schodach. Najpierw pojawiła się szeleszcząca spódnica oraz wysokie sznurowane trzewiki. Brianna zorientowała się, że wstrzymała oddech. Nie widziała cioci Fiony od ponad pięciu lat. Krążyły plotki, że ona i tata pokłócili się i od tamtego czasu ciocia nie odwiedzała Irlandzkich Łąk.

W holu przed Brianną stanęła szykowna kobieta, o jasnych, niebieskich oczach, tak podobnych do oczu jej taty, że serce Brianny podskoczyło z trwogi. *Proszę, Panie, spraw, żeby była życzliwie nastawiona do mojej sprawy.*

- Brianna? To naprawdę ty? - Ciocia Fiona ruszyła w jej kierunku i serdecznie ją uściśnięła. - Dobrze cię widzieć. - Wytarła łzy z kącików oczu. - Ostatnim razem, kiedy cię widziałam byłaś dziewczynką z zaplecionymi warkoczami. A teraz, popatrz tylko, piękna młoda dama.

Brianna zaśmiała się.

- Nic nie wiem na ten temat. - Rzuciła pełne zachwyty spojrzenie na wysoką, smukłą kobietę ubraną w modną spódnice i koronkową bluzkę. - Przepraszam, że pojawiając się tutaj bez zapowiedzi...

- Nie wygłupiaj się. Niezmiernie się cieszę z twojego towarzystwa. - Spojrzała w dół, zauważając walizkę. Jej wąskie, łukowate brwi uniosły się w geście pytania. - Planujesz zostać na dłużej?

Brianna zawahała się.

- Oczywiście, jeśli nie sprawi to cioci problemu. Muszę zdecydować, co dalej zrobię ze swoim życiem, i mam nadzieję, że

będziesz mogła mi w tym pomóc. - Wzniosła na ciotkę błagalne spojrzenie.

Poczucie żalu oraz jakieś inne uczucia przemknęły po twarzy cioci Fiony.

- Czy twój ojciec wie, że tutaj jesteś?

Nogi ugięły się pod Brianną, choć bardzo się starała być silna.

- Teraz już pewnie tak. Zostawiłam mamie list z wytłumaczeniem, dokąd pojechałam.

Obawiając się, że zupełnie się rozklei w obecności cioci, odepchnęła od siebie wyobrażenie, jak mogła zareagować mama, kiedy dowiedziała się, że jej córka odeszła.

- Och, moja droga. Wejdźmy do salonu i opowiesz mi całą historię.

17.

Czy pomoże mi pani narysować żyrafę, panno O'Leary? - Niebieskie oczy Delii O'Brien otworzyły się szerzej, kiedy wpatrywała się w nią, czekając na odpowiedź.

Colleen szybko przeszła po drewnianej podłodze klasopracowni z uśmiechem na twarzy. Chociaż niewiele wiedziała o żyrafach, była gotowa zrobić to jak najlepiej, żeby tylko ucieszyć dziewczynkę. W niewiele ponad tydzień ten mały szkrab zdobył jej serce, stając się tak drogim, jak jej własna młodsza siostrzyczka. Colleen marzyła, żeby kiedyś wziąć Delię na wizytę do domu, spodziewając się, że bardzo polubiłaby się z Deirdre i Connorem.

- Jak ci idzie alfabet? - Colleen wysunęła krzeselko i przysiadła koło gorliwej uczennicy.

Delia przyłożyła końcówkę stalówki do ust.

- Już skończyłam.

Colleen spojrzała na rząd krzywych literek A i powstrzymała uśmiech.

- Jeśli zrobisz jeszcze jeden rząd liter, możemy narysować żyrafę. Pójdę po kartkę papieru.

Uśmiechnęła się, widząc skupienie na twarzy Delii i zajrzała jeszcze do innych dzieci, idąc w stronę szafki, w której trzymano przybory szkolne.

- Panno O'Leary, czy dała pani atrament młodszym dzieciom? - Siostra Małgorzata swoim zgorzkniałym tonem przyprawiała ją o dreszcz irytacji.

Powściągnęła się i z naturalnym wyrazem twarzy odparła:

- Tak, siostrze, dałam im.

- Musimy oszczędnie dysponować zasobami. Młodsze dzieci są zbyt niezdarne. Zawsze marnują atrament. - Twarz siostry Małgorzaty ścisnęła się w przykryte welonem kłębowisko zmarszczek, tak jakby materiał opinał ją zbyt ciasno.

Colleen zachowała spokojny ton głosu.

- Przepraszam, siostrze. Nie zdawałam sobie sprawy.

- Dopilnuj, żeby następnym razem nie popełnić tego błędu.

Colleen wróciła do Delii, dostrzegając lęk na twarzach wszystkich uczniów. Z tego, co zauważyła, siostra Małgorzata nie była zbyt lubiana. Colleen nie mieściło się w głowie, jak to się stało, że taka surowa i posępna kobieta została wyznaczona do opiekowania się grupą żywiołowych dzieci. Gdyby tylko sympatyczna siostra Weronika została do pomocy, atmosfera byłaby dużo przyjemniejsza.

Zegar w korytarzu wybił trzecią. Wkrótce będzie musiała spotkać się z Rylanem, żeby zdążyć na stację kolejową.

- Już czas zacząć sprzątać, dzieci. Odłóżcie swoje prace na biurko nauczyciela i idźcie umyć ręce.

Głośny okrzyk sprawił, że Colleen obróciła się w momencie, żeby zobaczyć, jak wąski strumyk atramentu ścieka z biurka Delii. Dziewczynka stała z kałamarzem ściśniętym w poplamionych rękach, a na jej zbolącej twarzy malowała się panika. Colleen chwyciła jakieś luźne kartki papieru i skoczyła, aby zatamować strumień, zanim siostra Małgorzata zdąży zauważyć, że atrament kapie na podłogę.

- Przepraszam. - W wielkich oczach Delii pojawiły się łzy.

- Nie martw się, skarbie. To był wypadek. - Colleen szamotała się, żeby uprzątnąć bałagan, ale mimo to dwie wielkie krople kapnęły na wypolerowaną podłogę z twardego drewna. - A niech to szlag trafi!

- Panno O'Leary! - zakrzyknęła pełnym grozy głosem siostra

Małgorzata.

Colleen znieruchomiała. W rękach trzymała plik pogniecionych i pobrudzonych atramentem kartek. Starła się odeprzeć niepokój wdzierający się do jej serca, jakby to *ona* była znowu dzieckiem w tarapatach.

- Zdarzył się tu nam mały wypadek, siostrze. Czy mogłaby siostra zawołać dozorcę do posprzątania?

Świdrujące spojrzenie surowej siostry Małgorzaty wwierciło się w Colleen.

- A kto jest odpowiedzialny za ten bałagan?

Colleen przesunęła się, by zasłonić Delię, która kulila się za nią, byle dalej od wzroku zakonnicy.

- To moja wina, gdyż wydałam dzieciom atrament. Pokryję konieczne koszty.

- Kto rozlał atrament? - Siostra Małgorzata rozglądała się badawczo wokół Colleen. Rysy jej twarzy stwardniały, kiedy zobaczyła dziewczynkę stojącą z dowodem w dłoniach.

- Delia O'Brien. Wiesz jaka jest kara za marnowanie zapasów. Łzy płynęły obficie po policzkach dziewczynki.

- Ja nie chciałam - zaskomlała.

- Odłóż natychmiast kałamarz i przynieś różgę.

Rylan zeskoczył z drabiny i odsunął się, by ocenić efekty swojej pracy. Sypialnia dziewczynek, pomalowana na jasnożółto, wyglądała teraz dużo radośniej. Nawet lepiej niż pokój chłopców, w którym w zeszłym tygodniu zmienił kolor na żywy niebieski.

Pozbierał materiały i narzędzia i wystawił je na korytarz, zostawiając drabinę opartą o ścianę. Szybkimi ruchami zabrał puszkę z farbą oraz brudne pędzle i zniósł je na dół do pomieszczenia gospodarczego.

Zegar szafkowy w głównym korytarzu wybił trzecią. Musiał się pospieszyć, jeśli chcieli razem z Colleen zdążyć na popołudniowy pociąg na Long Island.

Dziesięć minut później, gdy twarz i ręce miał świeżo wyszorowane, tak samo jak pędzle, Rylan pogwizdując, wspinał się energicznie po schodach na parter. Colleen jednak nie czekała na niego tam, gdzie zwykle, koło recepcji. Z szerokim uśmiechem skierował się w stronę klasopracowni, mając nadzieję, że spotka ją tam rozmawiającą z dziećmi.

Na szczęście drewniane drzwi były lekko uchylone, dzięki czemu mógł zajrzeć do środka. Jednakże to, co zobaczył, sprawiło, że uśmiech zamarł na jego twarzy. Na środku sali stała siostra Małgorzata, wymachując różgą przed najwyraźniej rozsierdzoną Colleen. Mała Delia, z rękami poplamionymi atramentem, kulila się ze strachu, łkając za spódnicą Colleen. Pozostałe dzieci tłoczyły się na drugim końcu sali, jakby bały się, że kara może osiągnąć także ich.

Colleen zacisnęła dłonie w pięści i oparła je na biodrach.

- Niech siostra jeszcze raz dotknie tego dziecka, a spotka się siostra z Bogiem szybciej, niżby się tego ktokolwiek spodziewał.

Rylan zdławił w sobie śmiech na widok wstrząśniętej twarzy zakonnicy i wkroczył do pomieszczenia.

- Moje panie, w czym tkwi problem? - Tak naprawdę wcale nie musiał pytać. Zauważył wystarczająco dużo atramentu na dłoniach i fartuszkach Colleen, żeby dopowiedzieć sobie całą historię.

Odwróciła twarz w jego stronę. Jej wzrok płonął.

- Ta kobieta bije małą Delię z powodu wypadku.

Panie, ześlij, proszę, Twoją pomoc. Chociaż skłonny był zgodzić się z Colleen i nie pochwałał bicia małych dzieci, wcale nie miał ochoty podważać autorytetu starszej zakonnicy.

- Ależ, siostrze, na pewno damy radę wymyślić jakiś odpowiedni sposób, by Delia poniosła konsekwencje, tak by nie trzeba było...

- rzucił surowe spojrzenie na narzędzie w jej rękach - ...chłostać dziecka.

Twarz zakonnicy oblała się purpurą.

- Jak kleryk śmie krytykować sposób, w jaki zarządzam tą instytucją!

Rylan przywdział swój najbardziej czarujący uśmiech i uspokajającym gestem położył dłoń na ramieniu siostry.

- Dostrzegam, jak ogromna odpowiedzialność spoczywa tutaj na siostrze i jak dobrze radzi sobie siostra z tymi dziećmi. - Rozluźniła się na ułamek sekundy, choć jej usta nadal były ściągnięte.

- I rozumiem potrzebę surowej dyscypliny, by wszystko dobrze szło. - Poczul pod dłonią, jak jej ramiona spięły się, kiedy wyprostowała plecy.

- Wypełniamy tutaj Boże dzieło, księżu kleryku Montgomery.

- Ależ oczywiście! - Zręcznie wyjął różgę z jej ręki. - Siostra oraz inne zakonnice wykonujecie wspaniałą pracę. Jestem pewien, że chwilami jest to dla was męczące. Proszę powiedzieć, czy ma siostra w ogóle dzień wolny?

Mrugała znad okularów jak pomarszczona sowa.

- Nie mamy urlopu. To nasze powołanie.

Drugą ręką za plecami gestem wskazał Colleen, by zabrała Delię z widoku. Jednocześnie uśmiechał się, patrząc zakonnicy w oczy.

- A co zrobiłaby siostra, gdyby miała cały dzień tylko dla siebie, bez żadnych obowiązków?

Rozdziawiła usta, jak gdyby nigdy nie brała pod uwagę takiej możliwości.

- Ja... ja pewnie spędziłabym cały dzień w Central Parku.

- O tak, brzmi doskonale. Niech to będzie moja osobista misja, żeby zorganizować dzień wolny dla wszystkich sióstr, które tutaj pracują. - Uśmiechnął się, widząc jej zaskoczony wyraz twarzy.

- Proszę mi tylko dać czas, żeby zebrać kilku wolontariuszy, i do dzieła.

Zapadła się w fotel przy biurku nauczyciela.

- Ale ja nie wiem, jak. Gdzie znajdziecie tylu wolontariuszy?
-zapytała słabym głosem.

- Proszę to zostawić mnie. W międzyczasie, czy mogłaby siostra wezwać dozorcę, żeby posprzątał biurko i podłogę? Panna O'Leary i ja musimy już iść.

- Oczywiście. - Wstała i skierowała się w stronę drzwi. Potem jeszcze odwróciła się, mówiąc: - Dziękuję, kleryku Montgomery.

- Cała przyjemność po mojej stronie, proszę mi wierzyć.

Parę minut później siedzieli już w pociągu i Colleen wsunęła pobrudzone ręce pod spódnicę. W uszach już miała napomnienie ojca: „Damy nigdy nie mają zabrudzonych dłoni. I z pewnością nie krzyczą na zakonnice”.

Westchnęła ze zmęczenia. Nie żałowała, że uratowała Delię od kary, którą zaczęła jej wymierzać siostra Małgorzata. Ale przykro jej było, że nie zrobiła tego z większym wyczuciem, że straciła panowanie nad sobą.

- Nie martw się. Wyszorujesz plamy po atramencie ługiem i nie będzie ani śladu.

Jej wzrok powędrował ku rozbawionemu uśmiechowi na zawa-
diackiej twarzy Rylana Montgomery ego. Miał przedziwny talent do
odgadywania, o czym myślała.

Popatrzyła na niego groźnie, mówiąc:

- Jak udaje ci się zawsze pozostać spokojnym? Rozbawienie
zabarwiło jego oczy odcieniem rozpuszczonej czekolady.

- Błogosławieństwo niefrasobliwej natury... i fura modlitwy. Spuściła
wzrok na kolana. Rylan był dla niej ogromnym wsparciem podczas
całego zajścia, ani razu nie zganił jej za niegrzeczne

traktowanie siostry Małgorzaty. Przygniotło ją poczucie winy.

- Przepraszam, jeśli ściągnęłam na ciebie jakieś problemy z siostrami.

- Jakie problemy?

Zignorowała jego próbę obrócenia wszystkiego w żart.

- Podejrzewam, że nie pozwolą mi tam wrócić po tym, jak okazałam się tak nieposłuszną wolontariuszką.

Dlaczego na samą myśl o tym poczuła ukłucie w sercu? Jeszcze dwa tygodnie temu pewnie uknułaby taki splot wydarzeń, żeby wykręcić się od tej pracy. Teraz jedyne, o czym myślała, to rozczarowanie Delii, kiedy jej zabraknie. Kto będzie się opiekował dziewczynką? Chronił ją od okropnej dyscypliny siostry Małgorzaty?

Ciepła ręka Rylana dotknęła jej ramienia, sprawiając, że przeniknęły ją dreszcze.

- Trzeba by było rozlać więcej niż jeden kałamarz, żeby siostry pozbyły się wolontariuszki. Jeśli nie zauważyłaś, raczej ciągle brakuje im pomocy. - Posłał jej ten swój zawadiacki uśmiech, który zaczął się jej wydawać coraz bardziej ujmujący. - Poza tym potrzebuję twojej pomocy przy dzieciach w najbliższą sobotę, żeby siostrzyczki mogły mieć swój wolny dzień.

Łzy zaskoczenia napłynęły jej do oczu, ale zdołała się opanować. Co się z nią ostatnio działo? Poza dniem, kiedy zginął jej młodszy braciszek, Colleen mogła policzyć na palcach jednej ręki sytuacje, gdy płakała. Łzy były stratą czasu. Na dodatek, po płaczu puchły jej oczy, a nos robił się czerwony

- Pomożesz mi, prawda? - zapytał Rylan. - W końcu uratowałem cię przed gniewem siostry Małgorzaty.

Lekki śmiech niespodziewanie wyrwał się z jej piersi, zanim zdążyła go powstrzymać.

- Myślę, że mogę poświęcić swój czas.

W rzeczywistości, cóż innego miała do roboty? Z jakiegoś powodu niekończące się przyjęcia, bale i rozrywki towarzyskie, do

których przywykła, przestały na niej robić jakiegokolwiek wrażenie. Nawet wizja bogatego, idealnego kawalera do wzięcia nie była już tak atrakcyjna jak kiedyś.

Zagryzła wargę, ścisnęła dłonie pod fałdami spódnicy, mówiąc:

- Rylanie, czy mogłabym cię o coś zapytać?

- Oczywiście.

- Czy... czy myślisz, że pójdę do piekła? Uniósł jedną ze swoich ciemnych brwi.

- No więc, to pewnie zależy od tego, ile strasznych rzeczy zrobiłaś. Wiem, że groziłaś śmiercią tej biednej siostrzyczce dzisiaj. -W jego oczach pojawił się błysk, który zdradzał, że się z nią przekomarza.

- Ja mówię poważnie. - Odwróciła wzrok. - Nie byłam zbyt miłą osobą. Wiesz, co zrobiłam wobec Jareda i Gila. Nie po raz pierwszy wykorzystałam kogoś, żeby coś dla siebie osiągnąć. - Jej policzki oblał rumieniec na myśl o tajemnicy, której nikomu jeszcze nie powierzyła. Czy Rylan mógł rozgrzeszyć ją z tej zadawnionej winy? Już teraz czuła się odmieniona przebywaniem z nim i z sierotami. Co takiego było w Rylanie, że gotowa była zakwestionować swoje plany na przyszłość?

Usłyszała, jak wydał z siebie ciche westchnienie, i spojrzała w górę, przez rzęsy. Na początku nic nie powiedział, po prostu wpatrywał się w okno, kiedy pociąg turkotał po torach. Po paru sekundach skierował na nią poważne spojrzenie i rzekł:

- Jesteś dziewczyną dorastającą do bycia kobietą i najprawdopodobniej dotychczas popełniłaś trochę błędów. Jednakże nie zrobiłaś nic tak straszego, czego Bóg nie mógłby ci wybaczyć. -W swojej żarliwości pochylił się bliżej w jej kierunku. - Colleen, Bóg kocha cię niezależnie od okoliczności. Zwróć się do Niego, proś o Jego wybaczenie i staraj się czynić dobrze. To wszystko, czego On pragnie.

Gula wzruszenia stanęła jej w gardle. Pod powiekami poczuła

pieczenie gorących łez. Czy mogło to być takie proste?

- Czy pokażesz... mógłbyś pokazać mi jak to zrobić? Uśmiech rozpromienił jego twarz. Delikatnie ujął jej jedną poplamioną dłoń i otoczył ją ciepłem swoich palców.

- Z przyjemnością. Może zaczniemy od krótkiej modlitwy? Pierwszy raz od kiedy była dzieckiem, Colleen pochyliła głowę

i poruszała ustami, szepcząc płynące prosto z serca słowa skruchy oraz wychwalając wielkie miłosierdzie Boże.

18.

Późnym poniedziałkowym popołudniem Gil zapukał do drzwi gabinetu pana Hastingsa, ze wszystkich sił starając się zapanować nad niepokojem. Modlił się tylko, żeby nie chodziło o jakiś błąd, który mógł popełnić w związku z rozliczeniami.

- Proszę wejść.

Gil wkroczył do środka, mówiąc:

- Chciał się pan ze mną widzieć, sir?

- Tak, Gilberte, usiądź, proszę. Otrzymałem przed chwilą telefon od Jamesa OLearyego z wiadomością dla ciebie.

Przeszył go lęk i opadł ciężko na fotel. Zaduch panujący w pokoju sprawił, że jeszcze bardziej oblały go poty.

- Mam nadzieję, że to nic niepomyślnego.

Usta Arthura Hastingsa zacieśniły się, wyraźniej znacząc jego twarz zmarszczkami.

- Chodzi o jego córkę, Briannę.

Gil poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy. Dobrze, że siedział, bo nogi z pewnością odmówiłyby mu posłuszeństwa.

- Co się z nią stało?

- Zdaje się, że uciekła z domu.

Gil rozdziawił usta. Tysiące mrocznych scenariuszy przetoczyło się przez jego głowę. Co sprawiło, że Bree podjęła tak drastyczne kroki?

- Czy to pewne?

- Tak, zostawiła list matce, tłumacząc w nim, że ma zamiar zatrzymać się u ciotki w mieście. - Arthur podsunął przez biurko

kawałek papieru. - James próbował do niej dzwonić, ale rozmawiał jedynie z gospożą, która odmówiła podania jakichkolwiek informacji. Chciał, żebyś tam poszedł i upewnił się, że Brianna rzeczywiście przebywa u ciotki. Tu jest jej adres.

Gil wziął karteczkę i spróbował odczytać, ale litery tańczyły mu przed oczami.

- Czy wiesz dlaczego Brianna tak nagle wyjechała? Arthur potrząsnął głową.

- Obawiam się, że nie. James mówił, że cała rodzina była na rozdaniu dyplomów, a potem ona zamknęła się w pokoju na kilka dni, mówiąc, że źle się czuje. Pewnego poranka zniknęła. - Arthur złożył dłonie, stykając je czubkami palców. - Powiedziała jeszcze, że zostawiła także liścik dla narzeczonego, ale on odmówił wyjawienia jego treści.

Gil gwałtownie zerwał się z fotela i ruszył w kierunku komody. Fakt, że Bree opuściła rodzinę wskazywał, że musiało stać się coś strasznego. Poczucie winy opasało jego pierś, odbierając mu oddech. Czyjego wyjazd miał z tym cokolwiek wspólnego? Poluzował krawat i rozpiął koszulę pod szyją.

Także Arthur podniósł się zza biurka.

- A może chcesz tam iść od razu, synu? Nie sądzę, żebyś był w stanie skupić się na pracy, dopóki jej nie odnajdziesz.

Gil pokiwał głową.

- Dziękuję, sir. W takim razie pójdę.

Panie, proszę, spraw, żeby była bezpieczna u ciotki.

Dwadzieścia minut później Gilbert wspinał się po schodach do drzwi wejściowych domu numer 402 przy Zachodniej Ulicy Dziewięćdziesiątej Czwartej. Od przystanku autobusowego dotarł tu na piechotę i świeże powietrze pomogło mu uspokoić nerwy. Jak również setki modlitw, które odmawiał podczas drogi. Zapukał i czekał, aż pulchna gospodyni o surowym spojrzeniu otworzyła drzwi.

- Dzień dobry. Szukam panny Fiony O'Leary.

Kobieta skrzywiła się.

- To jeszcze nie wszyscy na dzisiaj? - Następnie otworzyła szerzej drzwi. - Kogo mam zapowiedzieć?

- Pana Gilberta Whelana.

- Proszę poczekać.

Gil zdjął kapelusz i czekając, rozglądał się dookoła. Widać było, że siostra Jamesa całkiem dobrze sobie radzi mimo braku męża. Dom był gustownie urządzone i elegancki - o wysokich sklepieniach i zdobieniach wykonanych z drewna.

Chwilę później w holu pojawiła się wysoka, modnie ubrana kobieta. Gil dostrzegł wyraźne podobieństwo do brata - kości policzkowe, niebieskie oczy i królewska postawa. Podczas gdy James był brunetem, jego siostra odziedziczyła po przodkach charakterystyczne irlandzkie kasztanowe loki, które upięła w luźnym koku. Jak przez mgłę przypominał sobie jej wizytę w Irlandzkich Łąkach po tym, jak rodzina O'Leary wzięła go pod opiekę.

- Gilbert Whelan? - Kiedy podchodziła do niego, na jej twarzy zagościł powitalny uśmiech. - Cóż, ostatni raz widziałam cię, jak biegałeś jeszcze w krótkich spodenkach. - Wyciągnęła rękę w jego kierunku. - Widzę, że wyrosłeś na przystojnego młodzieńca.

Odwzajemnił uśmiech.

- Dziękuję, panno O'Leary. Dobrze panią widzieć.

- Proszę, mów mi ciocia Fiona. Wejdziemy do salonu?

Gil powstrzymał niecierpliwość i ruszył za nią w głąb wyłożonego kafelkami korytarza. Poza ich krokami w domu panowała zupełna cisza. Weszli do ciepłego salonu urządzonego w stylu wiktoriańskim z dwoma dużymi sofami i wypełnionymi po brzegi półkami na książki. W jednym kącie pokoju znajdowała się biała klatka dla ptaków, w której kolorowa parka przeskakiwała z gałęzi na gałąź.

Gil czekał, aż ciocia Fiona zajmie miejsce, a potem sam usiadł na krawędzi złotej kanapy. Błysk lampy rozświetlał jasne pasemka

na włosach ciotki, tak bardzo przypominające mu o Briannie, że aż poczuł ucisk w piersi.

- Spodziewam się dlaczego tu jesteś - powiedziała bez zbędnych wstępów. - James cię tu przysłał, prawda?

- Zgadza się. Niepokoi się o Briannę. - Gil pochylił się do przodu, trzymając ręce na kolanach. - Czy ona *jest* tutaj?

- Tak. Przyjechała dziś rano.

- Czy wszystko u niej w porządku?

- Fizycznie ma się dobrze. Emocjonalnie... cóż, to trudniejsze do określenia.

Przewierciła go wzrokiem, który sprawił, że Gil zaczął się wić na wyściełanym siedzisku. Czy Brianna powiedziała ciotce o tym, co wydarzyło się między nimi? Chyba lepiej byłoby zmienić temat.

- Czy to miało jakiś związek z narzeczonym Bree?

- To nie twoja sprawa, Gilbercie Whelanie.

Lodowata wściekłość w głosie Brianny uderzyła Gila jak policzek. Skoczył na równe nogi i odwróciwszy się, zobaczył w łukowatym wejściu bardzo rozgniewaną damę.

- Brianna. - W głowie miał pustkę i nie wiedział, co powiedzieć na jej widok. Choć minęło tylko parę tygodni, odnosił wrażenie, jakby nie widział jej od miesięcy. Wydawała się szczuplejsza, jej podkrążone oczy były zaczerwienione - drobne oznaki, które wskazywały, że nie była szczęśliwa.

Weszła do pokoju z rękami wspartymi na biodrach.

- Co tutaj robisz?

Przełknął uczucie konsternacji wywołane jej wyraźnym niezadowolaniem. Tak marzył o ich zwykłym powitalnym uścisku...

- Twój ojciec prosił mnie, żebym upewnił się, gdzie jesteś. Rzuciła mu piorunujące spojrzenie.

- Zatem wypełniłeś swoje zadanie. Możesz się odmeldować generałowi.

Ciocia Fiona odchrząknęła.

- Cóż, może przyniosę coś do picia?

Bree nieznacznie skinęła głową i ciotka w milczeniu opuściła pokój. Ponieważ najwyraźniej nie miała zamiaru usiąść, Gil także stał koło sofy.

- Dlaczego to robisz, Bree? Uciekasz z domu i wszyscy się o ciebie martwią.

Założyła ręce i wojowniczo uniosła podbródek.

- Skorzystałam z twojej rady.

- *Mojej rady?*

- Sam mówiłeś mi, że powinnam żyć własnym życiem i nie podążać ślepo za tym, czego oczekuje ode mnie ojciec. - Jej zacięta mina i zmarszczone brwi ponad żywą zielenią oczu mówiły same za siebie.

Gil zrobił krok w jej stronę, zbliżając się ostrożnie jak do nieobliczalnej młodej klaczy. Nie miał pojęcia, jak poradzić sobie z tą rozzłoszczoną i arogancką Brianną.

- Co skłoniło cię do ucieczki? Czy stało się coś na uroczystości rozdania dyplomów?

Wyraz cierpienia przemknął przez jej twarz, zanim zdążyła przybrać ponownie kamienną maskę.

- Nic się nie stało. Poza faktem, że uświadomiłam sobie, iż mam przed sobą całą przyszłość i nie chcę jej spędzić z Henrym.

Ta wstrząsająca informacja zaskoczyła go.

- Poinformowałaś go o tym w liście? - Jej odpowiedź nie powinna go obchodzić, ale poczuł w sobie przyływ nadziei.

- To sprawa pomiędzy mną a Henrym. - Sztywnym krokiem przemierzyła pokój, podeszła do okna i odsunęła koronkową firankę, aby spojrzeć przez okno.

Ptaszki w klatce zaskrzeczały i zatrzepotały skrzydłami, jakby poruszone ich ostrą wymianą zdań.

Gil pocierał dłonią szczękę. Nie miał żadnego prawa ingerować

w życie Brianny, ale musiał wiedzieć, że ona czuje się dobrze. Wyłonił się zza niej i nieśmiało położył rękę na jej ramieniu. Wzdrygnęła się i obróciła szybko. W jej oczach tlił się gniew.

- Nie waż się mnie dotykać, Gilbercie Whelanie. Nie masz najmniejszego prawa!

Poczuł, jak serce się w nim kraje. Stracił ją. Stracił jej przyjaźń i zaufanie. Swoim wyjazdem zniszczył wszystko.

- Przepraszam.

Wetknął ręce do kieszeni, starając się opanować uczucia, które przetaczały się przez jego ciało. Nie miał nic do powiedzenia w sprawach dotyczących jej życia. Niezależnie czy miałyby wrócić do domu i poślubić Henry'ego, czy mieszkać z ciotką. Jednak nie mógł się powstrzymać, żeby nie zapytać:

- Co teraz zamierzasz, Bree? Odsunęła się od niego.

- Jesienią chcę się zapisać do Barnard College.

Zatem podążała za swoimi marzeniami pomimo sprzeciwu ojca! Jej odwaga tylko wzmogła jego podziw.

- A co z chesnym? Nie sądzę, żeby twój tata chciał za ciebie zapłacić.

- Ciocia Fiona spróbuje go przekonać, żeby zmienił zdanie. Jeśli się nie uda, wymyślę coś. Jak będzie trzeba, poszukam pracy.

Uniósł ze zdziwieniem brew.

- Mówisz to poważnie?

- Oczywiście, że tak.

Nagle uświadomił sobie coś, co sprawiło, że aż zmarszczył brwi. College dla kobiet był tylko parę przecznic od banku. Brianna byłaby bardzo blisko - co jednocześnie podnosiło go na duchu i niepokoiło. Przystąpił z nogi na nogę, dając wyraz temu, jak niezręcznie się czuje.

- Czy przynajmniej zgodzisz się, żeby poinformować twoich rodziców, że masz się dobrze?

Rysy jej twarzy złagodniały i kiwnęła głową.

- Poproszę ciocię Fionę, żeby zadzwoniła. Jeśli usłyszałabym głos mamy, na pewno bym zmiękła i wróciła do domu. - Jej zgryzota drgała w powietrzu między nimi jak popołudniowe słońce migoczące przez przezroczyste firany.

Pragnienie wzięcia jej w objęcia stało się dla Gila niemal fizycznym cierpieniem.

- Jeśli kiedykolwiek potrzebowałabyś mnie, mieszkam w pensjonacie pani Shaughnessy przy Amsterdam Avenue, pokój dwieście dwanaście. - Czekał, aż ich spojrzenia się spotkają. - Pomimo tego wszystkiego, co się wydarzyło, mam nadzieję, Bree, że zawsze będziemy przyjaciółmi.

W tych wspaniałych zielonych oczach, które co noc nie dawały mu spokoju, gdy wpatrywał się w rysy na suficie, w tych szmaragdach błysnęły łzy.

- Też mam taką nadzieję, Gil. - Przygryzła dolną wargę i wiedział, że rozpaczliwie stara się zapanować nad emocjami.

Gdyby tylko między nimi poukładało się inaczej. Powoli zrobił krok do tyłu.

- Trzymaj się.

- Dobrze.

Podniósł swój kapelusz z kanapy i ostatni raz długo się jej przyglądał, a następnie odwrócił się i wyszedł z pokoju.

- Rozmawiałam z twoim ojcem wczoraj wieczorem. - Ciocia Fiona delikatnie wytarła usta po skończonym śniadaniu.

Brianna zerknęła znad swojego talerza. Resztką apetytu, która jej została po wstrząsie spowodowanym spotkaniem z Gilem, zniknęła całkowicie na samo wspomnienie o ojcu.

- Co powiedział tata?

- Jak się zapewne domyślasz, chciał, żebyś wróciła do domu. - Ciotka cicho westchnęła. - Nie rozumiem dlaczego mój brat odczuwa ciągłą potrzebę kontrolowania wszystkich dookoła. Dlaczego po prostu nie pozwoli im żyć ich własnym życiem...

Brianna wyczuła, że ciocia Fiona nie mówiła tylko o obecnej sytuacji. Czy tata próbował kontrolować także życie swojej siostry?

- Czy zapytałaś go o pójście do college'u? Ciocia złożyła serwetkę obok talerza.

- Tak, ale obawiam się, że odpowiedź nadal brzmi „nie”. Brianna zdusiła jęk rozczarowania i szybko upiła łyk kawy. Silny

napój przywrócił jej równowagę i determinację. Nieważne było, co powie jej ojciec. Znajdzie sposób, aby iść na uczelnię bez niczyjej pomocy. Potrzebowała tylko pracy, żeby mieć pieniądze na czesne.

- Ciociu, czy mogłabyś mi pomóc znaleźć tu jakąś posadę? Muszę zarobić na czesne, a także zapłacić ci za pokój i wyżywienie -jeśli oczywiście nie masz nic przeciwko, żebym mogła tu zostać.

Ciocia Fiona zamrugnęła ponad wzniesioną filiżanką.

- Moja droga, myślę, że powinniśmy porozmawiać, zanim podejmiesz ostateczną decyzję.

Brianna zacisnęła palce na serwetce, którą trzymała w ręku. Co będzie, jeśli ciocia weźmie stronę taty i odmówi jej pomocy? Teraz Brianna mogła tylko wysłuchać wszystkiego, co ma do powiedzenia i liczyć, że w razie czego uda jej się przekonać ciotkę do spojrzenia na sprawę z innej perspektywy.

Ciocia Fiona dopiła kawę i wstała.

- Usiądźmy w salonie. Tam będzie nam wygodniej.

Brianna poszła za nią przez hol. Zająły miejsca na kanapie. Poranne słońce sprawiało, że i tak przytulny pokój stawał się jeszcze radośniejszy. Kojąca atmosfera od razu podniosła Briannę na duchu. Nawet ptaszki cicho drzemały w klatce.

Ciocia Fiona siedziała sztywno, z wyprostowanymi plecami i rękami złożonymi razem na podolku.

- Niewielu osobom opowiadałam o moich latach młodości, ale ponieważ zauważam tak wiele podobieństw między moim i twoim życiem, mam nadzieję, że wysłuchanie mojej opowieści pomoże ci w podjęciu właściwej decyzji dotyczącej twojej przyszłości.

Ukłucie zaciekawienia pobudziło uwagę Brianny. Zwróciła się twarzą w stronę ciotki, czekając w napięciu.

- Po pierwsze, muszę zadać ci kilka pytań i oczekuję szczerych odpowiedzi. - Łagodna ciocia, nagle zdała się bezwzględna. Brianna przełknęła ślinę.

- Dobrze.

- Powiedziałaś, że zerwałaś zaręczyny, bo nie mogłabyś poślubić kogoś, kogo nie kochasz.

Dziewczyna pokiwała głową.

- Henry jest dość miły, ale jego dotyk sprawiał, że... miałam dreszcze. I nie chodzi o takie pozytywne odczucie...

Delikatny uśmiech pojawił się na ustach kobiety.

- Myślę, że rozumiem. - Zawahała się. - Jednakże zauważyłam też, jak mocno przeżyłaś wizytę Gilberta. Czy dobrze mi się wydaje, że w grę wchodzi jakieś nieodwzajemnione uczucie?

Brianna szybko pochyliła głowę. Jakże bardzo pragnęła umieć powściągnąć swoje emocje - tak jak jej siostra, która kontrolowała nawet najmniejsze mrugnięcie okiem. Stwierdziła jednak, że nie ma sensu ukrywać prawdy przed ciotką.

- Kocham Gila, ciociu.

Stało się. Wypowiedziała to na głos. I dach wcale nie zawalił się jej na głowę.

- Czy on czuje to samo wobec ciebie? - uniósłszy brwi, pytała dalej.

- Tak mi się wydaje. Ale on się do tego nie przyzna ze względu na tatę. - Ciężko przełknęła, aby zdusić w sobie gorycz.

Ciotka ściągnęła wargi.

- Rozumiem. Twój ojciec nie akceptuje Gilberta jako dobrego

kandydata dla ciebie. Potrząsnęła głową.

- Tata dba tylko o pieniądze i status społeczny. - Wyjęła chusteczkę z kieszeni i ścisnęła ją w garści. - W ogóle nie zważa na moje uczucia.

Na twarzy ciotki zarysował się smutek.

- Rozumiem cię bardziej, niż jesteś to w stanie sobie wyobrazić - powiedziała łagodnie. - Kiedy byłam młoda, miałam adoratora. Ponieważ nasz ojciec już nie żył, James poczuwał się do zastąpienia go w roli głowy rodziny i zachowywał się jak mój opiekun. Uważał, że Martin nie jest mnie godny i zakazał nam się spotykać.

- Co zrobiłaś?

- Bardzo głupią rzecz. Zaangażowałam się w potajemny związek z Martinem do czasu, aż... - jej głos drżał - ...aż dowiedziałam się, że będę mieć dziecko.

Brianna wydała okrzyk. Nie umiała sobie nawet wyobrazić reakcji jej ojca na taką informację.

- To straszne. Dlaczego Martin cię nie poślubił? Z pewnością tata nie sprzeciwiałby się, skoro dziecko było w drodze.

Fiona uśmiechnęła się ze smutkiem.

- Okazało się, że Martin nie mógł mnie poślubić. On już był żonaty.

Współczucie ścisnęło serce Brianny wobec cierpienia ciotki. Zdradzona przez człowieka, którego kochała. Samotna, spodziewająca się dziecka.

-1 co zrobiłaś?

- Coś jeszcze gorszego. - Wzięła głęboki oddech. - Nie widząc wyjścia z tej sytuacji, chciałam odebrać sobie życie. - Łzy napłynęły do oczu ciotki, chociaż jej spojrzenie nawet nie drgnęło. - Próba była nieudana. Ja przeżyłam... ale moje dziecko nie.

Łzy spłynęły strużkami po policzkach Brianny. Osuszyła je chusteczką, a ciocia Fiona poklepała ją po ramieniu.

- W porządku, dziecino. Pogodziłam się z tym już wiele lat temu. Bóg mi wybaczył i ja też nauczyłam się, jak sobie wybaczyć. Najtrudniejszym wyzwaniem było przyznanie, że James miał całkowitą rację, jeśli chodziło o Martina. Niestety, wtedy było już za późno. Byłam upadłą kobietą, bez nadziei na męża. Więc zapisałam się do college'u i zaangażowałam całą swoją namiętność w pogłębianie wiedzy.

Brianna podziwiała odwagę ciotki, która wyszła z tak trudnej sytuacji i stała się poważaną nauczycielką. Ciocia Fiona ścisnęła rękę Brianny.

- Powiedziałam to wszystko, aby pokazać ci, jak szybko potrafi się zmieniać życie. Raz otwarte drzwi mogą się okazać zamknięte na zawsze. W tym momencie, moja droga, wciąż masz otwarte wszystkie możliwości. Czy jesteś całkowicie przekonana, że to jest ścieżka, którą chcesz podążać?

Brianna obracała w rękach chusteczkę.

- Jestem pewna. Chcę studiować bibliotekarstwo i może potem także uczyć albo pracować w bibliotece.

- A co z mężem? Rodziną? Z pewnością chcesz mieć kiedyś dzieci.

Brianna odepchnęła od siebie myśl o cierpieniu i uniosła podbródek.

- Skoro nie mogę poślubić Gila, nie chcę nikogo innego. Przynajmniej na razie. Być może z czasem zmienię zdanie, ale nie mogę wyjść za kogoś tylko po to, żeby przypodobać się ojcu.

Ciotka przyjrzała się jej uważnie i w końcu pokiwała głową.

- Bardzo dobrze. Oto moja propozycja. Będziesz mieszkać tu ze mną, pomagać mi przez całe lato w pracy na cele charytatywne, a jesienią zaczniesz uczęszczać do Barnard College. Będziemy musiały od razu zgłosić twoją kandydaturę. Jeśli będzie trzeba, użyję moich znajomości, abyś została przyjęta.

- A co z kosztami?

Ciocia Fiona machnęła ręką.

- Dzięki testamentowi matki mogę prowadzić dostatnie życie. To będzie dla mnie zaszczyt, jeśli będę mogła pokryć koszty twojej edukacji. Wspaniale, że kolejna kobieta z rodziny OTeary wejdzie do akademickiego świata.

Przytłoczona hojnością ciotki, Brianna poczuła, jak całe napięcie z niej uleciało.

- Jak ja ci się odwdzięczę?

- Nie trzeba, moja droga. Jestem zachwycona, mogąc cię tutaj gościć.

Brianna uścisnęła ciotkę, wdzięczna za sprzymierzeńca, który rozumie jej sprawę. Po raz pierwszy, poczuła, że ma władzę nad swoją przyszłością.

Modliła się jedynie, aby droga, którą szła, była tą, którą wybrał dla niej Bóg.

Wczesnym rankiem w sobotę Rylan czekał na Colleen w salonie. Cieszył się, że dziewczyna chętnie zgodziła się spędzić czas z wychowankami domu dziecka. Miał nadzieję, że wolny dzień pomoże w przewyciężeniu niechęci siostry Małgorzaty wobec Colleen, która nawet namówiła panią Harrison, żeby upiekła te rozpływające się w ustach bułeczki dla sióstr na uświetnienie ich wyjścia. Był przekonany, że miało to być zadośćuczynienie za utratę panowania nad sobą podczas tamtego sporu.

Rylan wciąż nie mógł uwierzyć w subtelne zmiany, które się w niej dokonywały w ciągu ostatnich paru tygodni, od kiedy zaczęła pracować jako wolontariuszka w sierocińcu Świętej Rity.

Dziękuję Ci Panie, że mogę być narzędziem, dzięki któremu doprowadzasz ją ku swojej zbawczej łasce.

Takie chwile jak ta utwierdzały go w podjętej decyzji o wstąpieniu na drogę kapłańską, gdyż czasami, w chwilach słabości, zdarzało mu się w duchu kwestionować ten wybór. Wspomnienia matki leżącej w chorobie, jej zapalenie płuc prześladowało go niczym koszmar. Lekarz powiedział Rylanowi i jego rodzeństwu, że potrzeba cudu, by wyleczyć jej osłabione płuca. Zdesperowany, by ocalić ostatniego żyjącego z rodziców, Rylan błagał Boga, ofiarując swoje w życie w zamian za jej. Wstąpienie do seminarium wydawało się niską ceną, kiedy widział, że matka odzyskała zdrowie i czuła się na tyle dobrze, że mogła znów opiekować się małą Maggie. Zazwyczaj Rylan czuł się spełniony i umacniał się w swoim życiowym wyborze, ale czasami zastanawiał się, jakby to było zakochać

się i założyć rodzinę.

Usłyszał jakieś odgłosy w korytarzu i podszedł w stronę drzwi salonu tak, że zdążył jeszcze zobaczyć Colleen schodzącą na dół i podśpiewującą sobie wesoło. Odziana była w lawendową suknię w paski, wykończoną eleganckim białym kołnierzykiem. Zatrzymała się u dołu schodów, żeby spojrzeć na swoje odbicie w lustrze. Rylan stał nieruchomo, trzymając rękę na futrynie, i przyglądał się, jak przyglądała odstające włosy i poprawiała szpilkę. Odwróciła się od lustra i zaczęła wciągać małe białe rękawiczki, wciąż nucąc pod nosem. W takich momentach, kiedy nikt nie patrzył, wewnętrzna czystość rozświetlała jej twarz, przyćmiewając nawet fizyczne piękno. Rylan aż drgnął, kiedy uświadomił sobie, że przez większość czasu Colleen zakładała maskę kurtuazji, zakrywając swoje prawdziwe oblicze przed otaczającymi ją ludźmi. Czy była tego w ogóle świadoma?

Nie chciał się ujawniać i widzieć, jak znów przybiera fasadę, ale wiedział, że musi. Wyszedł na korytarz, mówiąc:

- Dzień dobry, Colleen. Wyglądasz bardzo radośnie w ten piękny poranek.

Obróciła się z zaskoczeniem, kładąc dłoń na klatce piersiowej.

- Rylan, nie zauważyłam cię. - Jej oczy otworzyły się szerzej. - A gdzie twój kapłański strój?

Spojrzał w dół na swoją kamizelkę w drobną kratkę oraz brązowe wełniane spodnie i wzruszył ramionami.

- Ponieważ nie wybieram się tam w oficjalnej roli, pomyślałem, że mogę się ubrać trochę luźniej.

- Aha. - Jej zmarszczone brwi zarysowały się wąską linią ponad oczami.

Próbował odgadnąć, o co mogło jej chodzić i dlaczego fakt, czy założył koloratkę, czy nie, miał dla niej jakiegokolwiek znaczenie. W zasadzie spodziewał się, że będzie się czuła bardziej swobodnie przy nim ubranym w ten sposób, ponieważ zauważył,

ze przedstawiciele duchowieństwa wprawiali ją w raczej kiepski humor.

- Jeśli ci to przeszkadza, mogę się przebrać.

Maska była już na swoim miejscu, kiedy unosząc brew, rzuciła:

- Jak ci wygodniej. Dlaczego miałyby mnie obchodzić, jak jesteś ubrany?

Umysłny chłód jej głosu wzniecił w nim płomień gniewu. Zrobił krok w przód, rozdrażnienie pulsowało mu w żyłach.

- No właśnie, dlaczego? - Wyobrażał sobie, że jego przestarzałe ubrania są zbyt niemodne dla niej. - Czy wstydzisz się ze mną pokazywać?

Spuściła oczy i spłonęła się, ale nic nie powiedziała.

- Nie martw się. Jeśli ktoś spyta, możesz powiedzieć, że jestem ubogim krewnym. Z pewnością będą cię żałować, że musisz się zadawać z takimi jak ja. - Nie mógł znieść goryczy, którą usłyszał w swoim głosie. A tym bardziej nie mógł znieść faktu, że chciał być najlepiej ubranym mężczyzną towarzyszącym jej w miasteczku.

Co się z nim działo? Jako ksiądz, nie powinien zwracać uwagi na ubrania ani dumę wynikającą z noszenia ich. A z pewnością nie powinien myśleć o dotrzymywaniu towarzystwa kobietom.

Nie czekając na nią, schwycił kapelusz z wieszaka obok drzwi i wyskoczył na werandę.

Obraziła go.

Jednak jak miała powiedzieć mu, że czuje się bezpieczniej, kiedy jest w sutannie albo pod koloratką? Że kiedy był taki przystojny i dostępny w swoim zwykłym ubraniu, jej umysł błędził w miejsca, w które nie powinien?

Colleen zdławiła nerwowy śmiech. Cóż za ironia! Ona, dziewczyna, która zamierzała poślubić najbogatszego, najprzystojniejszego mężczyznę w okolicy, zakochiwała się właśnie w biednym

wiejskim kleryku. W kącikach jej oczu zebrały się łzy. Czy to był rodzaj jakiejś straszliwej kary? Gniew Boży na nią za te wszystkie okropne rzeczy, które uczyniła w życiu?

Ze złością przetarła oczy, nałożyła stylowy kapelusik przyozdobiony fioletową wstążką i wyszła na zewnątrz za Rylanem. Przeprosiny, które jeszcze przed chwilą tak rozpaczliwie pragnęła złożyć, popadły w zapomnienie. Nie, lepiej, żeby był na nią zły. Żeby uważał ją za próżną i samolubną kobietę, za którą ją brano. W ten sposób, ona uniknie pokusy by całkowicie się zakochać w nieosiągalnym duchownym.

Pomimo niezbyt dobrego początku dnia i podróży pociągiem w prawie całkowitym milczeniu, Colleen cieszyła się czasem spędzonym z dziećmi - zwłaszcza że każdy jej ruch nie był obserwowany pogardliwym spojrzeniem siostry Małgorzaty. Chociaż Rylan traktował ją z chłodną rezerwą, był ciepły i energiczny wobec dzieci. Po porannych modlitwach, maluchy z radością spakowały prowiant na piknik wraz z panią Norton, kucharką oraz panem Smithem, dozorcą, którzy zgodzili się towarzyszyć im do pobliskiego parku.

Po orzeźwiający spacerze poszli na plac zabaw. Dzieci skakały z radości, gdy tylko dostrzegły nowo wybudowane huśtawki, zjeżdżalnię i karuzelę. Humor Colleen był tak dobry jak zabawa dzieciaków. Ku jej wielkiemu szczęściu, mała Delia chciała, żeby Colleen wszędzie jej towarzyszyła. Huśtała ją na huśtawce, kręciła na karuzeli i łapała rozpędzoną dziewczynkę z rozwianymi lokami na dole zjeżdżalni. Radość bijąca z ukochanej twarzy dziewczynki była warta każdego poświęcenia.

Kiedy skończyli piknik, zmęczona grupa wróciła do sierocińca - starsze dzieci pomagały młodszym. Delia była tak znużona, że Colleen musiała ją nieść na rękach przez prawie całą drogę. Dotyk tych drobnych rączek otulających jej szyję i głowa złotych loków oparta na jej ramieniu poruszyły w Colleen czułą strunę.

Nigdy nie wyobrażała sobie, że można być tak przywiązanym do dziecka. Zwykle wydawało jej się, że dzieci są tylko hałaśliwe i de-nerwujące, ale ten brzdąc pokonał wszystkie barykady i dostał się prosto do jej serca.

Colleen wniosła Delię do sypialni na piętrze i położyła ją do łóżka. Gdy tylko upewniła się, że pozostałe dziewczynki są na swoich miejscach, wróciła do Delii i zdjęła jej buciki, marszcząc czoło na widok zużytych podeszew. Potem wetknęła Pana Wąsika, trochę obszarpanego pluszowego królika Delii, obok niej i odgarnęła włosy z jej niewinnej twarzyczki. Nagły przyływ miłości wypełnił serce Colleen - było to tak silne, że aż musiała pohamować napływające łzy. Ta kochana dziewczynka zasługiwała na mamę, która będzie całować ją na dobranoc, śpiewać jej i czytać bajki. Kogoś, kto będzie czesał jej włoski i kupi jej nowe buciki, i sprawi, że nigdy nie zabraknie jej jedzenia. Colleen przytknęła dłoń zwiniętą w pięść do ust, żeby zdusić dławiący ją szloch.

Boże, gdzie jesteś, gdy te dzieci potrzebują rodziny? Ale przede wszystkim, dlaczego zabrałeś im ich rodziców?

Uklęknęła na podłodze obok łóżka, położyła głowę na nierównym materacu i pozwoliła, by łzy płynęły jej po twarzy.

Niezależnie od tego, jak bardzo próbował podtrzymać swój gniew, Rylan nie potrafił długo złościć się na Colleen. Chociaż zachowywał dystans przez cały dzień, nie mógł nie podziwiać jej entuzjazmu wobec dzieci podczas wspólnego wyjścia. Bawiąc się z nimi, wydawała się tak szczęśliwa, jakby sama była dzieckiem.

Jednocześnie silne poczucie winy nie dawało mu spokoju ze względu na wiadomość, którą wczoraj otrzymał. Siostra Weronika powiedziała mu w tajemnicy, że rozpoczęły się negocjacje w sprawie rychłej adopcji Delii. Westchnął ciężko. Jak zareaguje Colleen

na jej odejście?

Rylan upewnił się, że wszyscy chłopcy byli w swoich łózkach na czas popołudniowej drzemki, a następnie zszedł piętro niżej, żeby sprawdzić, co u dziewczynek. Colleen wyszła na korytarz, zanim on zdążył dojść do drzwi.

- Wszyscy na miejscach?

- Tak. - Szła z odwróconą od niego twarzą, skręciwszy w stronę schodów.

Położył rękę na jej ramieniu, żeby ją zatrzymać i spojrzał na jej twarz. Oczy miała przekrwione i napuchnięte.

- Czy wszystko w porządku?

- Jest dobrze. - Wyrwała się spod jego ręki i ruszyła w głąb korytarza. Zatrzymał ją ponownie. Nie dało się go zwieść byle jaką wymówką.

- Płakałaś. Na pewno stało się coś złego.

- Wiatr zawiał mi piaskiem w oczy na placu zabaw. Nic się nie stało. - Chciała go minąć, ale zastąpił jej drogę, delikatnie, ale i stanowczo kładąc ręce na jej ramionach.

- Colleen O'Leary, kłamstwo wobec Bożego sługi jest grzechem. Chcę usłyszeć prawdę.

Uspokoila się, wbijając wzrok we wzorzysty dywan. Podniósł jej podbródek i cierpienie, które dojrzał w jej oczach, odebrało mu oddech.

- To takie smutne, Rylanie. Te biedne dzieci nie mają rodzin, które mogłyby je kochać.

Wizja kolejnych łez tryskających z jej niebiesko-fioletowych oczu sprawiła, że poczuł ucisk w piersi. Bez zastanowienia przyciągnął ją do siebie w delikatnym uścisku, pragnąc jedynie ulżyć jej cierpieniu.

- O tak. To minusy pracy w sierocińcu. Widzi się tak wiele smutku i cierpienia...

Wyciągnął chusteczkę z kieszeni spodni i podał Colleen. Wzięła ją i przetarła mokre policzki, nadal stojąc tak blisko, że spowijał go jej lawendowy zapach.

- Chciałabym móc wziąć Delię ze sobą do domu. Myślisz, że mama i tata mogliby ją adoptować?

Zmartwił się jeszcze bardziej. Colleen była przywiązana do tej dziewczynki jeszcze bardziej, niż się spodziewał. Jednakże nie mógł zdradzić tajemnicy, że Delia już niedługo będzie pewnie należeć do innej rodziny. Równocześnie nie mógł wzbudzać w Colleen płonnych nadziei.

- Myślę, że twoi rodzice nie spełniają wymagań wiekowych - powiedział łagodnie. - Zwykle dają dzieci młodszym parom.

Przygotował się na jeszcze większy płacz, ale ona tylko pociągnęła nosem i oddała mu chusteczkę.

- Czy myślisz, że ktoś kiedyś zaadoptuje Delię?

Fala ciepła wypłynęła na jego kark. Dlaczego miał wrażenie jakby kłamał, przez to, że nie powiedział jej o adopcji?

- Niewątpliwie, jakaś szczęśliwa para wkrótce przyjmie ją do siebie. Odetchnęła powoli.

- Mam nadzieję. Delia na to zasługuje.

- O tak. Ja też mam taką nadzieję.

Gil siedział przy swoim biurku w banku, ponownie wpisując cyfry na maszynie sumującej. Zanotował wynik w leżącej przed nim księdze, a jego głowa drgnęła, kiedy usłyszał odgłos otwieranych drzwi w gabinecie pana Hastingsa. James O'Leary od prawie godziny był na spotkaniu z dyrektorem banku, najprawdopodobniej w sprawie pożyczki. Gil chciał porozmawiać z Jamesem, zanim ten wyjedzie, dlatego szybko odłożył pióro i ruszył w kierunku gabinetu pana Hastingsa.

- Mam nadzieję, że szybko podejmiesz decyzję co do tej pożyczki, Arthurze. - Gil usłyszał głos Jamesa wychodzącego z gabinetu. - Czas to pieniądz, jak sam na pewno wiesz.

Arthur pokiwał głową.

- Będę miał odpowiedź w ciągu najbliższego tygodnia. W międzyczasie, mam nadzieję, że zobaczymy się na przyjęciu z okazji Dnia Niepodległości w sobotę wieczorem. Przyjdziecie razem z Kathleen, prawda?

- Nie możemy się doczekać. - James podał rękę Arthurowi na pożegnanie i wtedy jego uwaga skierowała się na Gila. - Gilbercie, dobrze cię widzieć, synu.

- Dzień dobry, panie O'Leary. Czy miałby pan dla mnie minutkę przed wyjazdem?

- Oczywiście.

- Może chcecie skorzystać z mojego gabinetu? - zaproponował Arthur. - Właśnie miałem zrobić sobie małą przerwę.

- Dziękuję, sir. - Gil przeszedł do gabinetu i zamknął drzwi.

- Jak się czują wszyscy w rodzinie? - zapytał Gil, kiedy już usiedli. Wydawało się, jakby minęły wieki, od kiedy po raz ostatni miał jakieś wiadomości od państwa O'Leary i ogromnie się za nimi stęsknił.

- Wszystko w porządku. Z wyjątkiem Brianny, oczywiście. - James westchnął. - Kathleen to bardzo przeżywa. Po tym jak odeszliście, ty i Brianna, nie jest już sobą.

- A więc Bree nadal mieszka z ciotką?

Pod krzaczastymi wąsami usta Jamesa przybrały ponury wyraz.

- Niestety tak. Fiona przyjęła Briannę jak swój nowy sens istnienia. Obie spiskują przeciwko mnie i odmawiają wypełniania moich poleceń. - Skrzywił się gniewnie. - Nie myśl, że nie kusiło mnie, żeby po prostu zniecka wykraść swoją własną córkę. Jeśli sprawy nie przybiorą lepszego obrotu, może wkrótce będę musiał to zrobić.

Gil potrząsnął głową.

- Brianna jest już dorosła - powiedział cicho. - Choć mogę się nie zgadzać z tym, w jaki sposób to zrobiła, uważam, że ma prawo sama decydować o sobie.

James pochylił się w jego stronę. Jego stalowe niebieskie spojrzenie przeszywało Gila.

- Mam nadzieję, że nie cofnąłeś danego mi słowa. Trzymasz się z dala od mojej córki - nawet po tym jak zerwała zaręczyny?

Ich spojrzenia skrzyżowały się.

- Powiedziałem, że nie będę się sprzeciwiał pańskim życzeniom i dotrzymałem słowa.

James odetchnął z ulgą.

- Dzięki niebiosom, że jest jeszcze ktoś, kto zachował zdrowy rozsądek dany mu od Boga. Dziękuję za twoją lojalność, Gilbercie. A przy okazji, mam jeszcze jedną dodatkową prośbę.

Gil poczuł przyływ mdłości. *Co jeszcze?*

- Ufam, że będziesz na wieczorku u Hastingsów w sobotę?

- Tak, będę dotrzymywał towarzystwa Aurorze.

- Doskonale. Chciałbym, żebyś ogłosił wasze zaręczyny tego wieczoru. - Krew odpłynęła z twarzy Gila i zaczęło mu się kręcić w głowie. - W tym tygodniu Arthur będzie podejmował decyzję w sprawie mojej pożyczki. Gdybyś zaręczył się z Aurorą, powinno mu to pomóc przy zatwierdzeniu mojego dofinansowania.

James nie mówił chyba serio. Gil spotykał się z Aurorą dopiero od paru tygodni.

- Ale... bardzo nam daleko do tego etapu znajomości, sir. Jamy nawet się jeszcze nie całowaliśmy.

- Zatem na co jeszcze czekasz? Pociągnij ten romans. Zaproś ją wieczorem na kolację. Oświadczyć się... albo przynajmniej poproś Arthura o jej rękę. - Poklepał Gila po nodze. - Czas nas goni w Irlandzkich Łąkach. Liczę na ciebie, synu.

Gil przeciągnął językiem po spierzchniętych wargach.

- Czy rozumie pan przez to, że mam ją poślubić? Oczy Jamesa zwęziły się.

- Kiedy już otrzymam fundusze, których potrzebuję, możesz zrobić, co zechcesz. Jednakże, ja na twoim miejscu zastanowiłbym się porządnie, zanim pozwoliłbym odejść takiej świetnej partii jak Aurora.

Kropki potu zrosiły czoło Gila. Naprawdę polubił tę dziewczynę i nie podobało mu się, że ten plan mógłby ją skrzywdzić.

Przez jego głowę przetaczał się teraz prawdziwy huragan. Lojalność wobec Jamesa walczyła z jego własnymi zasadami. Brianna odnalazła w sobie na tyle odwagi, aby sprzeciwić się ojcu. Dlaczego on nie potrafił zrobić tego samego?

James pochylił się jeszcze bliżej, jakby wyczuł obawy Gila.

- Wiem, że nie chciałbyś patrzeć, jak Kathleen i dzieci tracą swój dom. Dom, w którym ty także dorastałeś.

Gil napotkał jego zatroskane spojrzenie.

- Jest aż tak źle?

- Czy myślisz, że podejmowałbym się tak drastycznych kroków, gdyby nie było źle? - Zmarszczki na twarzy Jamesa zrobiły się jeszcze głębsze.

- Nie, proszę pana. - Pomimo wad pana O'Learyego, Gil zawsze uważał go za człowieka o ugruntowanej moralności. Finanse muszą być w dużo gorszej kondycji, niż mu się wydawało po kilkukrotnym przejrzaniu ksiąg. Czyż Gil mógłby stać obok i przyglądać się spokojnie, jak rodzina O'Leary traci Irlandzkie Łąki? Potrafił sobie jedynie wyobrazić ból Brianny w takim wypadku. Gdyby straciła dom jej dzieciństwa i ukochane konie, nie przeżyłaby tego.

Gil wyprostował plecy. Może nigdy nie zostanie mężem Brianny, ale mógłby zrobić tę jedną rzecz, aby pomóc jej rodzinie zachować ich dziedzictwo.

James wstał i ścisnął ramiona Gila.

- Zatem widzimy się w sobotę?

Gil przełknął swoje zastrzeżenia i pokiwał głową.

- Do zobaczenia.

Kiedy odprowadzał Jamesa do drzwi, Gil usilnie starał się odepchnąć od siebie obraz rozczarowania na twarzy Bree, kiedy dowie się o jego zaręczynach.

- Dzisiaj pójdziemy w ramach wolontariatu do sierocińca.
- Oświadczenie cioci Fiony było słychać zanim jeszcze weszła do salonu, gdzie siedziała Brianna, czytając Biblię.

Tętno przyspieszyło jej w skroniach. Czy chodziło o to samo miejsce, do którego dwa razy w tygodniu jeździła jej siostra z kuzynem Rylanem? Miała nadzieję, że nie, gdyż nadal nie wybaczyła Colleen jej zachowania względem Gila na jej przyjęciu urodzinowym.

- O który dom dziecka chodzi, ciociu?

Fiona poprawiła klatkę dla ptaków.

- Świętej Rity. Siostry tam posługujące wykonują wspaniałą pracę dla tych dzieci.

Brianna poczuła ucisk w żołądku. Chciała wymyślić jakąś wymówkę, żeby nie iść, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Zamknęła leżącą przed nią lekturę i wstała.

- Co będziemy tam robić?

- Zazwyczaj biorę udział w wydawaniu dzieciom lunchu, a potem pomagam pozmywać.

Brianna pokiwała głową, nie chcąc zgasić entuzjazmu ciotki. Jeśli natknie się na siostrę, będzie musiała jakoś sobie z tym poradzić. Przeszły na korytarz, by zabrać swoje szale.

- Muszę cię uprzedzić, że możemy tam spotkać Colleen i kuzyna Rylana. Tata kazał jej tam jeździć za karę.

Brwi ciotki uniosły się nad okularami, które często nosiła.

- Czym sobie Colleen na to zasłużyła?

Ręce Brianny drżały, kiedy nakładała kapelusz.

- Pocałowała Gilberta, żeby zmusić swojego narzeczonego do zerwania zaręczyn. Tata postanowił, że powinna lepiej odrobić lekcję z najważniejszych rzeczy w życiu.

- Z pewnością. - Usta ciotki skrzywiły się. - Zastanawiam się jednak, czy ta metoda podziała.

Brianna powstrzymała się przed nieprzystojącym damie prychnięciem. Tylko chyba cud mógłby sprawić, żeby Colleen w ogóle się zmieniła.

Po niedługiej jeździe tramwajem przybyły do domu dziecka. Brianna była zdumiona wielkością budynku. Wyobrażała sobie coś dużo mniejszego.

Weszły po schodach i przeszły przez główne drzwi, zatrzymując się w szatni, żeby zdjąć kapelusze, rękawiczki i szale. W recepcji ciocia Fiona przystanąła, by przywitać się z pracującą tam kobietą w średnim wieku.

- Dzień dobry, pani Taft. To moja bratanica, panna Brianna O'Leary, która przez jakiś czas zatrzymuje się u mnie.

Kobieta zrobiła duże oczy.

- Ojej, mamy tu ostatnio istny najazd O'Learych. - Zachichotała. - Ale jak to mówią, im więcej, tym lepiej.

- Czy mogłabym szybko oprowadzić Briannę? Nie była tu nigdy przedtem.

- Oczywiście. Dzieci są teraz w świetlicy na wspólnej modlitwie. Powiadomię panią Norton, że będziecie pomagać przy lunchu.

Brianna poszła za ciotką w głąb głównego korytarza. Odgłos ich kroków wygłuszał miękki dywan w romby rozłożony na całej jego długości. Po drodze zajrzały do dwóch klasopracowni, które zaskoczyły Briannę doskonałym wyposażeniem i czystością. Przy końcu korytarza ciocia Fiona z palcem na ustach dała znać Briannie, by weszła za nią do dużego pomieszczenia.

Dzieci w różnym wieku usadowione na krzesłach ustawionych w okrąg otaczały Rylana, który siedział z pochyloną głową i rękami złożonymi do modlitwy. Brianna przebiegła wzrokiem po zgromadzonych, aż jej wzrok spoczął na plecach dobrze jej znanej rudowłosej postaci, która także pochylała się w pobożnym skupieniu. Colleen wyglądała na całkowicie pochłoniętą nabożeństwem, a jej usta poruszały się zgodnie z modlitwą wymawianą przez Rylana. Mała dziewczynka o blond włosach wstała i wspięła się na kolana Colleen. Brianna spodziewała się ujrzeć odmowę, tymczasem Colleen przygarnęła dziewczynkę ramionami, pocałowała czule w głowę i położyła policzek na jej złocistych lokach. Brianna zamrugła, żeby upewnić się, czy to wszystko się jej tylko nie przywidziało.

Ciocia Fiona wskazała Briannie miejsce z tyłu pokoju, gdzie czekały, aż Rylan zakończy modlitwy i odeśle dzieci do ich klaso-pracowni.

Pośród ożywienia, które nastąpiło zaraz potem, Rylan dostrzegł

je i uśmiech rozjaśnił jego twarz.

- Brianna, wspaniale cię widzieć. - Przeszedł przez pokój, by ucałować ją na powitanie. - A kim może być ta przemiła dama?

Brianna uśmiechnęła się na ten jego nieodparty wdzięk.

- To jest nasza ciocia Fiona, siostra taty. Ciociu, to jest daleki kuzyn mamy - Rylan Montgomery.

Rylan schylił się, by ucałować dłoń ciotki Fiony.

- To dla mnie zaszczyt panią spotkać. I muszę przyznać, że jest pani dużo bardziej urocza niż pani brat.

Ciocia Fiona się zarumieniła.

Kątem oka Brianna dostrzegła, że Colleen zbliża się w ich kierunku. Wyglądała pięknie, w prostej, niebieskiej sukience. Fala tęsknoty za domem rozlała się w niej z niemal fizycznym bólem. Colleen postawiła małą dziewczynkę na podłodze obok siebie, i wzięła ją za rękę.

- Witaj, Bree. Dobrze cię widzieć. - Colleen stała skromnie na wprost niej.

Brianna zawahała się, zaskoczona faktem, że jej siostra nie okazywała wyniosłości.

- Witaj, Colleen.

Ciocia Fiona podeszła, by ją uścisnąć.

- Colleen? Ależ z ciebie się zrobiła piękna kobieta!

- Dziękuję, ciociu Fiono. Ty także wspaniale wyglądasz. - Drobną zmarszczką przecięła czoło Colleen. - Co wy tutaj robicie? Czy tata wysłał was, żebyście mnie kontrolowały?

- Na niebiosy! Nie, dziecko. - Ciotka Fiona wygładziła swój krótki żakiet. - Lubię pracować tutaj jako wolontariuszka przynajmniej raz w miesiącu. Dzieci dają mi tyle radości.

Colleen uśmiechnęła się do dziewczynki stojącej obok.

- Rozumiem cię. Oto moja przyjaciółka, Delia. Delio, to jest moja ciocia Fiona i moja siostra, Brianna.

Brianna uśmiechnęła się do dziewczynki.

- Miło mi cię poznać, Delio.

Delia chwyciła się kurczowo spódnicy Colleen.

- Panno O'Leary, pani ma siostrę?

- Tak. Mam dwie siostry i dwóch braci.

- I mamę, i tatę?

- Zgadza się.

- Ma pani szczęście. Ja też chciałabym mieć taką rodzinę...

Serce Brianny ogarnęło współczucie na dźwięk ogromnej tęsknoty w głosie dziecka. Kiedy popatrzyła na Colleen, z zaskoczeniem dojrzała w jej oczach łzy.

Colleen schyliła się i przygarnęła do siebie dziewczynkę w ciepłym uścisku.

- Wiem, że pewnego dnia ty także będziesz miała wspaniałą rodzinę.

Delia skuliła się w jej ramionach.

- Może mogłabyś mnie adoptować do swojej rodziny? Wilgoć jeszcze wyraźniej błysnęła w oczach Colleen.

- Bardzo chciałabym, żeby to było możliwe, skarbie. Rylan wtrącił się i odsunął dziecko od Colleen.

- Zaprowadzę Delię z powrotem do klasy. Może chcesz porozmawiać przez chwilę ze swoją siostrą? - Ciepły głos Rylana niósł ukojenie.

Colleen pokiwała głową, wyciągając z kieszeni chusteczkę, by wytrzeć oczy.

Rylan zwrócił się do ciotki, mówiąc:

- Panno O'Leary, może zostawimy dziewczęta na chwilę same. Moglibyśmy pomóc siostrze Małgorzacie przy dzieciach do czasu lunchu.

Kiedy ciocia Fiona i Rylan opuścili pokój, Colleen wskazała na krzesła i rzekła:

- Usiądźmy i porozmawiajmy chwilę.

Brianna kiwnęła głową i usiadła, nie do końca pewna, co ma

powiedzieć swojej siostrze.

Colleen przez chwilę nerwowo skręcała w rękach chusteczkę. Wydawała się równie skrępowana.

- Chciałabym, żebyś wiedziała - zaczęła w końcu - jak bardzo mi przykro, że zepsułam twoje przyjęcie urodzinowe, Bree. To było niewybaczalne.

Bree wyprostowała się sztywno, dotykając plecami zimnego metalu oparcia.

- Nie powinnaś przeproszać Gila?

- Zrobię to, gdy tylko go spotkam. Ale wiem, jak wiele przykrości moje zachowanie sprawiło też tobie. Choć nie taki był mój cel.

Brianna zauważyła szczerotę malującą się na twarzy jej siostry i pomyślała, że być może po raz pierwszy mówi prawdę.

- Dlaczego więc to zrobiłaś, skoro nie po to, żeby mnie skrzywdzić?

Colleen uniosła brodę.

- Musiałam sprawić, żeby Jared zerwał nasz związek i to był jedyny sposób, jaki zdołałam wymyślić - musiał mnie nakryć z innym mężczyzną. Wiedziałam, że Gil był przybity twoimi zaręczynami z Henrym i wykorzystałam moment jego słabości na swoją korzyść. - Zawahała się nieco, zwijając chusteczkę w kulkę. - Wierz mi, naprawdę nie jestem z tego dumna.

Brianna wzięła głęboki oddech i powoli wypuściła powietrze /. płuc. Ileż razy Colleen żałowała za swoje uczynki w przeszłości tylko po to, żeby za chwilę uczynić coś równie bolesnego, kiedy było jej to do czegoś potrzebne? Wciąż jednak była jej siostrą i teraz każdy kontakt z rodziną był dla niej na wagę złota.

Przyjmuję twoje przeprosiny. - Brianna zmusiła się do nikłego uśmiechu. - Zwłaszcza że to nie tata na ciebie naciskał.

Usta Colleen drgnęły.

- Muszę przyznać, że byłam wściekła na tatę za to, że mnie tu wysłał, ale wyświadczył mi wielką przysługę. - Zrobiła się bardzo

poważna. - Pomaganie tym niesamowitym dzieciom otworzyło mi oczy na wiele prawd o mnie samej. Niestety, większość z nich to nie są chwalebne sprawy. Rylan pomaga mi odwrócić moje życie.

Brianna zamrużyła oczami, zbyt zaskoczona, żeby znaleźć jakąkolwiek odpowiedź.

Colleen wyciągnęła rękę i chwyciła jej dłoń.

- A co z tobą, Bree? Mama powiedziała mi, że zerwałaś zaręczyny z Henrym i teraz mieszkasz z ciotką. Jesteś pewna, że to dobry pomysł?

Brianna nie przypominała sobie, żeby jej siostra kiedykolwiek zapytywała o jej sprawy.

- Teraz już mi lepiej, kiedy jestem daleko od taty nieustannie próbującego wpływać na moje życie. Ciocia Fiona jesienią pomoże mi zapisać się do college'u.

Colleen uniosła brwi ze zdziwieniem.

- Nie miałam pojęcia, że chcesz iść do college'u. - Na jej twarzy powoli rozlał się uśmiech wraz z dobrze znanym figlarnym ognikiem błyskającym w oczach. - Tata musiał się wściec, że obie zerwałyśmy relacje z naszymi kandydatami na mężów.

Usta Brianny drgnęły w odpowiedzi.

- Z pewnością. Teraz jedyną marionetką tańczącą do jego muzyki jest Gil.

Był piątkowy wieczór. Gil przytrzymał drzwi wejściowe rezydencji Belweder, przepuszczając przodem Aurorę, a potem wszedł za nią. Żołądek podchodził mu do gardła z nerwów. Zabrał Aurorę do jednej z najlepszych restauracji na Long Island i chociaż miał zamiar się jej oświadczyć, nie potrafił wydusić z siebie tych słów. Dzięki Bogu, ona nie miała pojęcia o jego planach. Zamiast tego spędzili całkiem miły wieczór zakończony spacerem na terenie Belwederu. Gil zastanawiał się czy pani O'Leary miała kiedykolwiek

okazję przechadzać się po tych wspaniałych ogrodach. Jeśli tak, z pewnością zazdrościła pani Hastings obfitości róż w najróżniejszych odcieniach.

- Dziękuję ci, Gil, za cudowny wieczór. - Głos Aurory sprowadził go z powrotem na ziemię. Przystanęła przy marmurowym stoliku wejściowym, zdjęła kapelusz oraz rękawiczki i ręką przygładziła swoje loki.

- Nie ma za co. Ja także świetnie się bawiłem.

Jej dłoń niepewnie pofrunęła w kierunku dekoltu zwiewnej sukni, pokazując przy tym jej zdenerwowanie. Uderzyło go to. Zapewne oczekiwała pocałunku na dobranoc.

Jak miał prosić o jej rękę skoro nawet jej jeszcze nie pocałował? Już jutro miało się odbyć przyjęcie z okazji Dnia Niepodległości i James oczekiwał, że Arthur ogłosi zaręczyny Gila z Aurorą.

- Może zechciałbyś na chwilę wejść? - Posłała mu nieśmiały uśmiech, składając razem dłonie przed sobą.

- Rzeczywiście, muszę porozmawiać z twoim tatą, jeśli jeszcze nie poszedł spać.

Przez piękną twarz Aurory przesunął się cień rozczarowania, zanim zdążyła przyjąć wyuczoną minę.

- Chcesz, żebym to sprawdziła? Zapewne jest w gabinecie. Gil wykonał niepewny krok w jej kierunku.

- Za chwileczkę. - Pochwyił jej jedną dłoń i zamknął w swojej, zauważając, że jej puls wyraźnie przyspieszył. - Najpierw chciałbym życzyć ci dobrej nocy, jeśli się okazało, że pójdziesz do siebie, zanim skończę rozmowę z twoim tatą.

Powoli pochylił głowę w stronę jej zwróconej ku górze twarzy. Pocałunek był krótki. Idealny niewinny pierwszy pocałunek. Kiedy się odsunął, dziewczyna oblała się rumieńcem.

- Dobrej nocy, Auroro. Śpij dobrze.

- Dobranoc, Gil. - Schyliła głowę. - Poproszę tatę, żeby przyszedł. - Zaraz po tym, zniknęła w głębi holu.

Gil powoli wypuścił powietrze i mocno zacisnął powieki. Jakże straszliwym był oszustem? Ten pocałunek potwierdził jedynie, jak grubą pomyłką był cały ten romans. Nie czuł wobec Aurory nic poza braterską sympatią. Jak mógł pozwolić jej wierzyć, że ją kocha? Że chce, by była jego żoną?

Podrapał się po podbródku.

- Gilbercie. - Tubalny głos Arthura Hastingsa rozległ się echem w marmurowym korytarzu. - Aurora powiedziała mi, że chciałeś się ze mną widzieć.

Gil stanął na baczność i przybrał kurtuazyjny uśmiech.

- Pan Hastings. Proszę wybaczyć, że niepokoję pana o tej godzinie.

- Nie ma problemu, mój chłopcze. Wejdz, napijemy się czegoś mocniejszego przed snem.

Gil poszedł za Arthurem w głąb korytarza do jego prywatnego pokoju. Ogień strzelał w kominku, rozsiewając ciepłą poświatę.

- Usiądź. - Arthur wskazał na wysoki fotel po drugiej stronie biurka.

Kiedy Gil skorzystał z zaproszenia, Arthur wyjął butelkę z jednej z szafek i odkorkował ją. Postawił przed na blacie dwie kryształowe szklanki i nalał trochę złocistego płynu do każdej z nich.

- Proszę, Gilbercie. Odrobina brandy na noc, dla zdrowia. - Zaśmiał się, popychając szklankę w stronę Gila.

Gil z wahaniem otoczył szkło dłońmi i poczekał, aż pan Hastings podniesie swoje naczynie do toastu.

- Za twoje zdrowie. - Arthur płynnym ruchem wlał w siebie zawartość szklanki.

Nieprzywykły do mocnych trunków, Gil nawet nie próbował iść w jego ślady. Pociągnął szybki łyk, krzywiąc się, gdy alkohol zapiekł go w przełyku. Poczytywał sobie to za szczęście, że nie zaczął się krtusić. Silny zapach przywodził bolesne wspomnienia ojca, osuniętego w wózku inwalidzkim z pustą butelką leżącą

koło nóg. Potrząsnął głową, aby odpędzić niemiły obraz. Czuł, jak napój rozlewa się ciepłem w jego żołądku i liczył, że pomoże mu uspokoić nerwy rozedrgane z powodu pytania, które musiał zadać mężczyźnie.

Arthur ponownie odkorkował butelkę, żeby nalać sobie drugą szklankę.

- A zatem, co mogę dla ciebie uczynić, młody człowieku? Mam nadzieję, że nie chodzi o nic związanego z biznesem, co nękałoby cię cały wieczór.

- Nie, sir. Właściwie to osobista sprawa. Ręka Arthura zatrzymała się w połowie ruchu.

- Czy wszystko w porządku między tobą a Aurorą?

Gilowi wydawało się, że mężczyzna nie domyśla się, co zamierzał zrobić. Przełknął nerwowo ślinę.

- Wszystko dobrze, sir. Dlatego chciałem z panem porozmawiać. - Dla odwagi pociągnął kolejny łyk ze szklanki i odłożył puste naczynie na stół. - Chciałbym prosić o rękę pańskiej córki.

Usta Arthura na krótki moment otworzyły się bezwiednie, a zaraz potem rozciągnęły się w szerokim uśmiechu.

- Pytasz poważnie?

Gil wyobraził sobie zdesperowany wyraz twarzy Jamesa, kiedy widzieli się po raz ostatni.

- Bardzo poważnie. - Przełknął ślinę. - Wiem, że nie mam wiele do zaoferowania...

Pan Hastings machnął ręką w powietrzu.

- Są rzeczy dużo ważniejsze w życiu niż pieniądze, mój chłopcze. Cenię sobie o wiele bardziej prawość i poszanowanie pracy. Ty posiadasz obie te godne podziwu cechy. Patrząc na twoją postawę w banku, jestem przekonany, że ambicja i inteligencja zaprowadzą cię daleko. - Starszy mężczyzna wstał i obszedł biurko. - A jeszcze ważniejszy jest szacunek, jaki okazujesz mojej córce. To będzie dla mnie zaszczyt mieć takiego zięcia. - Rozpromienił się, ściskając

dłoń Gila w energicznym uścisku. - Miałem nadzieję na taki obrót spraw, ale nawet nie śniłem, że stanie się to tak szybko. Sumienie Gila kłuło go, jak drobne włoski na karku.

- Dziękuję, sir. To prawdziwy komplement. - Obraz jego własnego taty znowu powrócił. Przed wypadkiem, który okaleczył Johna Whelana, ojciec Gila był obrazem prawości. Co pomyślałby o swoim synu, gdyby widział jego postępowanie?

Twarz Arthura Hastingsa rozjaśniła się w uśmiechu. Uderzył dłonią o biurko.

- Możemy ogłosić wasze zaręczyny jutro na przyjęciu. To będzie doskonała okazja, żeby poinformować o tym naszych przyjaciół i współpracowników obecnych tego wieczoru.

- Doskonały pomysł. - Elementy planu Jamesa składały się w wymarzoną przez niego całość. Gil przetarł dłonią usta, żeby pozbyć się odczucia lepkości, jakie zostawiła brandy. - Chciałbym... chcę oświadczyć się Aurorze jutro, zanim zacznie się przyjęcie.

- Myślę, że nie musimy się martwić o jej odpowiedź. - Mrugnął do Gila. - Wyraźnie widać po niej, jakie uczucia żywi wobec ciebie.

Gil naciągnął usta do uśmiechu.

- Rzeczywiście, to widać. - Ruszył w kierunku drzwi, nagle rozpaczliwie pragnąc opuścić ten dom, uciec od wszystkich oszustw. - Dziękuję za wszystko, sir. Do zobaczenia jutro.

Parę sekund później, Gil wyszedł z rezydencji, ale nieważne, jak szybko oddalał się wiejską drogą, nie był w stanie uciec od swojego sumienia.

Jego kłamstwa nie odstępowały go ani na krok, aż do domu.

Colleen ostatni raz poprawiała swój wygląd przed lustrem, przygotowując się na przyjęcie z okazji Dnia Niepodległości, które wydawali państwo Hastingsowie. Już dawno nie miała okazji, by tak się stroić, i musiała przyznać, że troszeczkę jej tego brakowało. Uśmiechnęła się do swojego odbicia, z zadowoleniem stwierdzając, że fioletowa kreacja wspaniale podkreślała kolor jej oczu. Gorset sukni był wystarczająco dobrze dopasowany, na tyle by nadawał wygląd atrakcyjny, ale nie prowokujący. Samo to już pokazywało, jak bardzo Colleen ostatnio się zmieniła. Dotychczas jej głównym celem było wyglądać jak najbardziej uwodzicielsko, tak aby przyciągać najzamożniejszych i najprzystojniejszych kawalerów. Teraz pragnęła jedynie, by rodzice byli z niej dumni.

Zatrzymała rękę na koronkowym kołnierzyku. To nie do końca było prawdą. Chciała także, by Rylan był z niej dumny.

Serce zatrzepotało jej w ściśniętej gorsetem piersi. W co będzie dziś ubrany Rylan? Jakaś jej część miała nadzieję ujrzeć go odzianego w drogi garnitur, podczas gdy inna, bardziej praktyczna, wołała, żeby założył sutannę, tak aby ona oraz inne panny na wydaniu wiedziały, że jest on poza ich zasięgiem. Potrzebowała tego fizycznego znaku, by jej zdradliwe serce nie żywiło uczuć, których nie powinno.

Colleen chwyciła szal i popłynęła w dół głównych schodów, tłumacząc sobie swoje zdenerwowanie jako normalną reakcję przed tak wielką uroczystością.

Korytarz na dole skryty był w mroku i nie wskazywał na obecność kogokolwiek. Być może rodzice czekali na nią w salonie. Bezgłośnie przemierzyła wejściowy hol, udając się w kierunku salonu. W środku samotna postać mężczyzny, odwrócona do niej plecami, spoglądała na ogród przez drzwi balkonowe.

Colleen zawahała się w wejściu. Jej zwykła pewność siebie nagle gdzieś uleciała. Nie wiedziała, jak zachowywać się wobec Rylana -był czarującym łobuzem i pobożnym klerykiem jednocześnie. Już chciała wymknąć się stamtąd, kiedy on odwrócił się i jego przenikliwe spojrzenie spotkało się z jej wzrokiem.

Ubrany w ciemny smoking, który rozpoznała jako jeden z należących do Adama, Rylan wydał się jej najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziała. Świeżo wyprasowana biała koszula i czarna muszka podkreślały jego wyraźnie zarysowaną szczękę i ujmujący policzek z dołeczkiem.

Zupełnie zaschło jej w gardle i, nawet gdyby próbowała, nie byłaby w stanie wydobyć z siebie ani słowa.

- Wyglądasz niezwykle pięknie. - Jego uduchowiony szept sprawił, że poczuła mrowienie na karku.

- Dz-dziękuję. - Wydawało jej się, że nie jest w stanie oderwać wzroku od płonącej głębi jego oczu.

Zrobił parę kroków w jej kierunku.

- Twoi rodzice już wyszli. Poprosili mnie, bym towarzyszył ci w drodze do Belwederu.

To pokazywało, jak bardzo tata ufał Rylanowi. Ale czy ona ufała samej sobie?

- Dobrze - powiedziała radośnie. - Rozumiem, że powinniśmy już wyjść.

- Tak myślę. - Podał jej ramię.

Lekko się zawahała, lecz położyła swoją rękę na jego przedramieniu i z całych sił starała się zignorować galopujące tętno. Nabierała powietrza krótkimi, urywanymi oddechami, tak jakby

w pomieszczeniu było mało tlenu. Pod obszerną spódnicą jej kolana drżały.

Gil spędził większość wieczoru, kombinując jak mógłby się wyknać z przyjęcia, zanim jego zaręczyny zostaną podane do publicznej wiadomości. Jednakże, żaden z jego pomysłów nie wydawał się wiarygodny. Teraz, kiedy minuta płynęła za minutą, a ogłoszenie pana Hastingsa wisiało nad nim, Gil miał ostry napad mdłości. W rozpaczliwym pragnieniu świeżego powietrza, przeszedł się w stronę drzwi balkonowych. Zrobił parę kroków, zanim dostrzegł, że James zmierza w jego kierunku.

- Tutaj jesteś, Gilbercie. Nie miałem okazji zamienić z tobą słowa przez cały wieczór. - James zatknął kciuki za kieszenie kamizelki.

Gil uśmiechnął się blado.

- Byłem zajęty poznawaniem niekończących się kolejek ludzi. Całkiem spore to przyjęcie.

Wyszli na kamienny balkon. Pełen wdzięczności za chłodny wieczorny wiatr, Gil wziął głęboki oddech, patrząc ponad skrytymi w mroku ogrodami ozdobionymi tuzinami świec i podświetloną fontanną w środku.

- Czy wszystko idzie zgodnie z planem, tak jak się umawialiśmy? Ponaglające pytanie Jamesa zburzyło krótkotrwały moment spokoju Gila.

Pokiwał głową.

- Nasze zaręczyny będą ogłoszone tuż przed pokazem sztucznych ogni.

Napięcie malujące się w ostrych rysach Jamesa wyraźnie zelżało.

- Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć, Gilbercie. Chciałbym, żebyś wiedział, że twoja lojalność wiele dla mnie znaczy i znajdę jakiś sposób, by ci za to odpłacić.

- Nie ma potrzeby, sir. Proszę to uznać za podziękowanie z mojej strony za wszystko, co dla mnie zrobiliście.

Ten mężczyzna był dla niego zastępczym ojcem przez większość okresu kształtowania się jego osobowości. Zaslugiwał na szacunek i posłuszeństwo Gila. *Czyż syn nie zrobiłby tego wszystkiego dla ojca?*

- Jestem z ciebie bardzo dumny, synu. - Szorstki głos Jamesa wskazywał, że odwzajemniał jego synowskie uczucia.

Gil zamknął oczy i wyobraził sobie Irlandzkie Łąki w najlepszych czasach - wspaniałe słońce oświetlające pastwiska, piękno koni galopujących po torze. Musiał przywołać ten obraz, by mieć świadomość, co było stawką w tej grze. Jeśli tylko mógł pomóc państwu O'Leary w ocaleniu ukochanego domu i źródła ich utrzymania, powinien zrobić wszystko, co konieczne - bez względu na wartość poświęcenia.

James odchrząknął.

- Wygląda na to, że Arthur zwołuje gości. Powinniśmy także wejść do środka.

Gil żałował, że nie ma teraz brandy, która otępiłaby jego zmysły wobec tego, co miało nadejść. Kiedy Aurora w swojej jasnożółtej sukni pojawiła się w tłumie jak promyczek słońca, myślami wrócił do sytuacji w ciągu dnia, kiedy niezdarnie brnął przez najgorsze na świecie oświadczyń. Aurora wydawała się tego w ogóle nie zauważać. Rzuciła się w jego ramiona ze łzami szczęścia w oczach. I uśmiechała się wciąż, aż do teraz.

Poczucie winy przeszło Gila na wskroś, wywołując spazmy w jego żołądku. Gdyby tylko mógł zapomnieć o Briannie, być może miałby szanse na szczęśliwe życie razem z Aurorą.

Chciał się modlić o pomoc, o uwolnienie z tej drogi, którą obrał, ale sumienie mu nie pozwoliło. Nie zasługiwał na pomoc Boga. Nie w sytuacji, kiedy planował dopuścić się tak strasznego oszustwa.

Z pełną spokojną godnością Aurora przyprowadziła go, by stanął

obok jej ojca, gdy ten wygłaszał płomienną mowę wobec zebranych gości. Wreszcie, kiedy Gil bał się, że nie ustoi już na nogach ani chwili dłużej, pan Hastings ogłosił zaręczyny swojej córki z panem Gilbertem Whelanem.

Gil przykleił na twarz uśmiech tak wąły, że kiedy ścisnął dłoń swojego przyszłego teścia, bał się, że jego maska pęknie. Potem pochylił się, by ucałować policzek Aurory pośród uprzejmych oklasków publiczności. Przesunął wzrokiem ponad morzem ludzi, którzy zlewali się w jedną wielką niewyraźną plamę. Dostrzegł najpierw promieniejącą twarz Jamesa, a potem jego wzrok spoczął na pani O'Leary. W wyraźnym przeciwieństwie do radości swojego męża, z jej oczu bił poważny smutek.

Te oczy były tak podobne do oczu Brianny, że Gil poczuł, jak to spojrzenie zmraza go całego wewnątrz.

Pot skropił się na jego czole, a mdłości się nasiliły. Szybko przeprosił Aurorę, odwrócił się i prędko wyszedł drzwiami na taras. Zbiegł schodami balkonowymi i upadł na kolana w trawie, gdzie chwilę później wylądowała zawartość jego żołądka. Jego własne ciało nie mogło znieść tej zdrady.

- Wybacz mi, Bree - wyszeptał, ale jedyną odpowiedzią był wiatr z dezaprobatą wyjący pośród drzew.

- Czy mogę prosić do tańca, panno O'Leary?

Zamyślona po nieoczekiwanym ogłoszeniu pana Hastingsa, Colleen w ostatniej chwili zauważyła stojącego przed nią dżentelmena. Zamrugła oczami na widok jego przystojnej twarzy. Nie tańczyła wiele tego wieczora, bo była bardzo wybredna co do partnerów. Nie mając teraz jednak pod ręką żadnej wymówki, pokiwała głową.

- Oczywiście, panie...?

- Przepraszam, myślałem, że mnie pani zna. Jestem Charles Sutton. Nasi ojcowie prowadzą wspólnie interesy. - Ukłonił się nisko, a następnie ujął jej dłoń.

Wmieszali się w pary łagodnie poruszające się w rytm muzyki. Dawniej Colleen nie posiadałaby się z radości, że zapamiętał ją syn któregoś z bogatych współpracowników taty, ale dzisiaj myślała jedynie o Rylanie.

Colleen zmusiła się do uśmiechu, marząc o tym, by Rylan poprosił ją do tańca. Nie zaszczycił parkietu z nikim innym niż jej matka i parę starszych dam, chyba celowo unikając młodszych kobiet, aby nie prowokować jakichkolwiek nieodpowiednich skojarzeń.

Kiedy wirowali w tańcu, Colleen przeszukiwała wzrokiem salę, mając nadzieję dostrzec jakąś przyjacielską twarz, ale niewiele dziewcząt w jej wieku chciało się z nią przyjaźnić, obawiając się, że podkradnie im adoratorów.

Westchnęła krótko. Nawet obecność Brianny byłaby teraz mile widziana.

Brianna. Serce Colleen ścisnęło się na samą myśl, jakim wstrząsem byłyby dla jej siostry te zaręczyny. Chciała zapytać Bree, dlaczego ona i Gil nigdy nie zawalczyli o swój związek. Czy ojciec im zabronił?

Ręka błądząca u dołu jej pleców brutalnie przyciągnęła jej uwagę z powrotem do partnera. Popatrzyła krzywo na jego mdłą twarz, która nie odznaczała się niczym poza błyszczącymi oczami. Przeszyła ją złość, kiedy poruszyła się w jego uścisku, żeby zmusić go do przesunięcia dłoni, ale ta opadła jeszcze niżej. Prawie całkowicie zatrzymali się w kącie pokoju i Colleen uświadomiła sobie, że specjalnie wyprowadził ją w to miejsce.

- Bardzo pana przepraszam - powiedziała przez zęby - ale lepiej byłoby, żeby przesunął pan swoją dłoń w odpowiedniejsze miejsce, jeśli nie chce pan stracić palców.

Grymas niezadowolenia ściągnął jasne brwi pana Suttona w jedną linię.

- Nie ma najmniejszej potrzeby udawania przede mną niewinnej, panno O'Leary. Wiem dokładnie, jaką masz reputację pomiędzy rówieśnikami.

Usta Colleen rozwarły się w szoku. Cofnęła się niepewnym krokiem i zapewne upadłaby, gdyby czyjaś ręka nie podtrzymała ją z tyłu za łokieć.

- Myślę, że pannie O'Leary należą się przeprosiny.

Stalowy głos Rylana zza jej pleców sprawił, że ogarnął ją przyływ ulgi. Zrobiła krok w stronę Rylana, a jego ramię otoczyło ją niczym schron podczas burzy.

Pan Sutton gapił się na Rylana, a jego twarz wykrzywiła się w szyderczym uśmiechu, kiedy rzucił:

- To pewne, sir, że nie zna pan wcale panny O'Leary.

Rylan spiorunował wzrokiem mężczyznę, który obmacywał Colleen. Próbując zapanować nad gniewem, mocno zacisnął pięści i starał się nie wyobrazić sobie, jak uderza w ziemistą twarz tego człowieka.

- Poznałem ją dużo lepiej, niż pan kiedykolwiek będzie miał okazję poznać. A teraz proszę nam wybaczyć... - Przyciągnął ku sobie Colleen i odsunął z dala od pożądliwego spojrzenia *tej kanalii*.

Kiedy oddalili się na bezpieczną odległość, Rylan spojrzał badawczo na Colleen. Jej rysy były napięte, a skóra pozbawiona koloru. Czuł, jak drżała w jego objęciach.

- Wszystko w porządku? Mam nadzieję, że nie wyrządził ci żadnej krzywdy? - Płomienie złości paliły jego wnętrze.

- Nie.

Dojrzał w jej spojrzeniu poczucie wstydu.

- Jest mi tylko przykro, że musiałeś tego słuchać - wyszeptała. Smutek widoczny na jej twarzy wstrząsnął nim, potęgując gniew na człowieka, który sprawił, że ona tak okropnie się poczuła.

- Nie musisz mnie przeproszać. To ten cham powinien dostać lekcję, jak należy traktować damę.

Potrząsnęła głową.

- Niezbyt wielu ludzi uważa, że zasługuję na dobre traktowanie. Okazuje się, że mam - wykrztusiła urwanym głosem - kiepską reputację.

Zagryzła wargę i odwróciła głowę na bok.

Muzyka, do której się kołysali, trochę smutna i rozdzierająca, wydawała się współgrać z ich nastrojami. Rylan pragnął znów ujrzeć Colleen pełną werwy i pewności siebie. Nawet gniew byłby lepszy niż ta wyraźna pogarda dla samej siebie. Przyciągnął ją bliżej, jakby chciał ochronić ją od plotek i spojrzeń pełnych zniewagi rzuconych im podczas tańca.

- Być może powinienem był pozwolić ci połamać mu palce - rzucił zaczepnie.

Stwierdzenie to wywołało nikły uśmiech na jej twarzy.

- Może tak. - Uspokoiła się nieco. - Chciałabym, żebyś o czymś wiedział, Rylanie. Poza paroma pocałunkami, jakkolwiek były nierozważne, nie zrobiłam nic, żeby zasłużyć...

- Nie musisz mi się tłumaczyć, Colleen.

- Ale chcę. - Łzy zebrały się w jej oczach, tworząc dwa migoczące fiołkowe jeziorka.

Rylan mocniej objął ją w pasie.

- Wiem, że nie jesteś taką kobietą, za jaką cię uważają. Nikt nie powinien cię traktować bez szacunku.

Pojedyncza łza spłynęła po jej policzku.

- Ale ja nie jestem dobra i nie zasługuję... - Urwała w połowie zdania, pochyliła głowę na jego piersi i zaczęła szlochać.

Musiał zabrać ją z dala od wścibskich spojrzeń gapiów, do czasu, aż odzyska kontrolę nad emocjami. Dyskretnie wyprowadził ją przez otwarte drzwi na balkon. Kiedy byli już na zewnątrz, odskoczyła od niego i przypadła do kamiennej balustrady, chwytając ją mocno obiema rękami. Rylan w milczeniu podszedł do niej i podał chusteczkę. Chłodne nocne powietrze rozwiało pasemka jej rudych włosów dookoła policzków i poruszało fałdami sukni. Wydawała się nie zauważać zimna i tego, że wyszła bez okrycia.

Panie, pomóż mi do niej trafić, przekonać ją o jej wartości i o ogromie Twojej miłości do niej.

Stał obok niej przy balustradzie, ale nie śmiał jej nawet dotknąć.

- Czy wierzyłaś mi, kiedy mówiłem, że Bóg kocha cię bezwarunkowo, i że nic nie odłączy cię od Jego miłości?

Pociągnęła nosem, osuszając zapłakane policzki chusteczką.

- Chcę w to wierzyć, Rylanie. Tobie wydaje się to proste, bo ty nie zrobiłeś nic złego.

- Zrobiłem wystarczająco dużo podejrzanych rzeczy w młodości, zanim wstąpiłem do seminarium.

- Ale nic takiego, jak ja...

Coś w jej roztrzęsionym głosie mówiło mu, że chodzi o inne sprawy, poza paroma pocałunkami.

- Co mogłoby być tak strasznego, żeby Bóg nie mógł tego wybaczyć?

- Nie mogę ci powiedzieć. - Spojrzała na niego umęczonym wzrokiem. - Nie chcę, żebyś zupełnie stracił o mnie dobre zdanie.

Rylan ogromnie pragnął ją pocieszyć, ale inni goście wyszli na balkon, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Chcąc uniknąć niepowołanych świadków, wziął ją za rękę i poprowadził w dół najbliższych schodów, żeby zejść do rozświetlonego świecami ogrodu. Po paru chwilach doszli do kamiennej ławki umieszczonej pomiędzy dwoma dużymi krzewami, gdzie wskazał miejsce, aby

usiadła. Pochylił się obok niej, starając się zachować przyzwoitą odległość między nimi, a potem zdjął swoją marynarkę i przykrył jej ramiona.

Siedzieli w milczeniu przez parę minut.

- Obiecuję - powiedział w końcu - że nic, co mogłabyś mi powiedzieć nie zniszczy mojego dobrego zdania o tobie. Nawet jeśli powiedziałaś, że kogoś zamordowałaś.

Nerwowo skręcała w dłoniach chusteczkę, usiłując nie patrzeć na niego.

- Myślę, że dużo łatwiej byłoby mi wyznać morderstwo.

Uczyniła coś gorszego niż morderstwo? Przez moment ogarnęły go wątpliwości. Zwrócił się do Boga z prośbą o prowadzenie i kontynuował:

- Nie mówiłaś nikomu o tym wielkim grzechu? Potrząsnęła głową.

- Nikomu.

- Nawet swojemu księdzu?

Jej oczy otworzyły się z przerażeniem.

- Zwłaszcza księdzu.

Już chciał jej przypomnieć o swoim przyszłym stanie, ale pomyślał, że może lepiej teraz pozwolić jej mówić. Coś dręczyło duszę Colleen i jedynym sposobem, aby uwolnić ją od tego było wyznanie wszystkiego.

- A może to czas, żeby pozbyć się tego z sumienia?

- Nie, jeśli miałabym utracić twój szacunek. - Napotkała jego wzrok. - Twoje zdanie jest dla mnie ważne, Rylanie.

Nie mógł już dłużej się powstrzymywać. Ujął jej dłonie w swoje.

- Obiecuję, że nie stracisz mojego szacunku.

Spojrzała badawczo w jego oczy, potem pochyliła głowę i uwolniła swoje dłonie z jego uścisku. Niemal wyczuwał walkę, która rozgrywała się w jej wnętrzu.

W końcu westchnęła ze zmęczenia.

- Stałam się przyczyną złamania ślubów kapłańskich.

Rylan gwałtownie poruszył się na ławce, mało nie lądując na trawie. Z trudem przełknął, próbując opanować narastające w nim napięcie.

- Jak właściwie... tego dokonałaś?

Jej złożone na kolanach ręce drżały i Rylan musiał się powstrzymać, aby znów ich nie dotknąć.

- Nie chciałam tego. Nie wiedziałam, o czym on myślał.

- Czy to był ksiądz Filmore? - ośmielił się zapytać, modląc się, żeby nie chodziło o niego.

- Nie. To był inny ksiądz, wiele lat temu.

Mnóstwo różnych myśli przetoczyło się przez głowę Rylana.

- Wiele lat temu? Ile więc miałaś wtedy lat?

- Trzynaście.

Potrzebował wielkiej siły woli, by nie wykrzyzczyć swojego obrażenia. Cokolwiek wydarzyło się pomiędzy Colleen a tym kapłanem, to nie mogła być wina trzynastoletniego dziecka.

- Opowiedz mi o tym wszystkim - powiedział szeptem, bo bał się, że załamanie mu się głos.

Niebieska głębia jej oczu zabłysła w półmroku na jej bladej twarzy, zanim spuściła rzęsy.

- On przyszedł do szkoły na wspólną modlitwę. Ja... ja podpadłam nauczycielce i musiałam zostać po lekcjach, by za karę wyczyścić tablice. Powiedział pani Stephens, że ona może już iść, i że on dopilnuje, żebym dobrze wykonała zadanie, a potem odprowadzi mnie do domu.

Mdłości ścisnęły żołądek Rylana, kiedy wyobraził sobie dalszy ciąg tej historii.

- Co zrobił? - Bał się usłyszeć dalszy ciąg, ale wiedział, że dla jej dobra musi wytrzymać do końca.

Jej ręka zatrzepotała jak ranny ptak. Uchwycił ją w swojej dłoni i przytrzymał mocno.

- Powiedział mi, że jestem łobuziarą i zasługuję na klapsa - wykrztusiła z siebie, kiedy kolejny szloch dobył się z jej gardła. Zgarbiła się, opadając na kolana w gwałtownym łkaniu.

Wściekłość, dużo gwałtowniejsza niż kiedykolwiek zdarzyło mu się doświadczyć, targnęła całym jego ciałem. Chciał poznać nazwisko tego potwora i upewnić się, że już nigdy nie skrzywdzi żadnej niewinnej dziewczynki. Delikatnie ujął jej ramiona, zmuszając ją, by spojrzała mu w oczy. Jeszcze jedno pytanie musiało paść:

- Czy on... zgwałcił cię?

Płakała tak przeraźliwie, że ledwo zdołała wydusić z siebie odpowiedź.

- Nie w ten sposób. Zaczął mnie całować, dotykać... - Trzęsła się na całym ciele. - Nie wiedziałam, co robić.

Rylan przyciągnął ją bliżej i zamknął oczy. Bóg mógł wzywać do przebaczenia, ale Rylan wątpił, czy kiedykolwiek zdoła przebaczyć temu mężczyźnie, że wykorzystał dziecięce zaufanie. Teraz jego serce było zimne i twarde jak kamienna ławka, na której siedział.

- To nie była twoja wina, Colleen. To on zgrzeszył.

- Ale on powiedział, że to moja wina, bo byłam zbyt pociągająca. Afiszowałam się moimi wabikami, tak to chyba określił.

- I od tamtego czasu starałaś się żyć według jego słów - wyszeptał jakby sam do siebie.

Znieruchomiła w jego ramionach i próbowała się wyrwać, ale trzymał ją mocno.

- Nie celowo. Nie o to mi chodziło. Ale on sprawił, że poczułaś się winna, podczas gdy wiedział, że to on zawinił. - Przechylił jej podbródek, by skrzyżować ich spojrzenia. - Colleen, skarbie, nie zrobiłaś nic złego. Nic! Ten mężczyzna okłamał cię i zrobił z ciebie kusicielkę, a ty byłaś tylko dzieckiem. Jako ksiądz, człowiek Boga, miał autorytet. Nadużył go, w najgorszy możliwy sposób.

To on okazał się wielkim grzesznikiem, a nie ty!

- Naprawdę tak myślisz? - wyszeptała.

- To jest prawda. Nie zrobiłaś nic złego, będę to powtarzał do czasu, aż mi uwierzysz.

Po raz kolejny poddała się gwałtownej fali płaczu. Trzymał ją w ramionach, aż łkanie ucichło. Jego serce krwawiło z powodu jej bólu. Z otwartych drzwi sali balowej dochodziły odgłosy radosnej zabawy, tak niestosownie brzmiące w zestawieniu z cierpieniem Colleen, którego był świadkiem.

- Dlaczego nie powiedziałaś rodzicom? - zapytał. - Z pewnością by ci uwierzyli.

Powoli wzięła oddech.

- Nie chciałam dodawać im zmartwień. Parę tygodni wcześniej zmarł mój braciszek, Danny... - Zamilkła.

- Rozumiem - powiedział z namysłem. - W waszym domu było wystarczająco dużo żalu i nie chciałaś pogarszać sytuacji.

- Pokiwała głową nie podnosząc wzroku na niego. - To pokazuje, jak bardzo jesteś niesamolubna, Colleen O'Leary. - Powoli wypuścił powietrze. - Wygląda na to, że moje zadanie, by pokazać ci twoją prawdziwą wartość, zostało już wykonane. Wartość w oczach Boga, w oczach twojej rodziny i... - zawahał się

- i w moich oczach.

Uniosła głowę, by spojrzeć prosto w jego twarz. Jej oczy były jak sadzawki.

- Więc ty... ty nie myślisz o mnie źle po tym, co ci powiedziałam? Bezbronny wyraz jej twarzy sprawiał, że chciało mu się płakać.

- Skądże! - Rylana ogarnęło dziwne uczucie. Jego serce zwolniło, waląc głucho, kiedy rzeczywistość, której nie dopuszczał do siebie od tygodni, dotarła do niego z całą mocą.

Boże ratuj mnie! Chyba zakochałem się w tej dziewczynie. Ogromne poczucie winy uderzyło go wraz z gorącem, które zalało jego szyję i twarz. Przesunął się na ławce, celowo zwiększając

dystans pomiędzy nimi, ale nadal nie wypuszczał z rąk jej drobnej dłoni.

- Nigdy nie mógłbym o tobie myśleć źle. Tym bardziej z powodu czegoś takiego. - Zrobił pauzę, szukając jakichś mądrych słów. - Musisz wyrzec się poczucia winy, które żywiłaś przez tak wiele lat. I na ile możesz, zapomnij o żalosnej wymówce tego człowieka, który okradł cię z twojej niewinności. Tylko wtedy będziesz prawdziwie wolna. I tylko wtedy twoje serce będzie mogło zostać uzdrowione.

- Nie wiem, czy potrafię - wyszeptała - ale spróbuję.

- Bóg ci pomoże, jeśli tylko Mu pozwolisz. Ja też będę cię wspierać. Zbliżyła się do niego i pocałowała go w policzek.

- Dziękuję ci, Rylanie. Odchrząknął i wstał.

- Powinniśmy już wracać, nim zaczną o nas plotkować. Zwłaszcza że nie mam dziś koloratki.

Smutek i tęsknota w jej oczach sprawiły, że zaczęło go skręcać w środku. Modlił się tylko, żeby ona także się w nim nie zakochała. Nie mógł bowiem dać jej takiej miłości, na jaką zasługiwała.

Ze względu na to, że Brianna nie mieszkała już w domu, Gil uznał, że może pozwolić sobie spędzić noc w swoim dawnym pokoju w Irlandzkich Łąkach. Jednakże nawet samo przebywanie w tym miejscu po ogłoszeniu zaręczyn z Aurorą wydawało się dodatkową formą zdrady. Większość nocy upłynęła mu bezsennie i wczesną porą, jeszcze przed świtem, ubrał się pośpiesznie i opuścił dom.

Jego udręczona dusza potrzebowała pociechy, a jedynym miejscem, w którym miał nadzieję ją odnaleźć, był kościół. Ostatnimi czasy zbyt często zapominał o Bogu. Nie podejmował swoich decyzji, zawierając je w modlitwie i wstydził się, gdyż dobrze wiedział, że jego postępowanie nie było dobre.

Teraz, wczesnym rankiem, Gil pragnął ciszy ogromnego kościoła, tak dobrze znanego mu z nabożeństw, w których uczestniczył razem z rodziną O'Leary. Liczył, że tam otrzyma odpowiedzi na swoje wątpliwości oraz znajdzie wyjście z tej matni, w jakiej się znalazł.

Drewniane drzwi skrzypnęły i wkroczył do ciemnego wnętrza. Znał kościół Świętej Rity tak dobrze, jak stadninę Irlandzkich Łąk i nie potrzebował oświetlenia. Począł minutę, aż jego oczy przyzwyczajają się do ciemności, a potem skierował się do przodu i zajął miejsce w pierwszej ławce, pochylając się nisko na twardym, drewnianym klęczniku. Złożył ręce z taką siłą, że pobiełały mu knykcie i spuścił głowę, gorąco pragnąc, by pokój zstąpił w jego niespokojną duszę.

Wspomnienie zdradliwych postępów trawiło jego wnętrze jak śmiertelna choroba. Jak mógł, on, człowiek uważający się za prawego i żyjącego według zasad, tak daleko odejść od swoich wartości?

Przesunął dłoń i z zaskoczeniem stwierdził, że jest mokra. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że płakał.

- Czy mógłbym ci w czymś pomóc, Gilbercie?

Pełen współczucia głos księdza Filmorea wyrwał go z zamyślenia. Wytrzeł oczy rękawem koszuli i usiadł na drewnianym siedzisku. Wielebny Filmore stał na końcu ławki, a na jego pomarszczonej twarzy malowała się troska.

- Czy wszystko w porządku z rodziną O'Leary?

- Tak, rodzina ma się dobrze.

- Ale ty z pewnością nie.

Gil otworzył usta, by odpowiedzieć, że wszystko w porządku, ale nie miał już sił na kolejne kłamstwo.

- Nie, ja nie.

Ksiądz podszedł i usiadł obok niego w ławce.

- Jestem dobrym słuchaczem. Jeśli chciałbyś pozbyć się jakiegoś ciężaru z serca, możesz mi o nim powiedzieć.

Gil pochylił głowę nad kolanami. Czy zabolą go rady duchownego, a może na zawsze straci dobrą opinię księdza?

- Nie ma nic, czego bym wcześniej nie słyszał, synu. Żaden grzech nie jest tak straszny, że nie mógłby zostać wybaczony. -Jego uspokajający ton głosu dodał Gilowi pewności.

Siedzieli ramię w ramię, obaj wpatrzeni prosto przed siebie w skromny ołtarz.

- Wplątałem się w sytuację, z której nie umiem wybrnąć. -Głos Gila, prawie szept, zdawał się odbijać echem w milczącej przestrzeni.

- Czy ta sytuacja... związana jest z kobietą?

- Nie w taki sposób, o jakim ksiądz może myśleć, ale tak. Dopuściłem się zaręczyn z kobietą, której nie kocham. Nie tak, jak mąż

powinien kochać żonę. - Ze smutkiem potrząsnął głową. - Wiem, że źle zrobiłem, ale dałem się na to namówić... - Lawirował trochę, by nie zepsuć reputacji Jamesowi. - Nie mogę tu teraz wchodzić w szczegóły.

- Rozumiem. Najważniejsze jest to, że Bóg zna twoje serce i wie, czym się kierowałeś.

Gil zacisnął dłonie w pięści.

- Jeśli zerwę zaręczyny, sprawię jej samej i jej rodzinie wiele cierpienia.

- Domyślam się, że miałeś ważne powody, by się na to zgodzić. Ale postępując w ten sposób, nie byłeś szczery z samym sobą i to jest powodem twojego udręczenia. To i świadomość, że skrzywdzisz tę dziewczynę.

- Zgadza się.

- Ważne jest, że dostrzegasz swój błąd, wyznałeś go tu przed Bogiem i prosisz o Jego wybaczenie.

- Czy jednak zasługuję na wybaczenie? - Pytanie, które ostatnio zadawał sobie tak często, zaczęło go gnębić na nowo.

- Gilbercie, każdy, kto żałuje swoich złych uczynków, zasługuje na wybaczenie. Proś Boga o pomoc. Szukaj sposobu, w jaki On chciałby, abyś zadośćuczynił za zło, które wyrządziłeś. Może potrzeba będzie czasu, ale jestem pewien, że ta młoda dama kiedyś na pewno ci wybaczy.

Gil westchnął z udręką.

- Dziękuję księdzu. Postaram się.

- Dobrze to słyszeć. Pamiętaj, że zawsze możesz przyjść do mnie porozmawiać.

- Będę miał to na uwadze.

- Skoro tak szybko skończyliśmy, to pójdę już przygotować się do nabożeństwa. - Wstał powoli, a jego kości zatrzeszczały jak drewniana podłoga. - Mam nadzieję, że się tu spotkamy później.

Gil kiwnął głową.

- Przyjdę.

Siedział w milczeniu jeszcze przez jakiś czas. Nareszcie część ciężaru spadła z jego ramion. Teraz, kiedy wyjawiał swoje problemy przed Bogiem, jak to powinien był uczynić już dawno, pojawiła się jakaś jasność. Gęste jak mgła poczucie winy pierzchnęło z jego umysłu. Wyszedł z kościoła, modląc się o siłę wytrwania w swoim postanowieniu - do czasu aż zostanie wydana decyzja o pożyczce.

Dzień po Święcie Niepodległości, Colleen, nucąc pod nosem, wspięła się po schodach prowadzących do głównego wejścia sierocińca. Nie mogła się już doczekać spotkania z Delią. Chciała usłyszeć, jak dziewczynka bawiła się na paradzie, w której uczestniczyły wszystkie dzieci.

W szatni zdjęła kapelusz i rękawiczki. Od wielu lat nie czuła się tak lekko, jak gdyby ktoś zdjął z jej duszy wielki ciężar. Rozmowa, którą odbyła z Rylanem w sobotni wieczór, była dla niej tak niezwykłym oczyszczeniem, jakiego nawet nie potrafiłaby sobie wyobrazić w najśmielszych marzeniach. Pierwszy raz od niepamiętnych czasów nie mogła się doczekać niedzielnej mszy, a kazanie księdza Filmorea naprawdę się jej podobało. Gniew i poczucie winy uleciały jak dym unoszący się znad kościelnych świec.

Fakt, że Rylan nie gardził nią po tym, co mu opowiedziała, był sam w sobie wspaniałym podarunkiem. Całkowita akceptacja, sympatia i przyjaźń oparte nie na jej wyglądzie, rodzinie czy bogactwie. Rylan znał już najbardziej mroczne strony jej duszy i nadal ją lubił.

Czy mogła zaryzykować stwierdzenie, że ją kocha?

Cóż za głupi pomysł! Nigdy nie pokazał, że mógłby żywić wobec niej jakieś głębsze uczucia. Chociaż tamtej nocy wydawało się jej, że chciał ją pocałować, zaraz potem odsunął się i zrozumiała,

ze błędnie zinterpretowała jego intencję. Była tylko osobą, której pomagał przejść przez duchowy kryzys. Powinna cieszyć się z jego przyjaźni i zachować swoje uczucia tylko dla siebie.

Tego ranka brakowało jej jego pocrzepiającej obecności podczas jazdy pociągiem do miasta. Powiedział, że musi najpierw coś zrobić w kościele i potem dołączy do niej w sierocińcu, więc Colleen pojechała sama.

Nic nie mogło jej dzisiaj popsuć nastroju. Inaczej patrzyła na życie, z nową radością, nową prawdą o sobie samej i czuła się silna i pełna miłości do bliźnich. Nawet zgorzkniałe oblicze siostry Małgorzaty nie przerażało jej tego dnia.

Uśmiechnięta, pełna determinacji, wkroczyła do sali lekcyjnej. Dzieci jeszcze nie przyszły i w klasopracowni znajdowała się tylko siostra Małgorzata siedząca przy biurku z przodu sali.

- Szczęść Boże, siostró - zawołała Colleen do zakonnicy. - Jak się udał dzień wolny?

Kobieta zamrugła oczami, a potem przechyliła głowę.

- Bardzo mi się podobało. Muszę koniecznie podziękować klerykowi Montgomeryemu, kiedy tylko go spotkam.

Colleen zignorowała próbę umniejszenia jej udziału w zorganizowaniu wyjścia dla sióstr.

- Cieszę się. - Uśmiechnęła się, biorąc z półki garść książeczek dla dzieci. - My także dobrze się bawiliśmy z dziećmi.

- Proszę mi wierzyć, wystarczająco dużo razy o tym słyszałyśmy. Dzieci nie mówią o niczym innym.

Colleen starała się powściągnąć swoje rozdrażnienie.

Siostra Małgorzata była w stanie wykorzystać nawet tak wspaniałą okazję, by znaleźć powód do narzekania. Colleen postanowiła, że nie będzie brać do siebie tego negatywnego podejścia zakonnicy.

Drzwi otworzyły się i siostra Weronika wprowadziła dzieci do klasopracowni. Colleen przerwała to, co robiła, aby się z nimi

przywitać. Chciała koniecznie ujrzeć, jak twarz Delii rozjaśnia się z radości na jej widok.

Kiedy wszystkie dzieci zajęły już swoje miejsca, a Delii nadal nie było, Colleen przeszła przez całą salę, by zajrzeć na korytarz. Spodziewała się, że dziewczynka została w tyle. Ale korytarz był pusty.

- Siostrze Weroniko, a gdzie jest Delia? Czy jest może chora? -Jeśli tak było, chciała do niej pójść i sprawdzić, jak się miewa.

Zwykle pogodna twarz młodej zakonnicy pokryła się smutkiem. Położyła delikatnie dłoń na ramieniu Colleen, mówiąc:

- Pani nic nie wie?

Przeszył ją niepokój, kiedy przesunęła spojrzeniem ponad głowami dzieci i napotkała triumfalny wzrok siostry Małgorzaty.

- O czym mam wiedzieć?

- Delia odeszła - burknęła siostra Małgorzata.

- Co siostra przez to rozumie?

- Tak naprawdę to dobra wiadomość. - Uspokajający głos siostry Weroniki na niewiele się zdał wobec obaw Colleen. - Delia została adoptowana. Jej nowa rodzina przyjechała po nią wczoraj.

Podłoga zachwiała się pod jej stopami.

- Adoptowana? Dlaczego nikt mi o niczym nie powiedział?

- Myślałam, że kleryk Montgomery panią poinformował. - Siostra Małgorzata zdjęła okulary i położyła je na stole. - Pomagał to wszystko zorganizować.

Colleen poczuła, jak nogi się pod nią ugięły, a wszystko dookoła zaczęło wirować. Rylan o tym wiedział i nie powiedział jej ani słowa? Jak mógł trzymać to w tajemnicy - zwłaszcza gdy rozmawiała z nim o możliwości adopcji Delii? Z trudem złapała się drewnianej framugi, z całych sił starając się utrzymać na nogach.

- Nawet się z nią nie pożegnałam. - Drżenie objęło jej kolana i przenosiło się wyżej, na całe ciało.

- Może lepiej będzie, jak pójdziemy do kuchni - powiedziała

miłym tonem siostra Weronika. - Przyniosę pani szklankę wody.

- Nie, dziękuję. Po prostu potrzebuję побыć przez chwilę... sama. - Colleen uniosła suknię i pobiegła w głąb korytarza. Paroma krokami przesadziła schody i wtargnęła do sypialni dziewczynek. Dysząc ciężko, zatrzymała się i spojrzała na małe łóżeczko na końcu pokoju. Od razu zauważyła różnicę. Zniknęła osobista kołderka Delii. Zamiast tego, łóżko przykryte było zwykłym wełnianym kocem, podobnym do tych na pozostałych posłaniach.

Colleen przemierzyła sypialnię jakby w transie i opadła ciężko na materac. Pochwyciła poduszkę i wcisnęła w nią twarz, chcąc jeszcze uchwycić resztki zapachu małej dziewczynki. Poczowała jednak wyłącznie sterylną woń pralni. Łzy zamgłiły jej wzrok. Usiadła na brzegu łóżka i kiwając się w przód i w tył, przycisnęła poduszkę mocno do piersi.

Dobry Boże, wiem, że powinnam się cieszyć z jej szczęścia, ale jest mi tak smutno. Proszę, daj Delii wspaniałą rodzinę z najlepszą mamą, która będzie ją bardzo kochać. Tak, jak ja bym ją kochała.

Wytarła łzy spływające po jej policzkach. *Och, Delio!* Jakże bardzo Colleen pragnęła osobiście odesłać ją do nowego domu z mnóstwem dobrych życzeń i pocałunków. Co musiała sobie o niej pomyśleć dziewczynka, skoro nawet nie postarała się przybyć, by ją pożegnać? Czy myślała, że Colleen się o nią nie troszczy?

Jej załzawione oczy spoczęły na wypolerowanej podłodze z twardego drewna, gdzie spomiędzy łóżka i stolika nocnego wystawał kawałek materiału. Colleen dosięgnęła go i wyciągnęła poprzecieranego szmacianego króliczka Delii. Załkała głośno, głaszcząc jej ulubioną zabawkę.

Jak Delia zaśnie w nowym domu bez Pana Wąsika?

Colleen pochwyciła w ramiona obszarpaną zabawkę i zwinęła się w kłębek na łóżku, pozwalając, by cierpienie przenikało ją na wskroś. Już nigdy więcej nie ujrzy, jak błyszczą te niebieskie oczy, nigdy nie poczuje tych rączek obejmujących jej szyję.

Świat Colleen już nigdy nie będzie tak samo radosny.

Rylan z mozołem pokonywał schody prowadzące z pomieszczenia gospodarczego w piwnicy sierocińca. Metalowa skrzynka na narzędzia w jego rękach była tak czarna i ciężka jak jego dusza. Dziś rano okłamał Colleen, mówiąc jej, że ma do zrobienia coś w kościele. W rzeczywistości chciał uniknąć męczarni wspólnej podróży pociągiem.

Jak miał spojrzeć jej w twarz teraz, kiedy wiedział już, co do niej czuje - tak, żeby ona nie dowiedziała się o prawdy o jego uczuciach? Potrzebował czasu, by okiełznać swoje myśli i emocje, zanim znów spotka się z nią sam na sam. Potrzebował czasu, by Bóg odmienił jego serce i zwrócił mu przyjacielskie uczucia, którymi darzył ją na początku.

Co gorsze, dzisiaj musiał już ujawnić wiadomość o adopcji Delii i powiedzieć Colleen, że do końca tygodnia dziewczynka opuści przytułek. Westchnąwszy, dotarł na parter i z głuchym łoskotem postawił na podłodze skrzynkę. Choć Colleen powinna się cieszyć szczęściem Delii, Rylan był pewien, że będzie także przeżywać stratę maleńkiej przyjaciółki. Serce Rylana ogarnął smutek na samą myśl o tym, że już więcej nie zobaczy figlarnego uśmiechu i radosnych oczu tego szkraba.

Tupot nóg na dywanie przyciągnął jego uwagę ku drugiemu końcowi korytarza.

- Och, kleryku Montgomery. Dzięki Bogu, tutaj kleryk jest! -Siostra Weronika ruszyła w jego kierunku. Brakowało jej tchu, a twarz miała całą czerwoną.

- Siostro, co się stało? - zapytał zaniepokojony, zupełnie zapominając w tym momencie o Delii.

- Chodzi o pannę O'Leary. Musi kleryk iść ze mną.

Lęk ścisnął jego żołądek tak, że poranna herbata podeszła mu do gardła.

- Co się stało z panną O'Leary? - Musiał sadzić długie susy, żeby dotrzymać kroku szaleńczemu tempu tej drobnej kobiety. - Coś jej dolega?

Popatrzyła znad ramienia, kiedy wspinali się po schodach na pierwsze piętro.

- Choroba serca. Dowiedziała się, że Delia została adoptowana. Niepokój ścisnął mu gardło. Ktoś go uprzedził i powiedział jej.

Czyżby siostra Małgorzata zeszła tak nisko, żeby w taki sposób zemścić się na Colleen?

- Dlaczego idziemy na górę? Nie jest z dziećmi w sali lekcyjnej? Jej biały welon zafalował, kiedy przecząco pokręciła głową.

- Zaraz jak się dowiedziała, że Delia odeszła, pobiegła do sypialni. Nie mogę jej stamtąd wyciągnąć.

Gdy dotarli już do szczytu schodów, Rylan wyciągnął rękę, żeby zatrzymać zakonnicę.

- Mówi siostra, że Delia już odeszła? W dużych oczach siostry błysnął żal.

- Tak. Plany rodziny zmieniły się i przyjechali wczoraj, żeby ją odebrać. - Pchnięciem otworzyła drzwi do sypialni dziewczynek i wskazała na łóżko w oddalonym kącie.

Od strony postaci zwiniętej w kłębek na łóżku dobiegało stłumione szlochanie. Cierpienie, którego był świadkiem, boleśnie ścisnęło mu płuca. Odruchowo położył dłoń na piersi, jakby chciał rozmasować napięte mięśnie.

- Proszę to mnie zostawić, siostro. Zobaczę, co da się zrobić. Twarz Weroniki rozluźnił wyraz ulgi.

- Dziękuję.

Jak skazaniec, któremu zostanie wymierzona kara, Rylan przeszedł przez pokój w kierunku łóżeczka. Colleen odwrócona była do niego plecami i widział tylko, jak jej ramiona drżą w niemym

łkaniu. Jak wiele by dał, żeby zabrać od niej ten ból. Ostatnią rzeczą, której mógłby chcieć, było oglądanie jej cierpienia.

Ostrożnie usiadł obok niej na brzegu łóżeczka i delikatnie położył rękę na jej ramieniu.

- Colleen, przykro mi, że tak się o tym dowiedziałas. Usiadła gwałtownie, a jej oczy roziskrzane były od... wściekłości?

- Ty kłamliwy, zdradziecki, nienawistny człowieku. - Zaczęła wściekle okładać pięściami, jego tors. W tej zapalczywości, rzucając kolejnymi wyzwiskami, nie zauważyła nawet, że jej fryzura zburzyła się i pojedyncze pasma włosów wypadły z upięcia, opadając na ramiona.

Przez jakiś czas pozwalał jej na wylanie gniewu, wiedząc dobrze, że sam sobie zasłużył. Potem ujął jej pięści w swoje dłonie, mówiąc:

- Skończyłaś już? - Jego spokojny głos zaczął wreszcie docierać do jej otumanionego gniewem umysłu, gdyż nagle uspokoiła się i rzeczywiście spojrzała na niego. Po jej policzkach spływały łzy.

- Jak mogłeś mi nie powiedzieć?! Pytałam cię o adopcję i nic nie mówiłeś! - W jej oczach widoczne było poczucie zdrady i ból, które paliły jego serce jak ogień.

- Chciałem ci powiedzieć, ale dałem słowo, że dochowam tajemnicy.

Nagle opuścił ją waleczny duch i opadła w jego kierunku, wiotka niczym szmaciana przytulanka, którą trzymała w dłoni. Złapał ją blisko swojej piersi i poczuł, że robi mu się gorąco. Po raz kolejny pocieszał ją w płaczu, a jej cierpienie przeszywało go jak rozgrzany do czerwoności pogrzechacz. Przód jego koszuli nasiąkał łzami, podczas gdy on, szepcząc uspokajające słowa, gładził kasztanowe loki opadające na mokre policzki Colleen.

- Ja... ja nawet się z nią nie pożegnałam - załkała.

- Przepraszam, wybacz mi - powtarzał to w kółko, pochyliwszy się, by ucałować czubek jej głowy. Zapach jej szamponu przenikał

jego zmysły.

Skuleni w ciemnym kącie pokoju, wydawali się jakby zamknięci w swoim własnym sanktuarium. Sięgnął do kieszeni, by wyjąć chusteczkę, a następnie uniósł twarz Colleen i zaczął ocierać z niej łzy. Był tak poruszony jej żalem oraz swoim własnym poczuciem straty, że także jego oczy zrobiły się wilgotne, kiedy ucałował jej czoło.

Colleen wodziła palcami po wytartej przytulance.

- Zapomniała Pana Wąsika - wyszeptała. - Delia nie potrafi bez niego zasnąć. - Łzy na nowo zakręciły się w jej oczach.

- Obiecuję ci, że dowiem się, gdzie teraz mieszka, i odeślemy jej zabawkę.

- Naprawdę?

- Tak. I dołączymy list i drobny upominek, żeby o nas pamiętała.

- To... to świetny pomysł.

Jej powieki się zamknęły, długie rzęsy posklejane od wilgoci opadały na policzki.

- Proszę, nie płacz już więcej. Moje serce tego nie wytrzyma. Otworzyła oczy i Rylan spojrzał w nie głęboko, wyraźnie dostrzegając tęsknotę na jej twarzy.

Jego wzrok powędrował na pełną dolną wargę dziewczyny, lekko drżącą od emocji. Pchany jakąś ogromną siłą, nad którą nie potrafił zapanować, Rylan powoli zbliżył swoje usta do jej. Kiedy ich wargi się spotkały, poczuł ogromny wybuch miłości, któremu towarzyszyła wielka jasność i silne napięcie - tak jakby poraził go prąd. Nigdy wcześniej nie doświadczył czegoś podobnego. Gdy rozkoszował się słodyczą jej ust, Colleen uniosła ramiona i objęła go za szyję. Jeszcze mocniej otulił ją ramionami, jakby chciał ją osłonić. Pragnął trzymać ją tak przez całą wieczność, ochronić przed każdym cierpieniem i rozczarowaniem.

Nagle do jego ogarniętego namiętnością umysłu przebił się odgłos zbliżających się kroków i cichy szmer rozmowy. Poderwał się gwałtownie, uświadamiając sobie, że prawie leżeli na łóżku,

zamknięci w płomiennym uścisku. Gdyby zostali przyłapani, zarówno reputacja, jak i kariera ich obojga byłyby skończone. Odskoczył od łóżka, ręką przecierając usta, aby zmasać niewidzialny dowód ich pocałunku.

Wpatrywała się w niego wielkimi oczami, w których przenikały się zakłopotanie i smutek.

- Wybacz mi, Colleen - wyszeptał i szybko przemierzył pokój, docierając do drzwi dokładnie w tym momencie, kiedy nadeszła siostra Weronika wraz z inną zakonnica.

- Myślę, że panna OTeary czuje się już lepiej. Proszę mi wybaczyć, ale mam pilną sprawę w kościele.

Pomknął korytarzem, zanim ktokolwiek zdążyłby zadać jakieś pytanie, na które musiałby wymyślić kolejne kłamstwo.

23.

Czyżbym źle zrobiła, opuszczając dom? Podczas gdy Brianna rozgrzebywała jajka na talerzu, pytanie, które prześladowało ją przez całą noc, na nowo rozpałało jej umysł.

Od paru dni ogromnie tęskniła za domem. Po raz pierwszy nie była z rodziną podczas Święta Niepodległości. Nie potrafiła nie myśleć o wspaniałych przyjęciach z przyjaciółmi i sąsiadami, które od lat organizowane były w Irlandzkich Łąkach, o jedzeniu, śmiechach i chwilach zabawy, które dzieliła z Gilem...

W tym roku Brianna towarzyszyła cioci Fionie podczas wyjścia do jej znajomych, gdzie spędziły czas, siedząc przy stole z grupą profesorów i rozmawiając o kształceniu w college'u i o polityce. *Nuda* to mało powiedziane, jeśli miałyby opisać, jak się czuła tamtego wieczoru. Na dodatek fakt, że syn jednego z profesorów snuł się za nią jak zagubiony szczeniak, tylko pogarszał sytuację. Tej nocy płakała aż do zaśnięcia, wyobrażając sobie, jak jej rodzina spędziła ten dzień, i marząc o pocieszającej obecności mamy.

- Brianno, telefon do ciebie.

Brianna podniosła wzrok znad niedokończonego śniadania i ujrzała w drzwiach ciocię Fionę z niemalże przepaszającym wyrazem twarzy.

- To tata?

- Niestety. Nalega na rozmowę z tobą.

Brianna westchnęła. Wiedziała, że kiedyś i tak będzie musiała stawić czoła ojcu. Lepiej więc zrobić to przez telefon niż osobiście.

Spodziewała się nawet, że on może niespodziewanie pojawić się któregoś dnia w mieszkaniu cioci Fiony i zaciągnąć ją z powrotem do domu.

Brianna przeszła przez korytarz do małego gabinetu i podniosła słuchawkę z biurka. Wzięła głęboki oddech, zbierając wszystkie siły.

- Witaj, tato.

- Brianno! - Ze słuchawki dobyło się rozdzierające syknięcie. -Dosyć już tych nonsensów. Chcę cię widzieć w domu.

Serce drgnęło jej w piersi. Czyżby jej ojciec właśnie przyznał, że za nią tęskni?

- Przysporzyłaś mamie wystarczająco dużo cierpień tym swoim przedstawieniem. Już czas, żebyś zaczęła zachowywać się jak dorosła.

Brianna od razu się wyprostowała.

- Jest mi tu bardzo dobrze z ciocią. *Ona* nie mówi mi co chwilę, co mam robić.

- A ja nadal jestem twoim ojcem i jesteś mi winna posłuszeństwo - ryknął tak głośno, że musiała odsunąć słuchawkę od ucha.

Brianna z łatwością wyobraziła sobie, jak po drugiej stronie tata zrobił się cały czerwony.

- Kocham cię, tato, ale nie wrócę do domu.

Drżącymi rękami odłożyła słuchawkę i opadła ciężko na pobliski fotel. Kilka razy odetchnęła głęboko. Wciąż trudno jej było uwierzyć, że tak stanowczo sprzeciwiła się ojcu. I zrobiła to bez rzucania obelg, łez czy hysterii. Poczowała lekkość rozchodzącą się w jej kończynach. Być może to wcale nie było takie trudne - stanąć w obronie swojego życia. Samodzielnie decydować o swojej przyszłości.

Jej myśli odruchowo powędrowały do Gila. Czy umiałyby wykonać kolejny odważny krok? Czy mogłyby spotkać się z nim jeszcze raz i pomóc mu zrozumieć prawdę?

Wypełniona odnalezionym na nowo poczuciem sensu życia, odepchnęła od siebie wszelkie wątpliwości. Wiedziała, że albo spróbuje... albo będzie żałować do końca swoich dni.

Godzinę później, ubrana w jedną z najlepszych sukni, Brianna stanęła przed onieśmielającym swą wielkością wejściem do budynku Hastings Bank and Loan Company. Mocniej zacisnęła dłonie na torebce i wkroczyła do środka. Luksusowe wnętrza zaparły jej dech. Wciąż nie mogła uwierzyć, że Gil tutaj pracuje. Starając się powstrzymać zdenerwowanie, podeszła do recepcji.

- Czy mogłabym zobaczyć się z panem Whelanem? Recepcjonistka z uśmiechem zapytała:

- Jest pani umówiona?

Brianna zawahała się. Miała pokusę, by skłamać, ale potrząsnęła przecząco głową.

- Nie, to osobista sprawa. Kobieta uniosła brwi.

- Chwileczkę, sprawdzę, czy nie jest zajęty.

Podczas oczekiwania, Brianna z trudem kontrolowała potrzebę przemierzania pomieszczenia tam i z powrotem. Złożyła razem dłonie, by powstrzymać drżenie. Dlaczego miała wrażenie, że wszyscy się na nią patrzą?

W końcu usłyszała kroki i pojawił się Gil. Zmarszczył czoło i zapytał:

- Brianno, wszystko w porządku?

Wciągnęła w płuca haust powietrza. Ubrany w ciemny garnitur z kamizelką, wydał się jej niesamowicie przystojny. Wyglądał jak prawdziwy bankier.

- Wszystko dobrze. Czy mogłabym z tobą porozmawiać?

Gil spojrzał na zegar wiszący na ścianie, a następnie na recepcjonistkę, która z powrotem zajęła swoje miejsce.

- Pani Gilmore, gdyby mnie ktoś szukał, proszę powiedzieć, że mam dziesięć minut przerwy.

- Oczywiście, proszę pana.

Gil położył dłoń na plecach Brianny i gestem pokazał na drzwi, mówiąc:

- Może się przejdziemy.

Fakt, że nie uśmiechnął się do niej ani razu ani nie powiedział, że cieszy się z ich spotkania, był nieco niepokojący. Może wyczuwał jej zdenerwowanie i domyślał się, że stało się coś złego. Gdyby tylko wiedziała, jak rozpocząć tę rozmowę...

Wyszli z banku. Idąc chodnikiem, Gil skręcił za rogiem, poprowadził ją na ławkę przed zakładem fryzjerskim i gestem zaprosił, by usiadła.

- O co chodzi, Bree? - Kiedy siadał obok niej, jego twarz nadal była bardzo poważna. Coś czało się w jego oczach, ale Brianna nie potrafiła określić, co to było.

Skręcała w palcach pasek od torebki.

- Ja... rozmawiałam dzisiaj z tatą.

Gil znieruchomiał, prostując się jak kołek. Zerknęła na jego twarz i cierpienie, które tam dostrzegła, zaskoczyło ją.

- A więc powiedział ci?

Brianna poczuła się tak skonsternowana, że wszystkie słowa, które przygotowała, uleciały jej z głowy.

- Powiedział, o czym?

Gil uciekł spojrzeniem, wbijając wzrok w jakiś przypadkowy punkt na ziemi. Ręką potarł szczękę. Wtedy dopiero dostrzegła cienie pod jego oczami i lekko zapadnięte policzki.

- Co się stało, Gil?

- Nieważne - z widocznym zakłopotaniem wycofał się z tematu. -
Powiedz najpierw, co cię tu sprowadza?

Teraz albo nigdy. Brianna zebrała całą swą odwagę i oblizała zaschnięte wargi.

- Tata żądał, abym wróciła do domu, ale mu odmówiłam. Sprzeciwiłam mu się, Gil, i to było naprawdę wspaniałe uczucie.

Jego zmarszczone czoło wygładziło się.

- Jesteś naprawdę odważna. - Usta drgnęły mu w lekkim uśmiechu, choć z jego twarzy nie zniknął cień smutku.

- A teraz, zrobię coś równie odważnego. - Popatrzyła mu prosto w oczy. - Mam zamiar walczyć o ciebie, Gil. Nie pozwolę, by tata dyrygował naszymi losami. Musimy podążać za pragnieniami naszych serc. W końcu tata zobaczy, że jesteśmy szczęśliwi i zmieni zdanie. Nie może być na nas zły do końca życia.

W oczach Gila mignęło cierpienie, zanim zdążył zamknąć je z cichym jęknięciem:

- Och, Bree...

Wyciągnęła dłoń i położyła na jego ramieniu.

- Skoro ja mogę być odważna, ty także potrafisz. Powiedz, że spróbujesz.

Zerwał się z ławki i stanął z dala od niej, wpatrując się w przeciwną stronę ulicy. Jego lekko uniesione ramiona zdradzały ogromne napięcie mięśni.

- Bree, tak mi przykro, ale jest już za późno. Strach zacisnął się stalową klamrą na jej żołądku.

- Co masz na myśli?

Kiedy odwrócił się w jej kierunku, jego twarz wyglądała na jeszcze bardziej wynędzniałą.

- Zaręczyłem się z Aurorą. Ogłosiliśmy to na przyjęciu z okazji 100-lecia Niepodległości w domu jej ojca.

Powietrze z sykiem uleciało z ust Brianny, a świat przed jej oczami zaszedł mgłą.

- Ale ty jej prawie w ogóle nie znasz. Jak to możliwe, że....?

- Przykro mi, Bree - powtórzył. - To wszystko stało się tak szybko. Niektóre... starania o rękę przebiegają szybciej niż inne.

Zerwała się na równe nogi.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Że ją kochasz? Mięśnie jego szczęki drgnęły. Przełknął ślinę i powiedział:

-Tak.

Jej serce rozdarł tak piekący ból, jakiego jeszcze nigdy nie doświadczyła. Gil odwrócił twarz, jakby chciał za wszelką cenę uniknąć spojrzenia jej w oczy. Jak mogła się aż tak bardzo pomylić? Czyżby sama zwodziła się, wierząc w to, w co chciała wierzyć?

Wstała i wyprostowała się, gorąco pragnąc, aby nogi nie odmówiły jej posłuszeństwa. Przynajmniej miała już odpowiedź. Raz na zawsze.

- Rozumiem. Cóż, przykro mi, że zabrałam ci czas. Życzę tobie i Aurorze wiele szczęścia.

Zanim łzy zdążyły ją zdradzić, odeszła szybko, byle jak najdalej od Gila, byle jak najdalej od jakichkolwiek związków z przeszłością. Jej przyszłość była teraz klarowna. Podąży śladami ciotki -zrezygnuje z wszelkich miłosnych planów i poświęci swoje życie czemuś, co nigdy nie przyprawi ją ponownie o takie cierpienia.

Następnego dnia, pochylony nad biurkiem, Gil tarł rękami oczy, starając się usunąć piasek, który gryzł go pod powiekami i zamazywał obraz. Po kolejnej prawie całkowicie bezsennej nocy, podczas której prześladował go obraz wstrząśniętej Bree, nie był w stanie ani na chwilę się skupić.

Zdusił w sobie jęk. Czy dobrze zrobił, okłamując Bree w kwestii swoich uczuć do Aurory? Wydawało mu się, że tylko w ten sposób przekona ją, by przestała o niego walczyć - raz na zawsze. Pomimo tego, co mówiła o odwadze, Gil po prostu nie mógł zdradzić Jamesa i ryzykować rozłamu w rodzinie O'Leary. Bree pewnie nie zdawała sobie sprawy, że bez akceptacji ojca, której zawsze tak bardzo pragnęła, nigdy nie byłaby szczęśliwa.

Uniósł filiżankę z kawą do ust i skrzywił się, czując smak zimnego, gorzkiego napoju, który został na dnie. Która to już dzisiaj?

Nieważne. Potrzebował jeszcze jednej, jeśli miał przetrwać do końca dnia.

A może mógłby się przejść na Amsterdam Avenue i kupić kawę w kawiarni na rogu. Trochę świeżego powietrza zrobiłoby mu tak samo dobrze, jak kofeina. Odchylił się na krześle, pochwycił marynarkę i popchnął drewnianą barierkę w kierunku głównej części banku.

W tym samym czasie z gabinetu wynurzył się Arthur Hastings. Jego twarz była wyraźnie zmarszczona.

- Gilbercie, czy mógłbym prosić cię na słówko?

- Oczywiście, proszę pana. - Kawa i spacer będą musiały poczekać.

Wszedł za panem Hastingsem do jego biura.

- Czy coś jest nie tak? - Gil zajął miejsce na jednym z krzeseł dla gości.

Arthur usiadł i pchnął przez biurko w jego kierunku dobrze mu znaną niebieską teczkę. Anonimowe podanie o pożyczkę, które zlecił Gilowi do oceny.

- Jakiś problem z tymi dokumentami? - Gil czuł, jak pot spływa mu po plecach. Czy popełnił jakiś błąd?

- Odrzuciłeś podanie. - Bezbarwny ton głosu pana Hastingsa nie zdradzał, o co mogło chodzić.

- Tak, proszę pana. Po parokrotnym przeliczeniu danych, wydawało mi się, że klient nie miał wystarczającego pokrycia dla tej pożyczki. - Gil miał zatroskaną minę. - Czy coś przeoczyłem? - Wciąż jeszcze się uczył. Czyżby pominął jakiś ważny szczegół?

Arthur pogładził wąsy i westchnął.

- Nie. Podjąłeś dobrą decyzję. Taką samą, jaką ja będę musiał podjąć.

Powietrze w dusznym gabinecie zgęstniało jeszcze bardziej, gdy Gil nagle zrozumiał, kto mógł złożyć to podanie.

- To wniosek pana O'Learyego, nieprawdaż?

Arthur spojrzał na niego ponurym wzrokiem i to wystarczyło za odpowiedź. Zupełnie przybity, Gil opadł na oparcie krzesła.

- To go zmiążdży.

- Wiem. - Arthur poderwał się z miejsca i wetknął ręce do kieszeni. - Ale nie mogę z czystym sumieniem zaakceptować tego podania. Nie da się prowadzić banku, opierając się na znajomościach.

Gil potarł dłonią szczękę.

- Czy nie ma jakiegoś innego wyjścia?

- Obawiam się, że nie.

Żołądek podszedł Gilowi do gardła, kiedy z przerażeniem uświadomił sobie, że zgodził się poślubić Aurorę, by pomóc w sprawie pana O'Leary'ego, a tymczasem okazało się, że to wszystko na nic. Obraz wstrząśniętej Brianny, gdy powiedział jej o zaręczynach, palił jego umysł. Kołnierz koszuli uwierał go niczym pętla zaciskająca się na szyi skazańca, odcinając całkowicie dopływ powietrza. Gil zwilżył wyschnięte wargi.

- Kiedy mu pan to powie?

Arthur zerknął na zegar stojący na biurku.

- Jest już późno. Myślę, że poczekam do następnego dnia rano. Wydaje mi się, że należałoby mu to przekazać osobiście. Poproszę Jamesa, aby przyjechał jutro. - Arthur głośno westchnął i usiadł z powrotem na swoim miejscu. - Dobrze się sprawiłeś. Przykro mi, że odpowiedź nie mogła być inna.

- Mnie także, sir.

W blasku zachodzącego słońca, Rylan szedł drogą w kierunku domu siostry wielebnego Filmorea. Potrzebował rozgrzeszenia. Musiał wyznać swoją winę i poprosić o radę, aby zrozumieć, jak może zadośćuczynić za swój grzech i jaką drogę powinien obrać na dalsze życie. Spędził długie godziny w kościele, modląc się na klęczkach, ale nadal nie umiał pozbyć się poczucia winy, które

zżerało jego duszę. Sprzeniewierzył się swojej obietnicy, jaką złożył Bogu.

Anna Filmore-Brookes mieszkała wraz z mężem w skromnej chatce na obrzeżach miasteczka. Dwójka ich dorosłych dzieci założyła już własne rodziny, dzięki czemu bez problemu znalazła się przestrzeń dla księdza, do czasu zakończenia remontu na plebani. Rylan widywał wcześniej Annę podczas niedzielnych mszy, ale jej męża - nigdy. Odczuł ulgę, gdy drzwi otworzyła pulchna, siwowłosa kobieta.

- Dobry wieczór, pani Brookes. Przepraszam, że zakłócam spokój. Czy zastałem księdza Filmorea?

Jej znużona twarz rozpromieniła się w uśmiechu.

- Oczywiście. Proszę wejść, księżu kleryku Montgomery.

Kiedy zdjął kapelusz i wkroczył do środka, w jego nozdrza uderzył smakowity zapach świeżo upieczonego chleba i gotowanego mięsa. Uświadomił sobie, że trafił na czas kolacji.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam w posiłku.

- Skądże. Dopiero co skończyliśmy i panowie właśnie piją kawę w salonie. Czy przynieść także dla kleryka?

- Nie, bardzo dziękuję. Chciałem tylko porozmawiać z księdzem Filmorem na osobności, jeśli to możliwe. - Ton desperacji w jego głosie musiał być bardzo wyraźnie słyszalny, gdyż dostrzegł w jej spojrzeniu błysk zaciekawienia. Pokiwała głową, mówiąc:

- Powiem mu, że kleryk przyszedł.

Zniknęła, przechodząc przez krótki korytarz do innego pokoju. Do jego uszu dotarł szmer głosów, a chwilę później pani Brookes ponownie pojawiła się wraz z mężczyzną, który, jak się domyślał Rylan, był jej mężem.

- To jest mój mąż, Albert - potwierdziła jego przypuszczenia.

Uściskał dłoń mężczyzny. Był on szczupły i wysoki, z lekko zgarbionymi ramionami - zupełne przeciwieństwo niskiej i okrągłej żony.

- To zaszczyt pana poznać, panie Montgomery. Słyszałem, że pańskie komentarze do Biblii są rewelacją w kościele Świętej Rity. - Pan Brookes zaśmiał się krótko. - Głupio się przyznać, nie jestem praktykujący, ale Anna mówiła mi, że są bardzo dobre.

- Bardzo mi miło.

- Zapraszam do salonu. Mój szwagier już tam na pana czeka.

- Dziękuję. - Rylan skierował się do przytulnego pokoju, gdzie wielebny Filmore siedział w olbrzymim fotelu przy kominku.

Kiedy kleryk wszedł, ksiądz wstał, a na jego twarzy malowała się troska.

- Rylan. Cóż za niespodzianka. Czy stało się coś złego?

- W pewnym sensie, tak. Przychodzę tu z osobistą sprawą, która nie może czekać. - Dłonie Rylana były spocone ze zdenerwowania.

- Oczywiście. Proszę, usiądź.

Rylan przysiadł na końcu wytartej kanapy, na wprost fotela, w którym ponownie usadowił się ksiądz Filmore. Blask ognia nadawał czerwony odcień małemu pomieszczeniu, sprawiając, że przestrzeń zdawała się bardziej intymna. Choć jeszcze przed chwilą Rylan rozpaczliwie pragnął tej rozmowy, teraz poczuł, że słowa utknęły mu w wyschniętym gardle. Przesuwał rondo kapelusza w palcach i wpatrywał się w płomienie.

- Widzę, Rylanie, że coś cię dręczy. O co chodzi? Rylan podniósł wzrok.

- Nie miałem zamiaru, żeby tak to się skończyło, niech mi ksiądz wierzy...

Wielebny Filmore zmarszczył czoło.

- Wierzę ci. Co cię aż tak wyprowadziło z równowagi?

Rylan zacisnął zęby, tak jakby wypowiedzenie tych słów miało zaważyć na reszcie jego życia.

- Cokolwiek by to nie było, możesz mi powiedzieć. Nie ma już chyba rzeczy, o których bym nie słyszał, będąc tyle lat kapłanem.

- W głosie starszego mężczyzny słyhać było wyrozumiałość. Rylan wpatrywał się w dywan z frędzlami.

- Czy kiedykolwiek słyshał wielebny o księdzu, który się zakochał? - Mówił tak cicho, że sam zaczął się zastanawiać, czy w ogóle wypowiedział to na głos. Kiedy podniósł głowę, zauważył na twarzy wielebnego Filmorea wyraz głębokiej zadumy.

- Tak, słyshałem - powiedział cicho. - A nawet sam to przeżyłem. Rylan patrzył na niego z niedowierzaniem.

- Był ksiądz kiedyś zakochany? Proboszcz założył ręce przed sobą i westchnął.

- Wiele lat temu w mojej pierwszej parafii. To była młoda wdowa, miała kłopoty... Przyszła do mnie po radę. Zanim się zorientowałem, zrodziły się we mnie wszystkie *te* uczucia. Nie umiałem sobie z nimi poradzić...

Rylana poczuł ulgę. Skoro wielebny Filmore wyszedł z tego cało, on także z pewnością sobie poradzi.

- Właśnie dokładnie to samo mnie się przydarzyło, ojcie. Co ksiądz z tym zrobił?

Mężczyzna pokręcił głową.

- Jedyłą rzecz, jaką potrafiłem. Poprosiłem o przeniesienie do innej parafii... i nigdy już jej nie spotkałem.

Ból przeszył serce Rylana na wskroś niczym pchnięcie nożem. Sama myśl, że miałby już nigdy nie ujrzeć Colleen, była nie do zniesienia. Ale myśl o porzuceniu powołania wydawała się jeszcze gorsza.

- Czy te uczucia kiedyś mijają?

- W końcu tak - po jakimś czasie. Trzeba prosić Boga, by je zabrał...

To nie pomogło Rylanowi. Ponownie pochylił głowę.

- Ojcie, dzisiaj wydarzyło się coś, co muszę wyznać. Ja... ja ją pocałowałem. Nie zamierzałem tego, ale tak się po prostu stało.

-Udręka przenikała każdy fragment jego ciała, gdy wyobraził sobie

dezaprobatę, którą mógłby zobaczyć na twarzy starszego kapłana, gdyby w nią spojrział.

- I ten pocałunek zmienił wszystko. - Ksiądz Filmore powiedział to w taki sposób, jakby także tego doświadczył.

- Tak. - Spojrział w oczy księdza, wiedząc, że i tak nie zdoła ukryć przed jego wzrokiem swojego udręczenia. - Co mam teraz robić, ojcze? Modliłem się godzinami w kościele, ale nie uzyskałem żadnej odpowiedzi.

Wielebny Filmore pochylił się w fotelu i złożył ręce na kolanach.

- Cóż, synu. To nie będzie łatwa decyzja. Ponieważ jeszcze nie miałeś święceń, twoja sytuacja jest nieco inna od mojej. Wciąż możesz opuścić seminarium, jeśli tak postanowisz.

- Opuścić? - Zadane w oszołomieniu pytanie zawisło w powietrzu. Do tej pory nie dopuszczał do siebie takiej możliwości, obawiając się, że pokusa podjęcia decyzji pod wpływem impulsu może przeważać nad zdrowym rozsądkiem.

- Myślę, że najmądrzejszą rzeczą byłoby zostawić sobie czas do namysłu. Szukać Bożej rady i Jego woli w twoim życiu. Wróć do Bostonu i podejmij się osobistych rekolekcji, żeby modlić się za swoje powołanie. Jestem pewien, że kapłan pomoże ci to rozeznać.

Wrócić do Bostonu? Dlaczego wydawało mu się to zupełną porażką? Obraz rozpromienionej twarzy matki w dniu, kiedy poszedł do seminarium, powrócił w jego pamięci. Jak by się czuła, gdyby porzucił kapłaństwo?

- Rylanie, czy mogę zapytać, dlaczego chciałeś zostać księdzem? Po raz pierwszy od wyjścia z sierocińca, w jego oczach błysnęły łzy.

- Moja matka była chora na zapalenie płuc. Ponieważ tata zmarł wcześniej, była dla nas wszystkim, dla mnie, dla moich braci i siostry. Siedzieliśmy przy jej łóżku każdej nocy i modliliśmy się o jej

zdrowie. W końcu zawarłem z Bogiem układ. Jeśli oszczędzi jej życie, ofiaruję Mu swoje na Jego służbę. - Uśmiechnął się blado. - Bóg wypełnił swoją część. Teraz ja dotrzymuję swojej obietnicy.

Wielebny Filmore nie odzywał się przez parę sekund, po czym postukał palcem w podłokietnik swojego fotela.

- Choć to godne podziwu, nie wydaje mi się, żeby to był najlepszy powód, aby zostać księdzem.

Rylan poczuł się urażony. Dlaczego jakiś powód miałby być lepszy od innego, skoro ktoś oddaje Bogu swoje życie?

- Jedynym sposobem, żeby zobaczyć, czy masz prawdziwe powołanie jest odsunięcie się od obecnej sytuacji, z dala od kobiety, która wzbudza te uczucia. W ciszy sanktuarium, wsłuchuj się w wolę Bożą wobec twojego życia. On da ci odpowiedź, której szukasz.

Rylan zwiesił głowę.

- Ojczy, przepraszam, że zawiodłem. Wielka dłoń ścisnęła jego ramię.

- Nie bądź dla siebie zbyt surowy. To nie twoja wina, wiem o tym dobrze. Daj sobie czas na modlitwę, a wszystko poukłada się tak, jak chce tego Bóg.

Kiedy wieczorem Rylan wracał do domu państwa O'Leary, gorączkowo zastanawiał się, jak powie Colleen o tym, że wyjeżdża. Modlił się też, żeby jego wyjazd nie załamał dziewczyny i tak już zdruzgotanej po stracie Delii.

James O'Leary przyjechał do banku Hastingsa dokładnie o dziesiątej rano następnego dnia. Gil zauważył, jak wchodzi przez główne, podwójne drzwi i poczuł, że jego żołądek zacisnął się w supeł. Oddałby wszystko, aby oszczędzić Jamesowi tego wstrząsu, który miał nastąpić w ciągu najbliższych paru minut. Brak pożyczki oznaczał koniec Irlandzkich Łąk. Ogarnął go ogromny smutek na myśl o utracie stadniny i ukochanych koni. Mógł sobie tylko wyobrazić, jak bardzo przygnębiona będzie Bree i reszta rodziny. Wyprostował plecy, opierając się o drewniane szczeble oparcia i poprzysiągł sobie, że poświęci każdą wolną chwilę w nadchodzących tygodniach, szukając skutecznego sposobu na uratowanie Irlandzkich Łąk.

W ciągu piętnastu minut Gil wpatrywał się mętłym wzrokiem w leżące przed nim papiery. Całą jego uwagę skupiał teraz gabinet pana Hastingsa. Kątem oka obserwował drzwi, z których wkrótce miał się wynurzyć James. W pewnym momencie doszły go odgłosy gwałtownej wymiany zdań. Zacisnął palce na ołówku, gotów w każdym momencie wkroczyć, jeśli byłoby to konieczne. Ale jakieś pięć minut później, drzwi otworzyły się z hukiem i z gabinetu wypadł James. Nie obejrzawszy się na boki, wymaszerował z banku prosto na ulicę.

Gil złapał marynarkę i natychmiast ruszył za nim. Koniecznie chciał się upewnić, że z Jamesem wszystko w porządku. Lawirował pomiędzy przechodniami, gazeciarzami i sprzedawcami w zatłoczonym pasażu, starając się nie stracić z oczu szerokich pleców

Jamesa. Kiedy pan OTeary przebiegł przez ulicę tuż przed kołami tramwaju, o mały włos nie wpadając jednocześnie pod konia ciągnącego powóz, Gil wstrzymał oddech. Począł, aż tramwaj przejedzie i będzie można przejść na drugą stronę. Rozejrzał się, usiłując odnaleźć wzrokiem Jamesa, ale mężczyzna zniknął w tłumie.

Ruszył dalej, zaglądając w witryny sklepów, aż dotarł do pubu O'Malley a. Przypomniał sobie, że James parę razy wspominał o tej spelunie. Otrzymał niepomyślne wiadomości, więc może poszedł właśnie tam.

Wszedł do pubu i zdziwił się, jak wiele osób jest w knajpie mimo tak wczesnej pory. Mrużąc oczy, by lepiej widzieć, wszedł głębiej do ciemnego pomieszczenia pełnego dymu i oparów piwa. Zręcznie ominął parę skąpo ubranych kobiet i całą swoją uwagę skupił na końcu baru, gdzie na wysokim stołku siedział zgarbiony James.

Panie, pomóż mi porozumieć się z nim.

Gil podszedł ostrożnie i przysunął sobie stółek obok Jamesa, zauważając bursztynowy płyn w szklance, którą pan O'Leary obracał nerwowo w dłoniach.

Barman w poplamionym fartuchu opinającym opasłe brzuszysko ścierał szmatą blat.

- Co dla pana?

- Ginger ale, proszę.

Na dźwięk jego głosu, James gwałtownie odwrócił głowę i zmierzył Gila ostrym spojrzeniem.

- Co ty, do diabła, tutaj robisz? Gil nawet nie mrugnął okiem.

- Chciałem się upewnić, że nie zrobi pan czegoś głupiego. James jednym ruchem wychylił zawartość szklanki i stuknął naczyniem o wypolerowany blat.

- Następną kolejkę! - wrzasnął na mężczyznę za ladą. - Albo od razu całą butelkę!

- Nie chce pan tego robić. To nic nie zmieni.

- Nie zmieni, ale z pewnością złagodzi.

Barman przyniósł ginger ale dla Gila oraz butelkę szkockiej i postawił przed nimi. James wyjął z portfela parę banknotów i rzucił mężczyźnie.

- Za nas obu. Reszty nie trzeba.

- Dzięki, brachu. - Barman wsunął pieniądze do kieszeni fartucha.

Gil obracał w palcach stojącą przed nim szklankę, szukając odpowiednich słów, żeby załagodzić ból mężczyzny, który był dla niego jak ojciec. Kątem oka dostrzegł, jak James wlewa w siebie kolejną porcję szkockiej. Gilowi stanął przed oczami obraz jego ojca pochylonego nad butelką irlandzkiej whiskey, który oglądał niejednej nocy. To był też powód, dla którego Gil rzadko pił cokolwiek mocniejszego. Pociągnął mały łyk ze swojej szklanki i odstawił ją na blat.

- Przykro mi, że nie udało się z pożyczką.

James zatrzymał się w trakcie dolewania sobie kolejnej porcji.

- Jak bardzo starałeś się przekonać Arthura, żeby zmienił zdanie?

Na początku Gil pozwolił, żeby dosięgnęło go poczucie winy, ale zaraz potem otrząsnął się z niego.

- Jestem nowym pracownikiem banku. Nie mam zbyt wiele do powiedzenia.

- Jako przyszły zięć dyrektora, z pewnością masz. Ile udało ci się wydoić z tej znajomości? Czy w ogóle się starałeś?

Przekrwione oczy Jamesa ciskały gromy, które celnie trafiały w serce Gila, wzniecając jego złość. Jak mógł tak mówić po tych wszystkich poświęceniach, na które Gil się zdobył? W tym momencie każdy gram cierpienia i upokorzeń, których doświadczał Gil w ostatnich miesiącach sprawiły, że w jego wnętrzu kipiał najczystszy gniew. Nie umiał już powstrzymać słów, które same cisnęły się na usta.

- Czy kiedykolwiek słyszałeś, co mówisz? Lubisz ranić i niszczyć tych, których ponoć kochasz?

James aż podskoczył na swoim stołku, rozlewając trochę złotego płynu ze szklanki.

- Adam i Brianna odeszli już z domu przez terror, który wprowadziłeś. Mój wyjazd także jest twoją zasługą. Gdybyś nie sprzeciwił się mojemu związkowi z Bree... - Nagle przemknęła mu przez głowę nowa myśl. - A może chodziło o to, że potrzebowałeś mnie tylko do nieczystej zagrywki wobec pana Hastingsa? Moje zaręczyny z jego córką miały być twoim asem w rękawie! To dlatego zniszczyłeś marzenia swojej córki i moją prawość? Wszystko dla tych cholernych pieniędzy? - Drżały mu ręce, kiedy wreszcie wyrzucił z siebie całe zgorzknienie, które narastało od dnia powrotu z college'u. - Czy ty troszczysz się w ogóle o kogokolwiek poza samym sobą?

James zerwał się, przewracając stołek. Złapał Gila za koszulę i jedną ręką uniósł z siedzenia.

- Jak śmiesz mi mówić takie rzeczy po tym, jak przygarnąłem ciebie i wychowywałem jak własnego syna? - Na twarzy Jamesa zakwitły czerwone plamy. W oczach miał jakąś dzikość, która przeszła Gila lękiem. Czy ten człowiek był tak zdesperowany, że uciekał się już do fizycznych argumentów?

Nadszedł barman.

- Panowie, grzecznie, proszę, albo obu wyprowadzę. Dopiero wtedy Gil uświadomił sobie, że mówili podniesionymi

głosami, tak że pozostali klienci gapili się na nich. Wyszarpnął się z chwytu Jamesa i odsunął o krok, poprawiając koszulę.

- Przynajmniej raz proszę posłuchać czyjejś rady. Niech pan wraca do domu, do żony i dzieci i cieszy się z tego, co pan ma, zamiast koncentrować się tym, czego panu brakuje. - Ostatni raz spojrzął na Jamesa, który nadal pieniał się ze złości, a potem wypadł z pubu.

Colleen dłubała widelcem w puree ziemniaczanym, jednym okiem cały czas obserwując drzwi jadalni. Miała nadzieję, że Rylan zaraz bezceremonialnie wejdzie z tym swoim czarującym uśmiechem i przeprosi mamę, że spóźnił się na kolację. Chciała, żeby przyszedł i zachowywał się, jakby nic się nie stało - dokuczał jej, cytując jakieś stwierdzenie siostry Małgorzaty albo powiedział jeden ze swoich głupich żarcików. Może to uspokoiłoby jej nerwy. Może wtedy znów mogłaby normalnie oddychać.

Od czasu, kiedy pocałował ją z taką namiętnością i zaraz potem wybiegł z pokoju, nie widziała go ani razu.

Przez chwilę pozwoliła sobie na nowo przeżyć dreszcz tego pocałunku i tego tak intensywnego uścisku, że zdawało się jej, iż ich dusze się połączyły. Wśród wielu pocałunków, które dzieliła z różnymi mężczyznami, jeszcze nigdy nie doświadczyła takiej rozkoszy.

Bałagan w jej wnętrzu idealnie współgrał z ziemniakami rozgrzebanymi na talerzu. Jak to się mogło stać, że zakochała się w kleryku? Westchnąwszy, odsunęła talerz i spojrzała na nielicznych członków rodziny siedzących przy stole.

Deirdre i Connor trajkotali do wyjątkowo dziś posępnej matki. Ostatnimi czasy mama w ogóle nie była sobą. Colleen zauważyła duże cienie pod jej oczami i przypomniała sobie przypadkiem zasłyszaną kłótnię dochodzącą z sypialni rodziców wczorajszej nocy. Nie pamiętała, żeby rodzice kiedykolwiek tak się sprzecjali. Co się działo z jej rodziną?

- Mamo, gdzie jest tata? Pracuje tak późno? - Starła się zachować normalny ton głosu.

Blade policzki mamy wydawały się jeszcze jaśniejsze. Posłała Colleen niespokojne spojrzenie.

- Pewnie tak jest. - Zmarszczyła czoło. - A co z Rylanem? To już drugi dzień, gdy nie pojawia się na kolacji.

Colleen wzruszyła ramionami, by udąć obojętność.

- Także się przed chwilą nad tym zastanawiałam. Mama odłożyła serwetkę.

- Deirdre i Connorze, możecie odejść od stołu.

Dzieci ześliznęły się z krzeseł i pędem wypadły z pokoju.

- Nie zapomnijcie umyć rąk. - Napomnienie mamy wybrzmiewało echem w korytarzu, a ona potrząsnęła głową. - Tych dwoje sprawi, że albo będę dłużej młoda, albo szybciej osiwieję.

Colleen nie umiała zdobyć się na uśmiech. Deirdre zbyt bardzo przypominała jej Delię.

- Czy coś się wydarzyło w domu dziecka? - Nigdy nic nie mogło umknąć bystremu spojrzeniu matki.

Colleen bawiła się loczkiem opadającym jej na ramię.

- Jedno z dzieci wczoraj nieoczekiwanie wyjechało. Razem z kuzynem Rylanem bardzo polubiliśmy Delię, a nie mieliśmy nawet okazji się z nią pożegnać. - Ze wszystkich sił starała się nie wybuchnąć płaczem przed matką. Przyczyna prawdziwego smutku tkwiła głębiej niż w utracie dziewczynki. Wciąż zastanawiała się, czy jeśli poruszyłaby ten temat z rodzicami, byliby gotowi adoptować Delię?

- Tak mi przykro. To musiało być dla ciebie przykre.

- Bardzo.

Mama posłodziła herbatę i mieszając ją, powiedziała:

- Kiedy podejmuje się pracy w domu dziecka, trzeba być przygotowanym na to, że dzieci odchodzą. Najlepiej nie przywiązywać się do nich zbyt mocno.

- Teraz już będę o tym wiedziała...

Mama zmarszczyła brwi i długo przypatrywała się córce.

- Wydaje mi się, że kara, którą nałożył na ciebie tata, trwa już wystarczająco długo. Czy chcesz, abym z nim o tym porozmawiała?

Colleen była zaskoczona.

- Nie, mamó. Bardzo podoba mi się praca w sierocińcu. To wcale nie jest kara!

Matka zrobiła wielkie oczy.

- Muszę przyznać, że nie spodziewałam się takiej reakcji.
- Uśmiechnęła się lekko. - Skoro ci się podoba, myślę, że nie ma problemu, żebyś nadal tam jeździła.

Colleen odetchnęła z ulgą.

- Dziękuję, mamó. Obiecuję, że postaram się nadal znajdować czas, by pomagać ci w działalności dobroczynnej.

- Wiem o tym, kochanie.

Colleen przygryzła wargę, zastanawiając się, czy powinna mówić matce o spotkaniu z Brianną. Stwierdziła, że to byłoby zbyt samolubne, gdyby nic nie powiedziała.

- Widziałam się z Bree, mamó. Matka uniosła głowę.

- Naprawdę? Kiedy?

- Przyjechała do sierocińca z ciocią Fioną.

- Jak ona się miewa? Źle wygląda?

- Nie. Wydawała się raczej... szczęśliwa. Skurcz bóleści przeciął twarz mamy.

- Szczęśliwa?

Colleen wzruszyła ramionami.

- Może *zadowolona* brzmiałoby lepiej. - Obserwowała uważnie matkę. - Nie wydaje mi się, żeby Bree była szczęśliwa, dopóki nie zapomni o Gilu.

Mama zamyśliła się.

- Obawiam się, że masz rację...

Colleen westchnęła cicho. Zdaje się, że obie z Brianną cierpiały na podobną dolegliwość. Ona bowiem bała się, że już nigdy nie będzie prawdziwie szczęśliwa, dopóki nie upora się z pewnym ciemnookim klerykiem.

Tej nocy lekki wietrzyk poruszał bawełnianą zasłoną w oknie dusznego pokoju, który Gil wynajmował w pensjonacie. Rozciągnięty na przetartej kołdrze pokrywającej jego łóżko, wcale nie odczuwał chłodu. Leżał z rękami złożonymi pod głową i wpatrywał się w popękany sufit. Tak bardzo pragnął wiedzieć, co ma zrobić z poczuciem winy, które go przygniatało. Dlaczego jeszcze dodał zmartwień Jamesowi swoimi oskarżeniami? I czemu nie uparł się, żeby go odwiedzić do domu? Przynajmniej teraz wiedziałby, że mężczyzna jest bezpieczny. Z tego, co się domyślał, mógł on nadal pić u O'Malley'a, podczas gdy biedna pani O'Leary martwiła się, czekając na niego w Irlandzkich Łąkach.

Ponieważ sen nie nadchodził, Gil usiadł i w świetle nocnej lampki zerknął na kieszonkowy zegarek. Dobiegała północ. Spuścił głowę, żalując, że nie może przechadzać się tam i z powrotem po zbyt małym pokoju. Miał w sobie tyle energii, z którą nie miał co zrobić. Gdyby był w domu, poszedłby do stajni, osiodłał Monarchę i ruszył na nocną przejażdżkę. Na myśl o wiejskim powietrzu i bujnych pastwiskach rozpalila się w nim ogromna tęsknota.

Bree. Gil nie był w stanie myśleć o Irlandzkich Łąkach bez wspomnienia o niej. Tak bardzo tęsknił za jej twarzą, wzajemnym zrozumieniem, jej dźwięcznym śmiechem, gdy tylko opowiedział jakiś dowcip. Jakaś jego samolubna część zastanawiała się, czy kiedy James utraci Irlandzkie Łąki, uzna Gila za godnego męża swojej córki. A może wtedy jeszcze usilniej będzie się starał znaleźć dla niej bogatego męża?

Głośne pukanie do drzwi poderwało go z łóżka.

- Kto tam?

- Pani Shaughnessy. Telefon do pana, do odebrania w salonie. Serce waliło mu nieznośnie, kiedy szarpał się z butami i w pośpiechu zakładał koszulę. Kto mógł dzwonić do niego o tej porze?

- Zaraz będę!

- W sam raz pora na rozmowy telefoniczne - zrzędziła pani Shaughnessy, oddalając się.

Gdy Gil dotarł do salonu, nie było już śladu właścicielki pensjonatu. Chwycił leżącą na stole słuchawkę i zbliżył się do zamocowanego na ścianie mikrofonu.

- Halo?

- Gilbert? Mówi Kathleen. - Piskliwy, histeryczny głos przyprawił go o dreszcze. Czyżby jego najgorsze obawy okazały się prawdziwe i James nie wrócił do domu? Niepokój ścisnął jego wnętrzności. A może coś się przydarzyło Briannie?

- Co się stało? - zapytał tonem ostrzejszym niż zamierzał.

- Och, Gilu. Chodzi o Jamesa. On jest... - Dalszą część zagłuszyło szlochanie.

Poczuł, że przerażenie ścisną mu gardło.

- Co z nim?

- Jest w szpitalu. To chyba serce...

Gil kurczowo chwycił się krawędzi pianina stojącego obok telefonu. Usta miał suche jak kurz pokrywający instrument. Z trudem przełknął ślinę, zanim zdołał cokolwiek powiedzieć.

- Gdzie pani jest?

- Jestem przed poczekalnią. Lekarze badają go teraz. - Jej głos się łamał. - Nie wiedzą jeszcze, co dokładnie mu się dzieje.

Gil zaczerpnął powietrza, próbując zapanować nad emocjami.

- Może to nic poważnego. W którym szpitalu pani jest?

- Long Island Memoriał. Gil, musisz przyjechać. Nie wiem, gdzie jest Adam. Colleen i młodsze dzieci spali i nie chciałam ich budzić.

- Jej słabnący głos wstrząsał nim do głębi. - Jest ze mną Rylan, stara się czegoś dowiedzieć... - Głos coraz bardziej zanikał.

- Już się zbieram. Proszę wytrzymać jeszcze chwilę. - Przerwał, wahając się, czy podjąć ten temat, ale czuł, że powinien. Rylan nie był jeszcze księdzem, a pani O'Leary potrzebowała człowieka, któremu ufała dla duchowego wsparcia rodziny. - Czy chce pani, żeby zawiadomić księdza Filmora?

Usłyszał, jak przez szloch mówi:

- T-tak, p-p-proszę.

- Postaram się dotrzeć tak szybko, jak tylko będę mógł.

- Dziękuję ci, Gilberte.

Drżącymi rękami odwiesił słuchawkę i pobiegł na górę do swojego pokoju. Kiedy założył szelki, zarzucił marynarkę i wepchnął portfel do kieszeni spodni, jego myśli zwróciły się ku Briannie. Nigdy by mu nie wybaczyła, gdyby nie wziął jej ze sobą.

Wykonał szybki telefon do Arthura Hastingsa, zanim wyszedł głównymi drzwiami na pogrążoną w ciemności ulicę.

To będzie bardzo długa noc.

Brianna obudziła się, nie wiedząc, co wyrwało ją ze snu. Podniosła głowę z poduszek, nasłuchując.

Chłodne powietrze w pokoju sprawiło, że wzdrygnęła się i mocniej naciągnęła kołdrę.

- Brianno, moja droga. Tu ciocia Fiona. - Drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem i ciocia weszła do środka.

Dziewczyna usiadła, przecierając oczy.

- Która jest godzina?

- Jest po północy. Gilbert czeka na dole, prosząc, byś zeszła.

- Brianna przesunęła się na krawędź łóżka i zmarszczyła brwi. -Zdaje się, że chodzi o jakiś wypadek w rodzinie.

Niepokój całkowicie przegonił sen z jej umysłu. Opuściła nogi na podłogę.

- Co się stało? *Panie, nie pozwól, by coś złego zdarzyło się mamie.*

- Nie chce powiedzieć. Czeka na nas obie, żeby nas razem poinformować.

Brianna włożyła kapcie oraz szlafrok, mocno wiążąc go w pasie, i poszła za ciocią w dół wąskich schodów do salonu. Kiedy weszła do pokoju, uświadomiła sobie, że nie zrobiła porządku z włosami i szybko przesunęła po nich dłonią, żeby wygładzić luźne kosmyki, które wysunęły się z długiego warkocza. Jej serce waliło jak oszalałe, częściowo z niepokoju dotyczącego nadchodzących wiadomości, a częściowo z powodu ponownego spotkania z Gilem.

Stał przygarbiony przy wygaszonym palenisku. Świeca stojąca na kominku migotała koło jego głowy, rzucając poświatę na ciemne włosy. Na odgłos kroków, odwrócił się w ich stronę. Jego loki rozrzucone były w nieładzie, tak jakby je dopiero przeczesał ręką, co często robił, kiedy był zdenerwowany. Ciężki zarostu rysował się na jego twarzy, podkreślając ukochany dołeczek w policzku.

Zimnymi jak lód palcami kurczowo chwyciła za kołnierz swojego okrycia.

- Gil, co się stało?

Ponury wyraz jego twarzy mówił, że wiadomości nie są dobre.

Przeszedł przez dywan, stanął tuż obok niej i sięgnął po wolną rękę Brianny. Ciepło jego skóry promieniowało przez jej dłoń i w górę, aż do ramienia.

- Usiądź, proszę, Bree. - Jego pełne delikatności spojrzenie przeniosło się na ciotkę, która niepewnie stała w drzwiach. - Niech ciocia też usiądzie.

Płacz podchodził Briannie do gardła, ale zdołała go jeszcze przewyciężyć.

- Proszę, powiedz, że nikt nie umarł. Poprowadził ją na kanapę.

- Nikt nie umarł... ale twój tata jest w szpitalu.

Wydała stłumiony okrzyk. Gil usiadł obok niej i ponownie sięgnął po jej rękę. Trzymała się jego dłoni jak liny ratowniczej.

- Przykro mi, że przynoszę tak złe wiadomości. Ciocia Fiona pochyliła się w swoim fotelu, pytając:

- Co się stało mojemu bratu?

- Lekarze próbują to ustalić. Podejrzewają, że może chodzić o serce. - Odwrócił się z powrotem do Bree. - Twoja mama zadzwoniła do mnie i prosiła, żebym przyjechał do niej do szpitala. Domyślam się, że ty też chciałabyś pojechać. Dlatego tu przyszedłem.

Brianna skoczyła na równe nogi.

- Oczywiście. Daj mi chwilę, żebym się przebrała. - Spojrzała na ciocię. - Ty też pojedziesz?

Ciocia Fiona ze smutkiem pokręciła głową.

- Nie sądzę, abym była tam mile widziana. Lepiej zrobię, jak zostanę tu i będę się modlić.

- Jesteś pewna?

- Tak. Idź już. Nie każ Gilbertowi czekać.

Brianna ucałowała ciocię w policzek i ruszyła pędem na górę. Ubierając się i upinając pośpiesznie włosy w koka, szeptała modlitwy, by Bóg ocalił jej tatę i dał mamie siłę, aby mogła znieść wszystko, cokolwiek miało się wydarzyć.

Chwyliła szal z wieszaka na drzwiach i pognęła na dół, nie mogąc pozbierać kłębiących się w głowie myśli.

Gil czekał w holu, gotowy, z kapeluszem w dłoni. Ciocia Fiona podeszła, żeby ją uścisnąć.

- Kiedy tylko będziesz mogła, daj znać, jak się ma twój tata. Pewnie nie zmrużę oka, dopóki nie dowiem się, że wszystko z nim dobrze.

Brianna uścisnęła ciocię.

- Oczywiście. Kiedy tylko będzie coś wiadomo, zadzwonię. Gil nasunął na czoło kapelusz i podał jej ramię. Ona oparła się na nim, dziękując w duchu za jego pokrzepiającą obecność, i tak wyszli przed dom.

- W którym szpitalu jest tata?

- Long Island Memorial. Zatrzymała się nagle.

- Ale jak my tam dotrzemy? O tej porze nie ma żadnych tramwajów. Nieco zmieszany wzruszył ramionami, wskazując na czarnego Forda T zaparkowanego przy krawężniku.

- Zadzwoniłem do pana Hastingsa i pożyczył mi swojego kierowcę.

Brianna zeszywniała na bolesne wspomnienie, gdzie teraz należał Gil - i do kogo.

- Oczywiście. Zapomniałam. - Zeszła po schodach, zmuszając go do podążania za nią.

- Bree, przepraszam. - W jego głosie było słycać smutek. Nie mogła na niego popatrzeć, bo bała się, że jej uczucia, mogą nieoczekiwanie wybuchnąć.

- Nie masz za co. Jedźmy po prostu do szpitala.

Kierowca przytrzymał otwarte drzwi, by wsiedli i Gil pomógł jej dostać się do samochodu. Dotyk jego ręki to było dla niej zbyt wiele. Odsunęła się na siedzeniu od niego najdalej, jak tylko mogła, by nie ryzykować kolejnego kontaktu.

Spokój panujący w aucie zmienił się w krępującą ciszę.

Brianna utkwiała wzrok za szybą, skupiając się całkowicie na modlitwach o zdrowie taty. Pragnienie pocieszającego przytulenia stało się nie do pohamowania. Jakże bardzo żałowała, że nie może teraz oprzeć głowy na piersi Gila - poczuć się bezpiecznie w jego ramionach. Przygryzła dolną wargę, by powstrzymać drżenie.

Musiała być silna dla matki. Ona potrzebowała teraz wsparcia od każdego.

- Jest coś, o czym muszę ci powiedzieć - cichy głos Gila przełamał ciszę.

Przez jej gardło ściśnięte od emocji, nie zdołałoby się przecisnąć ani jedno słowo.

- Chodzi o twojego tatę.

Udało mu się zdobyć jej uwagę. Spojrzała na niego. Jego oczy były pełne żalu.

- Dzisiaj rano pan Hastings odmówił twojemu tacie pożyczki. James wyszedł z banku przybity i poszedłem za nim.

- Dokąd? Westchnął.

- Do pubu O'Malley'a. Staralem się namówić go, żeby wrócił do domu, ale stał się agresywny. Musiałem go zostawić samego. Miałem wybór - albo to, albo awantura.

Brianna zagryzła dolną wargę. Choć tata lubił wypić po kolacji szklaneczkę brandy, nie był stałym bywalcem knajp. Mama by mu na to nie pozwoliła.

- Nie wiem, co się stało potem, ale myślę, że stres związany z pożyczką mógł spowodować zapaść. Tak bardzo liczył na te pieniądze...

- Czy Irlandzkie Łąki rzeczywiście są w takich finansowych tarapatach? - Patrzyła na niego, licząc na szczerą odpowiedź.

Pokiwał głową.

- Niestety, wcale nie jest dobrze.

Myśli z prędkością błyskawicy wirowały w jej głowie, jak uliczny pył pod kołami samochodu. Mogli stracić dom, farmę... Co się wtedy z nimi stanie?

- Co z nami będzie, Gil?

Objął ją, a następnie przyciągnął do siebie. Oparła głowę na jego ramieniu.

- Obiecuję, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby zachować płynność finansową Irlandzkich Łąk.

Choć jej oczy były suche, przyjęła chusteczkę, którą wetknął jej w dłoń.

- Proszę, postaraj się teraz tym nie martwić. Może nie powinienem był ci o tym mówić, ale pomyślałem, że masz prawo wiedzieć, co mogło się przyczynić do choroby ojca.

Pokiwała głową, wciąż wtulona w jego pierś. Zaczęła się uspokajać, słuchając odgłosu bicia jego serca. Ucałował ją w czubek głowy. Zamknęła oczy, pozwalając sobie myśleć, przynajmniej przez tę krótką chwilę, że on należy do niej.

O siódmej rano następnego dnia, Rylan wchodził do domu państwa O'Leary. Starał się zachowywać jak najciszej, żeby nie zbudzić mieszkańców. Był wyczerpany i liczył, że będzie mógł się przespać choćby godzinę.

Postawił już stopę na pierwszym stopniu schodów, gdy usłyszał cieniutki głosik małej Deirdre dochodzący od strony jadalni.

- Ale gdzie jest mama? Ja chcę mamę!

- Cichutko, kochanie. Mama jest z tatą w szpitalu. Wróci do domu, kiedy tylko będzie mogła.

Rylan zamknął oczy na dźwięk głosu Colleen, a jego pierś ścisnął ból. Jak miał opuścić ten dom, wiedząc, że może już nigdy jej nie spotkać?

Boże, proszę, daj mi siłę, bo jestem za słaby.

Położył rękę na wypolerowanej balustradzie i już miał postawić kolejny krok, ale zatrzymał się. Winien był Colleen jakieś informacje o jej ojcu. Posyłając kolejną krótką modlitwę z prośbą o prowadzenie, skierował się w stronę jadalni.

Na początku nikt nie zauważył go w wejściu. Connor siedział przy stole, bawiąc się jajecznicą na talerzu. Na jego piegowatej twarzy malowało się niezadowolenie. Ale widok Colleen trzymającej na rękach Deirdre przyprawił Rylana o ból serca. Poranne słońce w jej opadających na ramiona lokach, zamknięte oczy, broda oparta na główce siostry - we wszystkim tym przypominała mu Maryję, kołyszącą Dzieciątka. Przez chwilę Rylan pozwolił sobie wyobrazić ją jako swoją żonę, tulącą ich dziecko. Na jej

twarży malowała się taka miłość, że na ten widok emocje zacisnęły mu gardło. Po raz pierwszy, odkąd podjął decyzję o kapłaństwie, żałował, że nie będzie miał dzieci.

- Rylan! - Connor odepchnął się od stołu i pobiegł objąć Rylana w pasie swoimi drobnymi ramionami.

Kleryk poklepał go po plecach, a proste dziecięce zachowanie chłopca tylko dopełniło jego żalu.

- Mój tatuś jest chory - powiedział głosem stłumionym przez koszulę Rylana, w którą się wtulał.

Położył dłoń na głowie Connora.

- Wiem, mój mały, ale lekarz mówi, że wszystko będzie dobrze. Wyczuł, że uwaga Colleen skupiła się na nim. Zbierając całą swoją odwagę, skrzyżował spojrzenie z jej wzrokiem. Zderzenie to poraziło jak prąd. Z trudem przełknął ślinę.

- Właśnie wróciłem ze szpitala.

Wstała, wciąż trzymając Deirdre na rękach.

- Byłeś tam z mamą? - Tak.

- Dlaczego nikt z was mnie nie obudził? Cierpienie odbite na jej twarzy przejęło go do głębi.

- Twoja mama chciała, żebyś była w domu z maluchami, kiedy się zbudzą.

Colleen podeszła w jego stronę. W jej ruchach było widać napięcie i przygnębienie.

- Jak się czuje tata? Pani Johnston mówiła, że upadł, ale nic więcej nie wie.

Rylan ogromnie pragnął ją przytulić i zapewnić, że wszystko będzie dobrze. Z wielu różnych powodów.

Powiódł wzrokiem od Connora do Deirdre i znów na Colleen, mając nadzieję, że dziewczyna zrozumie. Nie chciał przerazić tych szkrabów, opisując kiepską kondycję ich taty.

- Lekarze bardzo się starają, żeby z tego wyszedł.

Nie odrywając od niego wzroku, Colleen postawiła na ziemi małą dziewczynkę, mówiąc:

- Dee-Dee i Connorze, biegnijcie się ubierać. Za minutkę przyjdę na górę wam pomóc.

Kiedy już Deirdre chciała zaprotestować, Rylan pochylił się i wyszeptał jej do ucha obietnicę słodyczy. Dziewczynka rozpromieniła się w uśmiechu i wyszła za Connorem.

Rylan wyprostował się i odkaslnął, świadomy, że Colleen stoi

o krok od niego. Wyglądała tak pięknie, że pragnienie, by ją dotknąć powodowało niemal fizyczny ból. Było tak wiele rzeczy, które chciał powiedzieć, ale usta odmawiały mu posłuszeństwa. Przede wszystkim jednak, winien był jej prawdę o stanie pana O'Learyego.

- Lekarze twierdzą, że twój ojciec przeszedł atak duszniczy, co jest poważną chorobą serca.

Chwyciła się kurczowo oparcia krzesła, a w jej oczach pojawiły się łzy.

Rylan jeszcze mocniej splótł dłonie, żeby nawet nie próbować jej dotknąć.

- Fakt, że przetrwał tę noc jest pomyślną oznaką. Lekarze są dobrej myśli co do jego wyzdrowienia. Chociaż potrzeba będzie na to trochę czasu.

Colleen starła łzy z policzków.

- Mama chyba nie została tam sama, prawda?

- Nie. Gil i Brianna byli z nią przez większość nocy, podobnie ksiądz Filmore. Wysłała mnie, żebym ci powiedział, co się wydarzyło. Staralem się ją przekonać, żeby wróciła do domu ze mną i odpoczęła, ale nie chciała go zostawiać.

Colleen odsunęła się od krzesła i ruszyła w kierunku drzwi.

- Ja też muszę już iść. Chcę tam być, kiedy tata się obudzi. Rylan złapał ją za ramię, zanim zdążyła zrobić kolejny krok.

- A co z Deirdre i Connorem?

- Pani Johnston ich przypilnuje.

- Te dzieci potrzebują teraz pocieszenia kogoś z rodziny. - Ze smutkiem wzruszył ramionami. - Pomógłbym, ale nie spałem od dwóch dni i obawiam się, że zaraz padnę.

Zamarła, stojąc z twarzą odwróconą w przeciwnym kierunku. Trwali tak bez ruchu przez jakiś czas.

- To przeze mnie, tak? Przez nasz pocałunek. To dlatego nie byłeś w domu, dlatego nie mogłeś spać.

Równe bicie zegara na kominku wyznaczało rytm serca w jego piersi. Opuścił rękę, którą trzymał na jej ramieniu i odsunął się o krok.

- Tak.

Puls dudnił w uszach Colleen, zagłuszając wszystkie pozostałe dźwięki otoczenia poza świstem płytkiego oddechu Rylana. Co powie teraz o tym wspaniałym i niesamowitym momencie, kiedy pocałował ją i odmienił na zawsze jej życie? Czy żałował tego tak bardzo, że nie mógł nawet na nią patrzeć?

- Colleen, jestem ci winien szczere przeprosiny. - Jego głos, ledwo słyszalny szept przyprawił ją o gęsią skórkę.

- Nie, nie jesteś. - Zwróciła twarz w jego stronę.

- Ależ tak. Tam, w sierocińcu, zachowałem się nieuczciwie wobec ciebie i pozwoliłem sobie na zbyt wiele. Nieuczciwie wobec nas obojga. Jest to tym bardziej naganne, ze względu twoje poprzednie doświadczenia, z tamtym księdzem.

Całe jej ciało zadrżało wobec powagi tej chwili. Miała jedyną okazję powiedzieć mu, jak się czuła i musiała to zrobić tak, żeby nie uciekł znów do swojego azylu w kościele.

- Ja na to patrzę inaczej. - Zrobiła krok w jego kierunku, ciesząc się, że on się nie odsunął.

Kilkudniowy zarost na twarzy oraz cienie pod oczami mówiły

jej, przez jak ogromne męki przechodził. Gorąco pragnęła wyciągnąć rękę i odgarnąć włosy z jego czoła, wygładzić wszystkie zmarszczki zmartwienia na jego twarzy.

- Proszę, nie chcę byś czuł się winny - wyszeptała. - Ani przez chwilę tego nie żałowałam.

Potrząsnął stanowczo głową, a w jego brązowych oczach błędził smutek.

- Nie miałem prawa cię tak całować, ponieważ poświęciłem swoje życie Bogu.

- Nasze wzajemne uczucia dały ci takie prawo. - Wpatrywała się w niego tak intensywnie, jakby miał zniknąć, gdyby tylko mrugnęła. Niepewnie wyciągnęła rękę w jego kierunku i położyła mu ją na ramieniu. Wzdrygnął się, ale nie cofnął.

Czy ośmieli się przyznać, że go kocha? A może to tylko pogorszyłoby sytuację?

- Wracam do Bostonu. Podskoczyła, jakby ją uderzył.

- Nie, Rylan. Ty nie możesz wyjechać.

- Muszę. Powiedziałem księdzu Filmore'owi, co się stało i odsyła mnie z powrotem.

Jej usta otwarły się bezwładnie. Oczy zaszczyły łzami.

- Powiedziałeś księdzu Filmore'owi? - Dlaczego odczuwała to jako zdradę?

- Nie mówiłem, że chodzi o ciebie, jeśli to cię niepokoi. Poczucie ulgi zwolniło ucisk w jej piersi. Powinna była wiedzieć, że nigdy nie skalałby jej reputacji. Ale co będzie z nim? Targały nią obawy.

- Co się z tobą teraz stanie?

Cień ujmującego uśmiechu zagościł na jego ustach.

- Nie martw się. Nie będą mnie torturować. Pewnie będę musiał odbyć rekolekcje w samotności, wypełnione modlitwą i pokutą.

- Pokutą? Za pocieszanie przyjaciółki? Uniósł jedną brew.

- Ty i ja dobrze wiemy, że to było coś więcej. - Dotknął dłonią jej policzka, od czego przeszły ją ciarki. - Myślę, że jestem w tobie zakochany, moja piękna Colleen. I potrzebuję teraz łaski Bożej, żebym wiedział, co dalej z tym zrobić. Jeśli Jego wolą jest, bym został księdzem, będę musiał jakoś z tym żyć.

Nie umiała już dłużej powstrzymać gorących łez, które popłynęły po jej twarzy, kapiąc na jego dłoń.

- A co ze mną? Co ja mam robić? Współczucie i żal przebijały z jego idealnych rysów.

- Módl się, kochanie. Módl się dużo. Za nas oboje.

Będzie potrzebowała dużo więcej niż tylko modlitwy, żeby to przeżyć. Jej świat rozpadł się na kawałki, a ziemia chwiała się pod stopami. Jak miała odzyskać równowagę?

Zacisnęła zimne palce na jego ciepłej dłoni.

- Powiedz, że nie wyjedziesz, zanim nie będziemy pewni, że z tatą jest wszystko dobrze. Nie zniosłabym straty Delii, ciebie i taty na raz.

Patrzył na nią bezsilnym wzrokiem i westchnął.

- Niech będzie. Zostanę jeszcze parę dni - aż upewnimy się, że twój tata wychodzi na prostą.

- Dziękuję. - Zamknęła oczy na chwilę, do momentu gdy Rylan uwolnił z jej uścisku swoją rękę.

- A teraz lepiej pójdę się położyć, zanim się przewrócę. - Minał ją i wyszedł na korytarz.

Wyprostowała się i wzięła wdech. Kiedy zaczął wspinać się po schodach, wybiegła za nim, wołając:

- Chciałam tylko, żebyś wiedział, że modłę się do Boga, aby zmienił zdanie i nie chciał cię już wyłącznie dla siebie.

Cichy śmiech Rylana wlał w jej zbolące serce pociechę.

Siedząc na jednym z niezbyt wygodnych krzeseł w szpitalnej poczekalni, Brianna oparła głowę o ścianę i przeciągnęła się, by choć trochę ulżyć obolałym mięśniom. Wydawało się, że czekają całe wieki na jakiegokolwiek informacje od lekarza. Wreszcie pojawił się mężczyzna w średnim wieku ze słuchawkami przewieszonymi przez szyję. Oznajmił, że pacjent najprawdopodobniej przeszedł atak dusznicy bolesnej - dosyć poważny, przez co teraz jest bardzo osłabiony. Personel szpitala sumiennie pracował, aby zachować go przy życiu i teraz jego stan jest już stabilny. Pozwolił mamie na chwilę wejść, żeby mogła zobaczyć się z tatą, który nadal był nieprzytomny. Boleść widoczna na jej twarzy po powrocie do poczekalni sprowadziła Briannę na krawędź rozpacz. Jak to się mogło stać ich potężnemu ojcu, który zawsze był silny jak drwal?

Brianna rzuciła okiem na matkę stojącą w wejściu, wpatrującą się w długi, cichy korytarz, jakby oczekiwała, że jakiś lekarz albo pielęgniarka przyjdą z dobrymi nowinami. Plecy mamy wyprostowały się. Westchnęła i zwróciła na nich swoje spojrzenie. Siedzący po drugiej stronie pomieszczenia, Gil uniósł głowę.

- Dlaczego nic nam nie mówią? To trwa godzinami - zapytała mama drżącym głosem. Widać było po niej ogromne wyczerpanie.

Gil przeszedł przez pokój i podprowadził ją na jedno z krzeseł.

- Przynieść coś dla pani? Kawę lub trochę wody?

- Nie, dziękuję ci, Gil. Nie mogłabym już nic w siebie wlać.

Gil wyprostował się, zanurzył palce w rozczochranych włosach i zaczął przemierzać pokój tam i z powrotem jak lew w klatce. Briannie wydawało się, że dręczy go coś więcej niż tylko oczekiwanie.

Usiadł obok jej matki i pochylił nisko głowę.

- Muszę o czymś pani powiedzieć. - Podniósł pełne bólu spojrzenie na Briannę, jakby pytając o przyzwolenie.

Brianna nieznacznie kiwnęła głową. Wcześniej prosiła go, żeby nie wspominał matce o tarapatach finansowych, w jakich się znaleźli, ale teraz, kiedy tata był w stabilnym stanie, zapewne jej mama miała prawo wiedzieć, co przyczyniło się do kryzysu.

- O co chodzi, Gilbercie? - Pełna godności postawa mamy zaskoczyła Briannę.

- Myślę, że powinna pani wiedzieć, dlaczego James cały dzień pił w pubie O'Malley'a.

Mama zeszywniała, a jej plecy zrobiły się tak proste, jak linie wymalowane na ścianach. Rzuciła mu ostre spojrzenie.

- Skąd o tym wiesz?

Z każdą chwilą Gil wydawał się jeszcze bardziej przygnębiony.

- Poszedłem tam za nim, po tym jak wyszedł z banku.

Gil opowiedział jej całą historię, którą wcześniej przedstawił Briannie. Twarz matki bladła w miarę słuchania, pomimo że Gil zbagatelizował nieco powagę ich problemów finansowych.

- Obawiam się, że tylko pogorszyłem sytuację przez to, że straciłem panowanie nad sobą. Nie powinienem był go zostawiać tam samego... - Głos Gila łamał się.

Mama wyciągnęła rękę i położyła ją na jego ramieniu.

- To nie twoja wina. Wiem, jak bardzo uparty potrafi być James.

- Zapewne ma pani rację. Nie był w nastroju do wysłuchiwanie czyichkolwiek rad.

Mama poklepała go po ramieniu i westchnęła.

- Zatem Irlandzkie Łąki są w tarapatach? To tłumaczy wiele,

jeśli chodzi o ostatnie zachowania mojego męża.

Brianna nie mogła patrzeć dłużej na przygnębienie mamy. Podeszła, usiadła obok niej, i wzięła ją za rękę.

- Wszystko będzie dobrze, mamó. Najważniejsze, żeby tata wyzdrowiał. Reszta jest nieistotna.

Mama skierowała przenikliwy wzrok na Gila.

- Ta pożyczka nie ma chyba nic wspólnego z twoimi nagłymi zaręczynami z Aurorą Hastings?

Gil ponuro zacisnął usta i spuścił wzrok na ziemię. To wydało się Briannie bardzo wymowne.

- Czy James naciskał na ciebie, abyś to uczynił, żebyśmy otrzymali tę pożyczkę? Jak żyję, jestem pewna, że to nie była miłość od pierwszego wejrzenia.

Brianna z cichym okrzykiem wstrzymała oddech. Gil skoczył na równe nogi.

Mama także wstała, kipiąc złością.

- Chcę znać prawdę, młody człowieku. Zbyt dużo ostatnio było tajemnic w rodzinie i trzeba z tym skończyć.

Gil głośno wypuścił powietrze z płuc.

- James kazał mi spotykać się z Aurorą. Matka podeszła jeszcze bliżej.

- A ten cały pomysł z zaręczynami, które nastąpiły tuż przed decyzją o przyznaniu pożyczki?

Podniósł dłoń do policzka, a potem nagle opuścił rękę i skulił się.

- To wszystko był pomysł Jamesa, prawda? Mój mąż kazał ci się oświadczyć.

W niebieskich oczach Gila rozlała się rozpacz. -Tak.

Wyznanie Gila, które przyprawiło mamę o wielki ból, sprawiło, że w piersi Brianny zrodziła się iskierka nadziei. Czy możliwe, że Gil okłamał ją i wcale nie czuł nic do Aurory?

Nadzieja jednak szybko uleciała. Nieważne, jak doszło do zaręczyn, Brianna wiedziała, że Gil był zbyt honorowy, żeby wycofać się ze swojego zobowiązania.

Matka opadła ciężko na krzesło.

- Ratujcie mnie! Jak ten człowiek wyzdrowieje, to go zabiję...

Godzinę później, kiedy lekarz wszedł do dusznej poczekalni, Gil wstał z niewygodnego drewnianego krzesła, krzywiąc się od bólu zeszywniałych mięśni.

Pani O'Leary oraz Brianna także od razu wstały.

Gil modlił się, żeby to były dobre wiadomości, choć niewyraźny wyraz twarzy lekarza nie rokował wielkich nadziei.

- Pani O'Leary? - Brzuchaty doktor, inny niż ten na porannym dyżurze, rozglądał się po pomieszczeniu.

Kathleen zrobiła krok w przód.

- To ja. Jak się ma mój mąż? Mężczyzna cierpko się uśmiechnął.

- Obudził się i wnioskuje po niezbyt miłym traktowaniu pielęgniarek, zakładam, że szybko wraca do siebie.

Obie kobiety jednocześnie wybuchnęły płaczem. Gil już dawno zużył wszystkie swoje chusteczki, ale podszedł, by objąć ramieniem panią O'Leary.

- Muszę panią ostrzec - kontynuował lekarz - że proces rekonwalescencji będzie bardzo żmudny. Pan O'Leary musi pozostać w szpitalu przez parę tygodni, a potem, kiedy wróci do domu, będzie musiał szczególnie na siebie uważać przez parę miesięcy. Oznacza to, że nie może mieć do czynienia z czymkolwiek, co mogłoby przyprawić go o stres, tak jak praca albo trudne sprawy rodzinne.

Pani O'Leary wyprostowała się.

- Rozumiem, ale wytłumaczenie tego mojemu mężowi może być nieco trudniejsze. - Zerknęła na Briannę. - Cała rodzina musi się zjednoczyć i pomóc mu, żeby przestrzegał zaleceń.

- Zrobimy, co tylko będzie trzeba, mamó.

Skinęła szybko w stronę córki i odwróciła się znów do lekarza.

- Czy mogę się zobaczyć z mężem?

- Tylko przez chwilę. Nadal jest bardzo słaby. Proszę pamiętać, żeby nie mówić nic, co by go mogło zmartwić.

Kiwnęła głową.

- Powstrzymam się... dzisiaj. Brianna przytuliła mamę.

- Przekaż tacie, że go bardzo kochamy.

- Dobrze.

W momencie kiedy Kathleen zniknęła w głębi holu, Brianna opadła z sił, tak jakby dotąd trzymała się tylko ze względu na matkę. Zmęczony ciągłym hamowaniem tego odruchu, Gil szybko podszedł bliżej i ujął jej drżące ciało w ramiona. Oparła się o niego, przytulając policzek do jego piersi. Poczul, że wreszcie jest tak, jak powinno być. Tu właśnie było miejsce Brianny. W jego ramionach, gdzie mógł ofiarować jej oparcie, kiedy tylko potrzebowała. Jednocześnie Gil musiał odsunąć od siebie obraz ufnej twarzy Aurory, który prześladował go wraz z poczuciem winy.

Zerknął z góry na Briannę, a jej cienie pod oczami szczególnie zwróciły jego uwagę. Długie godziny pełne oczekiwania dały się jej we znaki, ale choć Gil marzył, by zabrać ją do domu, wiedział, że ona się na to nie zgodzi.

Westchnąwszy, uwolniła się z jego objęć.

- Co zrobimy teraz z Irlandzkimi Łakami? Skoro tata nie będzie mógł pracować przez parę miesięcy, cały interes z pewnością upadnie.

Gil zacisnął szczęki. Decyzja, która kołowała się w jego głowie od paru godzin, ostatecznie przybrała konkretną formę.

- Wrócę do domu i przejmę sprawy do czasu, kiedy będzie mógł znów pracować.

Bree z zaskoczenia zrobiła wielkie oczy.

- Zrobiłbyś to? Po tym wszystkim, co przeszedłeś?

- Tak jak powiedziała twoja mama, rodzina musi się zjednoczyć, by przejść razem przez ten kryzys. A ja znam się na tym interesie prawie tak dobrze jak twój tata.

- A co z pracą w banku? - Skręcała pogniecioną chusteczkę w rękach.

- Będę musiał ją zostawić. Ale szczerze powiedziawszy, to będzie dla mnie ulgą. Nie sądzę, żebym pasował do świata bankowości.

Uśmiech powoli rozlał się na twarzy Brianny, rozświetlając piękne, zielone oczy taką nadzieją, jakiej już od dawna nie widział.

- Dziękuję ci, Gil. To będzie dla nas wszystkich nieoceniona pomoc. - Przechyliła się, by uścisnąć go serdecznie. - Jeśli ktoś może ocalić Irlandzkie Łąki, to tylko ty.

Jeszcze mocniej objął ją ramieniem, zawstydzony jej prostą wiarą w niego. Wiara, którą przez te wszystkie lata uważał za oczywistą, a która umacniała jego pewność siebie jak nic innego. Dobrze znane uczucie jej bliskości sprawiło, że przez jego ciało przetoczyła się fala tęsknoty. Kiedy James otarł się o śmierć, Gil uświadomił sobie doskonale jedną istotną sprawę. Życie było zbyt krótkie, by je marnować. Od teraz zamierzał korzystać z każdej, nawet najdrobniejszej chwili.

Brianna przysunęła się tak blisko niego, że prawie stykali się głowami.

- Tak bardzo za tobą tęskniłam, Gil. - Nieskrywane pragnienie w jej głosie idealnie współgrało z jego wnętrzem, na nowo rozbudzając negowane przez długi czas uczucia.

- Ja także za tobą tęskniłem - wyszeptał. - Bardziej, niż myślisz.

Ogromnie pragnął ją pocałować i wiedział, że ona czuje to samo, ale przyzwoitość kazała mu delikatnie się odsunąć.

- Choć wolałbym tego uniknąć, muszę najpierw porozmawiać z Aurorą.

- Co masz na myśli? Napotkał jej niepewny wzrok.

- Nie powinienem był zgadzać się na te zaręczyny i chcę naprawić ten błąd tak szybko, jak tylko będę mógł. Kiedy będę... wolny, i kiedy twój ojciec odzyska siły, porozmawiam z nim o nas raz jeszcze. - Potarł palcem policzek. - Życie w kłamstwie przez te ostatnie tygodnie nauczyło mnie jednej ważnej rzeczy: od teraz chcę żyć w prawdzie, na ile tylko będę umiał.

Odwzajemniła jego uśmiech. Wyznanie miłości błąkało się na jego ustach, ale po raz kolejny uświadomił sobie, że powinien zerwać relację z Aurorą, zanim wyzna uczucia innej kobiecie.

Musi być cierpliwy, jeszcze przez jakiś czas.

W piątkowy poranek Brianna postawiła swoją walizkę w holu Irlandzkich Łąk i wciągnęła w nozdrza ten wyjątkowy zapach pasty do mebli połączony z resztkami woni cygar taty - zapach domu. Supeł w jej żołądku rozluźnił się pierwszy raz od tygodni. Odczuwała przenikającą ją do szpiku kości pewność, że tu właśnie jest jej miejsce.

Ciocia Fiona przyjęła jej wyjazd ze stoickim spokojem, choć Brianna wyczuła skrywane rozczarowanie. Zapewniała ciocię, że wróci jesienią na rozpoczęcie pierwszego semestru w Barnard College i modliła się w duchu, żeby do tego czasu ojcu się polepszyło.

Usłyszała odgłos kroków kogoś, kto zmierzał w dół głównych schodów. Jej oczom ukazała się Colleen, zdziwiona widokiem

Brianny. Starsza siostra rzuciła się, by ją przytulić, co ją ogromnie zaskoczyło. Odwzajemniła uścisk, ciesząc się, że znów jest z rodziną i z radością stwierdzając, że Colleen naprawdę się zmieniła. Wszelkie ślady dawnej wrogości całkowicie zniknęły. Colleen popatrzyła znacząco na bagaż Brianny.

- Wprowadzasz się z powrotem?

- Na jakiś czas. Mamie potrzebna jest każda możliwa pomoc. Jedna z pięknych brwi uniosła się w wyrazie zaciekawienia.

- A nie ma to nic wspólnego z powrotem Gila? Uniosła podbródek.

- I tak bym wróciła do domu. Chociaż nie zaprzeczę, że bardzo się cieszę z jego obecności.

- Ale on nadal jest zaręczony z Aurorą, prawda?

Brianna zdjęła kapelusz i rękawiczki, starając się zachować neutralny wyraz twarzy.

- O ile mi dobrze wiadomo, to tak. Colleen westchnęła głośno.

- Niezła z nas obu para.

Głośne kroki wybrzmiały na wykafelkowanej podłodze.

- Czy ja dobrze słyszę, że to pani Brianna? - Pani Johnston pojawiła się z szerokim uśmiechem na swojej zazwyczaj srogiej twarzy.

- W rzeczy samej, pani Johnston.

- Ależ radość mi sprawiłaś. - Uścisnęła krótko Briannę. - Bez dwóch zdań, brakowało nam tu ciebie.

- Ja także za wami tęskniłam. Czy mogę prosić o wniesienie walizki na górę do mojego pokoju? A, i chętnie napiłabym się herbaty.

- Dwie herbaty proszę, pani Johnston. - Colleen ujęła Briannę pod ramię. - Mamy wiele do nadrobienia.

Po wysłuchaniu relacji z wydarzeń rodzinnych przy pierwszej filiżance gorącej herbaty, Brianna oparła się na pokrytej poduszkami

kanapie. Brakowało jej tych prostych przyjemności, spędzania czasu z rodziną w komfortowych pokojach. Dopadło ją wspomnienie tego pamiętnego dnia, kiedy opuściła dom, wymykając się o świcie, ale nie poddała się ponurym uczuciom. Wszystko się zmieniło od tamtej pory i ze wszystkich sił pragnęła zachować pozytywne nastawienie.

Colleen nalała sobie kolejną filiżankę herbaty tak trzęsącymi rękami, że porcelana dźwięcznie zabrzęczała. Brianna zmarszczyła brwi. Czy oprócz choroby taty coś jeszcze nękało jej siostrę? Odpowiedź otrzymała, kiedy tylko Colleen uniosła głowę. Zaskoczył ją smutek, który rzucał się cieniem na jej rysach.

- Bree, mogę ci coś powiedzieć w tajemnicy?

- Oczywiście, że tak.

Colleen przysunęła się na kanapie bliżej Brianny i postawiła filiżankę na niskim stoliku przed nimi.

- Nie mam z kim o tym porozmawiać... - Zagryzła wargę. Teraz Briannę ogarnął już prawdziwy niepokój.

- O co chodzi? Widzę, że coś złego się stało.

Colleen zwróciła się do niej, a w jej fiołkowych oczach pojawiły się łzy.

- Od czasu, kiedy razem pracowaliśmy w sierocińcu, Rylan i ja bardzo się do siebie zbliżyliśmy. - Wzięła głęboki wdech. - I... całowaliśmy się. - Przerwała z wahaniem. - Bree, myślę, że ja go kocham.

Brianna była tak wstrząśnięta, że język przyrósł jej do podniebienia. Jej siostra zakochała się w kleryku? Co miała na to powiedzieć?

- Och, Colleen, tak mi przykro. - Wyciągnęła rękę, by uścisnąć dłoń Colleen. - A co czuje Rylan?

Colleen starła mokre ślady z twarzy.

- Dręczy go poczucie winy, oczywiście. Wraca do Bostonu, żeby rozwiązać tę kwestię z przełożonymi.

- Czy on także czuje coś do ciebie?

Colleen pokiwała głową. Jej ból był wręcz namacalny.

- Tak mi się wydaje. Ale podjął się zobowiązania, z którego nie chce zrezygnować. - Z jej oczu popłynęły kolejne strumienie łez. - Przechodziłaś przez podobne cierpienie z Gilem. Jak sobie poradziłaś z tymi uczuciami?

Serce Brianny krwawiło razem z sercem jej siostry, kiedy przypomniawszy sobie swoją agonię w dniu, gdy Gil opuszczał Irlandzkie Łąki.

- Nie poradziłam sobie - powiedziała po prostu. - Nie wiem, czy kiedykolwiek sobie poradzę. Ale skoncentrowanie się na czymś innym pomogło mi przestać myśleć o żalu.

Colleen pociągnęła nosem.

- Pomodlisz się za mnie, Bree? Żebym umiała przez to przejść...

Po raz kolejny Brianna odczuła zaskoczenie. Cokolwiek wydarzyło się pomiędzy Rylanem i jej siostrą, miało swoje dobre strony: udało mu się przyprowadzić ją z powrotem do Boga, a to było nie lada osiągnięcie.

- Oczywiście. Będę się za ciebie modlić, tak jak modliłam się w swojej intencji. Żeby Bóg sam wyzwolił cię od cierpienia.

- Dziękuję. - Posłała Briannie spojrzenie pełne skruchy. - Bree, przepraszam cię za te wszystkie krzywdy, które wyrządziłam ci przez lata. Teraz dopiero zdaję sobie sprawę, że robiłam to z zazdrości.

- Ty byłaś zazdrosna o *mnie*? Colleen pokiwała głową.

- Zawsze byłaś taka sprytna i doskonała. Byłaś ulubienicą mamy. Nie wspominając o byciu pupilką nauczycielki. - Westchnęła.

Brianna potrząsnęła głową.

- Przecież to ja byłam zazdrosna o ciebie. Zawsze byłaś taka piękna, a ja byłam zwyczajną młodszą siostrą. I oczywiście byłaś ulubienicą taty. Nigdy nie udało mi się zrobić nic godnego jego

uwagi. - Uświadomiła sobie, że jej głos stawał się coraz bardziej zgorzkniały. - Teraz to wydaje się trochę niedorzeczne. Colleen zaśmiała się przez łzy.

- Nie mogę uwierzyć, że obie byłyśmy zazdrosne o siebie nawzajem. - Uspokoila się nieco. - Czy ty wiesz, jak często żałowałam, że ludzie nie widzą mojego wnętrza, tylko piękne zewnętrzne opakowanie? Myślę, że to przede wszystkim przyciągnęło mnie do Rylana. Wydawał się kompletnie nie zwracać uwagi na mój wygląd.

Na jej twarz powrócił ból. Brianna przechyliła się, by ją przytulić.

- Spróbuj się tym nie martwić. Bóg ma na pewno swój plan, który urzeczywistni w odpowiednim czasie. On zachowuje dla nas to, co najlepsze i, tak jak z tatą, wypełni co trzeba - czy nam się to będzie podobać czy nie.

Gil włókł się w górę schodów prowadzących do Belwederu. Strach deptał mu po piętach podczas każdego kroku. Szedł prosto z banku, gdzie spotkał się z panem Hastingsem i zrezygnował ze swojej posady. Powiedzieć, że Arthur Hastings przyjął tę wiadomość dobrze, byłoby największym niedomówieniem.

Teraz musiał stanąć twarzą w twarz z Aurorą i potraktować ją wyjątkowo delikatnie. Samo wspomnienie zaręczyn sprawiało, że czuł się jak najgorszy drań, ale ciągnięcie tego kłamstwa byłoby jeszcze gorsze. Gil zdjął kapelusz.

- Dzień dobry. Czy zastałem Aurorę?

- Tak. Proszę poczekać w salonie, powiadomię ją, że pan przyszedł.

Gil nie był w stanie usiąść, więc przeszedł w stronę okien wychodzących na rozległe ogrody pod domem. Jasne promienie słońca muskały piękne kwiaty i Gil nie mógł się pogodzić z tym, że teraz miał zniszczyć wielkie nadzieje Aurory na przyszłość.

- Gil! Jaka miła niespodzianka. - Aurora weszła do pokoju jak świeża letnia bryza, tak piękna, że Gil z trudem przełknął gromadzącą się w nim gorycz. Jak mógł pozwolić, by tak urocza dziewczyna stała się pionkiem w rozgrywce Jamesa?

- Dzień dobry, Auroro. - Gil schylił się, by ucałować wyciągniętą rękę. - Przepraszam, że przychodzę bez zapowiedzi, ale muszę z tobą porozmawiać.

Cień niepokoju przyćmił jej jasne oczy.

- Oczywiście. Proszę, usiądź. - Wskazała na miejsca siedzące przed ogromnym marmurowym kominkiem.

Gil usiadł na krawędzi kanapy obok Aurory i złożył ręce na kolanach. Dokładnie mu się przyglądnęła, a potem zmarszczyła brwi.

- O co chodzi, Gil? Widzę, że coś cię trapi. Pokiwał głową, nadal zaciskając usta.

- Muszę ci o czymś powiedzieć i mam nadzieję, że wybaczysz mi, kiedy wysłuchasz całej opowieści.

Rzuciła niespokojne spojrzenie na kominek i z powrotem na niego.

- Czy to ma coś wspólnego z chorobą pana O'Leary'ego?

- W pewien sposób, tak. Teraz, kiedy James nie może już zarządzać farmą, potrzebują mnie z powrotem w Irlandzkich Łąkach. Dlatego dziś rano złożyłem w banku rezygnację.

Otworzyła usta, a jej rysy przeszły przerażenie.

- Dlaczego miałyby to dotyczyć ciebie? Przecież nie jesteś nawet jego synem.

Gil stwierdził, że nie będzie zwracał uwagi na jej brak wyczucia, zauważając jednak, jak bardzo ta wiadomość ją zmartwiła.

- Nie, ale państwo O'Leary wychowali mnie i zawdzięczam im wszystko, co mam. Nie wspominając o tym, że uwielbiam pracę w Irlandzkich Łąkach - dużo bardziej niż bankowość, niestety. -Zmieszany wzruszył ramionami.

Uniosła brodę.

- Jestem pewna, że kiedy tylko pan O'Leary stanie na nogi, tata z powrotem da ci posadę. To tylko tymczasowa komplikacja.

Coraz bardziej wzrastało w nim rozdrażnienie. Po raz kolejny Aurora nie słuchała tego, co do niej mówił. Tak jak kiedyś, gdy próbował jej wyjaśnić swoje marzenie o posiadaniu farmy, a ona zignorowała jego słowa, uparcie twierdząc, że tata na pewno pozwoli mu korzystać z jego stadniny, żeby mógł oddawać się

swojemu „małemu hobby”. Aurora wyraźnie dawała mu do zrozumienia, że oczekuje od niego, że będzie pracował w banku, a ostatecznie przejmie interes po ojcu.

- Auroro, ja nie wrócę do banku.

Jej podbródek drgnął, gdy zaczęło do niej docierać to, co mówił.

- Jak chcesz pracować w Irlandzkich Łąkach po naszym ślubie? Czy nie powinieneś okazywać lojalności wobec mojej rodziny?

Gil westchnął.

- Chcę, żebyś mnie teraz uważnie posłuchała. - Sięgnął po jej dłoń. - Z pewnością zauważyłaś, że nasze zaręczyny nastąpiły dość nagle.

Nic nie odpowiedziała. Wpatrywała się tylko w ich ręce, jak gdyby wcale nie chciała, by mówił dalej.

- Obawiam się, że dałem się zrobić w... to wszystko... bez przemyślenia konsekwencji.

Pełne niepewności niebieskie oczy spotkały się z jego wzrokiem.

- Jakich konsekwencji? Przesiadł się na delikatną poręcz.

- Na przykład tego, że mogę cię skrzywdzić. Wierz mi, nigdy tego nie chciałem. Jesteś wspaniałą kobietą, Auroro. Piękną i inteligentną - masz wszystko, czego mógłby chcieć mężczyzna od żony. - Zawahał się. - Ale obawiam się, że nie mogę cię poślubić. Choć zależy mi na tobie, nie kocham cię taką miłością, na jaką zasługuje kobieta od swojego męża.

Gil przygotował się na jej łzy, ale zamiast tego, na jej policzki wypłynęły czerwone plamy gniewu. Spiorunowała go wzrokiem, mówiąc:

- Tak naprawdę chodzi o Briannę, prawda? Chcesz być wolny, ponieważ ona zerwała swoje zaręczyny.

Poderwał się z kanapy.

- To nie o to chodzi. - Jednak ziarno prawdy tkwiące w jej stwierdzeniu na nowo rozpalilo w nim poczucie wstydu.

- Nie kłam, Gil. Widziałam, jak na nią patrzysz, jak całkowicie skupiasz swoją uwagę, gdy tylko jest w pobliżu. Kochasz ją, prawda?

Gil spuścił głowę, nie mogąc znieść jej wzroku. Był już zbyt udręczony.

- Tak - powiedział cicho. - Kocham Briannę. Ale jej ojciec nie pozwoli na nasze małżeństwo.

- Spotykałeś się ze mną, dlatego że pan O'Leary ci kazał, czyż nie? - Jej głos drżał z oburzenia. - Ze względu na pozycję taty w banku.

Z jej ust brzmiało to jeszcze gorzej. Chciał skłamać, osłabić ten cios, ale nie umiał.

- Tak. - W końcu na nią popatrzył. - Przepraszam cię, Auroro. Liczyłem, że uda mi się przewyciężyć moje uczucia do Brianny i że uczynię cię szczęśliwą.

Zerwała się z siedzenia. Jej rysy były napięte i przez chwilę myślał, że go uderzy. Zamiast tego podeszła do drzwi salonu.

- Chcę, żebyś stąd wyszedł. I nie próbuj się do mnie odzywać nigdy więcej.

Gdy szedł za nią, odczuwał palącą potrzebę, by naprawić tę sytuację.

- Przepraszam - powiedział ponownie. - Nie miałem zamiaru cię skrzywdzić.

Omiotła jego twarz spojrzeniem lodowatych, niebieskich oczu.

- Żegnaj, Gilbercie.

Wiedział, że cokolwiek by teraz powiedział, niczego to nie zmieni, więc ociągając się, wziął kapelusz ze stojaka w holu i wyszedł z domu. Aurora potrzebowała czasu, żeby przetrwać ten niepomyślny obrót spraw. Gil miał tylko nadzieję, że kiedy przeminie ból i gniew, pewnego dnia mu wybaczy.

Rylan stał przy oknie w gabinecie arcybiskupa Bennetta, znajdującym się na pierwszym piętrze seminarium imienia Świętego Piotra, oczekując na przyście przełożonego, z którym umówiony był na spotkanie. Kiedy wpatrywał się w ruchliwe ulice Bostonu widoczne za oknem, myślał o Colleen i o tym, co mogła dzisiaj robić w sierocińcu. W roztargnieniu pocierał dłonią o szorstką wełnianą sutannę, starając się złagodzić nieustępliwy ból w piersiach.

Dwa dni temu, Rylan osobiście pożegnał się z każdym z rodziny O'Learych. Wszyscy zebrali się na werandzie z przodu domu, żeby go odprowadzić. Wciąż zdumiewało go, że ci ludzie, całkowicie mu obcy jeszcze dwa miesiące temu, w tak krótkim czasie stali się dla niego całym światem. Mała Deirdre pociągała nosem, wtulona w suknię mamy. Connor starał się zachować spokojny wyraz twarzy, ale łzy kręciły mu się pod powiekami. Gil i Brianna, a nawet Adam, który częściej przebywał w domu od czasu choroby taty, wszyscy żegnali go, życząc mu powodzenia. Było mu prawie tak samo ciężko opuścić kuzynkę Kathleen, jak własną matkę. Chwyliła go w objęcia i dziękowała za pomoc, przypominając mu, że zawsze będzie u nich mile widziany. Napełniało go takie wzruszenie, że jedyne, co mógł zrobić to kiwać głową.

W pewnym momencie odwrócił się i zobaczył, że także Colleen czeka, aby się pożegnać. Spuściła wzrok na drewnianą podłogę werandy. Jego serce zatrzepotało z bólu, gdy podniosła na niego swoje pełne cierpienia oczy.

- Żegnaj, Colleen. Mam nadzieję, że będziesz kontynuować swoją pracę w sierocińcu. Dzieci cię potrzebują. - *Tak jak ty potrzebujesz dzieci.*

- Będę.

- I mam nadzieję, że napiszesz do mnie od czasu do czasu, żeby dać znać, jak miewają się maluchy. - Ponieważ nie mógł posłużyć się słowami, starał się przekazać swoje uczucia w głębokim

spojrzeniu.

- Oczywiście.

Jakże bardzo pragnął wziąć ją w ramiona, by się właściwie pożegnać i wylać wobec niej swoje uczucia - ale to także było niemożliwe. Zamiast tego, zbliżył się i ucałował jej gładki policzek.

- Uważaj na siebie.

- Ty także, Rylanie. - Jej dolna warga zadrżała, zanim zdążyła odwrócić głowę.

Wziął głęboki oddech, cofnął się i wcisnął kapelusz na głowę.

- Dziękuję wam wszystkim raz jeszcze. Było mi dobrze z wami. - Kiwnął głową w kierunku Kathleen. - Gdy tylko będziesz mogła, pisz proszę, jak się ma James.

Kathleen podeszła, by po raz ostatni go przytulić.

- Niech ci Bóg błogosławi, Rylanie.

- Dziękuję. Będę się za was modlił.

Skrzypnięcie drzwi przywołało Rylana z powrotem do rzeczywistości. Otarł wilgotne oczy i odwrócił się, by przywitać arcybiskupa Bennetta. Potężny, siwowłosy mężczyzna wszedł do pomieszczenia, a jego zamaszyste kroki załopotwały sutanną. Podał pierścień do ucałowania i Rylan pochylił się nad jego dłonią.

- Szczęść Boże, Wasza Ekscelencjo.

- Szczęść Boże, księżę kleryku Montgomery. Proszę usiąść. Rylan wybrał jedno z twardych drewnianych krzeseł po drugiej

stronie szerokiego biurka. Mężczyzna nawet się nie uśmiechnął ani nie okazał jakiegokolwiek uprzejmości, co rozwiało wszelkie nadzieje Rylana na wyrozumiałą rozmowę szybciej, niż przygasło słońce w ponurym pomieszczeniu.

- Jestem bardzo zawiedziony, że tak wcześnie się tu znów spotykamy, księżę kleryku. Mam nadzieję, że otrzymam stosowne wytłumaczenie opuszczenia praktyki. - Srogie szare oczy arcybiskupa wwiercały się w niego. Rylan nerwowo skubał guziki przy rękawie sutanny.

- Nie wiem, czy Wasza Ekscelencja uzna to za stosowny powód, jednakże było to konieczne. - Skupił wzrok na surowym, milczącym mężczyźnie. Rylan wziął wdech, przygotowany na trudne wyznanie. - Zdaje się, że zakochałem się w młodej kobiecie, którą tam poznałem.

Twarz hierarchy stała się twardsza niż kamień.

- Co robiłeś razem z niezamężną kobietą?

Rylan stłumił westchnięcie na ten pełen krytyki ton.

- Nie było to nic niestosownego, zapewniam Waszą Ekscelencję. Pracowała jako wolontariuszka w sierocińcu, do którego zostałem przydzielony. Wspierałem ją duchowo i nadzorowałem pracę przy dzieciach. Nigdy nie spodziewałbym się... - Odjęło mu mowę i dał czas przełożonemu na przyjęcie tych informacji.

- Czy zgrzeszyłeś z tą kobietą? Policzki i twarz Rylana oblała fala gorąca.

- Nie. Nie było nic więcej poza jednym pocałunkiem. - *Pięknym, odmieniającym życie pocałunkiem.*

Cisza ciągnęła się nieznośnie, kiedy mężczyzna się w niego wpatrywał. Rylan był skrupowany tym spojrzeniem, ale trzymał się sztywno na siedzeniu, pilnując, żeby nie skulić się ze strachu.

- Co teraz zamierzasz? - zapytał wreszcie arcybiskup Bennett. - Czy chcesz dalej być w seminarium?

Obraz ukochanej twarzy Colleen stanął mu przed oczami, ale odepchnął od siebie tę myśl.

- Podjąłem się zobowiązania wejścia na drogę kapłańską i nie lekceważę tego - powiedział. - Zanim podejmę pochopną decyzję, chcę szukać Bożej pomocy, żeby rozeznąć Jego zamiary wobec mnie.

Arcybiskup pochylił głowę.

- Bardzo dobrze. Sądzę, że miesięczne rekolekcje w samotności mogą pomóc. Nie będziesz miał kontaktu ze światem zewnętrznym przez cały okres ich trwania. Na koniec będę oczekiwał ostatecznej

decyzji i odnowienia postanowienia, zanim będziemy mogli kontynuować praktyki. *Miesiąc?* Rylan powstrzymał wyraz przerażenia.

- Dziękuję, Wasza Ekszelencjo za zrozumienie i cierpliwość. -Wstał i lekko się skłonił przed mężczyzną siedzącym w fotelu.

- Kleryku Montgomery. Rylan zatrzymał się w drzwiach.

- Słucham?

- Ja też będę się za ciebie modlił.

Brianna nuciła pod nosem, wchodząc do stajni. Chłodne powietrze ze środka uderzyło ją w twarz, igrając z drobinkami kurzu, które wirowały w powietrzu. Wciągnęła znajomy zapach siana i obornika i westchnęła z przyjemnością. Nie знаła nic miłszego ponad to.

Zanim wzięła Sophie na przejażdżkę, która jej się już od dawna należała, chciała jeszcze sprawdzić, jak się miewa mały Sebastian. Tęskniła za końmi bardziej, niż jej się wydawało, prawie tak bardzo jak za rodziną. A teraz, kiedy była z powrotem w domu na czas wakacji, planowała maksymalnie wykorzystać pobyt w stadninie. Fakt, że jej szczęście okupione było ceną zdrowia taty, wywoływał w niej jakiś rodzaj poczucia winy.

Tata musiał zostać w szpitalu przynajmniej przez dwa kolejne tygodnie. Mama spędzała większość dnia razem z nim, a reszta rodziny odwiedzała go na zmianę. Colleen poszła dzisiaj i po raz pierwszy wzięła ze sobą młodsze rodzeństwo. Brianna westchnęła do Boga, dziękując za ocalenie życia taty i przywrócenie jej Gila.

Zajrzała uważnie do boksu, gdzie stał źrebak o patykowatych nogach. Roześmiała się głośno na jego widok, z radością zauważając, jak bardzo urósł od czasu jej wyjazdu.

- Popatrz tylko na siebie, Sir Sebastianie. Zmieniasz się w bardzo przystojnego młodzieńca.

Źrebak niezdarnie zarzucił łbem, trącając przy tym wyciągniętą rękę Brianny. Zaśmiała się ponownie i pogłaskała go po pysku, podziwiając błyszczącą kasztanową sierść, taką jak u matki.

Wyciągnęła z kieszeni kawałek marchewki i podała źrebackowi, który z rozkoszą pochwyił smakołyk.

- Wezmę cię później, żebyś się trochę poruszał. Ale najpierw jestem winna przejażdżkę Sophie. - Ucałowała go w pysk i z lekkością zeskoczyła z poprzeczki na drzwiach boksu.

- Taka szkoda, że jest kulawy. Byłby wspaniałym koniem wyścigowym. - Głos Gila sprawił, że przeszły ją ciarki.

Nie widziała go zbyt często w ciągu ostatnich paru dni. Zasywał się w gabinecie ojca, ślęcząc nad księgami rachunkowymi i starając się znaleźć rozwiązanie ich sytuacji bez wyjścia.

Tym bardziej szczęśliwa, że może się z nim zobaczyć teraz, odwróciła się i uśmiechnęła szeroko.

- Czyż on nie jest piękny? I taki żwawy.

Gil odwzajemnił uśmiech, a jego oczy błyszczały.

- Przypomina mi kogoś znajomego. Jej policzki pokrył rumieniec.

- Ja jestem raczej spokojnym typem, jak moja Sophie.

- Ech, oboje jesteście dobrzy. - Gil podrapał konia po pysku. - Jedziesz na przejażdżkę?

- Tak. A ty? - Po jego kraciastej koszuli i roboczych spodniach domyśliła się, że on też mógł planować jazdę konną.

- Chciałem wziąć na spacer Monarchę, żeby odpocząć na chwilę od papierów. Zechcesz mi towarzyszyć?

Uśmiechnęła się.

- Z przyjemnością. Na tor czy na łąki?

- Łąki. Chcę zwiedzić całą posiadłość, pozaznaczać granice i sprawdzić zewnętrzne pastwiska.

- Mogę ci w tym pomóc.

- Świetnie. W takim wypadku nawet nie odczuję, że to praca.

Przeszli do pomieszczenia ze sprzętem, skąd Gil wziął dwa siodła i zaniósł je do boksu Sophie. W ciągu kilku minut oba konie były osiodłane i gotowe do drogi. Spotkali się przy bramie

prowadzącej na wschodnie pastwisko i przejechali przez nie w milczeniu, rozkoszując się faktem, że znów byli w swoim żywiole. Letnie słońce nie dokuczało, a łagodny wietrzyk przyjemnie ich chłodził i rozwiewał grzywy koni.

- Jak tam finanse? - ośmieliła się zapytać dopiero po chwili Brianna.

Spojrzał na nią.

- Musiałem zwolnić paru trenerów i obniżyć koszty utrzymania dla większości klientów. Lepiej tak, niż żeby mieli trzymać swoje konie gdzie indziej.

Kiedy westchnął ciężko, Brianna sama siebie zrugła za wywołanie tego nieprzyjemnego tematu.

- Być może będziemy musieli sprzedać część ziemi - kontynuował. - Dlatego chcę sprawdzić zewnętrzne pastwiska, żeby zobaczyć, czy mamy jakieś niezagospodarowane grunty. Rozmawiałem z panem Sullivanem i zapowiedział, że mógłby być zainteresowany zakupem od nas niektórych terenów przylegających do jego granic.

Brianna zmarszczyła czoło.

- Nie sądzę, żeby tata się na to zgodził.

Gil zatrzymał Monarchę na szczycie wzgórza i objął wzrokiem obszar poniżej.

- Wiem o tym, ale to lepsze niż utrata wszystkiego. - Odwrócił się w jej stronę ze zboląłym spojrzeniem. - Robię wszystko, co mogę, żebyśmy nie poszli na dno.

Wtedy dopiero zauważyła u niego zmarszczki zmęczenia wokół ust i oczu.

- Przepraszam, Gil. Wiem, że robisz dla nas, co w twojej mocy. - Zawahała się. - Możemy wszyscy zakasać rękawy i włączyć się w oporządzanie koni, jeśli to coś pomoże.

Uśmiechnął się.

- Dziękuję. Będę miał to na uwadze.

Zagryzła wargę i skierowała wzrok na widoki rozciągające się przed nimi, zbierając całą odwagę, żeby zadać pytanie, które ją nękało.

- Zauważyłam, że nie bywałeś ostatnio w Belwederze. Czy to znaczy, że nie spotykasz się już z Aurorą? - Chwyciła kurczowo lejce, oczekując na odpowiedź.

Gil zmarszczył brwi i zbliżył swojego wierzchowca do Sophie.

- Mówiłem ci, że zamierzam zerwać zaręczyny... i zrobiłem to. Nie jestem już związany z rodziną Hastingsów.

Przyprowadzając o zawrót głowy fala ulgi spłynęła przez ciało Brianny. Skupiła się, by nie dać tego po sobie poznać.

- A jak przyjęła to Aurora?

- Niezbyt dobrze, ale jestem przekonany, że prędzej czy później zrozumie, że nie byłaby ze mną szczęśliwa.

Gil sięgnął po wodze Sophie. Przeprowadził konia bliżej, tak że nogi Brianny i jego ocierały się o siebie. Poczwała nagle ciepło wypływające od serca na szyję i zalewające policzki. Ośmieliła się podnieść wzrok i spojrzeć w jego oczy. Głębia, którą ujrzwała w jego oczach zaparła jej dech w piersiach.

Podniósł dłoń i przyłożył do jej policzka.

- Tak ogromnie za tobą tęskniłem, Bree.

Powoli zbliżył swoją twarz do jej twarzy. Ciepłe wargi smakujące słodką poranną kawą musnęły jej usta. Jakby bezwolnie, jej ręka prześliznęła się na jego ramię, kiedy zaczął ją całować coraz mocniej. Przeszywał ją prąd porażający zakończenia nerwów. Poczwała, że nogi ma jak z waty. Kiedy już myślała, że zemdleje i dłużej nie utrzyma się na koniu, Gil przerwał.

- Jesteś jedną wielką pokusą, panno Brianno O'Leary. Uśmiechnął się i jeszcze raz musnął jej wargi lekkim pocałunkiem, a potem odsunął Monarchę od Sophie.

- Objedźmy jeszcze granice posiadłości i możemy wracać.

Dwie godziny później, w drodze powrotnej do stajni, Gil zatrzymał się w najwyższym punkcie zachodniego pastwiska, żeby dokonać ostatnich oględzin rozległych ziemi należących do rodziny O'Leary. Rozpierała go duma. Warto było poświęcić część ziemi, żeby zachować Irlandzkie Łąki. Modlił się, by umiał przekonać Jamesa do podpisania papierów, których przygotowanie Gil zamierzał zlecić prawnikom w najbliższym czasie.

- Nadal planujesz wyprowadzić się i kupić swoją własną farmę? - Nieśmiałe pytanie Brianny zaskoczyło go całkowicie. Z grzbietu Sophie przyglądała się pastwiskom.

- Tak. - Natychmiastowa odpowiedź wcale nie odzwierciedlała niepewności, która ostatnio wkradła się i podważała jego postanowienie. Nie myślał już tak bardzo o swoim marzeniu, zadowolony z powrotu do domu.

- Przypomnij mi, dlaczego tak bardzo tego pragniesz, skoro możesz tutaj zarządzać świetną posiadłością? - W jej pytaniu pojawił się cień wyrzutu.

- Wiesz dlaczego. Chcę, żeby nazwisko Whelan liczyło się wśród innych. Ponieważ mój ojciec nie mógł tego zrobić.

- Dlaczego uważasz, że jesteś mu to winien? Wypadek, który go okaleczył, nie był twoją winą.

Wypadek nie, ale jego śmierć - tak. Dłoń, w której trzymał wodze, drgnęła i Monarcha odwrócił głowę z niemym wyrzutem.

- To jedyna rzecz, jaką mogę uczynić. Moi rodzice przyjechali tutaj, żeby podarować mi lepsze życie. Mój tata ciężko pracował w porcie, starając się zarobić tyle pieniędzy, żeby kupić mamie dom i założyć swój własny sklep. Nawet zaprojektował szyld, który głosił: „Imperium Whelana”. Do dziś pamiętam dumę w jego głosie, kiedy wypowiadał tę nazwę.

Wyczuł, że Brianna na niego patrzy, ale nie odważył się spojrzeć jej w oczy.

- Po wypadku, gdy skrzynia przygniotła jego nogi, cały jego

zapał taty uleciał. Mama musiała pracować na dwóch posadach, żebyśmy wiązali koniec z końcem. Myślę, że to go zabiło. Stracił swoją męską dumę. - Silniejszy powiew wiatru zwał kosmyki włosów na jego czoło.

- Myślisz, że to on podłożył ogień, od którego zginął? - zapytała Brianna.

Potężny ból przeniknął Gila na samo wspomnienie tego strasznego dnia. Gdyby zamknął oczy, nadal mógłby wyczuć smród dymu i palonego drewna. Nigdy nikomu nie mówił o prawdziwej przyczynie śmierci jego ojca. Być może w końcu nadszedł czas, by przyznać się do winy. Może wtedy Brianna naprawdę zrozumiałaby jego potrzebę zadośćuczynienia.

- To nie mój ojciec to zrobił - powiedział w końcu. - To byłem ja.

Rozdziawiła usta ze zdziwienia. - Jak to?

Nie zwrócił uwagi na wstrząs malujący się na jej twarzy i zsiadł z konia, puszczając luźno wodze. Ze zgarbionymi ramionami zbliżył się do krawędzi wzniesienia.

- Każdego dnia po szkole zajmowałem się ojcem, gdy mama była w pracy. Zazwyczaj po spożyciu zbyt dużej ilości whiskey, która miała stępić jego ból, spał w swoim wózku inwalidzkim. - Usłyszał, jak Brianna zsiada z konia, ale jego wzrok skupiony był na jakimś drzewie w oddali. - Któregoś dnia zostawił na stole swoją fajkę i pudełko zapalek. - Wzdrygnął się. - Pomyślałem, że będzie śmiesznie, jak spróbuję sobie zapalić.

- Och, Gil. - Stała obok niego i ujęła go pod ramię.

- Nie mogłem zapalić fajki i zapalka upadła na sofę. W ciągu paru sekund w pokoju zrobiło się piekło. Starłem się wypchnąć tatę na korytarz, ale był zbyt ciężki. Byłem w stanie przeciągnąć go tylko o parę centymetrów. - Wspomnienie całkowitej bezsilności, duszącego gorąca, gryzącego dymu i paniki wstrząsało jego

ciałem w silnych dreszczach. - Pobiegłem po sąsiada, ale kiedy wróciliśmy, było już za późno.

Brianna objęła go rękami w pasie i oparła głowę na jego piersi. Jej łopocząca na wietrze spódnica obijała się o jego nogę. Czuł, że nie zasługuje na współczucie, ale pozwolił, by ciepło jej ciała złagodziło spazmy jego napiętych mięśni.

Podniosła na niego wzrok, a w jej zielonych oczach błyszczały łzy.

- To był wypadek, Gil. Byłeś zbyt młody, by czuć się teraz za to odpowiedzialnym.

Gil z irytacją otarł wilgoć ze swoich oczu.

- Nigdy nie mówiłem o tym mamie. Bałem się, że mnie znienawidzi.

- To był wypadek - powtarzała. - Nie możesz się za to winić.

- Nie obwiniam się, ale przysięgłem sobie, że się zrehabilituję, wypełniając jego marzenie. To jedyne, co mi zostało, a co mogę dla niego zrobić.

Pociągnęła nosem i otarła twarz wierzchem dłoni.

- Jeśli musisz to wypełnić, pomogę ci. Zrobimy to razem. Zamarł w bezruchu, a potem odsunął się, by spojrzeć jej z uwagą w oczy.

- Opuściłabyś Irlandzkie Łąki? Zostawiłabyś swoją rodzinę?

- Dla ciebie - tak.

Ta pełna prostoty akceptacja powaliła go na łopatki.

- I to wszystko nie umniejsza mnie w twoich oczach? Położyła miękką dłoń na jego policzku.

- Ani trochę. To tylko sprawia, że kocham cię jeszcze bardziej. *Ona mnie kocha!* Jego serce wzleciało do góry. Miał nadzieję, że tak jest, ale teraz usłyszał to z jej ust z taką mocą, że aż się zawstydził.

- Nie wiem, czy kiedykolwiek będę na ciebie zasługiwał, droga Brianno, ale ja też cię kocham. Bardziej, niż jestem w stanie to

wyrazić.

Ich usta złączyły się w pocałunku, który połączył ich fizycznie i zjednoczył ich dusze.

Gil wiedział, że z Brianną u boku będzie mógł spełnić swoje marzenie. Kolejny raz kosztował jej słodkich ust i w duchu przysięgał sobie, że gdy tylko James wyzdrowieje, zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby uzyskać zgodę na ich małżeństwo. Tym razem nie zamierzał przyjąć odmowy.

Colleen przetrzepała poduszki i wygładziła kapę na łóżku rodziców, a następnie cofnęła się nieco, by ocenić wygląd pokoju. Wreszcie tata wracał do domu i Colleen chciała, żeby wszystko było dla niego idealnie przygotowane. Po trzech długich tygodniach lekarz pozwolił mu wyjść ze szpitala. Przez jakiś czas codziennie miała przychodzić do niego pielęgniarka, aż upewnią się, że mama i pani Johnston poradzą sobie same. Tata będzie musiał spędzać całe dni w swoim pokoju, dopóki lekarz nie pozwoli mu chodzić po schodach.

Colleen podeszła do komody. Ogromny flakon świeżych kwiatów z ogrodu mamy pięknie rysował się na tle okna. Poprawiła goździki i margerytki, starając się, żeby pomieszczenie wyglądało radośnie, co było przyjemną odmianą po sterylnych, beżowych ścianach w szpitalnym pokoju. Westchnęła, dziękując Bogu za wyzdrowienie taty i za te drobne czynności, które pomagały jej oderwać się od rozmyślania o Rylanie w dalekim Bostonie. Pomimo licznych listów, które mu posłała, nie otrzymała od niego ani słowa odpowiedzi. Jego milczenie mówiło samo za siebie.

Klakson samochodu zatrąbił trzy razy. Colleen podbiegła do otwartego okna i odsunęła firankę na bok, żeby spojrzeć na podwórko. Siedzący za kierownicą Forda T Sam zatrzymał pojazd przed domem. Colleen zerwała z siebie fartuszek, zbiegając po schodach i wypadła biegiem na wejściową werandę. Gil, Bree, Adam, Deirdre i Connor już stali na dole jako entuzjastyczny komitet powitalny. Zeszła parę stopni, by do nich dołączyć.

- Tatuś wrócił! Tatuś wrócił! - Deirdre przeskakiwała z nogi na nogę, tańcząc z zachwytu.

Colleen położyła dłoń na ramieniu młodszej siostrzyczki i choć nie chciała gasić jej entuzjazmu, powiedziała:

- Ciii, Dee-Dee. Pamiętaj, że tata potrzebuje teraz dużo spokoju. Deirdre od razu zmarszczyła czoło.

- Czy on nadal jest chory?

Wzięła dziewczynkę na ręce, ciesząc się dotykiem małych rączek obejmujących jej szyję.

- Tak, jeszcze jest chory. Musi teraz dużo wypoczywać, żeby wy-dobrzeć, więc trzeba, żebyśmy mu wszyscy pomogli, rozumiesz?

Deirdre z powagą pokiwała głową.

- Dobrze. - Colleen trąciła nosem szyję siostrzyczki, wdychając dziecięcy zapach mydła i słońca. - A teraz przywitajmy tatusia... cicho.

Deirdre uśmiechnęła się od ucha do ucha, ukazując szczerbę po mlecznym zębie, który jej ostatnio wypadł. Serce Colleen ścisnęło się z bólu, gdy zaczęła zastanawiać się, czy Delii także wypadają już zęby. Tak bardzo chciała wiedzieć, czy dziewczynka dostała jej paczuszkę, zawierającą Pana Wąsika, nową lalkę i list. Miała nadzieję, że rodzice Delii pozwolą jej odpisać. Tak gorąco pragnęła otrzymać choćby słówko od ukochanej dziewczynki.

Gil i Adam podeszli, żeby pomóc Samowi wynieść tatę z auta. Razem zanieśli ojca na górę po schodkach i dalej do domu, a zaraz za nimi weszła reszta rodziny.

Posadzili tatę na krześle w korytarzu, aby odpoczął, zanim spróbują pokonać schody. Pierwszy raz, już nie w szpitalnym oświetleniu, Colleen miała okazję przyjrzeć się ojcu i musiała powstrzymać okrzyk przerażenia. Jego normalnie rumiane policzki teraz były ziemiste i zmizerniałe. Z niebieskich oczu zniknął charakterystyczny błysk. Nawet jego potężna postura wydawała się teraz drobniejsza i jakby przykurczona.

Connor i Deirdre stali, gapiąc się wielkimi oczyma, pewnie tak samo poruszeni jak ona. Mama podeszła do dwójki najmłodszych dzieci, mówiąc:

- Dajcie tatusiowi buziaka. A potem pozwolimy, żeby położył się w pokoju na górze.

- Witaj w domu, tato. - Głosik Deirdre drżał, kiedy zbliżyła się, żeby pocałować go w policzek. Connor poszedł w jej ślady.

Tata uśmiechnął się blado.

- Przyjdźcie mnie odwiedzić, jak troszkę odpocznę. - Wyciągnął dłoń i poczochnął kasztanowe loki Connora. - A ty, oczywiście, pomagaj mamie przy domu.

- Tak, będę.

Colleen ucałowała ojca i wyszeptała:

- Witaj w domu, tato.

Mrugnął do niej i uśmiechnęła się na widok nieznacznego błysku w jego oku. Może właśnie otoczenie rodziny było tym, czego potrzebował do całkowitego odzyskania sił. Wzięła za rękę Connora i Deirdre i zaprowadziła ich do kuchni, żeby mogli sobie wziąć po jednym świeżo upieczonym przez panią Harrison ciastku.

Wkrótce oboje siedzieli przy stole, z zadowoleniem przeżuając łąkocie i malując laurkę z życzeniami powrotu do zdrowia, którą mieli później zanieść tacie.

Colleen wróciła na korytarz, gdzie Brianna stała, patrząc w górę schodów. Na jej policzkach widać było ślady łez.

- Tata wygląda bardzo słabowicie, nie sądzisz? Colleen wyprostowała się.

- Oczywiście, że tak. Spędził ostatnie tygodnie w szpitalnym łóżku. Potrzebuje czasu, żeby odzyskać dawne siły. Teraz, gdy jest już w domu, u siebie, z pewnością szybko wróci do formy.

Brianna uśmiechnęła się.

- Mam nadzieję, że masz rację.

Siostry weszły do salonu.

- Dostałaś jakieś wiadomości od Rylana po jego wyjeździe? Serce Colleen ścisnęło się na sam dźwięk imienia, o którym tak bardzo starała się nie myśleć.

- Ani słowa. - Opadła ciężko na sofę, jakby całe powietrze uleciało z niej niby ze sflaczałej opony Forda taty.

- Może nie pozwolili mu kontaktować się ze światem. Zwłaszcza z tobą, jeśli powiedział o tobie swojemu przełożonemu.

Zawahała się, rozważając słowa Bree.

- Może masz rację. - Pojawiła się w niej iskierka nadziei. - Ale to już prawie trzy tygodnie, od kiedy wyjechał.

Brianna położyła ciepłą dłoń na jej ręce.

- Nie poddawaj się. Teraz musimy skupić się na tym, by pomóc tacie wyzdrowieć i modlić się, by w czasie gdy my będziemy pracować nad tatą, Bóg pracował nad Rylanem.

- Proszę wejść. - Głośne wezwanie Jamesa przeniknęło przez drewniane drzwi.

Gil wziął głęboki oddech dla nabrania odwagi i wszedł do pokoju. Był winien Jamesowi zaległe przeprosiny i teraz, kiedy jego stan zdrowia się polepszył, nie mógł już dłużej tego odkładać.

Wyteżył wzrok w przyciemnionym wnętrzu sypialni. Ciężkie zasłony blokowały dostęp światła dziennego. James siedział na łóżku oparty o dwie poduszki. Tak jak w pokoju, w jego oczach nie było blasku.

- Dzień dobry. Jak się pan dzisiaj czuje? - Gil skulił się wewnętrznie, świadomy, że w jego głosie wybrzmiewała tak samo sztuczna radość, jak u pielęgniarki, która przychodziła codziennie po południu.

James posłał mu gniewne spojrzenie.

- A jak myślisz? Siedzę uwięziony na łóżku i każdy rozpieszcza mnie jak niemowlaka.

- Martwią się o pana, ponieważ pana kochają.

- Szczerze, przydałoby się trochę mniej tej miłości. - Zmarszczył brwi.

Gil przyciągnął krzesło bliżej boku wielkiego łóżka z baldachimem i usiadł z rękami złożonymi na kolanach.

- James, jestem panu winien przeprosiny. Przykro mi, że tyle mi to zajęło. - Podniósł oczy i zobaczył żal na wynędzniałej twarzy Jamesa. - Poszedłem wtedy za panem do pubu, żeby pomóc, a tylko pogorszyłem sytuację. Nie powinienem był...

James uniósł rękę.

- Ty tylko powiedziałeś mi prawdę, wtedy gdy nie chciałem jej słyszeć.

Gil potrząsnął głową, próbując opanować zakłopotanie.

- W żadnym wypadku nie powinienem się zachować tak niegrzecznie, po tym wszystkim, co pan dla mnie zrobił. - Emocje ścisnęły jego krtań. Mógł stracić człowieka, którego kochał tak jak ojca.

James pokręcił głową.

- Szczerze mówiąc, to ja jestem ci winien jeszcze większe przeprosiny, synu. Nie powinienem był wymagać od ciebie, żebyś spotykał się z Aurorą Hastings. Nie ma nic, co mogłoby mnie usprawiedliwić poza faktem, że czasem rozpacz popycha człowieka do desperackich czynów.

- Ja też nie jestem bez winy. - Jakiś ciężar opadł z ramion Gila. - Mogłem powiedzieć: nie. Jednak, w końcu, wyciągnąłem cenną naukę z tego całego bałaganu i podjąłem właściwą decyzję. - Zawahał się. - Musi pan wiedzieć, że zerwałem zaręczyny.

James pokiwał głową z poważnym wyrazem twarzy.

- Cieszę się. Kiedy człowiek ociera się o śmierć, zmieniają się perspektywy postrzegania różnych spraw. - Usta drgnęły mu

w sarkastycznym uśmiechu. - Nie, żebym jakoś szczególnie polecał ten konkretny sposób na poznanie samego siebie.

Gil zaśmiał się, z ulgą spostrzegając, że wrócił do lepszych relacji ze swoim opiekunem.

- Chciałem ci podziękować za to, że wróciłeś, żeby pomóc. Wiem, że twój powrót odciążył Kathleen.

- Nie ma innego miejsca, gdzie mógłbym wracać. Jak zawsze nam pan mówił - w trudnych chwilach rodzina musi trzymać się razem.

- Cieszę się, że ktoś mnie w ogóle słucha. - James spoważniał. - A więc... jak bardzo jest źle?

Gil wyprostował się na twardym krześle.

- Przecież pan wie, że nie powinniśmy rozmawiać o pracy. Pańska żona by mnie za to pogoniła.

James założył ręce na piersi. Jego wojownicza natura powróciła w jednym momencie.

- Możesz mi powiedzieć. Wyobrażam sobie już wszystko, co najgorsze, a zamartwianie się domysłami wcale nie będzie lepsze dla mojego zdrowia niż prawda.

Gil uśmiechnął się serdecznie i potrząsnął głową.

- Jest pan niepoprawny. - Zawahał się, rozważając różne możliwości. Stwierdził, że trochę dobrych wiadomości nie wyrządzi nikomu krzywdy. - Mogę powiedzieć, że sytuacja się zmienia... powoli. I proszę nie pytać o szczegóły, bo i tak nic więcej nie powiem.

Zmarszczki na czole Jamesa odrobinę się wygładziły.

- Więc nie będziemy musieli likwidować farmy?

Przygnębienie Jamesa odbiło się echem w sercu Gila. Jak bardzo musiał on przeżywać to, że zawiódł rodzinę? Zamećtać się myślą, że jego żona i dzieci utracą dom?

- Nie straciecie Irlandzkich Łąk. Przynajmniej nie wtedy, kiedy będę miał coś do powiedzenia w tej kwestii.

James opadł na poduszki. W jego oczach pojawiły się łzy.

- Dziękuję ci, synu. Nie wiem, jak sobie z tym dałeś radę i na razie nawet nie pytam. - Przełknął ślinę i popatrzył prosto na Gila. - Chcę po prostu, żebyś wiedział, że jestem ci ogromnie wdzięczny.

Gil poczuł ucisk w gardle. W końcu mógł skutecznie pomóc Jamesowi - w honorowy sposób.

- Proszę nie dziękować. Doskonale pan wie, że kocham to miejsce. - W rzeczywistości, kochał Irlandzkie Łąki tak, jak własny dom. Czy rozpoczęcie kolejnego interesu da mu większe spełnienie?

James naciągnął kołdrę.

- Myślę, że powinienem teraz trochę odpocząć. Gil skoczył na nogi.

- Oczywiście. A na mnie czeka praca.

W drodze do wyjścia zatrzymał się, by jeszcze raz rzucić okiem na Jamesa, który leżał z zamkniętymi oczami. Gil posłał cichą modlitwę dziękczynną za to, że zauważył jego rysy już nie tak spięte - po raz pierwszy od tego nieszczęsnego dnia w banku. Może teraz Jamesowi będzie się lżej oddychało i będzie mógł się skupić na powrocie do zdrowia.

Gdy tylko James będzie „z powrotem w siodle”, Gil porozmawia z nim o Briannie i ponowi prośbę o to, by mógł stać się jego zięciem.

Szczęść Boże, siostró Weroniko! - Colleen zdjęła rękawiczki i uśmiechnęła się do siostry stojącej w drzwiach wejściowych sierocińca. - Taki piękny dzisiaj dzień.

- Z pewnością. - Zakonnica rozpromieniła się i Colleen przez moment odczuła lekką zazdrość o pokój, który emanował z tej młodej kobiety, a którego jej w ostatnim czasie tak bardzo brakowało. - Bardzo się cieszę, że zdecydowała się pani kontynuować wolontariat, nawet po wyjeździe kleryka Montgomery ego.

Colleen zamarła w bezruchu i zmusiła się do wzięcia oddechu.

- Nie byłoby dobrze stracić jednocześnie dwojga wolontariuszy. Poza tym uwielbiam towarzystwo dzieci. - Starła się dorównać szybkiemu tempu siostry Weroniki, kiedy szły razem korytarzem.

- I one kochają panią.

Colleen dziękowała w duchu za te drogie dzieci, które nie dawały złamanego centa za czyjś ubiór, bogactwo czy status społeczny, a które całkowicie oddawały swoje serca, bez jakichkolwiek zastrzeżeń.

- Jaki mamy na dzisiaj plan? - zapytała.

- Wydaje mi się, że siostra Małgorzata zaplanowała wyjście do parku.

Colleen zawahała się, gdy powróciły wspaniałe wspomnienia tego dnia, kiedy ona wraz z Rylanem wzięli dzieci na piknik. Przełknęła z trudem ślinę i powiedziała:

- Brzmi... miło.

- Najpierw jednak siostra Małgorzata chciała się z panią zobaczyć w swoim gabinecie.

Colleen natychmiast odczuła dreszcz niepokoju w żołądku.

- Chyba nie zrobiłam nic złego?

- Nie wiem. Czy był jakieś rozlany atrament ostatnio? - Siostra Weronika zachichotała.

Usta Colleen drgnęły, ale z powagą odpowiedziała:

- Ani jednego.

Zakonnica spojrzał na nią serdecznie.

- Zatem proszę się nie stresować.

Mimo to, gdy Colleen pukała do drzwi gabinetu wymagającej siostry Małgorzaty, żołądek po raz kolejny wywrócił koziółka.

- Proszę wejść!

Drzwi głośno skrzypnęły. Mimowolnie skrzywiła usta, zanim zdążyła przybrać pełen spokoju wyraz twarzy.

- Szczęść Boże, siostro. Chciała się siostra ze mną widzieć? Siostra Małgorzata spojrzała znad książki leżącej na nieskazitelnie czystym biurku.

- Tak, panno O'Leary. Proszę usiąść.

W prostym pokoju znajdowało się tylko biurko, jedno krzesło dla gości i mała szafka na dokumenty. Całą dekoracją na surowych szarych ścianach był samotny drewniany krucyfiks i kalendarz z wizerunkami świętych oraz jedyny telefon w sierocińcu. Colleen wygładziła suknię zanim usiadła, ciesząc się, że głos zakonnicy nie brzmiał wrogo. Z dłońmi złożonymi na kolanach czekała, aż kobieta przemówi.

Siostra Małgorzata zdjęła okulary i całą swoją uwagę skupiła na Colleen.

- Pomyślałam, że zechce się pani dowiedzieć czegoś o Delii O'Brien, skoro ją pani tak polubiła.

Niesamowite, jak niepokój i ekscytacja mogą jednocześnie przenikać wewnątrz człowieka.

- Tak, oczywiście. Jak ona się miewa? - Nie miała żadnych wiadomości od czasu nagłego wyjazdu Delii i łaknęła wszelkich informacji dotyczących dziewczynki.

Zakonnica zacisnęła mocniej usta.

- Niestety, z przykrością muszę poinformować, że ma problemy z oswojeniem się z rodziną adopcyjną. Jej matka pisze, że nie potrafi jej nakłonić, żeby się uśmiechała i jadła więcej, a dziecko płacze przed snem każdej nocy.

Colleen poczuła ścisnięcie serca, a jej nastrój stał się tak samo ponury jak otaczające ją pomieszczenie.

- Tak mi przykro. Czy możemy coś zrobić, żeby pomóc? Może ją odwiedzić?

- Niestety, rodzice nie życzą sobie, żeby Delia miała kontakt z kimkolwiek z sierocińca. Uważają, że to mogłoby się jedynie przyczynić do umocnienia dawnych więzi i utrudniłoby jej wytworzenie nowych.

- Rozumiem.

- Jednakże Delia napisała do pani liścik. Jej matka dołączyła go do swojego listu. - Siostra Małgorzata podniosła kopertę z nagryzmołonymi dziecięcą ręką literami.

Colleen zagryzła wargę, odbierając drogocenny list.

- Dziękuję siostrze - wyszeptała.

Zakonnica trzymała w palcach jeszcze jedną kopertę.

- Mam tu jeszcze coś dla pani. - Poczekała, aż Colleen napotka jej surowe spojrzenie. - Zdaje się, że z Bostonu.

Serce Colleen zamarło w piersi. Drżącą ręką chwyciła drugi list. Krzesło zakonnicy zaszurało po twardej drewnianej podłodze, kiedy wstawała.

- Spodziewam się ujrzeć panią w klasopracowni za dziesięć minut.

Colleen pokiwała nieprzytomnie głową, całkowicie skupiona na dwóch kopertach.

- Tak, siostrze.

Drzwi zamknęły się chwilę później z cichym trzaskiem. Zaniepokojona Colleen przebiegła palcami po kopercie z seminarium Świętego Piotra w Bostonie zaadresowanej ręką Rylana i przygryzła rozedrgane wargi.

Otworzyła jednak najpierw liścik od Delii. Oczy zaszyły jej łzami na widok dużych, dziecięcych literek.

Droga Panno Oleery: Moja nowa rodzina jest miła, ale tęsknię za panią. Dziękuję za przysłanie Pana Wonsika. Mam nadzieję, że będzie mogła pani przyjechać mnie odwiedzić wkrótce. Całuję, Delia.

Colleen ucałowała kartkę i starannie złożyła ją z powrotem, zastanawiając się, co będzie mogła odpisać w odpowiedzi. *Panie, proszę, pomóż Delii nauczyć się, kochać swoją nową rodzinę i spraw, by oni byli dla niej dobrzy.*

Uspokoila nieco emocje, wzięła list Rylana i przejechała palcami po swoim imieniu wypisanym jego ręką. Słychać było tylko jej przyspieszony oddech, kiedy otwierała kopertę. W środku znajdował się gładki niebieski papier listowy wypełniony paroma liniami równego pisma. Zmarszczyła brwi, spostrzegając datę w rogu listu: 10 lipca 1911. Cztery tygodnie temu. Dlaczego trwało to tak długo, zanim ten list dotarł do niej? Czytała słowa, niemal całkowicie wstrzymując oddech.

Najdroższa Colleen.

Chciałem do Ciebie napisać teraz, ponieważ nie będę mógł pisać w najbliższym czasie. Zostałem „skazany” na osamotnienie w trakcie obowiązkowych miesięcznych rekolekcji. Nie będę miał w tym czasie kontaktu z zewnętrznym światem. Mam nadzieję, że masz się dobrze, i że zdrowie Twojego ojca już znacznie się poprawiło. Prześlij ode mnie uściski dzieciom w sierocińcu. Proszę, módl się

nadal za mnie, tak jak ja będę się modlił za Ciebie. Twój Rylan

Colleen zgarbiła plecy pod ciężarem rozczarowania. Ani jednego słowa o miłości do niej. Nic o tym, że tęskni za nią. Brak najmniejszego cienia nadziei. Ponownie przeczytała list, starając się odnaleźć jakieś dodatkowe znaczenie ukryte między słowami, ale nic nie dostrzegła. Mógł równie dobrze zaadresować ten list do siostry Małgorzaty.

Pojedyncza łza spłynęła po jej policzku na kartkę, rozmazując fragment tekstu. Wydała stłumiony okrzyk i szybko wyjęła chusteczkę, by osuszyć to miejsce. To mógł być jedyny list, który kiedykolwiek otrzyma od Rylana i chciała go zachować pośród swoich najcenniejszych skarbów, aż do śmierci. Westchnęła i wstała z krzesła. Siostra Małgorzata czekała na nią w klasopracowni.

W drzwiach zawahała się. Wróciła do kalendarza na ścianie i szybko policzyła dni od daty wysłania listu Rylana. Jeśli dobrze obliczyła, dzisiaj był ostatni dzień rekolekcji Rylana. Tętno przyspieszyło jej w żyłach. Czy podjął decyzję? Jeśli tak, jak zamierza ją poinformować? Czy prześle kolejny list, na który będzie musiała czekać następane tygodnie?

Z zaciętym wyrazem twarzy, wetknęła obie przesyłki w kieszeń fartuszka. Nie mogła tak długo czekać, by dowiedzieć się o swoim losie. Musi znaleźć jakiś sposób, by dostać się do Bostonu i zapytać Rylana osobiście, żeby powiedział jej prosto w oczy jaką decyzję podjął.

Brianna balansowała z tacą pełną jedzenia na schodach prowadzących w górę, do sypialni rodziców. W długim korytarzu odstawiła ją na wąskim stoliku i zatrzymała się, by uspokoić oddech, i przygotować się na wszystko, co mogło ją czekać po drugiej

stronie drzwi. Z tego, co mówiła pokojówka, jej ojciec był dziś spolegliwy, a to było rzadkością, gdyż zazwyczaj jego paskudny charakter przyprawiał służące o gęsią skórę. Być może nastąpiło już przesilenie i teraz czuł się lepiej. Gdy się nad tym zastanawiała, stwierdziła też, że mama także ostatnio była bardziej sobą. Brianna w duchu modliła się, żeby oznaczało to odnalezienie powrotnej drogi do szczęścia małżeńskiego, jakim cieszyli się do tej pory.

Otworzyła drzwi do pokoju ojca, a następnie wzięła tacę. Niezależnie od nastroju taty obiecała sobie, że porozmawia z nim dzisiaj o Gilu. Od kiedy jej i Gilowi udało się utrzymać gospodarstwo w ryzach, szukała rozwiązania, które pozwoliłoby zatrzymać Gila tu, gdzie było jego miejsce i wymyśliła sposób, który mógłby przynieść pomyślny obrót spraw - dla nich wszystkich.

- Dzień dobry, tato. Mam nadzieję, że zgłodniałeś. - Z uśmiechem wśliznęła się do pokoju, postanawiając zachować pogodę ducha.

Ku jej zaskoczeniu, powitał ją, odwzajemniając uśmiech.

- Brianno, ratujesz mi życie. Potrzebuję twojej pomocy. Odstawiła tacę na komodzie i zbliżyła się do łóżka.

- W czym?

Odzyskiwał kolory. Jego twarz była świeżo ogolona, a włosy zaczesane. W oczach powrócił dawny blask.

- Chciałbym, żebyś mi pomogła zejść na dół.

Brianna rozdziawiła usta. Pragnęła mu pomóc - we wszystkim, oprócz tego jednego.

- Tato, wiesz, że nie wolno ci jeszcze korzystać ze schodów. Może po prostu otworzę okno, żeby wpuścić tu trochę świeżego powietrza?

Podeszła do okna i szarpnęła za ramę. Kiedy odwróciła się z powrotem, jej ojciec spuścił już nogi na bok łóżka, gotowy, by wstać.

- Tato, nie. - Skoczyła bliżej i położyła rękę na jego ramieniu. -Nie możesz wstawać z łóżka bez asysty pielęgniarki.

- To bzdury. Wstawałem każdej nocy i chodziłem po korytarzu, kiedy wszyscy spali. Z minuty na minutę jestem coraz silniejszy. -Utkwił w niej błagalne spojrzenie. - Wiem, że dam radę zejść na dół z twoją pomocą. Chcę usiąść na werandzie i popatrzeć na tor wyścigowy. Nie byłem na zewnątrz od ponad miesiąca.

Zawahała się, dręczona wątpliwościami. Desperacko pragnęła mu się przypodobać, ale nie była w stanie znieść myśli, że mogłaby przyczynić się do pogorszenia jego zdrowia.

- Proszę, Bree.

- A jak ja cię później wniosę z powrotem na górę?

- Poprosimy Sama albo kogoś ze stajennych.

Przygryzła wargę, zdając sobie sprawę, jak wiele kosztowało ojca poproszenie o pomoc.

- Dobrze. Zrobię to pod jednym warunkiem.

- Mów.

- Że wysłuchasz mojego pomysłu, kiedy już usiądziesz wygodnie na dole.

Uśmiechnął się szeroko, a w jego oczach pojawił się dawny błysk.

- Z przyjemnością.

Dziesięć minut później, posadziła tatę w jego wiklinowym bujanym fotelu na tylnej werandzie, w duchu ciesząc się, że matka i pani Johnston były gdzie indziej. Uśmiech zadowolenia na twarzy ojca z zachwytem patrzącego na konie przemierzające tor zrekompensował chwile grozy podczas eskapady w dół schodów. Miała jedynie nadzieję, że całe to przedsięwzięcie będzie warte gniewu matki, kiedy się o wszystkim dowie.

Brianna znowu zerknęła na ojca, z zaskoczeniem zauważając, że przyglądał się jej z uwagą.

- Muszę ci zadać pytanie, Brianno, i chciałbym, żebyś mi szczerze odpowiedziała.

Westchnęła, czując się jak dziecko, które zaraz miało otrzymać naganę.

- Dobrze.

- Co skłoniło cię do ucieczki?

Cierpienie w jego głosie bardziej ją zawstydziło, niż mógłby uczynić to jego gniew. Nigdy nie brała pod uwagę, że jej czyny mogły zabołec ojca. Pochyliła głowę.

- Uświadomiłam sobie, że przenigdy nie mogłabym poślubić Henry'ego. Wiedziałam, że nie zmuszę się do tego. Wydawało mi się, że ucieczka jest jedynym rozwiązaniem.

Potrząsnął głową.

- Nie umiałem dostrzec tego, że byłaś nieszczęśliwa - powiedział łagodnie. - Twoja mama miała rację. Byłem tyranem dla swoich własnych dzieci...

- Mama tak powiedziała?

Na jego twarzy zagościł gorzki uśmiech.

- To i jeszcze całe mnóstwo innych rzeczy. Oczywiście, wcale się nie myliła, ale byłem zbyt uparty i zajęty problemami finansowymi, żeby wziąć pod uwagę jej zdanie. Obie, ty i Colleen, musiałyście podjąć drastyczne decyzje, żeby zakończyć swoje związki, tylko dlatego, że nie doświadczałyście żadnego zrozumienia z mojej strony. - Potrząsnął głową, a smutek wyrzeźbił się ostrymi zmarszczkami na jego twarzy.

- W porządku, tato. Teraz liczy się tylko to, żebyś wrócił do zdrowia. Wszystko inne ułoży się zgodnie z wolą Bożą. - Lekki podmuch wiatru owinął suknię wokół jej nóg.

Ojciec sięgnął dłonią do jej rąk.

- Dziękuję ci, Brianno, bo nie zasłużyłem sobie na twoje przebaczenie. - Odchrząknął. - A teraz powiedz mi o twoim pomysle.

Mimo że starał się zachować pogodne oblicze, nerwy zżerały Briannę. Zagryzła wargę i prosiła Boga o odpowiednie słowa, by dobrze przedstawić swoją propozycję.

- Chodzi o Gila.
- Mów dalej. - Nuta sceptycyzmu przebijała z jego głosu.
- Wiesz, że świetnie się spisał, ratując Irlandzkie Łąki od bankructwa.
- Tak, i jestem mu za to ogromnie wdzięczny.
- Nie sądzisz, że swoją ciężką pracą zasłużył na nagrodę? Tata westchnął.

- Co masz na myśli?

Brianna wzięła oddech i brnęła dalej.

- Pomyślałam, że mógłbyś zaproponować Gilbertowi udziały w Irlandzkich Łakach. - Podniosła rękę, by zatrzymać jego natychmiastowy sprzeciw. - Gil odkłada pieniądze, żeby kupić swoją własną farmę. Ale spójrzmy prawdzie w oczy, tato. Potrzebujemy go tutaj. Robi wiele dobrego dla Irlandzkich Łak.

- Nie mogę nie zgodzić się z tobą w tym względzie. Obróciła się na siedzeniu, by spojrzeć mu prosto w twarz.

- A co, jeśli przyjąłbyś Gila jako współnika? Gdyby zainwestował swoje pieniądze u nas, to pomogłoby zniwelować nasze długi. I wydaje mi się, że jeśli zgodzilibyśmy się umieścić jego nazwisko w podpisie, to by mu wystarczyło.

Ojciec uważnie się jej przyglądał.

- Czy rozmawiałaś o tym z Gilem?

- Nie. Chciałam najpierw uzyskać twoją aprobatę.

- A więc nie wiesz, czy zgodziłby się na to? Zawahała się.

- Nie jestem pewna, ale wydaje mi się to sensownym rozwiązaniem. Ma tutaj wszystko, czego mógłby chcieć. Dlaczego miałby gdzieś zaczynać od zera, skoro dla niego najbardziej liczy się to, by w jego biznesie widniało nazwisko Whelanów.

James przyglądał wąsy.

- Nazwa „Irlandzkie Łąki - O'Leary i Whelan Enterprises" byłaby przepustką, by zatrzymać tutaj Gila?

Nadzieja rozlała się w jej wnętrzu niczym promienie słońca przedzierające się przez chmury. Brianna nie mogła powstrzymać uśmiechu, mówiąc:

- Brzmi nieźle.

Posłał jej długie spojrzenie.

- Musisz go bardzo kochać, prawda?

Spojrzała na niego poważnie, zdecydowana nie cofnąć się ani kroku. Nie mogła sobie na to pozwolić w tym momencie. -Tak.

Pokiwał powoli głową.

- Pozwól, że zastanowię się nad tym i wkrótce porozmawiam z Gilem.

- Zaśmiał się krótko. - Sprytna z ciebie sztuka, młoda damo. Irlandzkie Łąki dobrze wyjdą na twojej pomocy.

- Dziękuję ci, tato. - Pochyliła się, by ucałować jego policzek, zaskoczona napływającymi łzami. Po raz pierwszy od kiedy była w stanie sobie przypomnieć, jej ojciec wysłuchał jej opinii i szczerze rozważał jej pomysł.

Bóg z pewnością odpowiedział na jedną z jej modlitw.

Gil zdjął koszulę, rzucił ją na krzesło stojące w kącie jego pokoju na poddaszu i opadł ciężko na łóżko. Sprężyny jęknęły w głośnym proteście, kiedy wyciągnął się na materacu. Choć był wykończony, jego duszę przepelniało zadowolenie po wieczorze spędzonym wśród koni. Wziął Monarchę na sprint po pastwiskach, pozwalając mu prowadzić, aż obaj poczuli się zupełnie wyczerpani. Może, jeśli będzie miał szczęście, wreszcie prześpi spokojnie całą noc.

Podniósł się na łokciu, żeby zgasić lampkę nocną, kiedy u jego drzwi rozległo się gwałtowne stukanie. Gil zmarszczył czoło. Kto mógł pukać o tak późnej porze? Czyżby Brianna była na tyle śmiała? Nie, na pewno nie, jeśli nie chodziłoby o coś ważnego. Włożył z powrotem koszulę, nie zapinając nawet guzików i otworzył drzwi.

Colleen stała w ciemnym korytarzu, wykręcając niezręcznie dłonie.

- Przepraszam, że ci przeszkadzam, Gil, ale potrzebuję twojej pomocy.

Przeszył go lęk.

- Co się stało?

Colleen zerknęła w głąb korytarza, a potem odwróciła się tyłem do niego.

- Czy moglibyśmy porozmawiać w środku? To ważne, i nie chciałabym, żeby ktoś nas usłyszał.

Głośno wypuścił powietrze z płuc, odczuwając lekki niepokój.

- Dobrze - odparł niechętnie. - Ale zostawimy drzwi otwarte.

- Dziękuję.

Gil przysunął jej drewniane krzesło, a sam nadal stał, kręcąc się nieopodal drzwi. Gdyby dziewczyna nie była tak zrozpaczona, podejrzewałby ją o kolejny spisek mający na celu zwrócić jego uwagę.

- Proszę, usiądź, Gil. Muszę powiedzieć ci coś trudnego i nie chcę cały czas wykręcać szyi.

Gil ostrożnie przysiadł na skraju łóżka.

- O jakie sprawy chodzi?

Gryzła wargę od wewnątrz przez chwilę, zanim odważyła się skrzyżować z nim spojrzenie.

- Chciałabym, żebyś zabrał mnie do Bostonu. Gil wyprostował się, słysząc jej prośbę.

- Do Bostonu? A po co? Delikatnie westchnęła.

- Domyślam się, że Bree nic ci nie mówiła.

- O czym miała mi mówić? - Irytacja mieszała się w nim z załopotaniem sytuacją, że w jego sypialni przebywa właśnie jedna z panien O'Leary. Rzucił okiem na wpół otwarte drzwi, upewniając się, że żadne cienie nie przemykają korytarzem.

Colleen palcami gładziła fałdy sukni.

- Kiedy Rylan był tutaj, ja i on... - zawahała się - ...staliśmy się sobie bliscy.

- Wszyscy go polubiliśmy. Do czego zmierzasz? Colleen splotła ręce leżące na jej kolanach.

- Nie rozumiesz. - Wzięła głęboki wdech. - Rylan i ja... zakochaliśmy się w sobie.

Jak rażony gromem Gil zerwał się na nogi i zaczął chodzić p pokoju tam i z powrotem.

- To dlatego wyjechał wcześniej niż pierwotnie zamierzał? Pokiwała głową. Jej oczy przepelnione były smutkiem.

- Wrócił do seminarium, żeby modlić się o dalsze wskazówki.

Minął już miesiąc, a on nadal nie odpisał na moje listy... - Jej głos zaczął się łamać. Walczyła zaciekle, by utrzymać opanowanie. - Nie umiem tak żyć, Gil. Muszę się dowiedzieć, czy nadal pragnie zostać księdzem. Kiedy się upewnię, jaka jest jego wola, będę wreszcie mogła zdecydować, co dalej z moim życiem, zamiast wisieć jak w próżni.

Gil zajął z powrotem swoje miejsce na skraju łóżka, starając się wczuć w jej obawy.

- Współczuję ci w tym cierpieniu, Colleen, ale ja... Pochyliła się w jego stronę i złapała go za ramię.

- Proszę, Gil. Muszę się dowiedzieć, co się dzieje. I nie mogę tam jechać sama. Jesteś jedyną osobą, której ufam, a która może mnie tam zabrać. - Jej podbródek drżał z emocji.

- A co z Adamem? Potrząsnęła głową.

- Jest zbyt zajęty swoją nową pracą.

Gil pochylił głowę. Ręce miał bezwładnie złożone na kolanach, ale jego umysł usilnie pracował.

- Może w przyszłym tygodniu mógłbym znaleźć trochę wolnego czasu...

- Nie mogę czekać tak długo. Mam złe przeczucia, że jeśli nie pojedę teraz, to już nigdy więcej go nie ujrzę. - Wielkie łzy wezbrały w jej oczach i popłynęły w dół policzków.

Gil westchnął i wyjął z kieszeni chusteczkę. Nie potrafił znieść widoku płaczącej kobiety. Wziął głęboki wydech, jednocześnie przeglądając w głowie plany na najbliższy dzień.

- Myślę, że udałoby mi się odłożyć interesy na dzień lub dwa. - Rozpromienił się. - Może moglibyśmy namówić Bree, żeby pojechała z nami.

- Och, Gil. Dziękuję ci. - Colleen ścisnęła jego rękę. - Jesteś najlepszą osobą, jaką znam. Oprócz Rylana, oczywiście.

Gil roześmiał się.

- Jak to się, na Boga, stało, że zakochałaś się w kleryku? Uśmiechnęła się smutno...

- Sama nie wiem. Myślę, że Bóg musi mieć bardzo dziwne poczucie humoru...

Nagle oprzytomniał.

- A co powiesz matce?

- Wymyślę coś do jutra. Chciałabym wyjechać najwcześniejszym pociągiem, jeśli nie masz nic przeciwko. - Wypowiadając ostatnie słowa, wstała i oddała mu chusteczkę.

Gil również podniósł się z miejsca.

- Dobry pomysł. Im szybciej wyjedziemy, tym szybciej wrócimy. - Wtedy straciłby tylko jeden dzień pracy.

- Jak ja ci się odwdzięczę? Nawet nie masz pojęcia, jak wiele to dla mnie znaczy. - Zbliżyła się i musnęła wargami jego policzek.

Uśmiechnął się.

- Niech Bóg ma mnie w swojej opiece, ale nie umiem odmawiać O'Learym.

Za jego plecami drzwi z łoskotem uderzyły o ścianę.

- Może jednak powinieneś się tego nauczyć!

Odwrócił się i ujrzał Briannę stojącą w wejściu. Jej oczy miały błyskawice, a smukła sylwetka trzęsła się ze złości, kiedy odwróciwszy się do Colleen rzuciła:

- Znów próbujesz uwieść Gila?! Powinnaś była się domyślić, że twój żal był tylko na pokaz! Nikt nie może się aż tak bardzo zmienić!

Colleen pobladła, a jej usta wyduły się w ponurym wyrazie.

- Nie będę tu stać i znosić twoich fałszywych oskarżeń. - Z szelestem sukni Colleen wyszła z pokoju.

Uczucia Gila wahały się pomiędzy upokorzeniem a gniewem. Domyślał się, że sytuacja z zewnątrz nie wyglądała dobrze, ale Brianna powinna zrozumieć ich lepiej niż postronny obserwator.

- Jesteś nam obojgu winna przeprosiny. - Śmiertelna powaga

i spokój jego głosu miały być dla niej ostrzeżeniem. Nozdrza Brianny rozszerzyły się z oburzenia.

- Znajduję Colleen w twojej sypialni, ty jesteś na wpół roznieglizowany, i to *ja* jestem *tobie* winna przeprosiny?

Zerknął na swoją rozpiętą koszulę i skrzywił się.

- My tylko rozmawialiśmy. - To wyjaśnienie brzmiało bardzo kiepsko, nawet dla niego. - Jeśli posłuchasz mnie przez minutę, wszystko ci wyjaśnię.

Dostrzegł w oczach Bree przeszywający ból, zanim przybrała maskę obojętności.

- Mam już dość słuchania wyjaśnień. - Nie czekając na jego odpowiedź, odwróciła się na pięcie i opuściła pokój.

Odruch nakazał mu biec za nią, ale po dwóch krokach w stronę przedpokoju, zmusił się do zatrzymania. Brianna powinna nauczyć się mu ufać. Jeśli będzie odwracać się i brać nogi za pas za każdym razem, gdy zobaczy go rozmawiającego z inną kobietą, jak będzie wyglądało ich wspólne życie?

Powlókł się z powrotem do swojego pokoju i opadł na skrzypiące łóżko. To by było na tyle, jeśli chodzi o przespaną noc.

Chylące się ku zachodowi słońce rzucało cienie na prosty ołtarz w seminaryjnej kaplicy. Rylan siedział w pierwszej drewnianej ławce, ściskając w dłoni cztery listy. Jeden, który przeczytał kilkakrotnie i pozostałe trzy, nieotwarte.

Panie, jakiej próbie poddajesz mnie teraz?

Rylan wstał i podszedł do pojedynczej świecy, która oświetlała ołtarz. Zdmuchnął płomień, wdychając dobrze mu znany zapach dymu, kiedy ciemna smużka, wirując, unosiła się nad knotem. Jego życiowe plany zostały podobnie rozwiane i czuł się całkiem zagubiony, nie wiedząc, jak wrócić na swą dawną drogę.

Pomimo tygodni odosobnienia wypełnionych medytacją i modlitwą, nie otrzymał żadnej konkretnej odpowiedzi. Żadnego wyraźnego przesłania, które pokierowałyby jego krokami. Rzucił okiem na trzymane w ręce nieotwarte listy nadane z Long Island, z Nowego Jorku. Jego dłoń drżała, gdy walczył z pragnieniem rozerwania koperty i pochłonięcia każdego słowa nakreślonego ręką Colleen. Jednak lektura jej najskrytszych myśli mogłaby tylko otworzyć w jego sercu tę ranę, która dopiero co zaczęła się goić. Rylan nie mógł sobie na to pozwolić.

List, który już przeczytał, wzbudził fale żalu. Rylan zawsze wyobrażał sobie, że jego mama zajmie miejsce w pierwszym rzędzie podczas jego święceń, ale w liście poinformowała go, że chorowała przez ostatnie parę miesięcy i nie będzie mogła podjąć się tak dalekiej podróży. Rozpacz sączyła się pod powierzchnię fasady jego pozornie opanowanych uczuć. Jak bardzo była chora? Czy do czasu, kiedy jej odpisze, nie będzie jeszcze za późno?

Rylan powoli ruszył w kierunku ocienionych drzwi. Zatrzymał się jeszcze na chwilę, zanim wrócił do jasnego świata poza ciszą kaplicy.

Głośne kroki zastukały na korytarzu. Pani Burton, gospodyni, zatrzymała się, gdy go spostrzegła.

- Tu ksiądz jest, księżu kleryku Montgomery. Ma ksiądz gościa. Rylan zmarszczył brwi.

- Kto to?

- Mówi, że jest kuzynem. Pan Gilbert Whelan.

Dreszcz przebiegł po jego plecach. Po co Gil miałby przyjeżdżać? Z pewnością stan Jamesa nie pogorszył się aż tak. Rylan zmusił się do uśmiechu, po części zadowolony, że jego odosobnienie zakończyło się dzień wcześniej.

- Dziękuję, pani Burton.

- Jest teraz w pokoju dziennym - mruknęła i pobięła z powrotem pilnować swojego stanowiska.

Proszę Panie, niech to nie będą żadne złe wiadomości. Moje serce tego nie zniesie.

Rylan wygładził dłonią swoją sutannę, poprawił koloratkę i ruszył do pokoju gościnnego.

Gil odwrócił się od kominka, kiedy Rylan wkroczył do pomieszczenia. Posłał mu nerwowy uśmiech i podszedł bliżej z wyciągniętą ręką.

- Rylanie, dobrze cię widzieć.

Zaskoczony ukłuciem tęsknoty za Irlandzkimi Łakami, które nagle go dopadło, Rylan uściśnął serdecznie dłoń Gila.

- Cóż za niespodzianka. Co przywiodło cię do Bostonu? Podejrzenie długiego uśmiechu rozjaśniał twarz Gila.

- Pomagam komuś bliskiemu w... osobistej sprawie. - Rzucił spojrzeniem w stronę wejścia i popatrzył z powrotem na kłeryka.

Rylan wskazał na jedną z kanap.

- Proszę, usiądź. Może przynieść ci coś do picia?

- Nie, dziękuję.

Rylan przyglądał się Gilowi, zauważając skrepowanie, z jakim siedział na kanapie.

- Jak tam w domu? Czy panu O'Learyemu się polepszyło? -Rylan chciał zapytać o Colleen, ale ugryzł się w język, czekając aż jej temat sam pojawi się w rozmowie.

- Z dnia na dzień jest coraz lepiej. Już nawet odbył parę spacerów po pokoju.

- Dobrze to słyszeć. A jak kuzynka Kathleen radzi sobie w tej sytuacji?

- Wszystkie kłopoty wywarły na niej swoje piętno, ale radzi sobie - tak jak my wszyscy. A jak u ciebie?

- Dostyc cicho, szczerze mówiąc. Właśnie zakończyłem miesięczne rekolekcje. - Rylan stukał palcami w oparcie fotela, świadomy uważnego wzroku Gila.

- Będiesz teraz kontynuował swoje praktyki gdzie indziej?

Rylan poczuł suchość w ustach. Dlaczego wydało mu się, że Gil coś wie i stara się wyciągnąć od niego jakieś informacje?

- Moi przełożeni jeszcze nie podjęli decyzji. - Nagle w pokoju zrobiło się gorąco. Rylan zerwał się i podszedł do okna, żeby je otworzyć i wpuścić powiew świeżego powietrza. Odwrócony plecami do Gila, rozpaczliwie szukał jakiegoś tematu innego niż Colleen i rodzina O'Leary.

- Jak długo planujesz zostać w Bostonie?

- Wracam dzisiaj ostatnim pociągiem.

Ulga i rozczarowanie rozlały się jednocześnie w piersi Rylana. Choć wspaniale było zobaczyć znajomą twarz, obecność Gila przywodziła bolesne wspomnienia jego pobytu w Irlandzkich Łąkach - wspomnienia, które tak bardzo starał się wymazać z pamięci.

Gil podniósł się z sofy, nerwowo strzepując jakąś nitkę z marynarki.

- Tak naprawdę, Rylanie, przywiozłem ci coś z domu. Poczekaj tutaj chwilkę.

Rylan zmarszczył brwi i opadł na jeden z foteli. Jego gość był tak nerwowy, jak kot w psiarni. Czym się tak denerwował? Paczką ciasteczek owsianych od pani Harrison?

- Witaj, Rylanie.

Jego serce stanęło, krew w żyłach stężała, a jego członki ściała paraliż. Czas się zatrzymał i nawet zegar na kominku przestał tykać.

Wziął głęboki wdech i z trudem podniósł wzrok w stronę stojącej w drzwiach Colleen - zjawy odzianej w niebieską suknię i dopasowany do niej kapelusz. Na jej cudowny widok zaparło mu dech w piersi. Jak człowiek, który był zbyt długo na pustkowiu, upajał się jej widokiem. Wyblakłe wspomnienia nie mogły się równać z żywym pięknem stojącym tuż przed nim. Jej błyszczące fioletowo-niebieskie oczy wpatrywały się w niego, przyprawiając o niepokój.

Chwyił się mocno podłokietnika i podniósł się z fotela, choć

jego nogi były tak samo drżące jak jego serce.

- Colleen, na Boga, co ty tutaj robisz?

Colleen gorąco pragnęła, żeby jej nierówny puls odrobinę się uspokoił. Zrobiła parę nieśmiałych kroków w głąb pokoju. Rylan wyglądał zupełnie inaczej w prostej sutannie - prawie jak mnich. Wciąż jednak nie umiała oderwać od niego wzroku, bojąc się, że gdy tylko mrugnie oczami, on zniknie i okaże się, że wszystko było tylko snem.

Z nerwów pot płynął jej po plecach.

- Przyjechałam się z tobą zobaczyć.

- Dlaczego? - Te czekoladowo-brązowe oczy skupiły się na niej z taką intensywnością, że jej kolana zaczęły drżeć.

Modliła się o Bożą pomoc, żeby dobrze dobrać słowa, które miała za moment skierować do ukochanego mężczyzny.

- Musiałam się z tobą zobaczyć, żeby dowiedzieć się, jaką decyzję podjąłeś i przyjąć ją w pokoju - niezależnie, jaka będzie. - Podeszła bliżej, z utęsknieniem wciągając nosem tak dobrze znany jej zapach mięty i mydła z drzewa sandałowego.

W jego oczach rozbłysnął wyraz przerażenia. Zrobił krok w tył, potykając się o podstawę lampy stojącej obok fotela.

- Jak się miewasz, Rylanie?

- Dość dobrze. A ty?

Musiała powstrzymać się, żeby nie wybuchnąć śmiechem na tę ich wymianę grzeczności. Zamiast tego obdarzyła go przeciągłym spojrzeniem.

- Bardzo przygnębiona. - Słyszając jej odpowiedź, uciekł wzrokiem, a ona nie odważyła się już ponownie zmniejszyć przestrzeni pomiędzy nimi. - Nie odpowiadałeś na moje listy - wyjaśniła - więc zdecydowałam, że przyjadę i sama sprawdzę, jak się mają

sprawy. - Jej ręce drżały prawie tak samo jak jej kolana. - Czy mogę usiąść?

- Proszę. Rozgość się.

Usiadła na sofie, ale Rylan nadal stał przy kominku ze wzrokiem wbitym w ziemię. Upadła na duchu. Nijak się miała ta scena do radosnego powitania, jakie wyobrażała sobie wcześniej - wcale nie wydawał się szczęśliwy na jej widok. Szczerze mówiąc, wyglądał tak, jakby pragnął, żeby jak najszybciej opuściła ten pokój.

- Czy podjąłeś już decyzję? - zdobyła się wreszcie na pytanie. Powoli potrząsnął głową.

- Jeszcze nie. - Miał zboląły wyraz twarzy, a mięsień jego szczęki drgał nerwowo.

Cierpienie zacisnęło się pętlą na jej gardle. Nie spodziewała się, że jej obecność przyprawi go o taki ból. Liczyła, że z radością pochwyci ją w ramiona, całując namiętnie. Zamiast tego stali naprzeciw siebie jak dwoje nieznajomych, starając się rozkręcić jakoś rozmowę, a ciężar napięcia przygniatał ich oboje.

Zbierając całą swoją odwagę, podniosła się i stanęła na wprost niego.

- Wybacz mi, Rylanie. Nie chciałam przyprawić cię o takie cierpienia, zjawiając się tu bez zapowiedzi. - Kolejna fala bólu przelała się przez jej duszę. - Po prostu chciałam wiedzieć, na czym stoją sprawy między nami i teraz widzę odpowiedź malującą się na twojej twarzy. - Przełknęła gorzkie łzy, które napływały coraz intensywniej. - Życzę ci wszystkiego, co najlepsze na twoją przyszłą drogę. Nigdy nie zapomnę o tobie albo raczej o szczęściu, które wniosłeś w moje życie.

Pozwoliła sobie zawiesić na nim wzrok jeszcze przez chwilę, starając się zapamiętać każdy milimetr tej umiłowanej twarzy. W kolejnym przypływie żalu, odwróciła się szybko, by wyjść.

Jego ręka momentalnie podskoczyła, żeby pochwycić jej palce, a katusze widoczne w jego oczach odebrały jej oddech.

- Moja mama chyba jest... umierająca.

- Och, Rylanie. - Bez zastanowienia otoczyła go ramionami. - Tak mi przykro.

Przeszył go dreszcz, kiedy pochylił głowę i zbliżył ją do jej czoła, a łzy popłynęły po jego policzkach. Kolejna rzecz, którą w nim kochała - nigdy nie wstydził się okazywać uczuć. Obejmowała go w milczeniu, aż wyczuła, że odzyskuje spokój. Następnie odsunęła się i spojrzała na jego twarz.

- Wracasz do Irlandii? Pocierał dłonią grzbiet nosa.

- Nie wiem. Dopiero się o tym dowiedziałem i nie miałem jeszcze czasu, żeby się zastanowić.

Wypełniła ją silna determinacja. Mężczyzna, którego kochała, cierpiał i ona znalazła się teraz w pozycji osoby, która mogła mu ofiarować pocieszenie i radę - to, co sama dawniej otrzymała w obfitości. Wzięła jego dłoń i poprowadziła go w kierunku sofy.

- Musisz jechać i zobaczyć się z nią, Rylanie. Jeśli nie pojedziesz, mógłbyś żałować tego do końca życia. Seminarium poczeka, ale twoja mama - może nie... - Cieszyła się, że nie cofnął dłoni z jej uścisku. - To, czego nauczyłam się podczas choroby taty, to fakt, że nie należy tracić cennego czasu, jaki został nam dany. Nigdy nie wiemy, kiedy odejdą ci, których kochamy. Tak się cieszę, że mogłam powiedzieć tacie, jak bardzo jest dla mnie ważny. - Jej głos zaczął się łamać i spuściła wzrok na ich złączone dłonie.

Podniósł do góry jej brodę i przez jedną, oszałamiającą chwilę, pomyślała, że mógłby chcieć ją pocałować. Ale on tylko starł łzę z jej policzka i posłał jej przesycony smutkiem uśmiech.

- Oczywiście, masz rację. Muszę jechać do domu.

Kolejne łzy zamglily jej wzrok, kiedy uświadomiła sobie straszną prawdę.

- Nie wrócisz już, prawda? Będziesz chciał zostać, żeby pomóc swojemu rodzeństwu?

Westchnął.

- Muszę poczekać i zobaczyć. Może będziemy mieć szczęście i mama jakoś z tego wyjdzie.

Kiwnęła głową i wzięła głęboki wdech, żeby się wzmocnić.

- Dobrze, lepiej będzie, jeśli już pójdę i zostawię cię, żebyś mógł się przygotować.

Razem podnieśli się z sofy, a ich ręce nadal były związane. Jego ciepło przenikało jej dłonie.

- Dziękuję, że przyjechałaś, Colleen. Dobrze cię było zobaczyć. -
Tęsknota i boleść przebijały z głębi jego ciemnych oczu.

Wydawało się, że jej serce zaraz rozpadnie się na kawałki. Tak bardzo pragnęła go przytulić, poczuć jeszcze raz jego usta na swoich - ale nie mogła pogwałcić świętości tego miejsca. Wspięła się na palce, żeby musnąć jego policzek delikatnym całusem, wdychając jego męski zapach, a potem wybiegła z pokoju, zanim zupełnie by się rozkleiła.

Brianna siedziała na tylnej werandzie, wpatrując się w zwirowy tor, gdzie Sam trenował Obietnicę Morgana. Deski tarasu skąpane były w porannym słońcu, a delikatny wietrzyk muskał jej zmysły, niosąc resztki zapachu róż z ogrodu mamy.

Obracała w palcach kopertę, którą Gil zostawił dla niej poprzedniego dnia rano. Choć znała już na pamięć każde słowo tego listu, ponownie wyjęła kartkę i rozłożyła przed sobą.

Brianno,

Colleen poprosiła mnie, bym towarzyszył jej dziś w podróży. Potrzebowała kogoś, kto mógłby z nią pojechać, a ja się zgodziłem. Chciała, żebym zachował to w tajemnicy, więc jeśli chcesz się dowiedzieć czegoś więcej, musisz ją sama zapytać.

Sytuacja między nami, której byłeś świadkiem zeszłej nocy, nic nie znaczyła. Nie mogę dłużej kryć tego, że Twój brak zaufania do mnie jest dość kłopotliwy, nie wspominając o Twojej ciągłej wrogości wobec własnej siostry. Modlę się, żeby Pan uleczył przepaść goryczy, która dzieli Ciebie i Colleen. Nie należy nigdy tak łatwo wyrzekać się rodzinnych więzów. Przyjmij te słowa od tego, który nie ma już swojej rodziny.

Nie czekaj na nas, wrócimy ostatnim pociągiem.

Gil

Brianna złożyła papier listowy i włożyła go z powrotem do koperty. Rozumiała, że był na nią zły. Zły i rozczarowany. Pewnie

postrzegał ją jako zazdrosną sekutnicę, ale nikt nie był w stanie całkowicie zrozumieć jej toksycznych relacji z Colleen. Nawet on.

Brianna chciała wierzyć, że jej siostra naprawdę się zmieniła, że odkryła nową siebie, i że jej prośba o wybaczenie była szczerą, ale kiedy zobaczyła Colleen w sypialni Gila tak późno wieczorem, nie wytrzymała. Czy nie miała prawa być wściekła?

Otwierane drzwi balkonowe zatrzeszczały cicho i ktoś wszedł na werandę. Brianna utkwiała wzrok w dali, na wprost siebie, mając nadzieję, że ktokolwiek to był, pójdzie sobie dalej i zostawi ją jej własnym myślom. Nie miała szczęścia. Colleen bez słowa usiadła na krześle obok niej. Brianna zjeżyła się, gotowa już przenieść się z przeżywaniem swojego niezadowolenia do stajni, gdzie będzie mogła pławić się w nim na osobności, ale jedno spojrzenie na twarz siostry przykuło ją do siedzenia. Zwykle zarumienione oblicze Colleen było bledsze niż pobielone deski podłogi, a jej zaczerwienione oczy wytrzeszczono od surowej rozpacz. Co sprawiło jej aż taki żal? Czy to miało jakiś związek z wczorajszą tajemniczą wyprawą?

Zanim Brianna odzyskała mowę, Colleen zwróciła na nią przygnębione spojrzenie.

- Jestem winna Gilowi przysługę, więc coś ci wytłumaczę. Niepewna, co miałyby na to odpowiedzieć, Brianna czekała

w milczeniu, aż jej siostra kontynuuje wątek.

- Poprosiłam Gila, żeby pojechał ze mną wczoraj do Bostonu, bo chciałam zobaczyć się z Rylanem.

Brianna poczuła, jak supeł zawiązuje się w jej żołądku. A więc wcale nie chodziło o Gila.

- Z perspektywy czasu - kontynuowała Colleen - widzę, że to może nie było zbyt rozważne posunięcie, by iść do jego pokoju, ale wtedy nie wiedziałam, jak inaczej mogłabym z nim porozmawiać sam na sam. - Zawahała się. - Z uwagi na moje dawne błędy rozumiem, że mogłaś źle o mnie myśleć i wyciągnąć niewłaściwe

wnioski z tamtej sytuacji. Nie pojmuję jednak, jak możesz twierdzić, że kochasz Gila i jednocześnie posądzać go o tak niehonorowe zachowanie.

Brianna zarumieniła się ze wstydu. Colleen miała rację. Gil nigdy nie zrobił nic, by mogła w niego zważyć. *Poza oświadczeniem się kobiecie, której nie kochał.* Odepchnęła od siebie zdradliwą myśl. - W zasadzie teraz wszystkie okoliczności były zupełnie inne.

- Gil wytłumaczył mi, że może ci zająć trochę czasu, zanim uwierzysz, że naprawdę się zmieniłam, i że muszę dać ci kolejną szansę. - Colleen usiłowała się uśmiechnąć. - Ten człowiek kocha cię bardziej niż wszystko inne. Nie zmarnuj tego dobra, Brianno. Jeśli nieustannie będziesz kwestionować jego wierność, to go w końcu zniechęcisz.

Brianna przygryzła wargę.

- Muszę cię przeprosić, Colleen, za moje podejrzenia. Powinnam była dać ci szansę wyjaśnić to wtedy.

- Tak, powinnaś. Gil chciał zaproponować ci wyjazd z nami, zanim na niego naskoczyłaś.

Wstyd dotkliwie palił jej policzki. Jakim przykładem chrześcijanki była, skoro pozwoliła, by gniew i zazdrość zupełnie ją opanowały?

Panie, przebac mi, że nie ufałam własnej siostrze i Gilowi, że nie ufałam Tobie. Wzięła głęboki wdech.

- Jeśli obiecuję, że odtąd będę ci wierzyć na słowo mimo wątpliwości, to czy mi wybaczysz?

Brianna z ulgą dostrzegła, że napięcie na twarzy Colleen zelzało.

- Już ci wybaczyłam - powiedziała łagodnym głosem. Briannie uwiązał głos w gardle i ledwie wydusiła:

- Dziękuję.

- Przynajmniej to jestem ci winna po tych wszystkich sytuacjach, kiedy cię krzywdziłam. - Colleen podniosła się z krzesła i wygładziła spódnicę.

- A teraz na twoim miejscu poszłabym przeprosić Gila. Właśnie siedzi w gabinecie, starając się nadrobić wczorajsze zaległości.

Brianna podskoczyła na swoim miejscu.

- Poczekaj. Co się wydarzyło tam w Bostonie, z Rylanem? Colleen uniosła podbródek, a mocno zacisnęła ręce przed sobą.

Skurcz cierpienia przetoczył się przez jej twarz.

- Rozmawialiśmy. Myślę, że nie podjął jeszcze ostatecznej decyzji. W każdym razie, jest już w drodze do Irlandii. Jego mama jest bardzo chora.

Nic dziwnego, że płakała. Brianna przysunęła się bliżej i przytuliła siostrę.

- Tak mi przykro. To oczekiwanie musi być nieznośne. Sztywne ciało Colleen skuliło się na chwilę, zanim wyrwała się z objęć siostry.

- Jest. Tym trudniejsze, że wiem, jak daleko teraz jest i - jej głos załamał się - że być może nigdy nie wróci.

Brianna ujęła Colleen pod ramię. Siostra potrzebowała czegoś, co skutecznie oderwałoby ją od tych myśli. Wpadła na pomysł, który mógłby na dłuższą metę zrekompensować jej niezyczliwość i jednocześnie wesprzeć Colleen.

- A może potrzebowałabyś kolejnej wolontariuszki w sierocińcu? Bardzo miłe wspominałam czas, który tam spędziłam i chętnie bym do tego powróciła. Mogłybyśmy pojechać razem jutrzejszym pociągiem.

Colleen pokiwała głową, a łzy wdzięczności wypełniły jej oczy.

- Dziękuję ci, Bree. Chętnie skorzystam z twojej pomocy.

Gil starał się skupić na cyfrach, które miał przed oczami, ale jego myśli wciąż krążyły wokół Brianny. Wczoraj w pociągu miał wystarczająco dużo czasu, żeby wielokrotnie przemyśleć wiadomość, którą jej zostawił. Jeśli miałby uczynić to ponownie, pewnie trochę stonowałby swoje oburzenie albo przynajmniej złagodził je wyrozumiałością. Czyżby przez swój gniew zniechęcił Bree na dobre?

Ołówek pękł z trzaskiem w jego rękach. Gil zdusił w sobie przekleństwo. Niepokojny, wstał i zaczął przemierzać gabinet, zmuszając się, by zostać w pomieszczeniu i nie szukać po całym domu Brianny, aby prosić ją o wybaczenie. Tym razem musiał się wstrzymać i poczekać, aż sama do niego przyjdzie.

Podszedł do okna i przez koronkowe firanki wyjrzał na nieskazitelne trawniki i będący w pełni rozkwitu ogród przed domem. Powinien być na zewnątrz, ciesząc się tym dniem, zamiast siedzieć przyklejony do biurka.

- Gil, czy mogłabym z tobą przez chwilę porozmawiać?

Odwrócił się od okna i ujrzał Briannę stojącą w wejściu, jasną jak słońce, w swojej żółtej sukni. Dopiero po sekundzie oprzytomniał i wskazał na krzesło za biurkiem.

- Może usiądziemy koło kominka? Byłoby trochę mniej oficjalnie. - Powaga w jej głosie była dla niego sygnałem do zastanowienia, czy w ogóle coś się w niej zmieniło. Przynajmniej nie wyczuwał żadnych pozostałości gniewu w jej postawie.

- Dobrze. - Podszedł do przeciwnego brzegu kanapy i usiadł, dbając o to, by zachować dystans - zarówno fizyczny, jak i emocjonalny.

Wydawała się bardzo zdenerwowana, kiedy przysiadła na krawędzi siedziska. W końcu uniosła na niego wzrok. W jej intensywnie zielonych oczach czaiła się niepewność.

- Przyszłam cię przeprosić za tamtą noc. Nie powinnam była nigdy posunąć się do takich strasznych podejrzeń, jeśli chodzi o ciebie i Colleen i... mam nadzieję, że mi przebaczysz.

Koniecznle potrzebował wiêkszej pewnoœci, ¿eby udzieliç jej caÅkowiÅego rozgrzeszenia.

- Jak mogê wierzyç, ¿e to siê nie powtórzy, kiedy nas znów zobaczysz razem? Albo jeœli zobaczysz, ¿e rozmawiam z jakÅ innÅ kobietÅ? Na przykÅlad, z AurorÅ. - Co prawda, Aurora nie chciaÅa go wiêcej widzieç, ale Brianna o tym nie wiedziaÅa.

WestchnêÅa cicho, a potem zacisnêÅa dÅonie przed sobÅ.

- ObiecaÅam Colleen, a teraz obiecujê tak¿e tobie, ¿e od tej chwili bêdê wam wierzyç na sÅowo, zanim wyciÅgnê jakieœ wnioski z tego, co zobaczê.

ZatrzymaÅ na niej przez chwilê badawcze spojrzenie.

- Zaufanie jest nieodzowne w zwiÅzku, Brianno. ChciaÅbym, ¿ebyœ mi caÅkowicie ufaÅa, skoro mamy wspÅólnie dzieliç przyszÅoœç.

ZnieruchomiaÅa, sztywno prostujÅc plecy.

- Na swojÅ obronê pragnê dodaç, ¿e nasza relacja nigdy nie byÅa bezproblemowa. Wspomnê choçby to, jak caÅowaÅes siê z Colleen w stajni, a potem zarêczyÅes z AurorÅ.

SÅlumiÅ w sobie uszczypliwÅ ripostê o jej wÅasnym narzeczonym. Takie przepychanki nie prowadziÅyby donikÅd. Zamiast tego skÅoniÅ gÅowê, mÅwiÅc:

- To prawda.

Jedna z jej piêknych brwi uniosa siê, co dowodziÅo, ¿e wyczuÅa jakieœ zastrze¿enia kryjÅce siê za jego odpowiedziÅ.

- A jak ty byœ siê zachowaÅ, gdybyœ przyÅapaÅ w mojej sypialni Henry'ego z rozpiêtÅ koszulÅ?

NapÅływ gorÅca przeniknÅÅ Gila na samo wyobra¿enie. Jego dÅonie bezwolnie zacisnêÅy siê w piêœci.

- Rozumiem... o co... chodzi. WÅtpiê, czy traciÅÅbym czas na zadawanie jakichkolwiek pytaÅ.

- Dziêkujê ci. A wiêc mo¿emy siê chyba zgodziç, ¿e musimy razem popracowaç nad wspÅÅlnym zaufaniem? Jeœli kiedyœ w przyszÅoœci jakaœ kobieta przyjdzie do twojej sypialni, zaprosÅ jÅ na

dół do salonu, żeby porozmawiać. Pokiwał głową.

- Zgoda. A swoją drogą... dlaczego przyszedł do mojego pokoju o tej porze?

Gwałtowny rumieniec oblał jej twarz. Pochyliła głowę, mówiąc:

- Widziałam Colleen idącą na trzecie piętro i... poszłam za nią. Gil udał niezadowolenie, przywołując na twarz wymuszony grymas..

- Szpiegowanie i podsłuchiwanie to nie są cnoty, które podziwiałbym u kobiet.

Jej oburzony wzrok skrzyżował się z jego.

- Nie podsłuchiwałam. Zobaczyłam, jak wchodzi do środka i czekałam na końcu korytarza - do czasu, aż nie mogłam już dłużej wytrzymać.

Usta Gila drgnęły mimowolnie, kiedy wyobraził ją sobie zamartwiającą się na końcu korytarza, podczas gdy on rozmawiał z Colleen, ale szybko oprzytomniał przypominając sobie konsekwencje jej zachowania.

- Naprawdę, Bree, gdybyś tylko podeszła do drzwi, zamiast tam stać i wyobrazać sobie wszystkie możliwe niecne postęпки, uniknęlibyśmy całego nieporozumienia. Jeśli tego rodzaju sprzeczki będą się powtarzać, całkowicie zniszczą fundament naszej wzajemnej relacji.

- Nie chcę tego - powiedziała cichym głosem, podnosząc się z kanapy. - Obiecuję, że zrobię wszystko, żeby odzyskać twoje dobre zdanie o mnie.

On także wstał i założył ręce na piersi, aby powstrzymać się od przytulenia jej. Wyglądała jak zagubione dziecko szukające pochwały za swoje wysiłki. Uświadomił sobie nagle, że źródło jej braku pewności siebie tkwiło w ciągłej krytyce Jamesa. Bree nigdy nie czuła się wystarczająco dobra dla swojego ojca. Być może uważała też, że nie jest wystarczająco dobra dla niego.

Zanim Gil zdołał ubrać w słowa swoje przemyślenia, Bree wyszła z pokoju.

Wrócił do biurka obłożonego księgami finansowymi. Wydawało się, że na każdym zakręcie ich zagmatwanego związku napotykali jakieś przeszkody. Czy Bóg pomoże im wreszcie zakończyć to pasmo problemów, czy też ich przeznaczeniem było życie osobno?

Gil obiecał sobie, że spędzi dużo więcej czasu na modlitwie, w nadziei, że znajdzie odpowiedź na to pytanie.

Zielone rozbłyski przecinały łąki, które rozpościerały się po obu stronach wiejskiej drogi, kiedy Rylan wędrował w kierunku małej wioski w hrabstwie Cork, gdzie dorastał. Dobrze znany zapach świeżo skoszonej trawy i morskie powietrze przepełniały go poczuciem spokoju i radością z powrotu do domu. Celowo wysiadł z autobusu milę wcześniej, żeby mógł przejść ten ostatni odcinek, napawając się klimatem wsi, za którą tak bardzo tęsknił.

Nostalgiczne wspomnienia szczęśliwego dzieciństwa związanego z tymi okolicami wlewały się w jego serce jak fale uderzające w burte statku podczas morskiej podróży. Wysokie drzewo, na które on i jego bracia często się wspinali, nadal wyciągało swoje sękaty gałęzie w stronę nieba. Stary drewniany płot okalający posiadłość pana Fostera stał wciąż w tym samym miejscu, a parę sztuk utuczonych bydła pasło się spokojnie na zacienionym pastwisku nieopodal drogi. Rylan wyjął chusteczkę i starł krople potu z czoła. Tego dnia słońce było wyjątkowo dokuczliwe. To oraz ponad milowy spacer w tweedowej marynarce sprawiało, że Rylan czuł, jakby się miał wkrótce zmienić w tłuście bajoro na poboczu drogi.

Zatrzymał się przed niskim kamiennym ogrodzeniem, które otaczało posiadłość jego matki, napawając się widokiem swojego domu z dzieciństwa. W jego gardle ugrzęzła gęła gwałtownego wzruszenia. Nic nie zmieniło się od tego dnia, kiedy opuszczał to miejsce przed pięcioma laty. Ta sama strzecha opadała na kamienne ściany, te same zielone drzwi, z których nadal obłaziła farba oraz skrzynki na kwiaty matki, w których bujnie rozrosły się

fiołki. Wstrzymał się przez moment, by przygotować się na widok, który mógł zastać w środku - jego matki przykutej do łóżka, bliskiej śmierci.

Panie, proszę, pozwól, żebym zdążył się z nią jeszcze zobaczyć.

Pchnięciem otworzył drewnianą bramę i ruszył w stronę wejścia. Po chwili wahania przed drzwiami, zdecydował, że zapuka do własnego domu, przede wszystkim dlatego, że nie zapowiedział swojej wizyty i nie chciał przestraszyć matki.

Drzwi otworzyły się prawie natychmiast. Śliczna młoda kobieta, ubrana w prostą suknię i fartuszek stała, z zaciekawieniem wpatrując się w jego twarz. Już miał zapytać, czy pani Montgomery jest w domu, kiedy oczy kobiety rozszerzyły się ze zdziwienia.

- Rylan? To ty? Zmarszczył czoło. -Ja.

Kobieta rzuciła się w jego ramiona, śmiejąc się i płacząc jednocześnie.

- To ja, Maggie.

Mała Maggie? Czy to naprawdę mogła być jego *mała siostrzyczka*⁷. Uścisnął jej dłoń, a potem odsunął się nieco, żeby móc dokładnie przyjrzeć się tym kruczoczarnym włosom i kremowej karnacji.

- Wyrosłaś na piękność, kiedy mnie nie było. Tommy, Paddy i Gabe muszą pewnie zaciekle walczyć, żeby odgonić od ciebie wszystkich adoratorów.

Roześmiała się, a na jej policzki wypłynął rumieniec.

- Oj tam, wejdz. Dlaczego nie napisałeś, że przyjedziesz?

Rylan ściągnął czapkę i wszedł do małego salonu. Ta sama pluszowa sofa i dwa fotele bujane otaczające kamienne palenisko kominka. Znane zapachy torfu i domowej zupy wisiały w powietrzu - zapachy, które mówiły jedno: *dom*.

- Podjąłem decyzję w ostatniej chwili, kiedy tylko otrzymałem

list mamy. - Skupił ponownie całą uwagę na Maggie, której ciemne włosy były tak podobne do jego. - Powiedz mi prawdę, jak bardzo jest z nią źle? - zapytał cicho. Maggie wytrzeszczyła na niego oczy.

- Z mamą wszystko w porządku. A dlaczego pytasz? Rylan zmarszczył brwi.

- W liście pisała, że jest zbyt chora, by podróżować. Brzmiało to bardzo poważnie.

Nagle olśnienie wygładziło jej rysy.

- Ach, to zapalenie płuc. Mama miała ciężki atak choroby na wiosnę. Trwało to dość długo, aż do lata, ale już z tego wychodzi. Jednak nadal bardzo szybko się męczy i lekarz powiedział, że podróż zamorska nie będzie dla niej korzystna.

Poczucie bezbrzeżnej ulgi sprawiło, że wszystkie jego mięśnie zrobiły się bardzo wiotkie.

- Zatem nie jest umierająca? Maggie położyła rękę na jego ramieniu. -Nie.

Rylan przebiegł wzrokiem po pokoju.

- A więc, gdzie ona teraz jest?

- Odpoczywa. Codziennie po południu ucina sobie drzemkę. Chodź do kuchni, zrobię ci herbaty. Będziesz mógł mi opowiedzieć wszystko o Ameryce.

Właśnie kończył drugą filiżankę, kiedy niespodziewany dźwięk głosu mamy poderwał go z miejsca.

- Maggie? Kogo ja tam słyszę?

Maggie wyskoczyła zza drewnianego stołu.

- Lepiej będzie, jeśli ostrzeżę ją, że jesteś w domu. Nie chciałabym ryzykować, że dostanie ataku serca z zaskoczenia. - Wyśliznęła się z pokoju i skierowała się w głąb korytarza, do sypialni.

Parę sekund później usłyszał czyjeś kroki. Mama pojawiła się w drzwiach kuchennych, a jej oczy po brzezi wypełniały łzy.

- Wszelki duch Pana Boga chwali! To naprawdę mój Rylan?

- To ja, mamó. - Postąpił naprzód i pochwycił słabowitą kobietę w mocnym uścisku. Przygarbione ramiona drgały od łkania. Jej kasztanowe włosy, pokryte teraz całkowicie siwizną, nadal upięte były w taki sam kok nisko na karku. Szare oczy, jak u Maggie, błyszczały ze szczęścia.

- Bałam się już, że cię nigdy więcej nie zobaczę. Myślałam, że po święceniach będziesz zbyt zajęty, żeby przyjechać w odwiedziny. - Wyprostowała się i zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów. - A gdzie jest twoja kapłańska koloratka?

- Jeszcze nie mam święceń, mamó. Chodźmy, usiądziemy w salonie i porozmawiamy.

Zmarszczyła czoło, a jej przenikliwe spojrzenie wwierciło się w niego z jej całym irlandzkim temperamentem.

- Z całą pewnością, musimy porozmawiać.

Usadowił mamę w jej ulubionym fotelu. Kiedy okrywał jej nogi pledem, zauważył, że bardzo się postarzała podczas jego nieobecności. Choć Beatrice Montgomery była dopiero nieco po sześćdziesiątce, niełatwe życie odbiło na niej swoje piętno. Smutek ścisnął serce Rylana, kiedy trzymał jej poskręcaną dłoń. Wyglądała jak dłoń dużo starszej kobiety.

- Jak ci się wiedzie? Twój ostatni list bardzo mnie zmartwił.

- Teraz jest już dużo lepiej, od kiedy przeszło mi zapalenie płuc, ale reumatyzm nie pozwala mi za bardzo oddalać się od domu.

Maggie wpadła do pokoju z herbatą i biszkoptami na tacy przygotowanymi dla mamy i zaraz potem dyskretnie ich opuściła.

- A jak się miewają moi bracia?

- Wszystkim się dobrze powodzi. Tommy i Eileen oczekują na czwarte dziecko, które ma się urodzić około świąt Bożego Narodzenia. Paddy i Claire mają wystarczająco dużo pracy przy bliźniakach. A Gabe ciężko pracuje w straży pożarnej. I obawiam się, że na razie nawet nie ma czasu na żonę. Każdego dnia dziękuję

Bogu, że mam moich chłopców blisko. Bardzo się troszczą o mnie i o Maggie. - Wyciągnęła dłoń i poklepała Rylana po kolanie. -A mój czwarty syn, obieżyświat, będzie pracował dla Boga.

Jej podziw spieszył Rylana. Zwiesił głowę i z dziwnym zainteresowaniem zaczął studiować dywan leżący pod stopami.

- Tylko mi nie mów, że wyrzucili cię z seminarium z tym twoim niewyparzonym językiem.

- Nie do końca - wymamrotał.

- Coś jest nie tak. Widzę to po twojej twarzy.

- Jestem w domu dopiero od piętnastu minut, mamó. Może najpierw porozmawiamy o tym, co się u was zmieniło. Jutro będzie mnóstwo czasu, żeby dyskutować o moich problemach.

Matka wyprostowała się w fotelu.

- A więc jednak jest jakiś problem. Wiedziałaś, że za tą wizytą kryje się coś więcej niż tylko moje zdrowie.

Jej słowa zupełnie go zaskoczyły. Czy rzeczywiście wykorzystał chorobę matki jako pretekst powrotu do domu, żeby wy badać jej reakcję na dylemat, z którym się zmagał? Powietrze z sykiem uleciało z jego płuc. Być może gdzieś w podświadomości czuł, że nie wolno mu podjąć ostatecznej decyzji bez jej błogosławieństwa. Być może to był właśnie prawdziwy powód, który go zatrzymywał.

Mama odstawiła filiżankę herbaty na stolik koło jej fotela.

- Już, już. Powiedz mi, co cię martwi, a ja postaram się najlepiej, jak umiem, przedstawić ci moje szczere zdanie na ten temat.

Rylan poderwał się na nogi i zaczął przemierzać pokój w stronę okna wychodzącego na tylny ogród upstrzony kolorami wszelkich polnych kwiatów, wyjątkowo licznych w tym roku.

- Czy wiesz mamó dlaczego chciałem zostać księdzem? - zapytał ze wzrokiem utkwionym gdzieś za szybą.

- Ponieważ miałeś powołanie.

- Nie do końca - przerwał, obserwując motyla przelatującego z kwiatka na kwiatek. - Zawarłem z Bogiem umowę, kiedy byłeś

bardzo chora parę lat temu, że jeśli On cię uzdrowi, ja poświęcę swoje życie Jego służbie. - Rylan odwrócił się od okna z uśmiechem. - To była cena, którą z radością byłem gotowy zapłacić.

- Och, Rylanie. - W bladych oczach Beatrice pojawiły się łzy.

- Kiedy już podjąłem tę decyzję, nie oglądałem się za siebie. Byłem zadowolony z nauki w seminarium, cieszyłem się, że mogę się poświęcić, by być pasterzem ludu Bożego.

- Co się stało, że to się zmieniło?

Mama zawsze potrafiła go przejrzeć na wylot. Podszedł i ponownie usiadł na nierównej sofie, składając ręce na kolanach, tak jakby się modlił.

- Spotkałem kobietę... jedną z córek kuzynki Kathleen i choć wcale tego nie chciałem... - Zrobił głęboki wdech i wydech. - Zakochałem się w niej.

Beatrice wyciągnęła rękę i chwyciła jego dłonie, a po jej policzkach spłynęły łzy. Nie powiedziała nic - tylko ścisnęła go z pełnym łagodności zrozumieniem.

- Nie wiem, co mam teraz robić. Odbyłem miesięczne rekolekcje, starając się odczytać wolę Bożą wobec mojego życia, ale nic nie widzę. Niezależnie od tego, jak mocno się modlę, żadna odpowiedź nie nadchodzi. - Zdławił silne emocje podchodzące mu do gardła i spojrzał na mamę, źródło jego siły. - Mamo, dlaczego Bóg milczy? Czemu nie słyszę Jego odpowiedzi?

Poklepała go po nodze.

- Może za bardzo się starasz. Co mówi ci serce?

Ta prosta odpowiedź wybrzmiała w jego duszy niczym dzwon.

- Moje serce tęskni... za Colleen. Kocham ją tak bardzo, że aż mnie to boli.

Rysy matki stały się łagodniejsze, a uśmiech drżał na jej ustach.

- Myślę, że masz już swoją odpowiedź, chłopcze.

- A co z moją obietnicą?

Matka położyła sękatą dłoń na jego policzku.

- Bóg nigdy nie oczekiwałby dotrzymania takiej obietnicy, która byłaby dla ciebie krzywdząca. Jest wiele sposobów, na jakie można Mu służyć, nie będąc księdzem.

- A co z tobą? - zapytał smutno. - Nie będziesz rozczarowana? - Poczucie winy i strach ścisnęły go w piersi. Po tym wszystkim, co jego mama dla niego zrobiła, nie mógł jej zawieść.

- Jedyne, czego zawsze pragnęłam dla moich dzieci to, żebyście odnaleźli szczęście w tym, co będziecie robić. Jeśli ta kobieta sprawia, że jesteś szczęśliwy, to mnie to wystarczy.

Opadł na poduszki leżące na sofie.

- Ale co zrobię ze swoim życiem po wystąpieniu z seminarium? Jak będę zarabiał? Nie mogę jej nic zaoferować.

Mama zachichotała.

- Powoli, krok po kroku, mój chłopcze. Skoro jesteś tutaj, wykorzystaj ten czas i wróć do swoich korzeni, odkryj to, co kochasz. Porozmawiaj z braćmi. Porozmawiaj z ojcem Reginaldem, a my będziemy się za ciebie modlić.

Rylan uśmiechnął się szczerze po raz pierwszy od paru tygodni. Czuł się dużo lepiej, pewien, że zbliżał się do podjęcia tej właściwej decyzji.

Podszedł, by ucałować mamę w policzek.

- Dziękuję ci, mamo. Ty jesteś tak zaprzyjaźniona z Wszechmocnym, że na pewno szybko wyprosisz mi odpowiedź.

Colleen weszła na tylną werandę, delektując się chłodnym wiatrem owiewającym jej twarz. Skończyła czytać bajkę na dobranoc Deirdre i teraz nie wiedziała, co z sobą począć. Nie była jeszcze na tyle zmęczona, żeby iść do łóżka, gdzie niekończące się myśli o Rylanie skakałyby w jej głowie jak wiewiórki na drzewie. Miała nadzieję, że ciche nocne odgłosy farmy ukoją jej duszę.

Zeszła po schodach, by przejść się w kierunku stajni, podziwiając srebrną poświatę księżyca jasno oświetlającą odległe łąki. Płomień zapalki zwrócił jej uwagę ku ogrodzeniu, przy którym Gil zaciągał się dymem z cienkiego cygara - tego samego rodzaju, jakie czasem palił tata.

- Cześć, Gil. - Podeszła do niego. - Czy wolno mi stać z tobą przy płocie? Nie chciałabym wywołać kolejnych problemów z moją siostrą. Zacisnął szczęki.

- Twoja siostra powinna nauczyć się, żeby nie wyciągać pochopnych wniosków za każdym razem, kiedy rozmawiam z jakąś kobietą.

Wieczorny wiatr okręcił jej spódnicę dookoła kostek i porozrzucił pasemka włosów wokół twarzy. Tak bardzo marzyła, żeby Rylan mógł być z nią tutaj w tej chwili. Obserwowała, jak Gil posyła smugę dymu w powietrze.

- Jako że rzadko zdarza ci się palić, domyślam się, że coś cię trapi.

- Można tak to ująć.

- Interesy czy Brianna? Rzucił jej krótkie spojrzenie.

- Po trochę każdego, ale przede wszystkim Brianna.

- Jeszcze cię nie przeprosiła? - Minął już tydzień od ich rozmowy i Colleen zakładała, że Brianna poszła za jej radą.

- Przeprosiła. Tylko ja nie jestem pewien, czy przyjąłem jej przeprosiny. - Czubkiem buta zaczął kopać w ziemi. - Dopóki będzie się nieustannie kierować swoimi podejrzeniami nie zdoła całkowicie mi zaufać. A bez zaufania nie możemy ruszyć w przyszłość.

Colleen oparła się na górnej belce ogrodzenia, wdychając głęboko nocne powietrze.

- To przede wszystkim moja wina - powiedziała cicho. - Nie

jestem z tego dumna, ale muszę przyznać, że zawsze chciałam jej odebrać to, na czym jej zależało... nie wyłączając ciebie. - Ogarnęło ją poczucie żalu, gdy uświadomiła sobie, jak bardzo jej egoistyczne postępowanie wpłynęło na Briannę. Gil przyjrzał się jej badawczo.

- Dlaczego tak jest?

W jego głosie nie wyczuła oceny, jedynie ciekawość.

- Myślę, że byłam zazdrosna o to, że Bree zawsze była taka idealna, o jej inteligencję i o to, że każdy ją kochał. - Wzruszyła ramionami. - Staralam się jej zadośćuczynić, ale zdaję sobie sprawę, że ciężko jest uwierzyć w tę moją tak daleko idącą przemianę.

- Domyślam się, że zakochanie się w przyszłym księdzu może pomóc szybko odnaleźć sumienie.

Westchnęła z oporem.

- To prawda.

- Masz jakiś pomysł, jak przekonać Briannę, że moje uczucia do niej są prawdziwe? -Zmierzyła go figlarnym wzrokiem.

- Inne niż ten oczywisty?

- Czyli jaki?

- Poproś ją o rękę. Jaki znasz lepszy sposób na to, aby udowodnić, że ją kochasz, i sprawić, żeby poczuła się bezpiecznie?

Zmarszczył brwi.

- Nie mogę tego zrobić bez zgody waszego ojca. Kiedy pierwszy raz powiedziałem mu o tym, odesłał mnie na Manhattan.

A więc tata *sprzeciwił się* związkowi Gila i Bree. Opierając się o drewniany płot, Colleen wpatrywała się w niego uważnie.

- A próbowałeś ostatnio? Wydaje mi się, że ten, kto otarł się o śmierć, może zmienić poglądy na wiele spraw.

- Też o tym pomyślałem.

- Zatem co jeszcze cię zatrzymuje? Zawahał się z marsową miną.

- A co, jeśli znów odmówi?

- Naprawdę pozwolisz, żeby tata stanął na waszej drodze?
-Skrzyżowała ramiona. - To jasne, że się kochacie, więc chyba warto się trochę postawić, nie sądzisz?

- Nie, jeśli wasz ojciec miałby się wyprzeć Brianny. Nie mógłbym żyć ze świadomością, że spowodowałem rozłam w rodzinie.

- Zaufaj mi. Tata może ryczeć jak byk, ale jest bardzo ostrożny, jeśli chodzi o kobiety w jego życiu. A poza tym, mama nigdy by mu na to nie pozwoliła.

Cień niepokoju przebiegł przez jej umysł, kiedy uświadomiła sobie o możliwości stoczenia podobnej batalii z tatą w sprawie Rylana. Jednakże w głębi serca była pewna, że zrobiłaby wszystko, co możliwe, żeby go poślubić - gdyby tylko miała taką okazję.

Zjesz z nami dzisiaj śniadanie! Cóż za wspaniała niespodzianka. - Brianna pochyliła się, by ucałować policzek taty, szczęśliwa, że wreszcie widzi go siedzącego na swoim miejscu u szczytu stołu, z poranną gazetą i kawą w zasięgu ręki.

Podeszła, żeby ucałować mamę, która wyglądała już o wiele lepiej. Jej policzki nabrały koloru, a cienie wokół oczu nie były już tak głębokie.

- Lekarz stwierdził, że wasz tata może już korzystać ze schodów, jeśli będzie chodził powoli i z czyjąś pomocą. - Uśmiechając się, spojrzała na swojego męża.

- Czy musiałaś im to wszystko mówić? - warknął w odpowiedzi, ale Brianna kątem oka dostrzegła, jak puścił oko do mamy.

Do domu O'Learych powróciła dawna harmonia i Brianna rozkoszowała się tą atmosferą. Connor i Deirdre chichotali z jakiegoś własnego dowcipu, podczas gdy Gil z apetytem pałaszował swoją kiełbaskę.

Brianna pociągała właśnie pierwszy łyk kawy, kiedy do pokoju weszła Colleen, tłumiąc ziewnięcie.

- Dzień dobry wszystkim. - Nagle zrobiła wielkie oczy. - Tato! Ty jesteś tutaj!?

- A jestem, kochanie. Dobrze być znów z rodziną. - Obdzielił uśmiechem wszystkich wokół stołu, pochmurniejac jedynie na chwilę, kiedy jego wzrok spoczął na pustym krześle Adama.

Brianna zgarnęła łyżkę jajecznicy, starając się zignorować spojrzenie Gila. Nadal nie wiedziała, czy ojciec miał okazję przedstawić

mu propozycję udziałów w farmie. Nawet, jeśli tak, Gil nic o tym nie wspomniał. W ogóle miała wrażenie, że unikał jej ostatnio. Wydawało się, że przyjął przeprosiny, ale może stwierdził, że tego wszystkiego nie da się wybaczyć. A może chciał ją ukarać za jej brak wiary w niego...

Spojrzała znad swojego talerza i zauważyła, że ojciec usilnie się jej przygląda.

- Brianno, słyszałem, że pomagasz Colleen w pracy w sierocińcu.

- Tak, i bardzo mi się to podoba. Dzieci są wspaniałe.

- A kiedy już mówimy o sierocińcu, co się dzieje z kuzynem Rylanem? Czy nie miał być z nami przez kolejne dwa miesiące?

Widelec Colleen upadł z brzękiem na podłogę i szybko schyliła się, by go podnieść.

- Dostał wiadomość, że jego mama jest chora i musiał wrócić do Irlandii. - Brianna domyślała się, że ojciec nie będzie więcej dopytywał. Jej matka jednak to inna sprawa.

- Kuzynka Beatrice jest chora? Dlaczego nikt mi nie powiedział? - Mama przebiegła wzrokiem od Brianny do Colleen, której twarz stała się nagle purpurowa, a zaraz potem biała.

Ponieważ Colleen wydawała się zaniemówić, Brianna podjęła konwersację.

- Przepraszam, mamó, myślałam, że Rylan ci powiedział. Mama przybrała gniewną minę.

- Nie. Ostatni raz, kiedy rozmawialiśmy bardziej szczegółowo, to było w szpitalu, ale nie wspominał nic o matce. Wydawał się smutny. Powiedział coś o kryzysie wiary i że wraca do Bostonu.

James stuknął filiżanką, odstawiając ją na spodek.

- Boston? Brianna powiedziała, że pojechał do Irlandii. Colleen była na granicy płaczu.

Brianna westchnęła.

- Tato, nie jest tajemnicą, że Rylan pojechał z powrotem do

Bostonu na rekolekcje, a kiedy tam przebywał, otrzymał wiadomość o matce. Z pewnością wróci, kiedy tylko jej się poprawi. -Uspokajający ton Brianny wydawał się rozwiewać wszelkie wątpliwości taty.

Lepiej, żeby Colleen prędzej czy później uporządkowała cały ten bałagan. A przynajmniej powiedziała rodzicom o tym, co zaszło między nią a Rylanem.

- A poza pomaganiem w sierocińcu, czym się ostatnio, dziewczęta, zajmowałyście? Jakież perspektywy na znalezienie przyzwoitego męża?

Brianna rzuciła okiem na Colleen, która z minuty na minutę robiła się coraz bardziej blada.

Mama posłała tacie surowe spojrzenie.

- Jamesie, to twój pierwszy dzień z rodziną. Nie zaczynaj od naciskania na wszystkich.

Brianna wzięła głęboki wdech. Nie będzie lepszego czasu niż ta chwila, żeby jasno przedstawić swoje zamiary i odciągnąć temat rozmowy od planów małżeńskich.

- Ja na przykład zaczynam w przyszłym tygodniu zajęcia w col-legeu - powiedziała radośnie. - Ciocia Fiona dzwoniła, żeby powiedzieć, że zostałam przyjęta do Barnard Hall.

Pokój wypełniło milczenie. Brianna uniosła głowę i zobaczyła, że cała rodzina patrzy na nią oniemiała z zaskoczenia.

- Dlaczego jesteście tak zdziwieni? Wiedzieliście, że planuję zapisać się na uniwersytet. - Rzuciła ojcu nerwowe spojrzenie. Jego usta zacisnęły się w wyrazie pełnym dezaprobaty, ale jakimś cudem nie odezwał się.

Mama zamrugnęła z niedowierzaniem.

- Myślałam, że po powrocie do domu zmieniłaś zdanie.

- Nie, mam - powiedziała łagodnie. - Przyjechałam tu, żeby pomóc, ale cały czas planowałam wrócić do cioci Fiony. Wyjeżdżam zaraz po Święcie Pracy.

Krzesło Gila zaszurało po podłodze, kiedy gwałtownie wstał od stołu.
- Przepraszam, ale praca czeka. - Jego szczęka drgała, a kiedy wychodził, ostentacyjnie odwrócił wzrok.

Serce Brianny zamarło. Odsunęła od siebie talerz z niedojedzonymi jajkami. Nie była już głodna. Dlaczego jej pójście do college'u wzbudzało u wszystkich takie kontrowersje? I dlaczego wydawało się, że Gil nagle pogniewał się na nią z tego samego powodu? Czyż on sam nie zachęcał jej do tego, by podążała za swoimi marzeniami?

Connor i Deirdre wykorzystali szansę, żeby odejść od stołu i wybiec z pokoju na moment przed tym, jak pani Johnston weszła z poranną pocztą. Gospodyni uśmiechnęła się do taty, kładąc przed nim stosik.

- Dzień dobry, panie O'Leary. Cieszymy się, że zajął pan z powrotem właściwe panu miejsce.

- Dziękuję ci, Alice. Czy to moja poczta?

- Tak, proszę pana. - Wyjęła jedną kopertę z kupki. - Wszystkie oprócz jednego, adresowanego do pani Colleen.

Oczy taty zwęziły się, odnotowując miejsce nadania.

- Dlaczego Colleen miałyby dostać list z Irlandii?

Początkowy przypływ radości Colleen z otrzymania jakiegokolwiek korespondencji od Rylana zmienił się w przerażenie. Jak ona to wytłumaczy? Nie była jeszcze gotowa, żeby powiedzieć rodzicom o swoich uczuciach do niego.

Mama spojrzała na nią nieufnie.

- Czy to od kuzyna Rylana?

Colleen udawała, że uważnie czyta adres.

- Ależ tak, to od niego! Pewnie... jest ciekawy, co u... dzieci

z sierocińca. Będzie chciał wiedzieć, jak się ma mała Delia.

Jej serce boleśnie łomotało w piersi. Czy rodzice przejrzą jej mgliste tłumaczenia? Jej rumieniec i jąkanie na pewno zdradzały, że coś ukrywa.

- Zatem otwórz go, kochanie. - Mama odstawiła filiżankę. - Chętnie usłyszę, co pisze o zdrowiu swojej matki.

Palce Colleen ściskające kopertę zbieleły. A jeśli tam są złe nowiny? Jeśli Rylan napisał, że zostaje w Irlandii na zawsze?

Dobry Boże, jak ja mam z tego wybrnąć?

Zagryzła dolną wargę i złamała pieczęć na kopercie. Przebiegnie wzrokiem list w poszukiwaniu fragmentu o jego matce, a następnie znajdzie wymówkę, żeby wyjść z pokoju. Świadoma, że wszystkie oczy skupiają się na niej, wyjęła kartkę, rozłożyła ją i przejrzała pismo. W jej sercu rozlało się poczucie ulgi.

- Stan zdrowia jego matki poprawił się i... - jej serce radośnie podskoczyło - ...wraca do domu.

- Domu?

- To znaczy, do Nowego Jorku. - Colleen starała się stłumić okrzyk szczęścia. - Pisz, że pierwszego września wypłynie parowcem „Olympic”. - Zrobiła wielkie oczy. - To wczoraj. A więc jest już w drodze.

Mama wzięła serwetkę i wytarła kąciki ust.

- To bardzo dobre wiadomości o kuzynce Beatrice. Jestem pewna, że Rylan jest teraz dużo spokojniejszy. Ale nie rozumiem, dlaczego wraca tak szybko.

- Szybko? Nie było go przez trzy tygodnie. - Słowa same wyrwały się z ust Colleen, zanim zdążyła się pohamować.

Brianna odsunęła krzesło i wstała.

- Pewnie w seminarium chcą, żeby jak najszybciej kontynuował swoje praktyki.

Colleen posłała jej pełne wdzięczności spojrzenie i złożyła list. Tata wziął gazetę.

- Powiedziałaś, że płynie na „Olympicu“?
- Tak, a czemu pytasz?
- Zdaje się, że czytałem coś o nim w dzisiejszej prasie. A tak, to tutaj.
- Zrobił marsową minę i uniósł zmartwione oczy na Colleen, a potem na mamę. - Obawiam się, że ten statek miał wypadek. Kolidacja morska. Colleen wydała stłumiony krzyk i chwyciła się mocno brzegu stołu, kiedy cały pokój zawirował jej przed oczami. To nie mogła być prawda! Nie, kiedy Rylan do niej wracał. Ojciec przebiegł wzrokiem artykułu, a zmarszczki na jego czole zelżały.
- Nie ma się czym martwić. Wszyscy na pokładzie są cali. Piszą, że kapitan musiał zawrócić i zawinąć do najbliższego portu w Anglii. Pasażerowie zeszli na ląd, a statek został odesłany do Belfastu do naprawy, która może potrwać parę tygodni.
- Parę tygodni? Ledwie pojawiła się isierka nadziei, a już zgasła i Colleen będzie musiała czekać kolejne tygodnie? Łzy napłynęły jej do oczu, zanim zdążyła je opanować. Zdusiła w sobie szloch i zerwała się, nadal ściskając w ręce list. Ignorując pełne zaniepokojenia pytania mamy, wybiegła na korytarz i ruszyła na górę po schodach do samotni swojej sypialni.
- Stąpając na palcach, Brianna opuściła pokój, uradowana, że rodzice byli zbyt zaskoczeni wypadkiem na morzu i niezwykłą reakcją Colleen, żeby poruszać znowu temat jej planów.
- U stóp schodów zawahała się przez chwilę. Pragnienie pocieszenia siostry walczyło w niej z chęcią porozmawiania z Gilem. Colleen potrzebowała chwili samotności, by w spokoju przeczytać list Rylana i przetrwać obecny obrót spraw. Bree westchnęła. Pójdzie zatem do Gila.

Brianna spodziewała się, że poszedł do stajni - miejsca, które było dla niego schronieniem, gdy trażyły go jakieś problemy. Być może dosiadał już Monarchy, jak często czynił, kiedy szukał ukojenia. Nieważne. Nawet jeśli go tam nie będzie, odwiedzi Sophie i Sebastiana.

Parę minut później znalazła Gila w siodłami z pochyloną głową i rozedrganymi rękami, zawzięcie szorującego jedno z siodeł. Nawet nie spojrzał, kiedy weszła.

Oparła się o framugę, obserwując go przez jakiś czas.

- Jeśli nie będziesz bardziej delikatny, to nie zostanie ani kawałka skóry na tym siodle.

Nie patrząc na nią, zatrzymał na chwilę dłoń, żeby zaraz potem na nowo zacząć szorowanie.

- Zamierzałaś mi w ogóle powiedzieć, że wyjeżdżasz? Czy obudziłbym się pewnego poranka i zobaczył, że już cię nie ma?

Jego cierpki ton sprawił, że się wzdrygnęła, ale nie dała za wygraną.

- Nie sądziłam, że muszę ci cokolwiek mówić. Wiedziałeś, że ciocia zapisała mnie do Barnard. Przyjechałam do domu tylko po to, żeby pomóc mamie, zanim zaczną się zajęcia.

Zerwał się na nogi, a jego niebieskie oczy ciskały błyskawice.

- Wróciłaś tylko dla swojej mamy - nie z innego powodu? Poczula w policzkach uderzenie ciepła, ale nie ustąpiła.

- Dodatkową korzyścią było to, że mogłam spędzać czas z tobą. Gil rzucił szczotkę do pobliskiego wiadra. Woda wychlapała się po bokach.

- Powiedziałaś, że chcesz mi pomóc zrealizować moje marzenia. Myślałem, że oznacza to gotowość wyjazdu ze mną, kiedy już będę mógł kupić swoją własną posiadłość. A może to była tylko taka fantazja?

A więc tata nie mówił mu jeszcze nic o spółce. Może zmienił zdanie. Wyprostowała się, odsuwając się od drzwi.

- Podtrzymuję to, co powiedziałam, ale spodziewałam się, że stanie się to dopiero po moim ukończeniu studiów. Nie sądziłam, że mógłbyś mieć wystarczająco dużo oszczędności już teraz.

- A co, jeśli będę gotowy za sześć miesięcy? Spodziewasz się, że będę czekał pozostałe dwa i pół roku?

Myśl, że nie uważał jej za wartą czekania, przeszła ją do szpiku kości. Chyba już nigdy nie uda jej się zasłużyć na uznanie. Ani ojca, ani Gila. Stłumiony gniew w jej wnętrzu spiął jej wszystkie mięśnie.

- Nie wiedziałam, że oczekujesz, iż porzucę swoje marzenia dla twoich.

- To niesprawiedliwe. - Odwzajemnił jej spojrzenie.

- Wiesz co jest niesprawiedliwe, Gil? Te mieszane sygnały, które wysyłasz mi od czasu twojego powrotu. W jednym momencie mnie całujesz, a w następnej chwili wymierzasz karę za to, że ci nie ufam.

- Nie karzę cię!

- Jak najbardziej, właśnie to robisz! Od kiedy urządziłeś mi ten wykład na temat zaufania, prawie w ogóle się nie widywaliśmy. I nie mów mi, że to dlatego, że byłeś zbyt zajęty finansami.

Stał z szeroko otwartymi ustami, gapiąc się na nią, tak jakby nie mógł zrozumieć jej słów. Nie zdawał sobie sprawy z tego, co robił...

- Jestem zmęczona, Gil. Zmęczona walką o każdy skrawek uwagi ze strony mojej rodziny i z twojej. Zmęczona czekaniem na to, co mój tata albo ty zdecydujecie o mojej przyszłości. Zatem składam swoje życie w ręce Boga i robię to, co wydaje mi się dla mnie dobre. Mam nadzieję, że pewnego dnia to zrozumiesz.

Odwróciła się i wymaszerowała ze stajni, trochę licząc na to i pragnąc, żeby on ruszył za nią, żeby ją przytulił i przeprosił, żeby powiedział, że w zasadzie miała rację.

Ale kiedy dotarła do domu i odwróciła się w kierunku stadniny, nigdzie nie dostrzegła Gila.

Colleen usiadła na wyłożonym poduszkami siedzisku w oknie swojej sypialni, podciągając kolana pod brodę. Chmara pytań kotłowała się w jej głowie. Gdzie teraz przebywał Rylan? Samotny gdzieś w Anglii? Czy będzie czekał, aż zakończy się naprawa statku, czy poszuka innego? Wątpiła, by miał za co kupić nowy bilet, więc spodziewała się, że będzie zmuszony czekać, aż „Olympic” stanie się z powrotem gotowy do żeglugi. To oznaczało, że prawdopodobnie Colleen nie zobaczy go jeszcze przez najbliższy miesiąc. Kolejny miesiąc zamartwiania się i zastanawiania, jaką podjął decyzję w kwestii przyszłości. *Ich* przyszłości.

Westchnęła i otworzyła list, mając nadzieję, że kiedy przeczyta go po raz kolejny, odnajdzie jakąś zakamuflowaną informację o jego zamiarach, którą mogła przeoczyć. Sam fakt, że planował wrócić do Nowego Jorku zamiast bezpośrednio do Bostonu dawał jej cień nadziei. Ale z drugiej strony, nawet gdyby przynosił ze sobą złe wieści, pewnie chciałby jej to przekazać osobiście.

Najdroższa Colleen!

Pobył w moim domu w Irlandii był jak balsam dla mojej duszy. Zapomniałem już, jak bardzo kocham wieś, zapach morskiego powietrza i, przede wszystkim, jak bardzo brakowało mi rodziny.

Zadrżała. Czy chciał jej powiedzieć, że zdecydował się po ukończeniu seminarium wrócić do Irlandii?

Z radością stwierdziłem, że stan zdrowia mojej mamy znacznie się polepszył. Wyszła już z zapalenia płuc, ale lekarze nie chcą, by ryzykowała zdrowiem podczas ciężkiej zamorskiej podróży. Cieszę się z czasu, który spędziłem z moimi braćmi i siostrą. Powrót do domu dał mi jasność co do mojej przyszłości. Muszę z Tobą porozmawiać, kiedy tylko wrócę do Nowego Jorku, co też jest głównym powodem tego listu. Zarezerwowałem bilet na statku „Olympic”, który wypływa z portu pierwszego września. Wstępna data dotarcia do Nowego Jorku jest szacowana na ósmego września. Planuję przybyć od razu do Irlandzkich Łąk, jeśli to nie będzie problemem dla Ciebie i dla Twojej rodziny. Do tego czasu, niech Wam wszystkim błogosławi Bóg.

Całuję, Rylan.

Kręciło jej się w głowie i miała wrażenie, że cały jej mózg pulsuje nieznośnie. Przeanalizowała każde słowo listu, ale nie umiała wyciągnąć z tego żadnego jednoznacznego wniosku. Nadal nie miała pojęcia, co zadecydował w sprawie swojej przyszłości. A teraz będzie musiała czekać kolejny miesiąc, zanim się tego dowie.

Panie, dziękuję Ci za to, że chronisz Rylana. Przebacz mi moje rozczarowanie i daj mi łaskę, bym przyjęła Twoją wolę dotyczącą nas obojga.

Ciszę przerwało pukanie do drzwi. Otarła oczy, przyglądała włosy i wetknęła list pod poduszkę.

- Proszę wejść.

Jej matka weszła do pokoju i zamknęła za sobą drzwi z cichym stuknięciem.

- Wydaje mi się, że musimy porozmawiać. - Mama przybrała poważny wyraz twarzy i podeszła, by usiąść przy oknie.

Z westchnieniem Colleen przesunęła się, żeby zrobić jej miejsce.

- Myślę, że tak. - Bawiła się wstęgą przy swojej sukni, intensywnie szukając w głowie słów, którymi mogłaby zacząć tę rozmowę.

Mama wygładziła materiał jej spódnicy.

- Zechciałabyś mi powiedzieć, co łączy ciebie i Rylana? I nie traktuj mnie jak głupią, mówiąc, że chodzi tylko o sierociniec.

Colleen wzięła jedną poduszkę i wtuliła się w nią, tak jakby tkanina miała stłumić szok, jaki wywoła jej sekret.

- Żadne z nas tego nie chciało, mammo... - Zawahała się, z przykrością zauważając, że coś tak pięknego zdaje się brzmieć tak obrzydliwie i grzesznie. - Rylan i ja... zakochaliśmy się w sobie.

Gwałtowny wdech mamy sprawił, że Colleen się wzdrygnęła. Co pomyślą o niej jej rodzice?

- Jak to się stało? Na Boga, przecież on ma być księdzem!

- Nie wiem... Ja nawet na początku wcale go nie lubiłam. - Colleen cała w środku drżała, czując narastającą powagę sytuacji.

- Potem widziałam jego wspaniałe podejście do dzieci w sierocińcu Świętej Rity... Był taki uprzejmy wobec zakonnic... I mnie także traktował jak kogoś szczególnego. On rozumie, kim naprawdę jestem w środku i on... on mnie ceni. - Cały obraz zamazał się w jej oczach, kiedy trysnęły z nich łzy.

Mama otoczyła ją ramionami. Colleen oparła się o nią, łkając na jej ramieniu tak, jak już nie czyniła od czasu, gdy była małą dziewczynką.

- A my cię nie doceniamy? - Cierpienie przepełniało delikatne pytanie mamy.

- Ty i tata, tak. Ale nie mężczyźni, którzy starali się zdobyć moją uwagę. Oni zawsze sprawiali, że czułam się piękną, ale pustą w środku lalką. Dopóki nie zaczęłam pomagać w sierocińcu, nie wiedziałam, jak to jest mieć swój udział w czymś wartościowym. Moja praca tam jest ważna, mammo. Dzieci... one mnie kochają.

- Oczywiście, że cię kochają. Jesteś ciepłą, wspaniałą osobą.

- Mama wyciągnęła w jej stronę chusteczkę. - Ale wracając do Rylana, jaki miał w tym interes, żeby rozkochać w sobie dziewczynę, skoro obiecał poświęcić swoje życie Bogu?

- Nie wiń za to Rylana, mamó. To niczyja wina. On... on pomagał mi w mojej wierze. Zaczęłam czytać Biblię i modlić się. - Zawahała się i dopiero po chwili dodała: - Rylan pomógł mi zadośćuczynić za straszne rzeczy, których dopuszczałam się dawniej.

- A więc był tak jakby twoim duchowym ojcem? -Tak.

- Co zatem sprawiło, że to się zmieniło? Colleen w dłoniach zwinęła chusteczkę w kulkę.

- Tego dnia, kiedy dowiedziałam się, że Delia została adoptowana, Rylan odnalazł mnie płaczącą. Starał się mnie pocieszyć i... skończyło się na tym, że się pocałowaliśmy. Jakoś to się samo stało. - Przez krótką chwilę wspominała tamto wydarzenie. Ten piękny, wstrząsający moment, kiedy bieg życia ich obojga zmienił się na zawsze.

Na twarzy matki pojawiło się zrozumienie.

- To dlatego tak nagle wrócił do Bostonu. Colleen pokiwała głową.

- Ale skąd się dowiedziałas, że pojechał do Irlandii?

- To ja go przekonałam do tego. Dostał list z informacją, że jego matka jest zbyt chora, by przybyć na święcenia. Rylan myślał, że może być już umierająca, więc powiedziałam mu, żeby pojechał, bo będzie bardzo żałował, jeśli jej już nigdy nie zobaczy.

Oczy mamy zwęziły się.

- Kiedy mu to powiedziałaś? Colleen przełknęła ślinę.

- Gilbert zabrał mnie do Bostonu, żebym mogła spotkać się z Rylanem. Musiałam się dowiedzieć, czy dalej planował być księdzem, czy nie.

-1...? Co zdecydował?

Colleen westchnęła z udęczeniem.

- Niestety, nadal tego nie wiem. Nie byłam nawet pewna, czy wróci z Irlandii. Ale teraz już wraca - najprawdopodobniej po to,

żeby osobiście powiedzieć mi o swoim wyborze. - Rzuciła spojrzeniem na mamę, ze smutkiem zauważając zmarszczone brwi. -Przepraszam, że was zawiodłam, ciebie i tatę. Wiem, że tata chciał mnie wydać za majątnego mężczyznę, a nie za kleryka bez grosza przy duszy. - Wydała zduszony śmiech, który zobrazował całą ironię tej sytuacji.

- A więc poślubiłabyś Rylana, gdyby powiedział, że tego pragnie?

Na samo wyobrażenie o tym, krew nagle przyspieszyła w żyłach Colleen.

- Nie mogłabym być bardziej szczęśliwa - westchnęła - ale wygląda na to, że jeszcze trochę muszę poczekać, zanim dowiem się, jakie on ma plany.

Matka podniosła się z wyściełanego siedziska.

- Oświadczyłam twojemu ojcu, że nie będzie więcej żadnych sekretów w naszej rodzinie, i będę się tego trzymać, Colleen. Bardzo mi przykro, że to wszystko działo się bez mojej wiedzy. - Z jej oczu wyzierało poczucie krzywdy. - Dlaczego nie zwierzyłaś mi się? Myślisz, że potępiłabym cię za twoje uczucia?

Colleen skubała koronkowe wykończenie trzymanej w ręku chusteczki.

- To wszystko zbiegło się w czasie z chorobą taty. Nie chciałam dokładać ci zmartwień.

- I starałaś się sama sobie ze wszystkim poradzić?

- W końcu powiedziałam o tym Briannie i Gilowi. Ale nie byłam sama. - Uśmiechnęła się. - Przecież odkryłam na nowo Boga, w którym mam oparcie!

Mama wyciągnęła w jej kierunku dłoń i Colleen chwyciła się jej kurczowo.

- Teraz masz też w nas wszystkich. - Pociągnęła Colleen do siebie i mocno przytuliła. - Nie wiem jakbym sobie poradziła z chorobą ojca, gdyby nie rodzina. Od teraz, niezależnie od decyzji

Rylana, pamiętaj, że możesz liczyć na naszą miłość i wsparcie. Tak bardzo cię kocham, skarbie!

Serce Colleen podskoczyło na te słowa miłości, którą tak wiele razy kwestionowała. Jakże często miała wrażenie, że matka nie była z niej zadowolona, i czuła się gorsza od Brianny.

- Ja też cię kocham, mamo.

Kobieta całowała włosy córki, a rany na sercu Colleen wreszcie zaczynały się goić.

Mama pociągnęła nosem i odsunęła się. Na jej twarzy pojawił się wyraz determinacji.

- Przecież tata nadal ma swoje wpływy w tym miasteczku! Może mógłby wysłać jakiś telegram i dowiedzieć się dokładnie, co się dzieje z tym statkiem?

Gil przystanął przed wejściem do salonu, żeby zebrać myśli. Wiele się zastanawiał od tego dnia, kiedy Brianna wygarnęła mu w siodłami. Musiał przyznać, że miała trochę racji. Prawdopodobnie, nie do końca świadomie *rzeczywiście* karał ją za jej brak zaufania. Na samą myśl o tym, jak bardzo był bezlitosny, paliło go ogromne poczucie wstydu. Jaki przykład chrześcijanina dawał?

Miała także rację co do mieszanych sygnałów, które jej wysyłał. To prawda - powinien zachować się jak mężczyzna i zawalczyć o nią. Zamiast tego poczuł się urażony jej pomysłem pójścia do college u. Obnosił się z tą swoją głupią dumą, jakby to było coś honorowego i pozwolił miłości swego życia wyjechać z domu jedynie z chłodnym pożegnaniem.

Dopiero świecące pustką miejsce w kościelnej ławce w niedzielę rozjaśniło jego umysł. Musiał podjąć decyzję i zacząć działać. Zrobić krok w przód i przedstawić swoje zamiary Jamesowi. Tłumaczył sobie, że powinien poczekać, aż pan O'Leary całkowicie wróci do zdrowia, a tymczasem po prostu bał się poruszyć od nowa temat Brianny. Obawiał się, że James po raz kolejny nie uzna go za godnego kandydata.

Ale teraz, dość już tego!

Zegar dziadka stojący w korytarzu wybił pełną godzinę. Odepchnąwszy od siebie wszelkie obawy, Gil wziął głęboki oddech i wszedł do salonu.

James siedział przed kominkiem, czytając popołudniową prasę.

- Ach, Gil, Właśnie chciałem się z tobą spotkać. - Złożył gazetę i odłożył ją na bok.

- Ja też muszę z panem porozmawiać. - Zbyt zdenerwowany, żeby usiąść, Gil przeszedł przez pokój i stanął obok paleniska. Teraz, gdy stał twarzą w twarz z Jamesem, słowa nie chciały mu przejść przez gardło. Chwycił za pogrzebacz i zaczął szturchać płonące polano.

- Co cię trapi, synu? Jakiś problem w interesach? Gil otrzepał dłonie i odwrócił się.

- Nie, sir.

James przyglądał mu się uważnie.

- Mam nadzieję, że nie dotknęły cię żadne nieprzyjemności z powodu zerwania zaręczyn z Aurorą.

- Nie, poza tym, że wątpię, by ktokolwiek z rodziny Hastingsów chciał jeszcze ze mną rozmawiać. - Uśmiechnął się blado.

James skupił na Gilu poważne spojrzenie.

- Nie powinienem był nigdy wykorzystywać cię w ten sposób. Naprawdę jest mi przykro.

Gil wytrzymał jego wzrok.

- Nie powinienem był na to pozwolić. James potrząsnął głową.

- Wygląda na to, że obaj doszliśmy do ciekawych wniosków bardzo okrężną drogą. Teraz już wiem, że nie wolno nigdy ryzykować swojego zdrowia albo dobra własnej rodziny dla jakiegokolwiek celu.

Gil pokiwał głową, ufając, że to może sprawić, iż James będzie bardziej przychylny wobec jego prośby.

- Właśnie w związku z tym chciałbym pana o coś poprosić. - Odkaszlnął i zbliżył się, aby usiąść w fotelu naprzeciw Jamesa. To pytanie należało zadać twarzą w twarz. - Z największym uszanowaniem chciałem prosić o rękę pańskiej córki.

Twarz Jamesa ani drgnęła.

- Rozumiem. A jak zamierzasz ją utrzymać? Gil poczuł ucisk w żołądku.

- Kiedy już wyjdziemy na prostą z Irlandzkimi Łąkami, chciałbym poszukać kawałka ziemi, żeby założyć swoją własną farmę. -Starał się nawet nie myśleć, jak długo to może zająć.

James przyglądał mu się przez chwilę, aż Gila zdążyły oblać wszystkie poty.

- Właściwie, Gilu, to ja mam dla ciebie propozycję i mam nadzieję, że wysłuchasz mnie do końca, zanim udzielisz odpowiedzi.

Gil przełknął ślinę. Przynajmniej James nie odmówił mu od razu.

- Słucham.

- Wykonałeś tu imponującą pracę od czasu mojej choroby. Wyprowadziłeś nas znad krawędzi niewypłacalności, czego mnie nie udało się dokonać. Teraz, ze względu na zdrowie, które ogranicza moje zaangażowanie w interesy, potrzebowałbym współnika w Irlandzkich Łąkach. Nie znam nikogo, kto by się do tego lepiej nadawał niż ty. Co ty na to? Czy zechciałbyś zainwestować swoje pieniądze tutaj i stać się pełnoprawnym współnikiem?

Gil z zaskoczenia zerwał się na równe nogi i zaczął przemierzać przestrzeń przed kominkiem, starając się pojąć propozycję Jamesa. Czy mógłby zrezygnować ze swojego marzenia i połączyć siły z rodziną O'Leary?

James podniósł się i stanął obok niego.

- Tu jest wszystko, co musiałbyś tworzyć sam od zera. Dam ci nawet część ziemi, gdy będziesz chciał postawić swój własny dom.

Jakaś ukryta część we wnętrzu Gila pragnęła przyjąć tę propozycję. Mógłby zostać tu, gdzie czuł się szczęśliwy jako członek rodziny, którą kochał. To uszczęśliwiłoby też Briannę. Na ile ważne było dla niego uczynienie sławnym nazwiska Whelanów?

- To bardzo hojna propozycja... - zaczął, pocierając dłonią szczękę - ...ale to nadal pańskie dzieło, nie moje.

- Nie do końca. Miałeś ogromny wpływ na rozbudowę tego interesu przez lata. Gdyby nie twój talent do pracy z końmi, nigdy byśmy nie pozyskali obecnych klientów. W rzeczywistości, żeby pokazać ci, że działam w dobrej wierze, mogę nawet dodać twoje nazwisko do aktu własności i nazwy. Jakby ci się podobało: „Irlandzkie Łąki - O'Leary i Whelan Enterprises”?

Cień ekscytacji przemknął przez głowę Gila.

- Czy byłby pan skłonny pozwolić mi dojść do głosu w sprawie zarządzania farmą? Mam parę pomysłów dotyczących rozszerzenia działalności hodowlanej, zwłaszcza teraz, kiedy biznes związany z wyścigami dobiega końca.

James uważnie zmierzył go wzrokiem.

- Będę na to otwarty. Na razie zastanawiam się, czy przetrwamy najbliższy rok lub dwa, więc nie ma jeszcze co rozmawiać o tym, co możemy zrobić w przyszłości.

Jeszcze jedna przeszkoda przyszła mu do głowy.

- A co z Adamem? On już teraz ma mi za złe, że trzymam się rodziny. Jeśli dowie się o tej spółce, może dojść do nieodwracalnego rozłamu.

James wziął fajkę z podstawki na gzymsie kominka i pogładził dłonią cybuch. Jego oblicze przeszły skurcz cierpienia.

- Adam to skomplikowana kwestia. Mój syn może być zaangażowany w pewną działalność, która jest... nie do końca legalna. - Mówiąc to, spochmurniał jeszcze bardziej. - Pojechałem się z nim zobaczyć tego dnia, kiedy składałem wniosek o pożyczkę w banku. Starłem się przemówić mu do rozumu, ale jedyne, co osiągnąłem, to jego jeszcze większy dystans z jego strony.

- To tym bardziej przemawia za tym, żeby nie dawać mu kolejnego powodu do odsunięcia się od rodziny.

James wyprostował się, a jego szczęki zacisnęły się z uporem.

- Obawiam się, że Adam już wybrał swoją drogę, a ja muszę wybrać własną. Nie mogę wiecznie czekać, aż odzyska rozsądek.

Moja propozycja to dobry interes dla Irlandzkich Łąk i dla ciebie. Podtrzymuję to, co powiedziałem.

Gil pokiwał głową, uświadamiając sobie jednocześnie prawdziwość tego stwierdzenia.

- To jednak nadal nie daje odpowiedzi na moje początkowe pytanie. Czy dostanę pozwolenie, by oświadczyć się Briannie?

James położył umięśnioną dłoń na ramieniu Gila.

- Od czasu śmierci twojej matki byłeś dla mnie jak syn. Będę zaszczycony, gdy ogłoszę to oficjalnie i staniesz się moim zięciem. Przykro mi tylko, że potrzeba mi było tyle czasu, żeby sobie to uświadomić.

Gil z trudem opanował ogromną falę radości rozlewającą się w jego piersi.

- To będzie także dla mnie zaszczyt. Przyjmuję pańską propozycję wejścia w spółkę.

- Panno O'Leary, telefon do pani. - Głowa siostry Weroniki wyłoniła się zza drzwi klasopracowni, gdzie Colleen siedziała napełniając kałamarze.

Colleen podniosła wzrok i uśmiechnęła się do wigoru zakonnicy.

- Zdaje mi się, że zgodziłyśmy się, żeby mówiła mi siostra po imieniu. W końcu jesteśmy praktycznie rówieśniczkami.

- Przepraszam, ciągle o tym zapominam. - W jej oczach mignęły iskierki wesołości. - Możesz odebrać w gabinecie siostry Małgorzaty.

- Dziękuję. - Colleen złapała za kawałek ściereczki i wytarła nadmiar atramentu z szyjki kałamarza. Kiedy korkowała buteleczkę, nie mogła powstrzymać wspomnienia tego dnia, gdy Delia rozlała atrament. Wtedy plamy na rękach Colleen były dla niej powodem wstydu - teraz oznaczały ucziwą pracę.

Wyszła z sali i przeszła dziarsko przez korytarz do gabinetu siostry Małgorzaty. Kto mógł dzwonić do niej do sierocińca? Przeszył ją dreszcz niepokoju, ale szybko się otrząsnęła. Nie ma się czym martwić. Zdrowie taty polepszało się z dnia na dzień. Najprawdopodobniej to Brianna dzwoniła od cioci Fiony.

Gabinet był pusty i tylko zasłona w oknie tańczyła na popołudniowym wietrze. Flakon pełen kwiatów polnych stanowił jedyną ozdobę biurka, wypełniając surowe pomieszczenie kolorem i bogactwem zapachu.

Colleen podeszła do ściany i podjęła słuchawkę telefonu, a następnie pochyliła się w stronę mikrofonu.

- Halo?

Nie było odpowiedzi, więc powtórzyła jeszcze dwa razy. Nadal nic. Odwiesiła słuchawkę i zmarszczyła czoło. Może powinna na wszelki wypadek zadzwonić do domu.

Kiedy Colleen czekała, aż zgłosi się operator, rozległo się ledwo słyszalne stuknięcie drzwi. Kątem oka dostrzegła kogoś w wejściu. Dostała gęsiej skórki, gdy nagle uświadomiła sobie do kogo pasuje ta sylwetka. Słuchawka telefoniczna wypadła z jej bezwładnej ręki i uderzyła o ścianę, huśtając się na przewodzie.

- Witaj. - Rylan patrzył na nią, ściskając w dłoni czapkę.

- Rylan. - Colleen zakryła usta dłonią. Była tak wstrząśnięta, że nie była w stanie wydusić ani słowa więcej. Nie mogła pojąć, że to naprawdę on stoi przed nią tutaj, w sierocińcu, skoro miał być gdzieś w połowie drogi z drugiego końca świata.

Charakterystyczny uśmiech rozpromienił jego uroczą twarz, ukazując dołeczki w obu policzkach.

- Wyglądasz na zaskoczoną naszym spotkaniem. Natychmiast z jej oczu trysnęły łzy i popłynęły strumieniami

po policzkach. Bez chwili zastanowienia okrążyła biurko i rzuciła się w jego ramiona, zatapiając swą twarz w ukochanym torsie. Łkała wtulona w niego, wdychając dobrze znany jej zapach mydła

i mięty z nutą kolejowego dymu. Naprawdę już był tutaj - nie gdzieś w Anglii czy Irlandii.

- Ach, Colleen, ależ się za tobą stęskniłem - szeptał jej nad uchem. Jego śpiewny akcent był wyraźniejszy niż przed wyjazdem. Objął ją jeszcze mocniej ramionami.

Gdyby nie miarowe bicie jego serca tuż przy jej uchu, Colleen na pewno myślałaby, że to wszystko jest tylko wytworem jej wyobraźni.

Rylan wręczył jej chusteczkę wyjętą z kieszeni tweedowej marynarki. W jego brązowych oczach dostrzegła błysk.

- Zdaje się, że zawsze osuszam twoje łzy, nieprawdaż? Wytarła wilgotne policzki.

- Co ty tu robisz? Przecież twój statek miał kolizję i wymagał naprawy.

Na jego twarzy odmalowało się zdziwienie, zaraz potem zastąpione nagłym olśnieniem.

- Ach, „Olympic”. W końcu nie popłynąłem tamtym statkiem. Nie mogłem dłużej czekać, więc wymieniłem bilet i wsiadłem na parowiec, który wypływał tydzień wcześniej.

Targała nią burza emocji.

- I nie wpadłeś na to, żeby nas o tym poinformować? Czy ty wiesz, jak bardzo się martwiliśmy, gdy usłyszeliśmy o wypadku?

- Przepraszam. Ja sam dowiedziałem się o nim dopiero po przybyciu do Bostonu.

- Bostonu? - Coś ścisnęło jej serce, a umysł starał się nadażyć za tą karuzelą zmieniających się nowin. A więc wrócił do seminarium. A ona tak się na niego rzuciła. Jej policzki płonęły, gdy uświadomiła sobie, jak bardzo bezwstydnie zareagowała. Powoli uwolniła się z jego uścisku i cofnęła się parę kroków. Jej nogi d rżały pod spódnicą, a na samą myśl, że już go miała na wyciągnięcie ręki, a teraz traci go bezpowrotnie na rzecz Kościoła, przeszył ją dreszcz.

Rylan podszedł i ujął ją za łokieć.

- Wszystko w porządku, kochanie? Może lepiej usiądź. To był zapewne dla ciebie mocny wstrząs.

Chyba raczej katastrofalne wydarzenie. Opadła na krzesło obok biurka, starając się uspokoić nierówny oddech. Musiała się opanować i stawić czoła wszystkiemu, co Rylan miał jej do powiedzenia.

- Zatem podjąłeś już decyzję? Pokiwał głową.

- Najlepsze, co mogłem zrobić, to wyjechać do domu, żeby spotkać się z mamą. Bardzo mi pomogła i rozjaśniła wiele spraw dotyczących mojego życia.

Colleen skręcała w dłoniach chusteczkę Rylana.

- Domyślam się, że twoi przełożeni ucieszyli się, że wróciłeś - wyszeptła, denerwując się na samą siebie, że jej głos wyrażał taką gorycz.

Utkwiła wzrok w jego butach rysujących się na tle pokrzywionej drewnianej podłogi. Choć nie widziała jego twarzy, wyczuwała jego spokój. Chwilę później, przykucnął przed nią i ciepłymi rękami objął jej dłonie.

- Pojechałem do Bostonu złożyć rezygnację - powiedział cicho. - Wszyscy byliśmy zgodni, że to właściwa decyzja.

- Naprawdę? - Skupiła wzrok na jego dłoniach, nie wążąc się jeszcze spojrzeć mu w oczy. Obawiała się nawet dopuścić do siebie nadzieję, z czym to wszystko mogłoby się wiązać.

- Tak. Zdecydowałem, że mam inne powołanie. Przyjąłem nową propozycję pracy.

W jej głowie kotłowały się tysiące bezsensownych myśli.

- Bardzo się cieszę - wydusiła z siebie jedyne zdanie, na które się zdobyła.

- Nie chcesz wiedzieć, co to za praca?

- Ależ oczywiście. - Usta wypowiedziały oczekiwaną odpowiedź, ale jej serce wznosiło już barykadę, która miała uchronić

ją od cierpienia.

- Zostałem nowym kierownikiem sierocińca Świętej Rity. Siostra Małgorzata zdecydowała się przejść na emeryturę i potrzebuje teraz zastępcy.

Colleen poczuła ostre ukłucie bólu. Nie wspomniał nic o swoich uczuciach ani o ich wspólnej przyszłości. Tylko o swojej karierze. Gdzie w tym wszystkim była ona?

Uniósł jej podbródek, tak że ich spojrzenia skrzyżowały się.

- Chyba nie wyraziłem się wystarczająco jasno. Zapomniałem o najważniejszej rzeczy. - Wyprostował zgarbione plecy i przykląkł na jedno kolano. - Colleen Elizabeth O'Leary, skradłaś moje serce od pierwszej chwili, gdy się spotkaliśmy. Kocham cię nad życie i jeśli mnie przyjmiesz, chciałbym spędzić z tobą resztę moich dni, świadcząc ci nieustannie o prawdziwości tego wyznania.

Ogrom emocji ścisnął jej gardło tak, że żadne słowo nie było w stanie się precyzyjnie wyrazić. Jak oniemiała gapiała się w najszczerze brązowe oczy, a cały pokój wirował dookoła.

Rylan uniósł z rozbawieniem jedną brew.

- Na wypadek, gdybyś jeszcze miała jakieś trudności ze zrozumieniem, proszę cię właśnie o rękę.

- Naprawdę? -Tak.

W ogóle nie spodziewała się oświadczeń. W zasadzie tylko raz się całowali.

- Jesteś pewien?

- Bardziej niż czegokolwiek w życiu. Te ostatnie tygodnie bez ciebie były dla mnie torturą. Nie chcę już ani jednego dnia rozłąki. Jeśli oczywiście mnie przyjmiesz. - Jego pełne powagi spojrzenie szukało jej rozbieganego wzroku.

- I nie będziesz żałował, że musiałeś porzucić kapłaństwo? - Jej ręce drżały, gdy uświadomiła sobie swoją rzeczywistą obawę. A co, jeśli nie będzie szczęśliwy, gdy ją poślubi?

- Szczerze mówiąc, odczuwam raczej ulgę. Uświadomiłem sobie, że wstąpiłem do seminarium tylko po to, żeby sprawić radość mamie, a nie z prawdziwego powołania. Nadal mogę służyć Bogu - i jednocześnie kochać ciebie. - Puścił do niej oko.

Przełknęła ślinę i bezwładnie machnęła ręką.

- A gdzie my będziemy mieszkać? Rylan roześmiał się, mówiąc:

- Czy musimy o tym decydować właśnie teraz? Jej usta drżały.

- A jesteś pewien, że wytrzymasz ze mną? Według tego, co mówi moja rodzina, to nie jestem łatwa w obyciu.

Przyglądał się jej w zamyśleniu.

- Aha, chyba już widzę problem. Patrzysz na to głową, a nie sercem. - Podniósł się z klęczek i podał jej rękę, by wstała. Delikatnie ujął jej twarz i powoli zbliżył swoje usta do jej warg.

Gdy tylko poczuła smak pocałunku, jej dusza uniosła się z radości. Z ust Colleen dobył się cichy jęk i wtopiła się jeszcze mocniej w niego, pragnąc spijać każdą kroplę tej słodyczy. Jego miłość była tak wyraźnie wyczuwalna w czułości, z jaką ją całował i delikatności, z jaką gładził jej twarz palcami.

Kiedy wreszcie ją puścił, otworzyła oczy i ujrzała jego roześmianą twarz.

- Może teraz wreszcie odpowiesz na moje pytanie. Jej serce waliło w oszalałym tempie.

- Tak. - To jedno słowo samo wyskoczyło z jej piersi na najbliższym wydechu.

- Wyjdiesz za mnie?

- Tak, wyjdę za ciebie. - Śmiech balansujący na granicy hysterii rozległ się z całą mocą.

Z okrzykiem uniósł ją wysoko i okręcił się z nią, aż zawiroowało jej w głowie. Potem ujął jej twarz w dłonie i ponownie mocno ucałował.

- Obiecuję poświęcić całe swoje życie, by zrobić wszystko, abyś była szczęśliwa, Colleen O'Leary.

Zanim zdążyła złapać oddech, chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą na drugi koniec pokoju.

- A teraz, gdy już odzyskałaś przytomność, mam dla ciebie kolejną niespodziankę. - Jednym pociągnięciem otworzył drzwi i poprowadził ją w głąb korytarza, zatrzymując się przed wejściem na świetlicę. - Ale najpierw muszę zadać ci jedno pytanie. W zasadzie, bardzo ważne. Czy chcesz mieć dzieci? - Jego szeroki uśmiech kompensował tę zuchwałość.

Colleen zarumieniła się.

- Oczywiście, chciałabym kiedyś mieć dzieci...

- Kiedyś? To brzmi tak odległe. - Jego oczy błysnęły figlarnie.

- Myślałem o bliższej perspektywie. - Otworzył drzwi i wskazał jej gestem, by weszła.

- Panna O'Leary! - Znajomy dziecięcy głosik odbił się echem w wielkim pomieszczeniu.

Usta Colleen otworzyły się bezwiednie na widok Delii pędzącej w jej kierunku. Upadła na kolana i pochwyciła w objęcia małą dziewczynkę. Nie była w stanie zatamować kolejnej fali łez płynących po jej policzkach.

Ścisnęła Delię tak mocno, że dziecko aż pisnęło, a potem zasypała jej buźkę pocałunkami, nie zważając nawet na lepkie resztki cukierków na małych usteczkach.

- Delia! Tak bardzo za tobą tęskniłam. Co ty tutaj robisz? Twoja rodzina przywiozła cię w odwiedziny?

Blond loczki zatrzęśły się w przód i w tył, a jej wargi wygięły w podkówkę.

- Nie. Nie chcieli mnie już, więc pan Rylan przyjechał i zabrał mnie stamtąd.

Oburzenie zmieszane ze smutkiem zmroziły Colleen, kiedy wzięła Delię na ręce i zwróciła się w kierunku Rylana.

- Czy rodzina może ją tak po prostu oddać? - Jej serce krwawiło, współczując takiemu dziecku, które dostało szansę nowego domu, a zaraz potem zostało odrzucone przez rodzinę.

Żal widoczny na twarzy Rylana mówił sam za siebie.

- Obawiam się, że tak, kochanie. Zgodnie z procedurą adopcyjną istnieje klauzula o trzymiesięcznym okresie na sprawdzenie, czy dziecko zaaklimatyzuje się w nowym miejscu.

- Ale skąd się dowiedziałeś?

- W seminarium był dla mnie list od siostry Małgorzaty, a ponieważ ta rodzina mieszkała blisko Bostonu, pojechałem tam i odebrałem Delię, żeby przywieźć ją tutaj.

Mała, trochę lepka rączka Delii skierowała twarz Colleen blisko swojej.

- Teraz ty będziesz mogła być moją mamusią. - Jej pełne ufności niebieskie oczy, tak poważne i szczerze, przenikały wewnątrz Colleen. Jak mogłaby jej odmówić po tym wszystkim, co przeszła?

Rzuciła zrozpaczone spojrzenie na Rylana, który uśmiechał się teraz z zamglonym wzrokiem.

- O ile nie oczekuję zbyt wiele - zaczął - co byś powiedziała, gdybyśmy zaadoptowali tę malutką dziewczynkę po naszym ślubie?

Serce Colleen skakało z radości. Ten mężczyzna dał jej wszystko, o czymkolwiek do tej pory marzyła.

- Kocham cię, Rylanie Montgomery. Prawie tak bardzo, jak tego szkraba. - Ucałowała twarzyczkę Delii i znów ją mocno ścisnęła, śmiejąc się i płacząc jednocześnie.

- Będę bardzo szczęśliwa, mogąc być twoją mamą - jeśli tylko zgodzisz się, żeby pan Rylan był tatą.

Delia roześmiała się.

- Myślę, że tak.

Rylan objął je obie, całując Colleen w skronie.

- Kocham was bardzo. To niesamowite błogosławieństwo, że

Bóg postawił was na mojej drodze.

- Czy będę musiała mieszkać w sierocińcu? - Delia zmarszczyła nosek, zadając nurtujące ją pytanie.

- Przez jakiś czas tak. Do czasu, aż panna O'Leary i ja weźmiemy ślub i znajdziemy jakiś dom. Ale do tej pory będziemy tu z tobą codziennie.

- A jak będziecie mieć już mieć dom, to będę mogła mieć pieska? - zapytała z szelmowskim uśmiechem.

Colleen stłumiła śmiech.

- Dostajesz mamę, tatę, nowy dom, a ty chcesz jeszcze pieska? Jej mała główka opadła gwałtownie.

- Przepraszam. Jestem zbyt chciwa, tak? Rylan wyjął dziecko z objęć Colleen.

- Nie, ale nie możemy teraz nic obiecywać, dopóki nie dowiemy się, gdzie będziemy mieszkać. - Ucałował ją w główkę i postawił na ziemi.

- A może pobiegiesz na górę i zanieśiesz swoją torbę oraz Pana Wąsika do pokoju? Mam jeszcze parę spraw do omówienia z panną O'Leary, a potem zabierzemy cię na lody i będziemy wspólnie świętować.

- Lody! - pisnęła i pognała korytarzem.

Kiedy zniknęła im z pola widzenia, Rylan przyciągnął Colleen w uścisku.

- Jesteś tego pewna? Przyjęcie męża to jedna rzecz, a całej rodziny od razu - to inna sprawa.

Oparła dłonie na jego piersi.

- Och, Rylanie. Od kiedy Delia wyjechała, w tajemnicy marzyłam, że może wróci i będę mogła ją adoptować. Nie wiedziałam tylko, jak miałabym to zrobić sama. Dzięki tobie jestem najszczęśliwszą kobietą w całej Ameryce.

Zbliżyła się i ucałowała go, zanurzając palce w jego gęstych włosach. Gdy rozdzielili się ponownie, jego spragnione spojrzenie przyprawiło ją o gęsią skórkę.

Oparł swoje czoło o jej i powiedział:

- Chyba powinienem porozmawiać z twoim ojcem i szybko postarać się o pozwolenie na ślub, jeśli będziesz mnie nadal tak kusić.

Roześmiała się głośno. W jej sercu przelewała się czysta radość.

- Im szybciej, tym lepiej, panie Montgomery. Im szybciej, tym lepiej.

Brianna schodziła po schodach głównego budynku Barnard College, obładowana dopiero co kupionymi książkami. Musiała przejść dwie przecznice do przystanku tramwajowego, a nogi bolały ją już na samą myśl o tej odległości. Po całym dniu zwiedzania kampusu, a potem staniu w długiej kolejce po książki, stopy w zasznurowanych bucikach piekły ją niemiłosiernie.

Z radością przywitała widok ławki na końcu terenu college'u, która wręcz wołała, by na niej usiąść. Wdzięczna za tę okazję, opadła na siedzisko z kutego metalu, czując, jak jej stopy pulsują. Nawet jeśli spóźni się na tramwaj, prędzej czy później nadjedzie kolejny.

Odłożyła książki obok siebie i na chwilę zamknęła oczy, pozwalając by popołudniowe słońce grzało jej policzki. Gdyby tylko te wesołe promienie mogły rozchmurzyć jej nastrój. Nieustępliwy obłok melancholii towarzyszył Briannie od kiedy opuściła Irlandzkie Łąki. Zamiast cieszyć się tym, że nareszcie spełnia się jej marzenie, myślała tylko o Gilu.

Nawet nie starał się opierać jej odejściu, po prostu pocałował ją w policzek i życzył powodzenia na studiach. Tak jakby była tylko jakąś znajomą albo młodszą siostrą. Mógł chociaż udawać, że jest mu przykro, że wyjeżdża.

- Panna O'Leary?

Męski głos dobiegający z za jej pleców sprowadził ją na ziemię. Popatrzyła przez ramię i dostrzegła wysokiego, wyglądającego jakoś znajomo mężczyznę, który zmierzał w jej stronę.

- Panno O'Leary! Dzięki Bogu udało mi się panią dogonić. Zostawiła pani jedną zakupioną pozycję. - Z szerokim uśmiechem zatrzymał się przed nią i wyciągnął gruby podręcznik.

To stąd go zna. Pracował za ladą w księgarni.

- Dziękuję panu bardzo. - Przyjęła książkę i dorzuciła do chwiejnego już stosu leżącego obok niej na ławce.

- Nazywam się Peter McNamara. - Wyciągnął rękę w jej kierunku. - Mój ojciec jest tutaj wykładowcą. Poznaliśmy się na przyjęciu z okazji Dnia Niepodległości, gdzie była pani z ciotką. - Uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Tak się cieszę, że mogłem panią znowu spotkać.

Fala ciepła oblała policzki Brianny wobec tak nieskrywanego zainteresowania widocznego na twarzy pana McNamary.

- Właśnie wracam do domu - powiedział. - Może mógłbym panią podwieźć? Zaparkowałem tuż za rogiem.

Brianna zamrugła, nie do końca pewna, co zrobić z tym przyjacielsko nastawionym młodym człowiekiem. Choć kusilo ją, żeby przyjąć propozycję, nie czuła się zbyt dobrze z myślą, że miałyby wsiąść do auta z mężczyzną, którego prawie w ogóle nie znała.

- Dziękuję za pańską propozycję, panie McNamara, ale przejadę się jednak tramwajem.

Rzucił okiem na leżący obok niej stos książek.

- Nie powinna pani nieść takiego ciężaru sama całą drogę do domu. Poza tym, mój ojciec zmyłby mi głowę, gdybym tak samą panią zostawił.

Brianna zagryzła dolną wargę.

- Czy wie pan, gdzie mieszka moja ciotka?

- Oczywiście. Bywaliśmy tam parę razy w ostatnich latach, a po śmierci mojej mamy, pani ciotka dokładała starań, by zapraszać mojego ojca i mnie jeszcze częściej. Sądzę, że bała się, że dwójka takich biednych mężczyzn nie poradzi sobie z przygotowaniem przyzwoitego posiłku.

Brianna nie mogła się nie roześmiać wobec wizji, jaką przed nią roztoczył, tym bardziej, że jego promienna twarz sprawiała, że wyglądał jak mały chłopiec. Skoro on i jego ojciec byli przyjaciółmi ciotki, spodziewała się, że za tą propozycją nie kryło się żadne niebezpieczeństwo.

- Dobrze więc, panie McNamara. Będę wdzięczna za podwiezienie mnie, jeśli oczywiście jest panu po drodze.

- Oczywiście. Proszę tu poczekać, będę za minutkę. I proszę mówić mi Peter.

Dziesięć minut później, kiedy już wszystkie książki były zapakowane na tylnym siedzeniu, Peter prowadził swój automobil z odkrytym dachem po zatłoczonych ulicach miasta. Rozmawiał z nią o wykładach na Uniwersytecie Columbia i jego niepełnym etacie w księgarni, a także o długiej karierze ojca w szkolnictwie. Brianna czuła wdzięczność za podwiezienie oraz za to, że nie musiała zbyt wiele mówić.

Wkrótce zatrzymali się przy krawężniku, przed charakterystyczną dla Manhattanu kamienicą z elewacją z piaskowca, w której mieszkała ciocia Fiona. Peter zaciągnął hamulec i następnie wyskoczył z auta. Obszedł wóz, by otworzyć jej drzwi i podał dłoń, aby wysiadła. Firanka w oknie salonu cioci poruszyła się. Brianna poczuła w środku przyływ ulgi. Ciocia Fiona za chwilę będzie przed domem, żeby ich przywitać. Nie chodziło o to, że Peter nie był miłym towarzyszem, ale Brianna z utęsknieniem czekała, żeby wejść do domu i położyć się z uniesionymi nogami.

- Pozwól, że pomogę ci z tymi książkami i przywitam się krótko z twoją ciocią zanim odjadę.

- Dziękuję ci bardzo za podwiezienie. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo byłam zmęczona.

Peter schylił się, wydobywając z tyłu samochodu jej pakunki. Kiedy wyprostował plecy z naręczem książek, posłał jej nieco /denerwowane spojrzenie.

- Jeśli nie byłoby to zbyt dużą zuchwałością, panno O'Leary, chciałem zapytać, czy jesteś wolna jutro wieczorem?

- Obawiam się, że jest zajęta. - Ciężkie kroki zadudniły po betonowych schodach prowadzących od głównych drzwi domu ciotki Fiony.

Brianna obejrzała się i dostrzegła niezadowoloną twarz Gila. Gwałtowna fala gorąca zaalała jej policzki tak, jakby została przyłapaną na potajemnej schadzce.

- Gil, co ty tutaj robisz?

Jej umysł gorączkowo szukał wyjaśnienia jego nieoczekiwanej wizyty. Po co miałby przyjeżdżać do miasta w środku tygodnia, skoro ona miała wrócić do domu na weekend?

- Przyjechałem zobaczyć się z tobą, oczywiście. - Ani na chwilę nie spuszczał wzroku z Petera.

Ogarnął ją niepokój na wspomnienie tamtej nocy, kiedy jej ojciec wylądował w szpitalu.

- Czy coś się stało w domu?

- Wszystko w porządku. - Lakoniczna odpowiedź Gila zawisała w powietrzu.

Jak gdyby wyczuwając napięcie krążące pomiędzy nimi niczym wirujące na wietrze jesienne liście, Peter przerzucił książki na jedną rękę, a drugą wyciągnął w jego kierunku, mówiąc:

- Jestem Peter McNamara, przyjaciel rodziny. Gil zignorował wyciągniętą rękę.

- A ja jestem Gilbert Whelan, *bardzo* dobry przyjaciel Brianny. - W jego głosie zabrzmiało wyraźne wyzwanie.

Brianna spiorunowała go wzrokiem.

- Przyjaciel, który zachowuje się właśnie wyjątkowo niegrzecznie. Peter zaproponował, że podwiezie mnie do domu. Nie zasługuje na tak nieuprzejme traktowanie.

- Zdaje mi się, że proponuje coś więcej niż tylko podwiezienie. Rumieniec pokrył wystające kości policzkowe Petera, kiedy

odwrócił się w jej stronę.

- Przepraszam bardzo, jeśli w jakikolwiek sposób posunąłem się za daleko.

Położyła rękę na jego ramieniu.

- Nie masz za co. Dziękuję jeszcze raz za twoją pomoc.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Wniosę twoje pakunki do środka. - Ruszył w górę schodów ze stertą książek i za moment wrócił do samochodu.

Pomimo narastającego w niej gniewu, Brianna zdołała posłać mu promienny uśmiech, mówiąc:

- Dziękuję, że mogłam na ciebie liczyć.

Pożegnał Gila krótkim skinieniem głowy i wskoczył za kierownicę.

Kiedy tylko jego automobil oddalił się z rykiem, Brianna wmaszerowała po schodach do domu. Bez oglądania się za siebie, zdjęła kapelusz i rękawiczki i rzuciła je na stolik w przedpokoju. Ostre trzaśnięcie drzwi mówiło jej, że Gil wszedł za nią do środka. Jej dłonie drżały z gniewu, który wcale nie dotyczył nieuprzejmości Gila wobec Petera, a raczej był efektem niechęci, która narastała w niej od paru ostatnich tygodni.

Obróciła się gwałtownie i stanęła z nim twarzą w twarz, rękę opierając na biodrach.

- Jak śmiesz mnie stawiać w takim położeniu, Gilbercie! Ten biedny chłopak po prostu chciał być miły.

Jego oczy zmieniły się w ciemnoniebieskie, wręcz granatowe.

- Ten *biedny chłopak* pożerał cię wzrokiem jak danie główne na karcie. - Gil naciskał dalej z dzikim wyrazem twarzy. - Czy to o to ci chodziło, kiedy mówiłaś, że chcesz doświadczyć studenckiego życia? Żeby spotykać się z innymi mężczyznami?

Przekrzywiła wyzywająco brodę.

- Umawianie się z innymi, nie upartymi jak osioł mężczyznami może być całkiem niezłe.

Przygotowała się na wybuch złości ze strony Gila. Zamiast tego, gdy spod przymkniętych powiek spojrzała na jego twarz, ujrzała ogrom cierpienia.

Zacisnął usta w wąską linię i cofnął się o krok.

- Widzę, że to nie był dobry pomysł. - Bez dalszego wyjaśnienia, odwrócił się i wyszedł z domu.

Zbita z tropu, Brianna starała się odzyskać równowagę. Wybiegła na zewnątrz i zawołała za jego oddalającą się sylwetką:

- Gil, dlaczego przyjechałeś?

Zatrzymał się na chwilę i spojrzał znad ramienia, a potem potrząsnął głową.

- Nieważne. To już bez znaczenia.

Nie zastanawiając się nawet, w jakim kierunku ruszył, Gil znalazł się nagle na Piątej Alei na wprost katedry Świętego Patryka. Wspiął się po schodach do dwuskrzydłowych drewnianych drzwi i pociągnął za klamkę, niepewny, czy kościół będzie w ogóle otwarty w środę po południu. Drzwi ustąpiły. Zdjął nakrycie głowy, wszedł do chłodnego, ciemnego wnętrza i wziął głęboki wdech, żeby uspokoić nerwy.

Oczy powoli przyzwyczyły się do półmroku, a do jego nosa docierał kojący zapach woskowych świec i mydła sandałowego. Wsunął czapkę do kieszeni marynarki i palcami musnął schowane tam małe, kwadratowe pudełeczko. Kolejna fala żalu przeląta się przez jego serce. Przyjechał, żeby zaprosić Briannę na kolację, gdzie zamierzał się jej oświadczyć. Kiedy jednak ujrzał ją z tym amantem w śmiesznym samochodzie, w jego głowie nastąpiło jakieś zwarcie. Wszystkie dobre maniery pierzchły wobec ciemnego obłoku nieufności.

Odsunawszy na bok frustrację, Gil ruszył główną nawą. Lekki

blask wotywnych świec stwarzał uspokajającą aurę w tej ogromnej przestrzeni. W ławkach po obu stronach przejścia widać było pojedyncze punkciki ludzi pochylonych w modlitwie. Gil zajął miejsce w jednej z tylnych ławek, licząc, że może cisza tego przybytku uspokoi jego skołataną duszę.

Złe się zachował. Wcale nie trzeba było pełnej oburzenia reakcji Brianny, żeby to sobie uświadomił. Pozwolił, żeby zazdrość zapłonęła jak zapalka, od której pożar ogarnął wszystkie jego zmysły. Nagle przypomniały mu się wszystkie mądrości o zaufaniu, które ostatnio wygłosił Briannie. Ależ był hipokrytą!

Pochylił nisko głowę i przeczesał palcami włosy.

Panie, potrzebuję Twojej pomocy. Co mam teraz robić?

Siedział w pełnym ciszy wnętrzu, ufając, że uda mu się usłyszeć spokojny, dyskretny głos Boga podsuwający mu rozwiązanie. Ostatniej niedzieli, w kościele Świętej Rity, Gil był pewien, że prowadzi go palec Boży. Czyżby całkowicie źle odczytał Jego wolę?

Poczuł, jak kleszcze cierpienia zaciskają się na jego piersi. Nie umiał sobie wyobrazić życia bez Brianny. Bardziej niż czegokolwiek innego na świecie, pragnął, by została jego żoną.

A czego chciała ona?

Słowa wyszeptane pośród jego myśli spowodowały, że podskoczył w twardej drewnianej ławce. Czy o to chodziło? Czyżby Brianna zmieniła zdanie co do niego? Czy chciała kogoś takiego jak Peter McNamara - inteligenta, z którym mogłaby dyskutować o literaturze i filozofii?

A może zdecydowała, że w ogóle nie będzie wychodzić za mąż? Że zostanie kobietą sukcesu, tak jak ciocia Fiona?

Czy on w ogóle kiedyś zapytał Briannę, jakie były jej pragnienia na przyszłość? A może po prostu zakładał, że ona dopasuje się do jego planów na ich wspólne życie?

Nie wiedziałam, że oczekujesz, iż porzucę swoje marzenia dla twoich. Pełne goryczy słowa oskarżenia smagnęły go w pamięci.

Prawda uderzyła go z siłą rażenia gromu. Rzeczywiście oczekiwał, że ona porzuci swoje marzenia. Kiedy zaproponowała, że pomoże mu zrealizować jego cel, zakładał, że zrezygnuje z pójścia do college'u.

Kłuty wyrzutami sumienia, Gil opadł kolanami na twardey klęcznik. Postawił swoje egoistyczne pragnienia ponad kobietą, którą kochał. Co gorsze, stały się one nawet ważniejsze od woli Bożej wobec jego życia.

Pochylił głowę nad złożonymi dłońmi. *Przebacz mi, Panie, mój egoizm. Pokaż mi proszę, co chciałbyś, abym uczynił. Pomóż mi bezinteresownie zrobić to, co dobre dla Brianny i spraw, żebym stał się takim człowiekiem, jakim byś chciał, abym był. Mężczyznę godnym jej i Ciebie.*

Gil klęczał tak długo, aż zaczęły go boleć mięśnie. W końcu podniósł się i stanął na wprost głównego ołtarza. Miejsce to oświetlone było łagodnym promieniem światła. Poczucie miłości i wdzięczności przepełniły serce Gila. Odetchnął pełną piersią i założył czapkę.

Mając niezachwianą pewność, co powinien teraz zrobić, opuścił katedrę.

Ciche pukanie do jej drzwi, wyrwało Briannę z modlitwy.

- Brianno? Mogę wejść? - dziarsko zawołała zza drzwi ciocia. Dziewczyna dźwignęła się z kolan i starała się wygładzić pomiętą spódnicę.

- Oczywiście, ciociu.

Nie miała już czasu ani na umycie twarzy, ani na poprawienie włosów. Ciocia bez wątpienia zauważy, że musiała długo płakać. Ciocia Fiona delikatnie zamknęła drzwi za sobą.

- Na dole czeka Gilbert i chce się z tobą widzieć.

Serce Brianny zabiło mocniej. Gil wrócił? Czy wreszcie dowie się, dlaczego tu przyjechał? A może dalej będą się kłócić?

Zagryzła dolną wargę.

- Poróżniliśmy się wcześniej. Ciotka zmierzyła wzrokiem Briannę.

- Większość par kłóci się od czasu do czasu. Najważniejsze jest to, jak udaje wam się rozwiązać spory.

- Och, ciociu. Kiedyś byliśmy tacy zgrani, ale ostatnio cały czas wzajemnie się rozczarowujemy. Myślisz, że Bóg chce nam coś w ten sposób pokazać?

Ciocia Fiona poklepała ją po ramieniu.

- Nie mogę mówić za Pana Boga, ale jestem pewna, że wszystko będzie tak, jak On chce. Zasadnicze pytanie: czy nadal kochasz Gilberta?

Brianna żałośnie pokiwała głową.

- A czy on kocha ciebie? Splotła razem palce.

- Nie wiem. Wszystko, co się dzieje w naszym związku ostatnio się pokomplikowało. Nie jestem już niczego pewna.

Ciocia Fiona otoczyła jej ramiona ciepłym uściskiem.

- Może przyjmiesz radę od kogoś, kto nie chce, żebyś skończyła samotnie, tak jak ja. - Długo patrzyła w oczy Brianny. - Przebacz mu.

- Ale on...

- Przebacz mu. Tak jak on przebaczał ci twoje błędy.

Przepełniło ją poczucie wstydu. Ciocia miała rację. Gil przebaczył jej parę razy podobny występki. Z pewnością ona powinna zrobić to samo.

- Czy miłość jest zawsze taka trudna? - wyszeptwała.

- Kiedy dwoje ludzi jest tak samo upartych, jak wy, to tak. Ale będzie łatwiej. Zaufaj mi. - Podeszła do drzwi. - Może zechcesz się odświeżyć i dać temu młodemu człowiekowi jeszcze jedną szansę, żeby powiedział to, z czym tu przyjechał? Myślisz, że dasz radę to zrobić?

Brianna kiwnęła głową.

- Dobrze. Zejdź na dół do salonu, gdy będziesz gotowa.

Kiedy została sama w pokoju, Brianna obmyła twarz wodą przygotowaną na komodzie, osuszyła ją i przedarła się przez szafę w poszukiwaniu ulubionej sukni. Rozwiązała niedbały kok i rozczesała włosy, aż zaczęły pięknie błyszczeć, a potem na karku zawiązała loki wstążką.

- Tyle musi wystarczyć na teraz - powiedziała do swojego odbicia w owalnym lustrze. Przypomniały jej się te chwile, kiedy szykowała się na przyjęcie powitalne Gila w Irlandzkich Łąkach. Tak wiele zmieniło się od tamtego dnia. Niewiele już przypominała tamtą wstydliwą dziewczynę, obawiającą się ojca, zazdrosną o siostrę i przerażoną swoimi uczuciami.

Teraz wcale nie była mniej przerażona - bała się, że Gil nigdy nie pokocha jej tak, jak ona jego. Że może nie zdobędzie się nigdy na odwagę, żeby postawić się ojcu i wybrać ją. Albo tego, że może opuścić Irlandzkie Łąki, by podążać samotnie w nową przyszłość. Co zrobi, jeśli to właśnie o tym dzisiaj się dowie?

Dobry Boże, proszę, daj mi odwagę, bym umiała stawić czoła temu, co Gil chce mi powiedzieć. I daj mi łaskę, żebym mu dobrze życzyła - nawet jeśli nie uwzględni mnie w swoich planach na przyszłość.

Z modlitwą na ustach, zeszła wąskimi schodami, a jej nogi drżały przy każdym kroku.

Kiedy dotarła na dół, Gil wyłonił się z salonu. Stado motyli wzbiło się w lot w jej brzuchu. Wcześniej nie zauważyła, że ubrany był w elegancki garnitur i krawat - strój zbyt wyszukany na zwykłą towarzyską rozmowę. Nic z tego wszystkiego nie składało się w jakąkolwiek sensowną całość.

- Wyglądasz przepięknie - powiedział, gdy podeszła do niego.

- Dziękuję. - Uniosła brodę. - Ale jeden komplement nie naprawi spraw między nami.

- Wiem. - W jego głosie wybrzmiał żal. Wskazał ręką na salon.

- Czy możemy porozmawiać?

Pokiwała głową i weszła przed nim do pokoju wypełnionego ciepłą poświatą z rozpalonego kominka. W klatce umieszczonej w kącie pokoju dwie papużki nierozłączki przeskakiwały z poprzeczki na poprzeczkę, poruszone, jakby wyczuwały panujące tu napięcie.

Brianna zajęła miejsce na najbardziej oddalonym krańcu kanapy, podczas gdy Gil podszedł i stanął koło paleniska.

Zapadła krępująca cisza, przerywana jedynie tykaniem mosiężnego zegara ciotki i ćwierkaniem ptaszków.

Wreszcie Gil westchnął.

- Jestem ci winien przeprosiny za tę sytuację dzisiaj. Zachowałem się nie na miejscu.

- Masz rację, tak było. - Brianna zmarszczyła czoło. - Po co tak naprawdę tu przyjechałeś?

Bawił się mankietem marynarki.

- Miałem coś ważnego do... omówienia z tobą. Zmarszczki na jego czole zasiały niepokój w jej sercu.

- O co chodzi? - Przygotowywała się na najgorszą odpowiedź. Widziała, jak na jego szyi jabłko Adama drgało, a jego skronie błyszczały od potu.

- Chciałem zacząć od przeprosin - nie tylko za dzisiaj, ale za wszystkie ostatnie chwile, kiedy tak cię zawiodłem. Wiem, że nieraz cię zraniłem i bardzo tego żałuję.

Starając się całą siłą woli zapanować nad emocjami, skupiła wzrok na swoich kolanach i czekała, co powie dalej.

- Popełniłem wiele błędów, ale także dużo się przez to o sobie dowiedziałem. Na przykład, jak bardzo ważnym jest, by trzymać się swoich zasad. - Nogą wystukiwał nerwowy rytm na dywanie.

- Pomogłeś mi pogodzić się ze śmiercią mojego taty i wydaje mi się, że w końcu zdołałem sobie wybaczyć.

Niepokój narastał w niej z każdym jego słowem. To z pewnością była mowa na pożegnanie.

- I właśnie dlatego mogłem przyjąć propozycję biznesową, której jeszcze sześć miesięcy temu w ogóle nie brałbym pod uwagę.

Brianna poczuła, że jej świat się wali. Pewnie chodziło o to, że ostatecznie opuszcza Irlandzkie Łąki. Pocierał dłonią szczękę.

- To wszystko w ogóle nie składa się tak, jak planowałem. Odważyła się spojrzeć na niego i jej serce ścisnęło się na widok

jawnej boleści malującej się na jego twarzy. Słowa ciotki odbijały się echem w jej głowie. *Przebacz mu, tak jak on przebaczył tobie.*

Ciocia Fiona miała rację. Niezależnie od tego, jak bardzo trudne to było dla niej, musiała pozwolić Gilowi odejść. Dać mu wolną rękę w podążaniu za własnym marzeniem, tak jak ona realizowała swoje. Cały strach i uraza uleciały z niej, a zamiast tego ogarnął ją dojmujący smutek.

- Dobrze, Gil. Rozumiem.

Jego zmarszczka na czole jeszcze bardziej się pogłębiła.

- Nie, wydaje mi się, że w ogóle nie rozumiesz. - Podszedł bliżej, usiadł tuż obok niej i ujął jej dłoń w swoje ręce. Dreszcze przebiegły w górę jej ramienia i nie miało to nic wspólnego z temperaturą w pokoju.

- Staram się powiedzieć, że twój ojciec zaproponował mi udziały w Irlandzkich Łąkach, a ja przyjąłem tę ofertę. Prawnicy mają przygotować dokumenty w przyszłym tygodniu.

A jednak Gil nie wyjeżdżał Jakaś część w niej odetchnęła z ulgą na tę wiadomość. Pozostała część zaś zaczęła kwestionować jego decyzję. Delikatnym pociągnięciem wyjęła swoją dłoń z jego.

- A co z założeniem własnej farmy? Przez chwilę znieruchomiał.

- Wydaje mi się, że ten pomysł wiązał się z poczuciem winy, za śmierć mojego ojca. Jakoś teraz nie wydaje mi się to aż tak istotne.

- Świetnie, zatem cieszę się razem z tobą... - Zawahała się, nie do końca pewna, co jeszcze miałyby powiedzieć. Polano płonące na kominku pękło z trzaskiem, przerywając ciszę. - To wszystko, co chciałeś mi powiedzieć, przyjeżdżając tutaj?

- Jest jeszcze jedna rzecz.

Nerwy targały nią w środku, gdy usłyszała szorstki ton jego głosu.

- Co takiego?

- Wiem, że popsułem wiele między nami. Ale wydaje mi się, że ostatecznie dowiedziałem się, w czym tkwi problem.

Spięła się w sobie, bojąc się nawet oddychać. Jej plecy były sztywne jak drewniana poręcz kanapy.

- Pierwszym moim błędem było to, że przedkładałem aprobatę twojego ojca ponad moje uczucia do ciebie. Niczyja opinia nie powinna być dla mnie ważniejsza od twojej.

Brianna z całych sił starała się opanować emocje, które tłukły się w jej sercu i gotowe były ulecieć z trzepotem jak ptaszki, gdyby im tylko otworzyć klatkę.

Gil przysunął się jeszcze bliżej, a mocny zapach jego wody kolońskiej osaczył jej zmysły.

- Kolejną pomyłką było to, że zapomniałem o tym, co jest naprawdę ważne. Nie starałem się, by Bóg był w centrum naszego związku.

Czuła, że łzy napływają jej do oczu.

- Właśnie o tym samym pomyślałam przed chwilą, kiedy zapytałam Go, czego chce dla nas w życiu.

Gil nagle ukląkł przed nią i mocniej uściśnił jej lodowate dłonie w swoich rękach, zmuszając ją niejako, żeby spojrzała na niego.

- Brianno O'Leary, jesteś bezcennym klejnotem i jeśli bym cię teraz stracił, to byłaby wyłącznie moja wina. Chcę, żebyś wiedziała, że wyznałem twojemu ojcu, co czuję, i że poprosiłem o jego błogosławieństwo na nasze małżeństwo.

Serce łomotało jej w piersi i wydawało jej się, że nie jest w stanie nawet zaczerpnąć powietrza.

- Musisz też wiedzieć, że jasno powiedziałem, że poślubię cię niezależnie od tego, czy dostanę jego błogosławieństwo... to znaczy, oczywiście, jeśli ty się zgodzisz. - Jego niespokojne oczy szukały jej spojrzenia. - Czy wyjdiesz za mnie, Bree?

Dreszcze ogarnęły całe jej ciało.

Chciała powiedzieć „tak”, ale ukłucia niepokoju i podejrzliwości przenikały jej umysł.

- A co z kolegą? - zapytała szeptem. Wstrzymała oddech, modląc się o pomyślną odpowiedź na rzucone na próbę pytanie.

W jego spojrzeniu nawet na chwilę nie pojawiło się wahanie.

- Chętnie poczekam, aż ukończysz studia.

- Naprawdę gotów jesteś czekać trzy lata?

- Nawet więcej, jeśli będzie trzeba. Jesteś warta każdej minuty czekania, Brianno.

Choć bardzo starała się powstrzymać, pojedyncza łza spłynęła w dół jej policzka.

- Dlaczego teraz? Dlaczego nie powiedziałeś tego wszystkiego, zanim wyjechałam?

Gil westchnął i podniósł się, żeby usiąść obok niej na kanapie.

- Nie chciałem, żebyś myślała, że oświadczam się po to, żeby cię powstrzymać przed pójściem na uczelnię. Poza tym brakowało mi jeszcze wtedy odwagi, żeby porozmawiać z twoim ojcem. Kiedy tylko wyjechałaś, wszystko się zmieniło. - Sięgnął w jej stronę i zaczął gładzić jej dłoń. - Kocham cię, Bree, i wiem, jak ważne jest dla ciebie zdobycie wykształcenia. Nie chcę przeszkadzać ci na tej drodze.

Nagły przyływ radości rozlał się w jej wnętrzu. Wreszcie usłyszała z jego ust słowa, na które czekała od lat, a miłość, której tak pragnęła, była wreszcie wyraźnie widoczna w jego spojrzeniu. Kolejne łzy rozmyły jej obraz.

- Och, Gil. Kocham cię, odkąd sięgam pamięcią. Modliłam się jedynie, żebyś któregoś dnia także mnie pokochał, by połączyło nas coś więcej niż przyjaźń.

- Wierz mi - kocham cię.

Jego ciepłe usta zetknęły się z jej z taką namiętnością, jakiej jeszcze nigdy nie doświadczyła. Napięcie puściło. Całował ją coraz mocniej, trzymając w ramionach jak najdroższy skarb. Jej dusza zaśpiewywała z radości, pewna, że to właśnie jest jej miejsce w życiu.

Kiedy wreszcie rozwarli uścisk, Gil otarł kciukiem resztki wilgoci z jej policzków, a kącik jego ust uniósł się w czułym uśmiechu.

- Właściwie, to nie odpowiedziałś jeszcze na moje pytanie. Uśmiechnęła się przez łzy.

- Będę najszcześniejsza na świecie, będąc twoją żoną. Głośno wypuścił powietrze z płuc.

- Dzięki Ci, Boże! - Delikatnie ujął jej twarz w dłonie i jeszcze raz złączył jej usta ze swoimi, przypieczętowując obietnicę. Następnie, sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął małe czarne pudełeczko. Złote litery na wieczku wytarły się już nieco, a rogi były obłamane i wyblakłe.

- To należało do mojej mamy.

Uniósł wieczko i Brianna z zachwytem gwałtownie wciągnęła powietrze. Delikatny pierścionek ze szmaragdem otoczonym drobnymi brylantami włożony był w wyblakłą wyściółkę.

Wyjął go i z namaszczeniem włożył na jej palec.

- Wiem, że byłaby bardzo szczęśliwa, gdyby wiedziała, że moja przyszła żona będzie go nosić.

- Jest śliczny, Gil. - Brianna wyciągnęła dłoń, by podziwiać, jak pięknie kamienie odbijały światło. - I doskonale pasuje. - Ledwo do niej docierało, że zostanie żoną Gila. - Czy jesteś pewien, że chcesz tyle czekać? - Wstrzymała oddech, czekając na dodatkowe zapewnienie, że on nie wycofa się z obietnicy.

- Zgadzam się na to. I żeby ci to udowodnić, dodam, że mam już plan, jak przeżyć ten czas rozłąki. - Pociągnął ją za sobą, wstając z kanapy.

- Jaki plan?

- Myślę, że to już najwyższy czas, żebym zaczął się właściwie do ciebie zalecać - teraz, kiedy nosisz mój pierścionek. - Uśmiechnął się szeroko, a jego niebieskie oczy tańczyły z radości. - Zdaje się, że nasz romans będzie trochę niekonwencjonalny.

- Chyba lubię niekonwencjonalność. - Roześmiała się, bo szczęście wypełniło ją nieopisaną energią. - A może zabierzesz mnie gdzieś na kolację, gdzie będziemy mogli oficjalnie odbyć naszą pierwszą randkę?

Jego twarz powoli rozświecił coraz szerszy uśmiech.

- To najlepszy pomysł, jaki dzisiaj słyszałem.

Kiedy zbliżył twarz w następnym pocałunku, papużki nierozłączki, siedzące razem na tej samej gałęzi, zaczęły z pełną aprobatą.

EPILOG

PAŹDZIERNIK 1911

W wąskim przedsionku kościoła Świętej Rity Brianna przypinała diadem na ognistych lokach Colleen, podczas gdy mama układała koronkowy welon. Cofnęła się o krok, aby sprawdzić ostateczny efekt, jaki robiła jej siostra odziana w koronki i mocno wytaliowaną satynową suknię w kolorze złamanej bieli, zagryzła wargę, by powstrzymać ogrom emocji. *Moja siostra wychodzi za mąż.*

- Tylko nie zacznij teraz płakać, Bree, bo ja też będę. Udawana srogość Colleen rozbawiła młodszą siostrę.

- Nie mogę się powstrzymać. Tak bardzo cieszę się z waszego szczęścia. - Ponownie długo przyglądała się Colleen, a potem odwróciła się, żeby poprawić trochę swój wygląd.

Dzisiaj w sukni drużny, Brianna czuła się tak samo olśniewająca jak panna młoda.

- Twoja kolej przyjdzie szybciej, niż się tego spodziewasz - wyszeptła mama zza jej pleców.

- W porządku, mamó. Nie przeszkadza mi oczekiwanie na mój czas. - Wzięła bukiet astrów z małego stolika obok drzwi.

- Aż trudno uwierzyć, że tata pozwala Colleen wyjść za Rylana tak szybko. Jak ci się udało go przekonać?

Mama zaśmiała się.

- Wciąż mam jeszcze w rękawie jeden albo dwa asy, jeśli chodzi o waszego ojca. Uświadomienie sobie swojej śmiertelności pomogło Jamesowi dostrzec ważne rzeczy w życiu. Takie jak na przykład szczęście jego córek. - Wyciągnęła rękę i poprawiła pasemko

włosów, zakładając je za ucho Brianny, na którym pobłyskiwał perłowy kolczyk. - Kiedy Gil zobaczy cię w tej sukni, będzie musiał poważnie rozważyć pomysł, by czekać na ciebie przez kolejne trzy lata. Wyglądasz tak pięknie jak panna młoda.

- Dziękuję ci, mamó. - Brianna przyciągnęła ją w uścisku.

- Bóg jest dla nas taki dobry. Gdyby jeszcze Adam tu był, wszystko byłoby idealnie.

Fakt, że Adam zignorował prośbę mamy i nie przyjechał do domu na ślub, był jedynym cieniem tego radosnego dnia.

Zabrzmiało pukanie do drzwi. Brianna wyprostowała się, przeganając Colleen na bok.

- Ja się tym zajmę, ty się schowaj.

Uchyliła drzwi o parę centymetrów, na tyle tylko, żeby po drugiej stronie dojrzeć Rylana i Gila, wystrojonych we fraki. Obaj mieli ciemną karnację, włosy w ten sam sposób zaczesane do tyłu, tak, że mogli wyglądać na braci.

- Co wy tu robicie? Rylan nie może zobaczyć Colleen przed zaślubinami?

- Mówiłem ci. - Gil z hukiem klepnął Rylana po ramieniu. Brianna otworzyła drzwi na tyle, żeby przecisnąć się na zewnątrz.

Gil zrobił wielkie oczy i bezwiednie rozdziawił usta.

- Wyglądasz oszalamiająco. - Podszedł, by pochwycić dłoń Brianny i unióś ją do ust.

Policzki Brianny płonęły coraz bardziej.

- I wy obaj wyglądacie niesamowicie elegancko. Skierowała swoją uwagę na Rylana, który przestępował z nogi

na nogę, palcami szarpiąc spinki do mankietów. Jej serce zmiękło na widok jego popłochu.

- Wszystko w porządku?

- U Colleen to tak długo trwa. Chciałem się upewnić, że nie zmieniła zdania.

Brianna położyła dłoń na jego ramieniu, żeby go trochę uspokoić.

- Nigdy jeszcze nie widziałam panny młodej, która byłaby bardziej pewna swojej decyzji.

Ramiona Rylana opadły, kiedy wydał głośnie westchnienie ulgi.

- Chwała niech będzie niebiosom. Nie wiem, co bym bez niej zrobił. Kocham ją bardziej, niż nawet byłem w stanie sobie wyobrazić.

Brianna uśmiechnęła się, mówiąc:

- Jeszcze parę chwil i będzie twoja. Lepiej już idź i przyślij tu z powrotem tatę. Najwyższy czas, żeby poprowadził ją przed ołtarz.

Odwróciła się w stronę Gila.

- Ty też.

Gil uśmiechnął się i zanim poszedł za Rylanem, zbliżył się, by obdarować ją pocałunkiem, który jeszcze długo potem czuła na ustach.

Gdy Brianna wróciła do przedsionka, nie była w stanie wymazać uśmiechu z twarzy. Gil był tak niewiarygodnie przystojny w tym garniturze, że cała w środku się trzęsła. Tak naprawdę, nigdy nie pozwalała sobie wierzyć, że przyjdzie taki dzień, kiedy ona i Gil będą mogli jawnie okazywać sobie uczucia, nie wspominając nawet o wspólnym planowaniu przyszłości.

- Wyglądasz na bardziej zakochaną ode mnie - drażniła się z nią Colleen. ze swojego miejsca przed ogromnym lustrem.

Brianna zaśmiała się i podeszła, by przytulić siostrę.

- Poczekaj, aż sama zobaczysz pana młodego. Jest prawie tak przystojny, jak mój narzeczony.

Uścisk niespodziewanie się wzmógł - Colleen jeszcze bliżej przyciągnęła do siebie Briannę.

- Tak się cieszę, że nareszcie zachowujemy się jak siostry. I że zgodziłaś się być moją druhną. - Mam nadzieję, że za parę lat zrobisz dla mnie to samo.

- Z radością. - Colleen cofnęła się, pociągając nosem ze wzruszenia, i sięgnęła po swój bukiet jesiennych kwiatów.

Kolejne pukanie rozległo się w pomieszczeniu i tata wsadził głowę między drzwi.

- Jesteście gotowe? Goście robią się coraz bardziej niespokojni, nie mówiąc już o panu młodym i druźbie.

- Jestem gotowa, tato. - Cała rozpromieniona, Colleen wyszła mu na spotkanie.

Na widok łez w oczach taty, Brianna nieomal straciła panowanie nad sobą.

- Ach, popatrzcie tylko na moje dwie piękne córki. Bóg z pewnością pobłogosławił tej rodzinie.

- O, tak. - Colleen wsunęła swoją dłoń pod ramię taty i skinęła na Briannę.

- Chodźmy, Bree. Nie przetrzymujemy dłużej naszych mężczyzn w samotności.

Kilka minut później donośny dźwięk organów popłynął w powietrze. Brianna położyła dłoń na brzuchu, pragnąc, aby stado trzepoczących w środku motyli nieco się uspokoiło. Zatrzymała się w drzwiach wejściowych, gdy wszystkie spojrzenia zwróciły się na nią, patrząc, jak otwiera zbliżający się pochód. Przez chwilę napawała się szczegółami tego Świętego wydarzenia - dobrze znane jej drewniane ławki wypełnione przyjaciółmi i sąsiadami, ciężki zapach świec i kwiatów przenikający wnętrza kościoła, i droga pani Shepherd uderzająca z zawziętością w klawisze. W pierwszym rzędzie mama, razem z Connorem, Deirdre i małą Delią, siedząca z dłonią odzianą w rękawiczkę na ustach - Brianna wiedziała, że walczy z nadciągającą powodzią łez wzruszenia. Zza pleców dobiegło ją chrząknięcie - sygnał taty, żeby szła dalej.

Kiedy sunęła tak, miarowym krokiem w głąb głównego przejścia, jej wzrok spoczął na prezbiterium, przed którym obok księdza

Filmorea stali Gil i Rylan, obaj rozpromienieni miłością.

W tym momencie jasny blask słońca przebił się przez witraże i zalał kolorowym światłem przestrzeń wokół ołtarza. Brianna uśmiechnęła się jeszcze bardziej na myśl, że radość samego Boga objawiła się w świątyni - jak Jego osobiste przypięczętowanie tych dosyć niekonwencjonalnych, aczkolwiek świętych zaślubin.

Pełna wdzięczności za wielkie dary Boże - za błogosławieństwo odwzajemnionej przez Gila miłości, długo wyczekiwanej zgody taty oraz wypełnionego wiarą związku Colleen i Rylana - Brianna westchnęła pełnią szczęścia.

Ten dzień będzie z pewnością niezapomniany!

SŁOWO OD AUTORKI

Drodzy Czytelnicy, Kiedy opracowywałam fabułę „Irlandzkich Łąk”, było wiele czynników, które połączyły się i wpłynęły na stworzenie tego fikcyjnego świata. Ponieważ sama mam irlandzkie korzenie z obu stron mojego drzewa genealogicznego, wiedziałam, że będę chciała pisać o dużej irlandzkiej rodzinie. Moi pradziadkowie ze strony ojca emigrowali z hrabstwa Armagh w Irlandii do Nowego Jorku około 1890 roku. Mój pradziadek, Stewart Moneypenny, pracował jako kapitan statku z bazą w Nowym Jorku, ale niestety zmarł dosyć młodo, pozostawiając wdowę z licznym potomstwem. Moja prababcia wyszła ponownie za mąż za towarzysza pracy swojego męża i, z nieznanych powodów, opuściła Nowy Jork, by mieszkać na wiejskich obszarach Quebecu - przyczyniając się tym samym do moich kanadyjskich korzeni. Mój dziadek, Harry Moneypenny, poznał babcię Daisy, córkę farmera w małym, wiejskim miasteczku i mieli razem piątkę dzieci - najmłodszym był mój ojciec. (Muszę tu wspomnieć o serwisie [Ancestry.com](https://www.ancestry.com), dzięki któremu dowiedziałam się wiele na temat historii mojej rodziny).

Szukając informacji na temat irlandzkiej fali imigracji do Stanów Zjednoczonych, dowiedziałam się, że Irlandczycy wcale nie byli dobrze traktowani, kiedy przybywali do Ameryki, a w zasadzie byli dla wielu obiektem pogardy. Ciężko im było znaleźć pracę, ponieważ wielu pracodawców po prostu wywieszało kartki z napisem: „Nie dla Irlandczyków”. Zatem idea imigranckiej rodziny, która wywalczyła swoją drogę od ubóstwa i dyskryminacji, stworzyła tło dla rodziny Jamesa O'Learyego i stanowiła uzasadnienie jego działań. Po osiągnięciu już pewnego poziomu bogactwa i szacunku na Long Island, James nie chciał wrócić do trudnych

czasów, które przeżywał jego ojciec jako świeży imigrant. Dlatego James tak bardzo pragnie, żeby jego córki dobrze wyszły za mąż, by to podtrzymało ich status społeczny.

Zastanawiając się nad wyborem miejsca na farmę O'Learych, dowiedziałam się, że na przełomie wieków wielu bogatych nowojorczyków budowało ogromne wiejskie posiadłości na Long Island, które stało się znane jako Złote Wybrzeże. Wydawało mi się zatem, że to idealne miejsce dla rodziny O'Leary, gdzie mogliby hodować i szkolić rasowe konie dla swoich zamożnych sąsiadów.

Przez przypadek, kiedy wyszukiwałam informacji o wyścigach w Nowym Jorku, odkryłam, że wyścigi były zakazane przez parę lat, akurat w czasie, który wybrałam na akcję swojej powieści. To dało mi dodatkową motywację ukrytą za desperackimi działaniami Jamesa, jak nakłanianie Gila, by spotykał się z córką bankiera, by ocalić Irlandzkie Łąki od bankructwa.

Gdy pisałam o podróży Rylana do Irlandii, natrafiłam na kolejną ciekawostkę dotyczącą statku „RMS Olympic” - transatlantyckiego liniowca podobnego do „Titanica”. Wypadek „Olympica” miał co prawda miejsce 20 września 1911, ale na potrzeby powieści pozwoliłam sobie na swobodę literacką i umiejscowiłam tę kolizję parę tygodni wcześniej, co dało się połączyć z powrotem Rylana z Irlandii, a co za tym idzie, komplikowało losy moich bohaterów!

Mam nadzieję, że saga o rodzinie O'Leary oraz historia Brianny i Colleen do szczęścia, przypadła Wam do gustu. Jeśli tak, proszę wypatrywać historii Adama O'Leary'ego, która ukaże się w 2016 roku!

Niech Wam Bóg błogosławi! Miłej lektury! Susan

PODZIĘKOWANIA

Wielu wspaniałych ludzi i wiele wydarzeń przyczyniło się do tego, że pewnego dnia spełniło się moje marzenie i ujrzałam *Irlandzkie Łęki* w druku.

Przede wszystkim dziękuję Bogu za dar tej wspaniałej opowieści, która zdawała się wypływać z mojej podświadomości. Zakochałam się w tych postaciach, w scenerii, w historii - i wiele razy, dzięki natchnieniom Bożym, udawało mi się natknąć na przydatne mi akurat wiadomości.

Po drugie, szczerze dziękuję Davebwi Longowi za to, że wybrał tę opowieść ze zgłoszeń konkursowych i pokochał ją na tyle, by dać szansę początkującej pisarce. Jego wsparcie i zachęty nadal mnie zaskakują i zawstydzają. Dziękuję ci bardzo, Dave.

Dziękuję także Charlene Patterson za jej wspaniały wkład edytorski, który znacznie ulepszył tę powieść!

Moim krytykom, Julie Jarnagin, CJ Chase i Sally Bayless, które były dla mnie niesamowitym błogosławieństwem. Jestem bardzo wdzięczna za ich wkład w poprawianiu szczegółów powieści oraz za ich przyjaźń i wsparcie. Dziękuję wam!

Na koniec pragnę podziękować mojej rodzinie - mojemu mężowi, Budowi, oraz moim dzieciom, Leanne i Ericowi - za to, że pozwolili mi podążać za moją pasją i nie skarżyli się, że od czasu do czasu obiad był przypalony, ani na to, że godzinami przesiaduję przed moim laptopem! Kocham was bardzo!

Czuję się zaszczycona, pracując dla tak wybitnego wydawnictwa i idąc tą drogą razem z wieloma wspaniałymi autorami. To dla mnie błogosławieństwo, że mogę robić to, co kocham - pisać piękne historie miłosne i dzielić się z moimi czytelnikami Bożym przesłaniem o nadziei i miłości.

OAUTORCE

Susan Anne Mason opisuje swój styl literacki jako romanse okraszane wiarą. W swoich powieściach lubi szczególnie poruszać tematy przebaczenia i odkupienia. *Irlandzkie Łąki* to jej pierwsza powieść historyczna, dzięki której wygrała konkurs *Fiction from the Heartland* sponsorowany przez organizację Mid-American Romance Authors, będącą częścią krajowego stowarzyszenia pisarzy powieści romantycznych (Romance Authors of America).

Susan mieszka pod Toronto, w stanie Ontario, razem z mężem, dwójką dzieci i dwoma kotami.

Więcej informacji o Susan i jej książkach można znaleźć na stronie <http://susanannemason.com>